



Agnieszka  
Janiszewska

---

UROK  
PÓŹNEGO  
LATA

---

TOM I

NOVAE RES

Agnieszka Janiszewska

UROK  
PÓŹNEGO  
LATA

– Tom I



NOVAE RES

Na ogół to Dezydery pisał listy. W imieniu nas obojga. W przeciwieństwie do mnie miał kształtne, naprawdę piękne pismo. Nieraz żartował, że w szkole, najwyraźniej odwrotnie niż to było w moim przypadku, przykładał się do lekcji kaligrafii. Choć – jak zaraz dodawał – były to jedyne zajęcia, do których się przykładał. Kaligrafia go bawiła, i tyle. Nie wymagała wkuwania i zapamiętywania, podczas ćwiczeń głowa odpoczywała od nadmiaru reguł lub liczb, jakimi katowano uczniów na innych zajęciach. Lubił powtarzać, że niemal całą wiedzę o świecie i zjawiskach tym światem rządzących posiadał sam. Szkoła w jego przypadku okazała się przydatna tylko do zdobycia wymaganych świadectw. Tak naprawdę jedyną korzyść przyniosła mu kaligrafia. Oczywiście – jak już wcześniej wspomniałam – żartował. Niemniej bezsporną prawdą pozostanie fakt, że potrafił znakomicie posługiwać się słowem, tak mówionym jak i pisanym. Miał dar niezwykle precyzyjnego wyrażania myśli i spostrzeżeń. Listy, które pisał, bez względu na to, czy dotyczyły spraw majątkowych i urzędowych, czy też kwestii jak najbardziej prywatnych, były czytelne – w każdym tego słowa rozumieniu – dla wszystkich. Pod tym względem nie mogłam się z nim równać.

*Inna* sprawa, że nigdy nie czułam potrzeby uprawiania się w sztuce epistolarnej. Nigdy też tego ode mnie nie wymagano. I po prawdzie – nie miałabym do kogo pisać. Pierwszych kilka lat życia spędziłam w majątku ojca w Jurczewicach, na dobrą sprawę świata bożego poza tą posiadłością nie oglądając. Nikogo poza rodziną i służbą nie znałam. Zresztą było to dość szczupłe grono osób, w miarę upływu lat coraz mniejsze. Potem zaś, gdy już opuściłam tak zwany rodzinny dom, nie miałam najmniejszej ochoty na wymianę korespondencji z tymi, którzy w nim pozostali. I nikt mnie do tego nie namawiał. Chyba to prawda, że umiejętność, której nie wykształci się w dzieciństwie i młodości, potem jest już trudna do opanowania. Przynajmniej ze mną tak było. Listy, które już jako dorosła osoba musiałam czasem napisać, były pozbawione zarówno sensownej treści, jak i formy. Miałam tego świadomość, ale nic już nie mogłam na to poradzić. Dlatego gdy sprawa dotyczyła kwestii rodzinnych, prosiłam Dezyderego, by pisał w imieniu nas obojga. A on, niemiłosiernie ze mnie żartując, spełniał to życzenie. Przecież niczego mi nie odmawiał, choć na ogół nie szczędził mi stosownych, aczkolwiek zawsze dobrodusznych, komentarzy.

*Jednak* tego listu za mnie nie napisze. Powinnam to zrobić sama, choć jestem pewna, że mi się nie uda. Nie dam rady wyznać w takiej formie tego, co wydarzyło się w moim życiu wiele lat temu. Zresztą nadal bym o tym nie mówiła ani nie próbowała pisać, gdyby nie fakt, że tamta sprawa miała potem wpływ nie tylko na moje, ale i na Twoje życie. Choć do niedawna nawet nad tym starałam się przejść do porządku dziennego. Przez lata nauczyłam się tak żyć. Nie było przecież dobrego wyjścia z pułapki, w jakiej się w pewnej chwili znalazłam. Musiałam szybko podjąć decyzję, wiedząc, że żadna nie będzie dobra. Mogła być tylko lepsza od tej drugiej. Mniejsze zło – jakże często podejmujemy w życiu decyzję, kierując się takim kryterium! W każdym razie ze mną tak właśnie było.

*Dokonałam wyboru. I Bóg mi świadkiem* – bardzo chciałam wierzyć, że wybrałam dobrze. Uciszyłam sumienie. Życie potoczyło się dalej. A jednak...

*A jednak los* nie dał za wygraną. Kilka lat temu miałam sen, który nie powinien był się przyśnić. Nie po tylu latach pogodzenia się z własnym wyborem. Obudziłam się w środku nocy i usłyszałam skrzypnięcie starej furtki strzegącej mojej posesji. Choć może należałoby powiedzieć, że obudził mnie właśnie ten odgłos. A zaraz potem drugi niepokojący dźwięk – przejeżdżającego pobliską drogą samochodu. Boże drogi, pomyślałam, samochód o tej porze, w tym miejscu, oddalonym o prawie kilometr od najbliższych sąsiadów – to się do tej pory nie zdarzyło! Oczywiście uśmiechniesz się i powiesz, że twoja stara matka po prostu nie potrafi odróżnić snu od jawy. Bo nie ma innego wytłumaczenia dla skrzypnięcia starej furtki, skoro nikogo nie dojrzałam na podwórzu. Chyba że wierzę w duchy. A co do samochodu, to nawet jeśli rzeczywiście przejeżdżał koło mojego domu, cóż w tym

dziwnego?! Postęp cywilizacyjny zrobił swoje. Nie mieszkam przecież na zupełnym odludziu, nieopodal znajduje się miasteczko. Tak, wiem, ale... to przypomniało mi pewne wydarzenie sprzed wielu lat. I naprawdę nie ma znaczenia, czy ten samochód teraz mi się śnił, czy naprawdę zupełnie przypadkiem zabłąkał się koło mojego domu. Ani czy furka skrzyknęła naprawdę, czy też była zabłąkanym elementem sennej jawy. Bo nagle, po raz pierwszy w życiu, przyszło mi do głowy, że mogę umrzeć zupełnie niespodziewanie. Nagle, wcale do tego nieprzygotowana. Kompletnie zaskoczona.

*Mogę umrzeć bez spowiedzi, bez wyznania tego, co dawno temu starałam się zakopać na dnie sumienia. Przestraszyłam się nie na żarty, a to przecież do mnie zupełnie niepodobne. Zadzwoiłam do Twojej siostry i wyznałam jej część prawdy. Na opowiedzenie wszystkiego zabrakło mi siły i... chyba odwagi. Choć z drugiej strony myślę, że to, co jej przekazałam, wystarczy. Jest bystra – prędzej czy później odgadnie resztę. Ważniejsze jest to, co ona powiedziała mnie. Że nie może mnie rozgrzeszyć. Nie ona. Ale rozumie, że nie chciałam być podobna do tych moich krewnych, którzy nie potrafili zrezygnować ze swoich samolubnych marzeń i dla ich spełnienia poświęcili szczęście innych osób w rodzinie. To prawda, nie chciałam być taka jak oni, ale... czy to zmniejsza ciężar mojej winy?*

*Zabroniłam Twojej siostrze opowiadać Ci o tym, czego się ode mnie dowiedziała. Chyba że po mojej śmierci. Wtedy to już nie będzie miało znaczenia. Zdajesz sobie sprawę z tego, jak się Ciebie bałam?*

*Wczoraj przyszło mi do głowy, że jednak powinnaś dowiedzieć się o wszystkim ode mnie. Nie czuję się dobrze, czasem płaczą mi się myśli. Kto wie, czy się jeszcze spotkamy? Może do tego czasu nie będę w stanie niczego już sobie przypomnieć? A może nie zobaczymy się już nigdy. Pomyślałam więc, że spróbuję napisać. Ale widzę, że nic z tego nie będzie. Co najwyżej wyjdzie mi jakiś łzawy bełkot, od którego zrobi Ci się niedobrze albo którego w ogóle nie zrozumiesz. Najpewniej jednak w ogóle nie dam rady tego zrobić. Już napisanie tak krótkiego fragmentu kompletnie mnie wyczerpało. Z trudem trzymam pióro w dłoni. Żałuję, że nigdy nie próbowałam pisać pamiętnika, to by już było coś! Żałuję też, że spaliłam lub podarłam całą korespondencję, która do mnie przychodziła. Nie chciałam popełnić tego samego błędu co mój ojciec, który nie dopilnował, by w moje ręce nie wpadła wiadomość mająca pozostać jego sekretem. Ja dopilnowałam, nie zostawiłam żadnych śladów – i co z tego? Świadomość nie uleciała, spowiedzi nie było. Mogę tylko modlić się o wybaczenie i... o zrozumienie. Mimo wszystko... o zrozumienie.*

*Na nic więcej nie mam już siły.*

Ula Borzęcka poznała rodzinę swojej matki w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym roku, gdy skończyła siedemnaście lat. Wcześniej wizyta w Polce, zarówno dziewczyny, jak i jej matki, Elizy, nie była możliwa. Tak przynajmniej utrzymywała matka, a nieliczni znajomi, jakich miały w Londynie, to potwierdzali. Młodsza córka Rawickich od lat mieszkała w Anglii, tam wraz z mężem spędziła całą wojnę, tam urodziła dziecko. Po roku czterdziestym piątym ani Eliza, ani jej mąż nie zamierzali, wzorem niektórych rodaków, wracać do ojczystego kraju. Wprawdzie przyjazne nastawienie wobec Polaków należało już w Anglii do przeszłości, a szereg przykrych incydentów niejednego polskiego emigranta, żołnierza i oficera skutecznie skłonił do wyjazdu do Polski, niemniej Borzęccy woleli zostać tam, gdzie byli. Zacinając zęby i przeczekać. Przykrości doznawane od Anglików wydały im się mniejszym złem niż powrót do kraju przygniecionej powojenną nędzą, a ze strony komunistycznej władzy, narzuconej przez kremlowskich mocodawców, nie spodziewali się niczego dobrego. Polacy, którzy zdecydowali się zostać na Zachodzie, tak właśnie myśleli i starali się zniechęcić do powrotu tych, którzy jednak uważali, że z takich czy innych powodów ich miejsce jest w ojczyźnie. Zresztą powody te były często trudne do podważenia. Ten i ów pozostawił w kraju najbliższych, za którymi tęsknił, a nie miał możliwości, by ich sprowadzić na Zachód. Kto inny dla odmiany nie wyobrażał sobie spędzenia reszty życia jako niechciany, co najwyżej zaledwie niechętnie tolerowany emigrant, a byli też tacy, którzy uwierzyli zapewnieniom, że w tej nowej pod względem ustrojowym ojczyźnie nie będzie tak źle. Z pewnością zaś lepiej niż w Anglii, a przecież nie każdy miał możliwość przesiedlenia się gdzie indziej, na przykład za ocean. W Polsce zaś – jak zapewniały różne instytucje – czekała na nich praca. Były jakieś perspektywy. A poza tym – jak by nie patrzeć – to był ojczysty kraj.

Borzęccy pozostali jednak odporni na tego typu propagandowe zachęty i Ula przez kilka lat niezłomnie wierzyła, że polityka stanowiła podstawową przyczynę bezkompromisowości jej rodziców.

Ciekawili ją jednak krewni, którzy mieszkali w Polsce, chciała ich wreszcie zobaczyć na własne oczy. To przecież byli jej dziadkowie, ciotka, wuj, kuzyni... Jednak matka niezmiennie, choć ze wzrastającym zniecierpliwieniem, powoływała się na rozsądek i wzywała do cierpliwości.

– Sama przecież rozumiesz, że do tej pory nie było możliwości, abyś ich poznała – tłumaczyła córce. – Wojna wybuchła zaraz po tym, jak ja i twój ojciec wyjechaliśmy do Anglii. A i teraz w dalszym ciągu wzajemne odwiedziny są niemożliwe. Musimy być cierpliwi.

To było sensowne tłumaczenie. W czterdziestym siódmym roku Rawiccy wysłali do Elizy pierwszą od czasów wojny wiadomość. Potem jednak przez osiem lat nie zrobili tego po raz drugi.

– Korespondencja z nami jest dla nich zbyt ryzykowna – wyjaśniła Uli Eliza Borzęcka. – Sam fakt, że twoi dziadkowie mają rodzinę w Anglii, naraża ich na podejrzenia komunistycznych służb. Dopóki jednak mogą składać uzasadnione wyjaśnienia, że nie utrzymują z nami żadnych kontaktów, dopóty mam nadzieję, że są w miarę bezpieczni. Nie będziemy ich zatem narażać.

Ula przyjmowała do wiadomości te wyjaśnienia. Nie miała przecież innego wyjścia. Jednocześnie jednak nie mogła oprzeć się wrażeniu, że zarówno ona, jak i jej rodzice byli w Anglii dość osamotnieni. Poczucie to stało się jeszcze bardziej dojmujące, gdy w pięćdziesiątym trzecim Borzęccy rozstali się, a następnie formalnie rozwiedli. Ojciec początkowo wyjechał do Manchesteru, potem jednak wraz z nową żoną wyemigrował do Kanady.

Eliza i Ula zostały wtedy zupełnie same. To znaczy matka miała dwie czy trzy koleżanki w pracy, z którymi czasem spotykała się popołudniami na damskie ploteczki, trudno to jednak określić mianem przyjaźni. Z kolei Ula była lubiana przez kolegów w szkole, zapraszano ją także do domów niektórych koleżanek, jednak często wracała stamtąd w nie najlepszym nastroju. Tak się bowiem składało, że domy, które odwiedzała, zamieszkiwały szczęśliwe, a w każdym razie pełne rodziny. No i oprócz rodziców nie brakowało w nich dziadków. To zaś powodowało, że coraz częściej myślała o swoich.

– Wątpię, czy kiedykolwiek ich poznam – oznajmiła pewnego razu matce, choć wiedziała, że Elizę może to tylko dodatkowo rozdrażnić.

Oczywiście Ula zdawała sobie sprawę, że częste wracanie do tego samego tematu może być dla jej matki irytujące. Rozumiała to, niemniej w miarę upływu lat nauczyła się dostrzegać szczegóły, na które nie zwracała uwagi jako małe dziecko. A mianowicie, że Eliza wprawdzie nie unikała rozmów o swoich rodzicach, ale mówiła o nich bez szczególnego entuzjazmu. W każdym razie bez tego charakterystycznego ciepła w głosie, z jakim na ogół ludzie wspominają swoich bliskich.

I rzeczywiście w odpowiedzi na skargę córki Borzęcka skrzywiła się lekko, a nawet nieznacznie wzruszyła ramionami.

– Przecież tłumaczyłam ci to setki razy.

– Wiem, ja tylko tak... czasem się zastanawiam... bo chciałabym... – Ula zrezygnowała z dokończenia zdania, widząc, że matka odwróciła się do niej tyłem i zajęła obiadem.

Już miała wyjść z kuchni, aby usiąść nad lekcjami, w ostatniej jednak chwili zawróciła.

– Nigdy mi nie opowiadałaś o rodzinie taty, o jego rodzicach i rodzeństwie.

Eliza rzuciła na nią krótkie spojrzenie spod oka, po czym zaczęła energicznie mieszać sos w garnku.

– Ojciec ci o nich nie opowiadał? – spytała z lekką ironią.

– Mówił, że od dawna nie żyją.

– No to masz odpowiedź. Ja w każdym razie nigdy ich nie poznałam.

– I nigdy o nich nie pytałaś?

– Nie. W jakim celu miałabym to robić?! – Eliza, energiczniej niż należało, zestawiła z kuchni garnek i zabrała się do krojenia cebuli. Zmarszczyła czoło, tym samym dając do zrozumienia, że nie ma ochoty na kontynuowanie rozmowy.

Ula jednak nie rezygnowała.

– To trochę dziwne... – zaczęła z wahaniem.

– Niby co takiego? – burknęła matka.

– Ja bym na twoim miejscu zapytała o... teściów.

– Ejże, nie pozwalasz sobie za wiele? Nie za smarkata jesteś na takie odzywki?

– Mam piętnaście lat – odparła z oburzeniem Ula – a ty ciągle traktujesz mnie jak małe dziecko.

– Skoro uważasz się za taką dorosłą, to chyba powinnaś zrozumieć pewne sprawy. Nie pytałam twojego ojca o ludzi, którzy od lat już nie żyli. W momencie gdy się poznaliśmy, nie miał już żadnego żyjącego bliskiego krewnego. A z dalszymi nie utrzymywał kontaktów. Ot i wszystko. A teraz koniec śledztwa i daj mi wreszcie skończyć ten obiad. Muszę zdążyć, zanim pobiegnę do pracy. A ty, zamiast tu stać i głądzić bez sensu, mogłabyś mi przynajmniej w czymś pomóc. Jak mam ze wszystkim sama zdążyć?

Gdyby tu byli dziadkowie, z pewnością byłoby ci łatwiej, pomyślała Ula. Widziała przecież, jak to wyglądało w domach jej koleżanek, gdzie matki mogły w razie potrzeby liczyć na pomoc swoich krewnych. Nie śmiała jednak powiedzieć tego na głos. A z drugiej strony wiedziała, że matka tak naprawdę nie chce jej pomocy. Nieraz dawała do zrozumienia, że nie ma czasu czekać, aż córka zrobi coś w domu. Wołała brać wszystko na siebie. Choćby po to, aby później móc ponarzekać.

Kolejny list z Polski przyszedł do nich w pięćdziesiątym piątym roku, ale Eliza Borzęcka przyjęła ten fakt dość spokojnie, by nie rzec – obojętnie. Przynajmniej tak to wyglądało. Obracała w dłoniach brzydki szarą kopertę, jakby zastanawiała się, co z tym fantem zrobić.

Ula, patrząc na to, nie wierzyła własnym oczom.

– Nie otworzysz? – spytała, czując, że jeszcze chwila, a wyrwie tę kopertę z rąk matki, w okamgnieniu ją rozerwie i przeczyta list.

– Teraz nie mam czasu. – Usłyszała w odpowiedzi. – Muszę biec do pracy.

– Nie masz czasu? Musisz biec do pracy? – powtórzyła zdumiona córka. – Co ty mówisz, mamo?

Już nie tylko nie wierzyła własnym oczom, ale także i własnym uszom. Nie, bez wątplenia słuch musiał ją zawieść.

– A może wolisz, aby mnie wylali? – Eliza poczerwieniała. – Zapewniam cię, że nie znajdę łatwo następnej. A wtedy tylko patrzeć, aż wyrzucą nas na bruk, ty zaś pożegnasz się z porządną, prywatną

szkołą, bez której możesz zapomnieć o przyzwoitej uczelni.

Oczywiście przesadzała. Jej obecna pensja nie wystarczała na czesne, a za szkołę płacił ojciec, który regularnie przysyłał z Kanady odpowiednią kwotę. Przypominanie jednak matce tego faktu teraz nie miało najmniejszego sensu. Poza tym to nie opłata za czesne była w tym momencie najważniejsza.

– Pozwolisz mi przeczytać? – spytała przymilnie. – Skoro ty nie możesz tego zrobić, ja bardzo chętnie...

– Jeszcze czego! Powiedziałam już, że później. Czy choć raz mogłabyś nie podważać mojej decyzji?

– Bo jej nie rozumiem! Ja na twoim miejscu rozerwałabym tę kopertę na strzępy, byle tylko dowiedzieć się, co napisali do mnie rodzice, których nie widziałam od lat. Albo siostra. Zajęłoby ci to parę minut, a do pracy i tak zdążysz.

Ula spodziewała się, że teraz wybuchnie awantura. Matka na ogół nie puszczała płazem takich odzywek, choć dziewczynka bardzo rzadko sobie na nie pozwalała. Tym razem jednak nie zamierzała milczeć. Wolą ją już tę awanturę niż zadziwiającą obojętność matki. Szóstym zmysłem czuła, że pod pozorami tej obojętności mogło kryć się coś złowrogiego.

Eliza jednak nie wybuchnęła gniewem. Zachowała spokój, a o jej tłumionej irytacji świadczyło tylko drgnienie ramion.

– Ale nie jesteś na moim miejscu – odparła lodowato. – I... obyś nie była.

Przy ostatnich słowach w tonie jej głosu pojawiło się coś nowego, osobliwego, na co Eliza Borzęcka rzadko sobie pozwalała. Jakaś tkliwa, a zarazem pełna smutku nuta. Albo raczej zadawniony ból.

To zresztą sprawiło, że Ula przemogła się, podeszła do matki i pokonując niemałe onieśmienie, przytuliła się do jej pleców.

– O czym ty mówisz, mamó? – spytała cicho.

Eliza, choć zaskoczona gestem córki – ile to lat minęło, odkąd Ula tak po prostu ją objęła? – w pierwszej chwili wyprostowała się sztywno, potem jednak ponownie się przygarbiła. Tak czy owak, nie wysunęła się z objęć córki. Ale też nie odpowiedziała na pytanie.

– Ja naprawdę chciałabym ich poznać – kontynuowała wobec tego Ula. – Jesteśmy tu... tylko we dwie.

Nie była pewna, czy należało wspominać o tym poczuciu osamotnienia, o którym matka przecież dobrze wiedziała, i chyba także nie czuła się z nim dobrze. A może jednak nie było to dla niej aż takim problemem? Tego Ula nie mogła być pewna na sto procent. Nigdy nie panowała między nimi na tyle bliska więź, aby dzieliły się swoimi bardziej osobistymi przemyśleniami.

– Dobrze – westchnęła w końcu z udaną rezygnacją Borzęcka. – Widzę, że nie zrezygnujesz. Tylko żebyś nie miała pretensji, jeśli wyrzucą mnie z pracy za spóźnienie. Wtedy istotnie nie pozostanie nam nic innego, jak przeprowadzić się do Polski i tam szukać zajęcia. Tu go przecież z pewnością po raz drugi nie znajdę. Nawet znalezienie tej pracy graniczyło z cudem. A cuda nie lubią się powtarzać.

Słowa te, wypowiedziane znanym już Uli gderliwym tonem, dziewczynka puściłaby mimo uszu – ostatecznie nieraz je słyszała – gdyby nie wzmianka o ewentualnym powrocie do Polski. To było bowiem coś zupełnie nowego. Przecież do tej pory powrotu do Polski matka w ogóle nie brała pod uwagę. Jeśli ktoś inny o tym wspominał, zbywała go na ogół krótką i zjadliwą kpina. Teraz oczywiście także nie mówiła poważnie – Ula nie miała co do tego ani cienia wątpliwości – a jednak zabrzmiało to zdecydowanie inaczej niż kiedykolwiek wcześniej.

Powrót do Polski? Ula nigdy tam nie była. Urodziła się przecież w czterdziestym roku w Londynie i rzadko kiedy opuszczała to miasto, nawet latem, podczas wakacji. W ogóle sobie nie wyobrażała przeniesienia się na stałe do ojczyzny rodziców i dziadków. Dość złego się nasłuchiwała o tym, co się w niej aktualnie dzieje, aby chciała tam zamieszkać. Ale pojechać w odwiedziny? Poznać rodzinę? Zobaczyć na własne oczy ten kraj? To już byłoby coś.

Czasem ona i matka rozmawiały z mieszkającymi w Anglii Polakami, a ostatnio ten czy ów wspominał, że w obliczu symptomów odwilży politycznej w Polsce jest już możliwość odwiedzania

krewnych w kraju i zapraszania ich do siebie, i nawet niektórzy z tego korzystali – lecz nie one. Czyżby list z Polski także i dla nich oznaczał nowe perspektywy w tej kwestii?

– Naprawdę myślisz o powrocie do Polski? – spytała, udając, że potraktowała słowa matki jak najbardziej poważnie.

– No, no, nie łap mnie za słówka! – roześmiała się trochę sztucznie Eliza. – Wprawdzie nadal nas, Polaków, specjalnie tu nie kochają – wiadomo, zabieramy im miejsca pracy, których i dla nich jest za mało – ale tam, w tym niby-naszym kraju, z pewnością kochano by nas jeszcze mniej. Tu jest byle jak, ale i tak o niebo lepiej niż w Polsce. W porównaniu z tamtejszą nędzą mamy tu prawdziwe luksusy. Sama zresztą niejednokrotnie miałaś okazję o tym słyszeć.

– Tak. – Ula skinęła głową, jednak zrobiła to bezwiednie. Całą bowiem uwagę skupiła na dłoniach matki, otwierających szarą kopertę.

– A poza tym nie do końca wierzę w tę tak zwaną polityczną odwilż – dodała Eliza, po czym rozprostowała złożoną na pół kartkę.

Ula nie odważyła się na to, by spróbować ponad jej ramieniem przeczytać nadesłaną wiadomość. Nawet przy założeniu, że manewr ten by się udał – a przecież szanse na powodzenie były niewielkie – to przecież matka z pewnością dałaby jej porządną burę. I nie chciałaby już potem rozmawiać ani o liście, ani o swojej polskiej rodzinie, o podróży do Polski nie wspominając.

Obserwowała zatem z zapartym tchem wyraz twarzy Elizy, gdy ta przebiegała wzrokiem pismo.

– No i...? – spytała niecierpliwie, kiedy matka ponownie złożyła kartkę i włożyła ją do koperty.

– Przesyłają nam pozdrowienia. – Usłyszała beznamytną odpowiedź. Takim tonem matka na ogół informowała ją na przykład o konieczności oszczędzania prądu z powodu rosnących cen.

– To wszystko? Nie wierzę. – Ula była bliska płaczu. Postanowiła jednak nie ustąpić. – Ostatni raz napisali do nas osiem lat temu. Potem, jak mówiłaś, już tego nie robili, bo to nie było dla nich bezpieczne. Dlatego nie wierzę, aby teraz przysłali tylko pozdrowienia. By nie napisali nic więcej.

– Pamiętasz o liście sprzed ośmiu lat? – Eliza wyglądała na naprawdę zdziwioną tym faktem. W każdym razie była na tyle zaskoczona, że nawet się nie rozgniewała na słowa córki.

– Tak, pamiętam. – Dziewczynka skinęła głową. – Przecież to nie było tak dawno...

Nie dokończyła, bo byłaby się chyba rozpląkała. Jak mogła nie pamiętać tamtego listu, w którym nieznani jej dziadkowie pisali o swojej tęsknocie, o tym, że marzą, aby ich wszystkich, to znaczy córkę, wnuczkę i zięcia, wreszcie zobaczyć i przytulić do serca. Że wreszcie czas, aby zapomnieć dawne nieporozumienia, bo czymże one są wobec faktu, że udało się im przeżyć wojnę. Samo to można uznać za cud, zważywszy, ilu ludzi na całym świecie straciło swoich bliskich, a przecież niejednokrotnie śmierć poniosły całe rodziny. Dziadkowie prosili wtedy o odpowiedź. Czy Eliza spełniła ich prośbę?

Potem co prawda bezpieczniej było już w ogóle nie pisać, ale czy matka odpowiedziała przynajmniej ten jeden jedyny raz? Ula nigdy dotąd o to nie zapytała. Teraz jednak postanowiła to zrobić.

– Właściwie nigdy się nie dowiedziałam, czy im wtedy odpowiedziałaś – odezwała się z pretensją w głosie.

– To dziadek wtedy napisał – odparła matka tak, jakby to stwierdzenie miało służyć za wyczerpujące wyjaśnienie.

– Pamiętam, że dziadek. – Ula mimo woli się uśmiechnęła. – Sama przecież wtedy wspomniałaś, że on ma znacznie wyraźniejszy charakter pisma od babci i dlatego wziął na siebie pisanie. Ale przecież zapewnił, że robi to także w imieniu babci. A także cioci Ireny i jej rodziny. Że one obie się pod tym podpisują. Sama wtedy powiedziałaś, że dziadek lepiej sobie przyswoił kaligrafię niż babcia i jego córki.

– Zadziwiająco dużo pamiętasz – przyznała Eliza. Nie byłaby jednak sobą, gdyby zaraz nie dodała: – Szkoda, że masz problem z zapamiętaniem moich bieżących poleceń dotyczących posprzątania własnego pokoju, a w zeszłym tygodniu zapomniałaś o przygotowaniu się do sprawdzianu z matematyki.

– Ten list także napisał dziadek? – spytała pośpiesznie Ula, wskazując na kopertę. Odniosła wrażenie, że matka miała ochotę zmienić temat.

– Tak – padła krótka odpowiedź. Eliza szukała już rękawiczek i beretu. – A teraz dość o tym.



Wychodzę, mam nadzieję, że nadal mam jeszcze po co pójść do pubu. I że będę miała jeszcze możliwość zapłacenia rachunków w następnym miesiącu.

Przed wyjściem z domu włożyła list z Polski do torebki.

Wróciła późnym wieczorem, niemniej zjadły razem kolację. Ula z trudem pokonała pokusę, by zadać matce złośliwe pytanie, czy nadal ma pracę, czy jednak już ją wyrzucili. Eliza pracowała jako kelnerka w pubie, zajęcie to zawdzięczała nie tyle cudowi – jak lubiła podkreślać – ile życzliwym ludziom, jacy się jeszcze w ich otoczeniu ostali, a poza tym między pracownikami pubu panowały na tyle koleżeńskie i dobre układy, że zawsze znalazł się ktoś, kto zastąpił ewentualnego spóźnialskiego. I nikt z tego powodu nie robił problemów, nawet zatrudnionej tam Polce.

Ula powstrzymała się jednak od ironicznych uwag, bo matka umiała wtedy odplacić pięknym za nadobne, a skoro i tak na ogół przebywały we własnym towarzystwie, to nie było sensu pogarszać wzajemnych stosunków. Poza tym zależała od matki pod każdym względem. Jednak, ku jej zdumieniu, Eliza sama podjęła temat listu.

– Dziadek naprawdę przesyła pozdrowienia i robi to, rzecz jasna, w imieniu pozostałych. A poza tym napisał, że są zdrowi, nieźle sobie radzą. Tęsknią – zająknęła się. – No wiesz, takie tam...

Nie wiem, pomyślała Ula, ale słowa matki zachęciły ją, by zadać pytanie:

– Czy wiedzą, że ty i tata... – także się zająknęła – że nie jesteście już razem?

Eliza na moment znieruchomiała, szybko jednak wzięła się w garść.

– Dziadek o tym nie wspomniał. – Wzruszyła ramionami. – Nie wiem, skąd by miał wiedzieć o takich sprawach. Chyba że jakiś znajomy znajomego czy ktoś w tym rodzaju doniósł im o tym. Może ktoś taki tam ostatnio pojechał, ale nic mi o tym nie wiadomo.

Powiało chłodem. Atmosfera przy stole wyraźnie się zwarzyła.

– Proponują, abyśmy przyjechały? – spytała nieśmiało Ula.

Serce tłukło się w niej jak oszalałe. Dziewczynka była pewna, że matka musiała słyszeć ten łomot.

– Czas już spać. – Eliza energicznie podniosła się od stołu i zaczęła zbierać talerze. – W przeciwnym razie nie wstaniesz jutro na czas do szkoły.

Ula zaczerpnęła powietrza.

– Nie chcesz ich odwiedzić, bo nie chcesz rozmawiać z nimi o rozwodzie z tatą? – wyrzuciła z siebie jednym tchem.

Eliza na moment zamarła. Trzymając w obu dłoniach brudne talerze, patrzyła osłupiałym wzrokiem na córkę. Opanowała się jednak, choć jednocześnie poczerwieniała na twarzy.

– Kładź się spać – wydusiła z siebie gniewnie. – Czy naprawdę za każdym razem muszę ci przypominać po kilka razy każde polecenie?

Przez kolejne dwa lata nie było mowy ani o dziadkach, ani o ciotce Irenie, ani o żadnych nowych listach. Zrezygnowana Ula zajęła się swoimi sprawami: nauką, snuciem planów związanych z przyszłymi studiami i ewentualną karierą, nie zaniedbywała też towarzyskich kontaktów z rówieśnikami.

I właśnie wtedy, wiosną pięćdziesiątego siódmego roku, Eliza nieoczekiwanie oznajmiła jej, że jadą do Polski.

Do Polski?

Ula w pierwszej chwili była pewna, że nie do końca zrozumiała słowa matki. Do Polski? Po dwóch latach omijania tego tematu, traktowania go jak największe tabu?

– Dziadek znowu napisał? – spytała niepewnie.

– Nie. Ciotka Irena.

– Ciotka? Przecież ona nigdy dotąd...

– Czasami pisała – odparła cierpko matka.

Powinnaś mi była o tym mówić. Dlaczego nic a nic nie wiedziałam? – chciała krzyknąć Ula. Jeśli ciotka czasami pisała, to znaczy, że listów przychodzących z Polski musiało być więcej niż te dwa, o których Ula wiedziała. I zapewne dziadek napisał jeszcze niejedną. A niewykluczone, że także babcia.

Nie wykrzyczała jednak tych słów na głos. Po pierwsze – w przypadku matki nie przyniosłoby to żadnego pożądanego skutku. A po drugie... w wyrazie twarzy Elizy było coś osobliwego. Ula nie umiała tego zdefiniować, odniosła jednak wrażenie, że matka była wyraźnie poruszona.

– Kiedy wyjeżdżamy? – spytała dziewczyna.

– Nie ma pośpiechu – odparła tym samym cierpkim tonem matka. – Choć z drugiej strony, jeśli już trzeba jechać, lepiej zrobić to podczas twoich wakacji. Rozmawiałam z szefem, w sierpniu mogę dostać tydzień urlopu. Załatwię formalności, jedźmy i miejmy to już za sobą.

– Tylko tydzień? – Ula była wstrząśnięta. Marny tydzień po tylu latach, które rodzina spędziła z dala od siebie? Nie mówiąc już o tym, że ona, Ula, dopiero teraz zobaczyłaby tę rodzinę na własne oczy.

Eliza rzuciła się, jakby ktoś oblał ją wrzątkiem.

– Co ty sobie wyobrażasz! – Podniosła głos. – Uważasz, że mogę sobie pozwolić na nieprzychodzenie do pracy całymi miesiącami? Na jakim ty świecie żyjesz? Myślałby kto – księżniczka!

– Chciałabym tam zostać dłużej! – odparła nie mniej zapalczywie córka.

– Co to ma znaczyć?! – Eliza niemal wbiła w nią swój wzrok.

Nie zapowiadało to niczego dobrego. Ula, znająca już to spojrzenie, wiedziała, że w tym momencie należałoby zrejterować, a w każdym razie nie drążyć dłużej tematu. Mimo to zdecydowała się podjąć rękawicę.

– Chciałbym zostać tam dłużej... to wszystko – odparła, dokonując nadludzkiego wysiłku, by ze spokojem i pewnością siebie patrzeć matce prosto w oczy.

– A niby jak ty to sobie wyobrażasz, moja panno? Ja wrócę, a ty tam zostaniesz?

– Czemu nie? – odparła zaczepnie Ula, bo zachowanie matki zirytowało ją, a zarazem zaniepokoiło. Czowała, że Eliza nie powiedziała jeszcze wszystkiego, że chowa jeszcze coś w zanadrzu, a ponieważ nie wie, jak to wyznać, jest jeszcze bardziej nieznośna niż zazwyczaj. Naraz Ula zrozumiała, co ją tak niepokoiło i co mogło być powodem zdenerwowania Elizy. – Dlaczego tym razem to ciotka nas zaprosiła? Dlaczego nie napisał tego dziadek?

Wprawdzie Eliza przed chwilą wyjaśniła, że jej siostra już wcześniej do niej pisała, niemniej dopiero ten ostatni list skłonił ją wreszcie do odwiedzenia rodziny. Co takiego ciotka napisała, że ostatecznie pokonało to opór matki przed podróżą?

Eliza, słysząc pytanie córki, rzuciła ścierkę do zlewu i odwróciła się twarzą do okna.

– Choćby dlatego, że dziadek nie żyje – odparła wreszcie suchym, beznamiętnym tonem. Tonem urzędnika, który liczy na to, że wreszcie jego informacja skutecznie zamknie usta natrętnemu interesantowi.

– Nie żyje? – powtórzyła oszołomiona Ula. – Kiedy...

– Dwa miesiące temu – padła szybka odpowiedź.

Dwa miesiące temu? I dopiero teraz się o tym dowiadujemy? – chciała krzyknąć Ula, ale spojrzawszy na odwróconą do niej plecami matkę, natychmiast doznała olśnienia.

Wiedziałaś wcześniej. Sama przecież wspomniałaś, że ciotka pisała już jakiś czas temu. Być może zawiadomiła ciebie, a przy okazji także mnie, o jego chorobie, śmierci, wreszcie o pogrzebie. Ale ty postanowiłaś nie jechać. I nie powiedziałaś mi o niczym. Dopiero teraz... Dlaczego?

– Dlaczego...? – szepnęła z wyrzutem, ale nie doczekała się odpowiedzi.

Matka wyszła z kuchni.

Adrianna Rawicka wybierała się właśnie na miejscowy cmentarz, gdy usłyszała wołanie u furtki. Rozpoznała głos starszej córki, Ireny, i od razu poczuła się nieswojo. Zapewne Irena zaraz zacznie ją wypytywać, kiedy wreszcie zamontuje sobie dzwonek. Od takich na ogół słów rozpoczynała się każda jej wizyta. Adrianna przeważnie potakiwała jej głową i odpowiadała niezobowiązująco.

Przecież wiedziała, że Irena ma rację. Dzwonek u furtki był pod niemal każdym względem rozsądnym i wygodnym rozwiązaniem. Pod niemal każdym – bo z drugiej strony krył w sobie pewną dokuczliwą niedogodność. Aby zamontować dzwonek, trzeba było po pierwsze nabyć to чудо, a po drugie znaleźć dobrego fachowca, który je zamontuje z gwarancją, że owo bez wątplenia wielkie udogodnienie będzie działało i nie zepsuje się wkrótce po zainstalowaniu.

– Mówiłam ci setki razy, że Roman chętnie się tym zajmie – odpowiedziała zniecierpliwiona Irena, raz jeszcze wysłuchawszy tłumaczenia matki. – Na litość boską, nie możesz żyć jak za króla Ćwieczka. Nie mówiąc już o tym, jakie to niebezpieczne. Od śmierci taty mieszkasz tu sama, najbliżsi sąsiedzi są dopiero kilkaset metrów stąd, a przecież w razie jakiegoś wypadku nikt by nie mógł się tu do ciebie szybko dostać.

– Nie sądzę, aby dzwonek mi w tym pomógł – odparła na wpół żartobliwie, a na wpół ironicznie Rawicka. – Co innego telefon. Ale przecież nie dzwonek u furtki!

Oczywiście o telefonie nie było nawet co marzyć. Jedyne urządzenie w okolicy miał sołtys, i choć miał mu służyć wyłącznie w celach służbowych, to mieszkańcy Broniszcz korzystali niejednokrotnie z uprzejmości gospodarzy, aby od czasu do czasu skontaktować się telefonicznie z rodzinami. Dotyczyło to także Rawickich, dopóki żył jeszcze Dezydery. Potem owdowiała Adrianna starała się unikać niepokojenia sąsiadów i dzwonięcia z ich telefonu.

– Od dziesięciu minut stoję pod tą furtką i wołam, abys mi otworzyła – perorowała w dalszym ciągu Irena. – Wprawdzie cieszę się, że zamykasz ją na noc na klucz, ale z drugiej strony zaczynałam się już niepokoić, czy aby coś ci się nie stało. Dziesięć minut!

Słuchając połajanek córki, Adrianna stopniowo tajała. Przecież Irena naprawdę się o nią troszczyła. Starała się jak najczęściej przyjeżdżać z Warszawy, by ją odwiedzić. Co w tym dziwnego, że od śmierci ojca niepokoiła się o osamotnioną, blisko siedemdziesięcioletnią matkę?

– Nie bój się tak o mnie – rzekła z łagodną perswazją w głosie. – Wprawdzie już dawno przestałam być młodką, ale jeszcze nie zniedołężniałam. Ani na ciele, ani na umyśle.

– Pozwól Romanowi założyć ten dzwonek – westchnęła z rezygnacją Irena, stawiając na kuchennym stole torbę z zakupami.

– Nie będę mu zawracać głowy taką bzdurą. I bez tego nie brakuje mu pracy. Tobie zresztą także. Przeżyję bez dzwonka. A kiedy już naprawdę go zapragnę, wezwę Wojtasiuka z Lipowej i on się tym zajmie.

Mówiła szczerze. Lubiła swojego zięcia, był miłym i uczynnym człowiekiem i z całą pewnością nie potraktowałby zleconego mu przez Irenę zadania jako dopustu bożego, niemniej praca taksówkarza zajmowała mu sporo czasu. Pracował na zmiany, a niezależnie od tego starał się też dorobić prywatnie, choć nie do końca oficjalnie. Nie miała serca wykorzystywać jego wizyt do tego, aby wykonywał w jej domu czy obejściu choćby najdrobniejsze prace naprawcze, o remontowych nawet nie wspominając.

Irena, słuchając argumentów matki, ponownie westchnęła, ale przyjęła do wiadomości, że na razie sprawa dzwonka pozostaje na takim samym etapie, czyli bez zmian. Dzwonek zepsuł się zaraz po śmierci jej ojca, niemal jak na zawołanie, i wyglądało na to, że matka straciła zainteresowanie dla tak trywialnych spraw. Niekiedy jeszcze objawiały się w niej cechy przedwojennej damy, dla której podobne przyziemne kwestie w ogóle nie istniały. Dawniej od załatwiania takich problemów miała służbę, potem, gdy zabrakło i majątku, i służby, wszelkimi naprawami w obejściu zajmował się jej mąż. Gdy i on odszedł, zadowolona była tym, co zostało, i nie zamierzała już niczego poprawiać ani zmieniać.

Przy tym wszystkim Irena musiała przyznać w duchu, że matka nie wyglądała na kobietę

pograżoną w nieutulonym smutku i żalobie. Nadal, pomimo upływającego czasu i różnych doświadczeń, jakich nie szczędziło jej życie, wyglądała dobrze. Wprawdzie na jej ciemnych włosach tu i ówdzie przeświecało jakieś pojedyncze siwe pasmo, ale włosy te w dalszym ciągu były gęste, zdrowe, układały się w naturalny sposób i bez trudu dało się z nich komponować różne fryzury. Spojrzenie jej ciemnobrązowych, wyrazistych oczu było życzliwe i pogodne i tylko czasami zachodziło mgiełką zamyślenia. Tak było od lat, ale Irena nie pytała, jaka jest przyczyna smutku, który od czasu do czasu dopadał matkę. Nie musiała. Przecież rozumiała, w czym rzecz.

Tym razem jednak nie spostrzegła u matki żadnych objawów melancholii. Wręcz przeciwnie – Adrianna kręciła się energicznie wokół spiżarni, wynosząc z niej najróżniejsze wiktuały.

– Daj spokój, mamo, nie przyjechałam tu po to, aby pozbawić cię wszystkich zapasów.

– Usiądziemy na werandzie, jest tak pięknie, że szkoda zamykać się w domu. Pachną bzy...

Usiadły więc przy stole na werandzie i przez moment zapatrzyły się w ogród tonący w kwiatkach i majowej zieleni. Tuż obok ganku zakwitły dwa ogromne krzaki bzu, które niemal zasłaniały widok na drogę. Dezydery czasami narzekał, że bez znanego się rozrósł i trzeba by go nieco utemperować, ale ponieważ zarówno żona, jak i córka, a nawet zięć i wnuki energicznie przeciwko temu protestowali, machnął ręką. A może tak naprawdę i on nigdy nie mówił poważnie o ścięciu krzaków?

Teraz to już i tak bez znaczenia. Dezydery odszedł, a to majowe piękno wkrótce przekwitnie. Tak krótko trwa okres, gdy wszystko wokół pachnie i mieni się urodą wiosny!

– Czemu nie jesz? – spytała tonem lekkiej wymówki Adrianna.

– Nie jestem głodna, mówiłam ci.

– Jechałaś kawał drogi autobusem. Na pewno zgłodniałaś.

– Jaki tam kawał? Trzydzieści kilometrów raptem. A w twoich ustach zabrzmiało to tak, jakbym przybyła z drugiego końca Polski.

– Co nie oznacza, że podróż rozklekotanym i przepelnionym autobusem jest szczególnie odprężająca.

– O tej porze nie było tak źle. – Irena uśmiechnęła się zdawkowo.

Po tym charakterystycznym uśmiechu Adrianna poznała, że córka nie przyjechała do niej tylko po to, by sprawdzić, czy wszystko w porządku. Sam fakt, że zrobiła to w godzinach przedpołudniowych i w środku tygodnia, był dość zastanawiający, niemniej nawet taką porę wizyty można było sobie jakoś wytłumaczyć. Ale ten zagadkowy uśmiech i czujne spojrzenie? Dezydery patrzył identycznie, gdy chciał zakomunikować coś ważnego, co mogło wzbudzać zarówno radość, jak uczucia wręcz przeciwne.

Zaraz sama mi wszystko powie, nie będę jej poganiać, pomyślała i choć poczuła nieprzyjemny ucisk w klatce piersiowej, odwzajemniła, jak gdyby nigdy nic, uśmiech córki.

– Lepiej zachowaj te wszystkie frykasy na przyjęcie gości – oznajmiła po chwili Irena i choć starała się zachować pozory beztroski, nie zwiódła tym matki.

– Czyli że w najbliższym czasie mam się spodziewać chłopców? – spytała ostrożnie.

Kochała swoje wnuki, z których jeden był już studentem, a drugi uczniem renomowanego warszawskiego liceum. Cieszyła się ich wizytami, od lat przyjeżdżali do niej na ferie i wakacje, choć nie spędzali ich w całości w Broniszczach, jak to było w zwyczaju, gdy obaj byli jeszcze dziećmi. Teraz już dorośli, mieli swoich przyjaciół i zmieniające się sympatie. Wyjeżdżali również na obozy, co Adrianna doskonale rozumiała. Dezydery także. Tym bardziej że chłopcy pamiętali o dziadkach i zawsze byli chętni do pomocy.

– Tak. – Irena skinęła głową w odpowiedzi na pytanie matki. – Wybierają się w tu w przyszłym tygodniu, aby skosić trawę za domem. Potem Andrzej musi zająć się sesją, a Jacek popracować nad ocenami przed końcem roku szkolnego.

– Niech lepiej odłożą koszenie trawy na późniejszy termin, a teraz zajmą się nauką. Tamto może poczekać.

– Eliza odpisała – wyrzuciła nagle z siebie Irena.

Ręka, którą Adrianna mieszała herbatę w szklance, na moment znieruchomiała. Jednak tylko na moment, bo już po chwili kobieta spokojnie podniosła naczynie do ust i odwzajemniła spojrzenie córki.

– Tak? – Zabrzmiało to wprawdzie niezobowiązująco, ale Ireny ten swobodny ton nie zwiódł. Doskonale wiedziała, że matka aż gotuje się z niecierpliwości, by dowiedzieć się czegoś więcej.

– Obie z Ulą przyjadą na początku sierpnia. – Irena starała się mówić spokojnie, jednak nic z tego nie wyszło. Głos jej zadrżał. Nawet nie próbowała brać do ręki szklanki z herbatą. Z pewnością by wszystko rozlała. – Początkowo szef obiecał jej tydzień urlopu, ale potem uznał, że może jej podarować aż dwa. Między innymi dlatego, że pozostali koledzy zgodzili się zastąpić ją po godzinach. Po powrocie Eliza odwdzięczy się im w podobny sposób.

– No proszę – wymknęło się Adriannie. – A niektórzy z tych, co wrócili stamtąd do Polski, tak narzekali, jacy to Anglicy byli po wojnie niechętni naszym. Jak ich wypychali ze swojego kraju. Chyba że i tym razem chodziło im o to, aby wypchnąć Elizę do Polski.

– Mamo – przerwała jej nagle Irena, kładąc dłoń na jej drżącej ręce. – O czym ty mówisz? Nie cieszysz się? Eliza przyjeżdża. Przez całe lata za nią tęskniłaś, pragnęłaś ją zobaczyć.

– Pragnęliśmy. – Adrianna odwróciła głowę – Ja i twój ojciec.

– Wiem. – Irena cofnęła dłoń. – Wiem. Ale co to teraz zmieni? Niepotrzebne takie rozważania.

– Napisałam do niej, gdy zachorował, a lekarze od początku nie dawali szans. Prosiłam, by przyjechała. Aby usiadła koło niego, porozmawiała. Aby przywiozła córkę. Bardzo na nią czekał.

Takiego pełnego goryczy tonu Irena nie słyszała u matki od lat. W ogóle Adrianna była typem osoby zrównoważonej, pogodnej, odpornej na ciosy. Nie traciła hartu ducha i klasy nawet w najtrudniejszych momentach. Taki wybuch był do niej niepodobny. A jednak do niego doszło. Widać nagromadzony latami ból także występuje z brzegów... jak rzeka, której nie zapewni się odpowiednich miejsc zalewowych albo wystarczająco wysokich i mocnych wałów.

– Ja też do niej pisałam, także wtedy, gdy ojciec już po raz ostatni znalazł się w szpitalu – rzekła cicho Irena – Odpisała, że nie może, że pracuje. Pewnie tak było. Jej sytuacja w Anglii nie jest teraz łatwa.

Chciała uspokoić matkę, spróbować wytłumaczyć jakoś siostrę, choć wiedziała, że takie argumenty są łatwe do obalenia. I rzeczywiście – w odpowiedzi usłyszała słowa, których mogła się spodziewać. Sama przecież niejednokrotnie tak myślała.

– Nawet jeśli jej przyjazd był z takich czy innych względów niemożliwy, to przecież mogła przynajmniej napisać do niego. Nawet to sprawiłoby mu radość. Pozwoliła, by odszedł w przeświadczeniu, że mu nie wybaczyła. Że cały czas żywiła do niego urazę.

– Bo tak pewnie było. – Słowa te wymknęły się Irenie, zanim zdążyła zapanować nad własnymi uczuciami.

Zaraz też przeklęła w myślach samą siebie. Jak mogła być tak nieuważna! Patrzyła teraz bezradnie na matkę, która ukryła twarz w dłoniach.

– Wybacz, powiedziałam coś bardzo głupiego – wymamrotała, ale Adrianna tylko przecząco potrząsnęła głową.

Wobec tego Irena wzięła głęboki oddech i postanowiła wyluszczyć sprawę do końca. Ostatecznie załatwiła sobie wolny dzień w urzędzie i tłukła się tutaj niewygodnym i pełnym ludzi – jak matka sama to przed chwilą zauważyła – autobusem, by przygotować Adriannę na spotkanie z dawno niewidzianą młodszą córką. A także z nigdy niewidzianą wnuczką. Grunt to zachować spokój i nie dać się sprowokować do niepotrzebnej wymiany argumentów. Skoro Eliza wreszcie przyjeżdża, trzeba wszystko zorganizować, jak należy, a przynajmniej nie doprowadzić do całkowitego zerwania i tak poważnie nadwątlonych stosunków.

– Wiem, że masz prawo czuć do niej urazę... – zaczęła.

– Urazę? – powtórzyła jak echo Adrianna.

Irena nie była pewna, czy usłyszała w głosie matki ironię, czy jedynie pełen cierpienia żal, ale uznała, że nie będzie teraz tego analizować ani podejmować dyskusji.

– Masz do tego prawo. Wiem, co czujesz, ale...

– Nie wiesz – przerwała jej Adrianna, ale wreszcie odjęła dłonie od twarzy. W jej spojrzeniu było tyle bólu, że Irena zadrżała. Nawet wtedy, gdy lekarz zakomunikował im, że ojciec nie przeżyje

najbliższej nocy, matka wyglądała na osobę całkowicie pogodzoną z wyrokami losu. Nie wpadła w rozpacz, całkowicie panowała nad własną reakcją, jak również przywołała do porządku resztę rodziny. Nic na to nie poradzimy, powiedziała twardo. A on musi odejść spokojnie. Żadnych lamentów i płaczów, zapamiętajcie to sobie. Jeśli któreś z was czuje, że nad sobą nie zapanuje, niech lepiej wraca do domu, zamiast dostarczać mu dodatkowego cierpienia. Taka wtedy była i wszyscy jej posłuchali. Nie straciła zimnej krwi. Zresztą Irena, odkąd pamiętała, nie przypominała sobie, by kiedykolwiek było inaczej. Aż do dzisiejszej rozmowy. Bo tym razem Adrianna zachowywała się zupełnie inaczej. W każdym razie pozwalała sobie na bardziej żywiołowe czy – jak by to powiedział kto inny – bardziej ludzkie reakcje.

Może należało jej na to pozwolić? Może lepiej, aby wyrzuciła teraz z siebie ten gniew i żal, a za kilka miesięcy mogła bez żadnych negatywnych emocji przywitać Elizę?

Irena czekała więc z rezygnacją na dalsze pełne niechęci słowa matki, ale one już nie padły. Zamiast tego zapanowała cisza przerywana śpiewem ptaków ukrytych w konarach pobliskich drzew.

– Masz rację – odezwała się wreszcie Irena. – Ale, powtarzam, co to teraz zmieni? Nie cofniemy przecież tego, co się stało.

– Nie – potwierdziła cicho Adrianna, patrząc gdzieś ponad głowę córki.

– Trzeba jakoś dalej żyć – kontynuowała Irena. – Jeśli jednak zdecydowała się przyjechać, to musimy wyjść temu naprzeciw. Nie zarzucać jej pretensjami, czemu nie zrobiła tego wcześniej. Tym bardziej że obie znamy przyczynę – przerwała, nie będąc teraz pewna reakcji matki. Adrianna jednak milczała, nawet się nie poruszyła. Dlatego Irena zdecydowała się mówić dalej. – W przeciwnym razie już nigdy nie zdołamy się z nią porozumieć. A poza tym... – Zawahała się zanim dodała nieśmiało: – Ona także swoje przeszła. Nie udało jej się w życiu. Jest samotna, rozpadło się jej małżeństwo. Oczywiście, ma dziecko, ale to przecież nie wypełni całkowicie pustki w sercu. Przecież dzieci prędzej czy później też odchodzą.

– Wiem. – Adrianna skinęła głową i widać było, że walczyła ze wszystkimi siłami, aby ponownie wziąć w karby swoje uczucia i naturę. Tak jak to nieodmiennie robiła od lat.

Irena uśmiechnęła się ciepło i objęła matkę.

– Masz do mnie żal, bo nie uprzedziłam cię, że chcę jeszcze raz spróbować ściągnąć ją do nas, jednak wolałam nic nie mówić, dopóki nie byłam pewna jej odpowiedzi. Ale przynajmniej masz niespodziankę.

– Niespodziankę? – powtórzyła Adrianna, po czym sama poczuła się zawstydzona lekko ironicznym tonem własnego głosu.

Irena także go usłyszała i spojrzała na nią z niepokojem.

– Wiem. Postawiłam cię przed faktem dokonanym. Zdaję sobie sprawę, że dla ciebie może to być kłopot. Odwykłaś od gromady ludzi w domu. Ale nie martw się, ustaliłam z Romanem, że pomieścimy się w naszym mieszkaniu. Do ciebie co najwyżej przyjadą na kilka dni. Jeśli pozwolisz.

– W waszym maleńkim mieszkaniu? – roześmiała się Adrianna i z czułością dotknęła policzka córki.

Chojewiczowie mieli trzypokojowe, ale niefunkcjonalne i w rezultacie ciasne, mieszkanie na Żoliborzu. Goszczenie u siebie nawet dwóch osób z bliskiej rodziny narażało wszystkich mieszkańców na spore niewygody.

– No nie, kochanie, aż taka samolubna nie jestem. Eliza i Ula znajdą miejsce w tym domu... Jeśli oczywiście zechcą – dodała na wszelki wypadek.

– To miłe z twojej strony. – Córka uśmiechnęła się z wdzięcznością. – Jeszcze to obgadamy. Trochę pobędą u nas, a trochę u ciebie. Tak będzie sprawiedliwiej – zażartowała. – No i liczy się z tym, że z pewnością zechcą towarzyszyć im moi chłopcy. Cała sprawa ogromnie ich zainteresowała. Tak czy inaczej, czeka cię niemała rewolucja w domu.

– To świetnie, że przyjadą do mnie także Andrzej i Jacek. Pomogą mi w razie potrzeby – ucieszyła się szczerze Adrianna. Przyszło jej do głowy, że obecność wnuków, otwartych, rozgadanych i wesołych chłopaków, z pewnością będzie dla niej nie lada wsparciem. W głębi serca obawiała się trochę niezręcznej atmosfery w domu, gdyby miała tu przebywać sama z Elizą i jej córką. Zwłaszcza

w świetle tego, co stało się w przeszłości, zarówno tej przed dwudziestu laty, jak i tej nieodległej, związanej z chorobą i śmiercią

Dezyderego. – A jednak nie przypuszczałam, że raz jeszcze zdecydujesz się ją zaprosić, nawet teraz, po śmierci ojca. – Ponownie pogłaskała córkę po policzku.

Czułam, że właśnie teraz doczekam się pozytywnej odpowiedzi, odpowiedziała w myślach Irena. Na głos wołała tego nie mówić. Zresztą matka swoje także wiedziała. Nie było sensu jeszcze bardziej rozdrapywać starej rany. Wystarczyło, że już i tak ją dotknęły.

– Bardzo mi jej brakuje – powiedziała zatem, wiedząc, że matka czeka na jej słowa. – Chciałabym usiąść przy niej tak jak teraz przy tobie, wziąć ją za rękę. Porozmawiać z nią. Przegadać całą noc, tak jak zdarzało nam się to... przed laty.

Głos jej drgnął, a po policzku spłynęła łza. Wytarła ją zaraz niecierpliwie, nie chciała się rozbeczeć w obecności matki. Adrianna jednak już na nią nie patrzyła. W jej wzroku pojawił się ten charakterystyczny wyraz, sugerujący, że myślami była gdzieś daleko. Rzadko pozwalała sobie na takie chwile zapomnienia w obecności innych ludzi, niemniej Irena zdołała ją już kilka razy na tym przyłapać.

Gdzie teraz jesteś, mamó? – chciała zapytać, jak za każdym razem, gdy widziała u matki ten niepokój, rozterkę, zamyślenie, tę specyficzną duchową nieobecność. Nigdy jednak tego nie zrobiła, już jako dziecko czuła, że należy pozwolić matce na te chwile oderwania od rzeczywistości. Teraz także nie spytała. W milczeniu zebrała talerze i szklanki ze stołu, po czym zaniósła je do kuchni.

Adrianna została na werandzie sama. Pochłonięta wspomnieniami i gorzkimi refleksjami nie zwracała już uwagi ani na odgłosy sprzątanego dochodzące z kuchni, ani na śpiew ptaków w ogrodzie i pobliskim lesie. Zobojętniał jej zapach bzu i schowanych w cieniu konwalii. Zobojętniały uroki maja, na które, nieodmiennie od lat, czekała przez cały rok.

Mogłaby się podpisać pod słowami córki. Jej także brakowało Elizy, także pragnęła usiąść przy niej i porozmawiać z nią... tak od serca. Choć nigdy z żadną z córek nie rozmawiała całą noc. One obie jednak nieraz zwierzały się sobie nawzajem całymi godzinami, bywało, że i do bladego świtu. W tym jeszcze nie było niczego niezwykłego. Takie całonocne zwierzenia rzadko kiedy mają miejsce między rodzicami a dziećmi. Przy dziecku czasami trzeba spędzić większą część nocy, gdy jest chore albo gdy jako niemowlę ma problemy z zaśnięciem. Od rozmów, zwierzeń, wyjawianych w największym sekrecie tajemnic są przyjaciele lub rodzeństwo. Rodzice muszą w pewnym momencie ustąpić im miejsca i pogodzić się z tym, że pod pewnymi względami przestali być nieodzowni. Adrianna o tym wiedziała i naprawdę się cieszyła, że jej córki miały siebie nawzajem, że były ze sobą blisko związane, a oprócz tego nie brakowało im przyjaciół. I mogły być pewne miłości swoich rodziców. Wszystkie inne sprawy dotyczące ich rodziny miały dla nich drugorzędne znaczenie. Przynajmniej przez pewien czas, był to jednak czas na tyle długi, że każda z nich mogła zyskać wspomnienia szczęśliwego dzieciństwa i wczesnej młodości. I nawet to, co wydarzyło się później, nie mogło im owego szczęścia odebrać. Miały więc wszystko, czego ich matka była pozbawiona, zarówno jako dziecko, jak i młoda dziewczyna.

Adrianna bowiem nie doświadczyła spokoju, bezpieczeństwa domu rodzinnego, długo też brakowało jej przyjaciół. Tacy pojawili się później... właściwie zbyt późno. Miała wprawdzie dawno temu dwóch braci, jednego rodzzonego, drugiego przyrodniego, ale z żadnym z nich nie nawiązała na tyle bliskich kontaktów, aby któregośkolwiek z nich nazwać przyjacielem od serca. W przypadku rodzzonego brata, Piotrusia, zaważył zły los. Piotruś zmarł w wieku sześciu lat w tragicznych okolicznościach i choć Adrianna nie mogła być pewna, czy gdyby nie doszło do wypadku i jej brat miałby szansę żyć dłużej, byłiby ze sobą zaprzyjaźnieni, wołała jednak z góry tak zakładać. Piotruś był od niej młodszy zaledwie o rok, jako małe dzieci lubili się razem bawić, dlatego zatem miałyby się to zmienić później?

Śmierci Piotrusia nigdy do końca nie przeboleła, podobnie jak jej rodzice, choć każde z innego powodu. W każdym razie ona, gdy już dorastała i gdy wreszcie stała się dziewczyną, a potem kobietą, lubiła sobie wyobrażać ich wspólne rozmowy, w których mogłaby się zwierzać bratu ze swoich rozterek, a on opowiadałby jej o swoich. Tak jak potem jej córki lubiły zwierzać się sobie nawzajem ze swoich radości, kłopotów i pierwszych sercowych zauroczeń. Z nią i z Piotrusiem byłoby tak samo. Chciała w to wierzyć. Myśląc o nim, nadal używała zdrobniałej wersji imienia, pewnie dlatego, że straciła go, gdy był

jeszcze małym chłopcem.

Podobnej wiary nigdy nie żywiła w kwestii swoich stosunków z drugim, niemal dziewięć lat od niej młodszym Krzysiem, przyrodnim bratem, synem ojca z jego drugiego małżeństwa. Małżeństwa, którego Adrianna nie akceptowała przez długie lata. A skoro nie akceptowała Rozalii w roli macochy, nie było mowy, aby zbliżyła się do brata. Nie miała też takiej możliwości, bo wkrótce po narodzinach Krzysia opuściła rodzinny majątek, Jurczewice, i na dziesięć lat zamieszkała u ciotki w Warszawie.

Gdy wróciła po latach do domu – zrobiła to na wyraźne żądanie ojca i bardzo niechętnie – postanowiła jak najszybciej się stamtąd wydostać, a ponieważ powrót do ciotki nie wchodził w rachubę, uchwyciła się jedyne go dostępnego jej wówczas sposobu, czyli wyszła za męża za kuzyna, za Dezyderego. Sam jej to zaproponował, sam wskazał jej ten jedyny dla młodej panny w tamtych czasach sposób, by wydostać się spod opieki ojca. Dezydery zapewnił ją przy tym, że jako jego żona będzie mogła cieszyć się swobodą... pod każdym względem. Takich właśnie użył wtedy słów: „pod każdym względem”. Ona w zamian miała pozwalać i jemu na podobną wolność i swobodę. A jednak ich małżeństwo było w powszechnej opinii uważane za udane.

Oboje wiele się nauczyli przez wspólnie spędzone lata. Z biegiem czasu mądrzeźli, nabierali doświadczeń. Dezydery bardzo szybko zarzucił swoje poglądy na temat nieskrępowanej wolności i swobody, a także „otwartych drzwi”, przez które czasami warto się wychylić, gdy w małżeńskim stadle zrobi się trochę za duszno. Poglądy te zastąpione zostały odpowiedzialnością – za szczęście rodziny, za córki, za majątek. Adrianna zawsze miała świadomość, że może mu zaufać i na nim polegać. Nigdy jej nie zawiodł. Ani razu w to nie zwątpiła. W każdym razie podczas ich ostatniej rozmowy podziękował jej za wspólne lata, za to, że większość życia spędził przy niej, za to, że był z nią szczęśliwy.

Słuchając go wtedy, po raz kolejny utwierdziła się w przekonaniu, że jej decyzja podjęta przed laty była słuszna, i to pod każdym możliwym względem. A zatem trzeba jej się trzymać nadal. Trzeba się jej trzymać do śmierci. Przecież wszystko, co nastąpiło w ciągu ostatnich lat, było konsekwencją jej dawnego wyboru. Tak czy inaczej, nie mogła już niczego zmienić. Tak jak nie mogła wrócić do przeszłości. A nawet gdyby dostała taką szansę od losu – co oczywiście nie było możliwe i czyniło całe to rozważanie bezsensownym – i tak dokonałaby tego samego wyboru.

Jednak... czy na pewno?

Dość tego! – postanowiła stanowczo, dokładnie jak ponad czterdzieści lat temu i... potem drugi raz – za kolejne dwadzieścia lat. Dość tych głupich rozważań i rozterek. Czasami wprawdzie wracały, nieproszone i niepotrzebne, lecz za każdym razem Adrianna umiała sobie z nimi poradzić. Tak jak ze wszystkim w życiu. Decyzje i wybory dotyczą każdego człowieka na świecie. Ona nie jest wyjątkiem. I nie pozwoli, aby podobne sprawy odebrały jej spokój, na który zapracowała. Chciała spokojnie dożyć swoich dni. I postara się, aby odwiedziny córki oraz nieznaney jej do tej pory wnuczki były dla niej wyłącznie powodem do radości. Nie zaś rozterek i wyrzutów sumienia. Wzruszenie, jakiego dozna, gdy je wreszcie zobaczy, będzie właśnie wypływać wyłącznie z tej radości... i z niczego więcej.



Na cmentarz udała się późnym wieczorem, już po odjeździe Ireny. Córka wprawdzie proponowała jej, aby poszły tam razem – po południu zamierzała odwiedzić grób ojca – ale Adrianna wymówiła się od tego.

– Idź sama – poradziła. – Ja w tym czasie ugotuję dla nas obiad. Przecież nie wypuszczę cię z powrotem do Warszawy z pustym żołądkiem.

Zawsze, odkąd pamiętała, preferowała samotne wyprawy na cmentarz. Towarzystwo innych ludzi w tym miejscu tylko ją rozpraszało. Tak było za każdym razem, także w Zaduszki, ale nie zawsze mogła tego towarzystwa uniknąć. Odwiedzała miejsce spoczynku męża przynajmniej raz na tydzień, dbała o świeże kwiaty, znicze i porządek na grobie, ale tego dnia zdała sobie sprawę, że nie da rady nic zrobić. Gdy tylko stanęła nad tą wypielęgnowaną mogiłą, serce podeszło jej do gardła, a sumienie, które zdołała już dawno temu uciszyć, na nowo odezwało się w niej z niespotykaną od lat siłą.

Eliza zapowiedziała swój przyjazd.

Adrianna westchnęła.

Powinna się cieszyć. Nie widziała jej osiemnaście lat. Boże drogi, przecież się cieszy... Tak, bez wątpienia, a jednak...

– Na pewno już wiesz, że ona przyjeżdża – szepnęła, patrząc na duży, kamienny krzyż i tabliczkę z wypisanymi tam imieniem i nazwiskiem męża. – Na pewno wiesz już o wszystkim.

O wszystkim. Czyli także o tamtej sprawie... Dlaczego zatem dopiero dziś poczuła ten dławiący niepokój, skoro od pogrzebu Dezyderego bywała tu już wielokrotnie? Do tej pory zawsze w poczuciu, że już naprawiła dawny błąd, że zrobiła w tym celu wszystko, tak jak powinna była uczynić. Że Dezydery z pewnością wszystko jej wybaczył, a w każdym razie rozumiał, skoro wspominając zarówno jego samego, jak i wspólnie spędzone lata, czuła wyłącznie spokój, nostalgię i wzruszenie.

Do dzisiaj. Do teraz.

Czy to dlatego, że... Eliza postanowiła wreszcie przyjechać?

Adrianna zadrżała. Choć majowy wieczór był ciepły, a powietrze było łagodne, balsamiczne – ona przez moment czuła zimno na całym ciele. To nie był dobry dzień na odwiedzanie tego miejsca. Skoro jednak już się tu znalazła, postanowiła przynajmniej spełnić inny obowiązek z nim związany. Cofnęła się w stronę głównej alejki i skierowała na drugi koniec, do starszej części cmentarza. Tam znajdowały się groby i pomniki pochodzące jeszcze z dziewiętnastego wieku. Wśród nich, tuż za południowym parkanem starego parafialnego kościoła, wzniesiona była kapliczka, w której mieściły się trumny z doczesnymi szczątkami rodziny Jurczyńskich. To znaczy tej rodziny, w której ona sama przyszła na świat.

Przyprowadzę tu moją wnuczkę, przemknęło przez głowę Adriannie i aż się wstrząsnęła. Skąd jej to tak nagle przyszło na myśl? Przecież nie знаła swojej wnuczki, choć tyle razy sobie ją wyobrażała. Niemniej właściwie nic o niej nie wiedziała. Eliza skąpiła dokładniejszych informacji na temat swojego dziecka. Inna sprawa, że właściwie skąpiła jakichkolwiek dokładniejszych informacji, a te listowne odpowiedzi, do jakich się dwukrotnie zmusiła, tchnęły taką obojętnością, że na dobrą sprawę z urzędowego pisma można by się więcej dowiedzieć.

Kapliczka Jurczyńskich nieodmiennie od wielu lat robiła na Adriannie koszarne wrażenie. Straszne miejsce, potworna budowla. Adrianna nie lubiła tu przychodzić, ale przecież tu pochowani byli jej rodzice, dziadkowie, pradiadkowie i brat. Ten rodzony – Piotruś. Ten, którego nigdy nie odżałowała. Jak zatem mogłaby zaniedbać to miejsce, nie pomodlić się... nie wspominać? Poza tym, jeśli wnuczka ma poznać rodzinę, powinna chyba zobaczyć także tę kapliczkę. Tak jak znali ją obaj synowie Ireny. Adrianna nie wyobrażała sobie, by mogło być inaczej. O zmarłych trzeba pamiętać i przekazywać tę pamięć młodszemu pokoleniu, tak długo, jak się tylko da, nawet jeśli jest to historia smutna i gorzka. Nawet jeśli od zmarłych nie zaznało się za ich życia zbyt wiele dobrego... ani nawet odrobiny ciepła. Czym jednak staje się rodzina, która zapomina o swoich korzeniach? Niczym. Tak uważała i nie zmieniła

tego fakt, że widok cmentarnej kaplicy Jurczyńskich wywoływał w niej niedobre wspomnienia.

Jak bardzo bała się tego miejsca, tego grobu jej matka, Helena Jurczyńska!

– Nie daj Boże, abym i ja tu kiedyś spoczęła na wieki – powiedziała dawno temu do swojej kuzynki Cecylii. Było to jeszcze przed śmiercią Piotrusia.

Cecylia, jak to ona, w odpowiedzi wzruszyła lekceważąco ramionami.

– Myślę, że to bez znaczenia – odparła. – Umarłemu i tak wszystko jedno, gdzie go położą.

– Nie mnie – szepnęła Helena i vzdrygnęła się. – Sama pomyśl, przecież to upiorne miejsce. Kostnieję na samą myśl, że moje ciało miałoby zostać złożone pod tą ciężką płytą, w tej starej, wilgotnej, zimnej kaplicy. Jestem pewna, że nawet po śmierci poczułabym to zgniłe zimno. Obiecuj, że jeśli odejdę przed tobą, nie pozwolisz, aby pochowali mnie tutaj. Chcę być położona w normalnym grobie, w ziemi, pod gołym niebem, a najlepiej, aby w pobliżu rosły drzewa i słychać było śpiew ptaków. Aby wokół kręcili się ludzie. I aby latem docierało tam słońce.

– Będzie ci wtedy ciepłej? – roześmiała się Cecylia, bo w przeciwieństwie do ciotecznej siostry śmiała się dużo i często.

– Obiecuj.

I Cecylia obiecała. Czy traktowała poważnie tę obietnicę? Czy w ogóle przyszło jej do głowy, że nie będzie miała żadnej możliwości, aby się z niej wywiązać? Najprawdopodobniej jednak brała to pod uwagę, a składając obietnicę, chciała jedynie uspokoić kuzynkę, która miała niebezpieczną tendencję do ulegania przygnębiającym nastrojom. W każdym razie Cecylia złożonego przyrzeczenia nie dotrzymała, bo i nie mogła tego zrobić. Ciało Heleny Jurczyńskiej spoczęło pod ciężką płytą rodzinnego grobowca Jurczyńskich w towarzystwie rodziców i dziadków jej męża. A także obok jej syna, Piotrusia. Umarła bowiem rok po jego śmierci.

– Na pewno nie chciałaby zostawiać go samego w takim miejscu – powiedziała wtedy Cecylia. – Skoro Piotruś został tu pochowany przed nią, cała jej niechęć do tego miejsca straciła już na znaczeniu. Jestem tego pewna.

Mała Ada – tak bowiem nazywano Adriannę, gdy była dzieckiem, a nawet dorosłą już panną – nie podzielała tej pewności, ale milczała, bo przecież nic innego nie mogła wtedy zrobić. Skoro jej ciotka nawet nie próbowała przekonywać szwagra, by spełnił życzenie zmarłej żony, to ona, ośmioletnia wówczas dziewczynka, również była zupełnie bezradna. Tym bardziej że nie mogła cieszyć się jakąkolwiek sympatią i zrozumieniem ze strony ojca. A Cecylia – jak najbardziej. Ada zawsze to dostrzegała. Ojciec lubił i szanował kuzynkę żony, słuchał jej uwag, a mimo to Cecylia nie podważyła jego decyzji w tej kwestii. Ada przez długie lata była przekonana, że ciotka nie chciała walczyć o sprawę z góry przegraną.

Sama jednak instynktownie czuła, że matka nie tylko nigdy nie zmieniła zdania w sprawie „upiernej” – jak sama mówiła – kaplicy na cmentarzu, ale zapewne nie chciała także, aby pochowano tam Piotrusia. W tej jednak sprawie była tak samo bezradna jak wszyscy, którzy musieli ulec woli Michała Jurczyńskiego.

Jedynie druga żona Jurczyńskiego, Rozalia, jak również ich syn, Krzysztof, uniknęli zakończenia swej ziemskiej wędrówki w kaplicy w Broniszczach. Oboje spoczywali na cmentarzu Rakowickim w Krakowie, skąd pochodziła macocha Ady.

Ja także, dzięki Bogu, się tu nie znajduję, pomyślała Adrianna. Dzięki Bogu i dzięki małżeństwu z Dezyderym. Rawiccy bowiem, w przeciwieństwie do Jurczyńskich, nie mieli żadnej kaplicy na cmentarzu i chowani byli jak reszta parafian. Wpatrując się teraz, jako starsza, blisko siedemdziesięcioletnia kobieta, w wyryte na tablicy nazwiska, zastanawiała się, co powiedzieć na ich temat wnuczce. Wątpiła bowiem, by Eliza wprowadziła córkę w szczegóły historii jej przodków. O ile w ogóle cokolwiek o nich wspomniała.

A może rzeczywiście nie było sensu wracać do tak odległej przeszłości? Może współcześnie, siedemnastoletnia dziewczyna, urodzona i wychowana w Anglii, która nie miała dotąd okazji, aby poznać własną rodzinę, wcale nie jest zainteresowana wspomnieniami dotyczącymi jej pradziadków? Może teraz młodych nie zajmują podobne historie? Wprawdzie synowie Ireny wydawali się nimi

zainteresowani – Adrianna i Dezydery opowiadali wnukom o ich przodkach – ale chłopcy byli bardzo zżyci z dziadkami. Zarówno z Rawickimi, jak i Chojewiczami – rodzicami Romana. I niemal wychowali się tu, w Broniszczach. Poza tym obaj pasjonowali się historią także w ogólnym tego słowa rozumieniu.

Tymczasem Ula – jedyna wnuczka – była w gruncie rzeczy kimś... obcym. Paskudne słowo, teoretycznie przecież należała do rodziny. Praktycznie jednak – podchodząc do sprawy bez zbędnych sentymentów – była... obca. Adrianna i pozostali członkowie rodziny tak niewiele o niej wiedzieli. Mieli zaledwie kilka skąpych informacji, których listownie udzieliła im Eliza. No i to zdjęcie przysłane przez córkę dwa lata temu. Oboje z Dezyderym wpatrywali się w nie jak w tęczę. Na samo wspomnienie męża głaszczącego drżącymi dłońmi fotografię wnuczki Adrianna poczuła, jak zamiera jej serce. I to nie tylko z powodu wzruszenia.

Adrianna potrząsnęła głową i ponownie zmusiła się, aby skupić całą swoją uwagę na grobowcu rodzinnym. Załóżmy, że moja wnuczka zechce tu ze mną przyjść i zacznie zadawać pytania o pochowanych w tym miejscu ludzi. Czy mam od razu zdradzić jej wszystko? Opowiedzieć, jacy byli moi rodzice i dlaczego rozpadł się mój dom rodzinny? A także to, co nastąpiło potem?

Michał Jurczyński, jej ojciec. Właściciel Jurczewic, które odziedziczył po swoim ojcu i dziadkach. Apodyktyczny, surowy, popędliwy. Z jednej strony ulegający emocjom, łatwo wpadający w gniew, a z drugiej potrafiący, kiedy trzeba, zachować zimną krew. Zawsze stanowczy, choć z konsekwencją bywało już różnie. Wszyscy wokół liczyli się z jego zdaniem. Służba bała się go panicznie, bo potrafił być twardy i bezwzględny i nie bawił się w sentymeny. Właściwie tylko jego stara piastunka Kazimiera, która potem wyniańczyła jego dzieci, cieszyła się u niego specjalnymi względami. I nie obawiała się powiedzieć mu, co myślała o tych czy innych jego pomysłach – fakt, że na ogół zawsze we wszystkim go popierała. Może jeszcze opiekun stajni, Walenty, od czasu do czasu dawał dziedzicowi do zrozumienia, że niektóre jego decyzje dotyczące koni nie są trafne. A Jurczyński zawsze uważnie go słuchał i bywało, że ulegał argumentom starego, doświadczonego sługi.

Obie żony przeważnie wypełniały bez dyskusji jego polecenia, choć potem zarówno jedna, jak i druga w pewnym momencie stanęły okoniem i zbuntowały się. Jednak z różnym skutkiem.

A dzieci?

Piotruś był chyba ulubieńcem ojca. Chyba, bo Adrianna nigdy nie zdołała poznać tajników duszy Michała Jurczyńskiego. Poza tym w momencie śmierci brata miała zaledwie siedem lat, a to trochę za młody wiek, by zrozumieć i prawidłowo ocenić uczucia drugiego człowieka. Zwłaszcza jeśli ten człowiek był tak zamknięty w sobie jak jej ojciec. W każdym razie nigdy nie pozwolił się do siebie zbliżyć swojej córce, podobnie jak jej matce i większości ludzi. A jednak na podstawie skrawków wspomnień była w stanie zaryzykować ostrożne stwierdzenie, że Piotruś był dla Jurczyńskiego kimś ważnym, a już bez wątplenia dużo ważniejszym niż córka. Może w tym właśnie tkwiła przyczyna jego przywiązania do syna – był, a właściwie miał być sukcesorem nazwiska i majątku. Nagły, nieszczęśliwy wypadek położył kres tym marzeniom. O śmierć chłopca Jurczyński oskarżył swoją żonę, matkę chłopca, nigdy jej tego nie wybaczył i kiedy tylko miał ku temu okazję i ochotę, dawał jej to w bezwzględny sposób odczuć. Nie tylko on zresztą winił Helenę o śmierć Piotrusia. Do wypadku doszło w jej obecności, chłopiec był wówczas – wyjątkowo – pod jej opieką. Niemniej inni potrafili wyrażać współczucie pogrążonej w żalobie matce dziecka. Jurczyński tego współczucia i zrozumienia nie okazał nigdy, ani razu.

Narodzinom Krzysia, syna z drugiego małżeństwa, towarzyszyła atmosfera skandalu, a ponieważ przez długie lata Ada starała się ignorować obecność przyrodniego brata, nie dochodziła wobec tego, czy młodszy syn znaczył dla ojca tyle samo, co tamten, pierwszy. Czy – mówiąc wprost – stał się jego ulubieńcem. Długo zakładała, że tak właśnie było. To wydawało jej się oczywiste. Przecież Krzysztof, zamiast zmarłego Piotrusia, stawał się sukcesorem majątku i nazwiska. Potem, gdy pod wpływem różnych pogłosek i opinii zaczęła obserwować uważniej relacje ojca z jego drugą żoną i dzieckiem, doszła do wniosku, że nie było do końca tak, jak pierwotnie zakładała. A potem, po przedwczesnej śmierci także i tego brata, wszelkie domysły i dociekania straciły rację bytu.

Ona sama niewiele znaczyła w oczach ojca, nawet nie wspominając o miejscu w jego sercu. W tej

kwestii nigdy nie nastąpił przełom. Do końca jego życia pozostali sobie prawie obcy i zupełnie obojętni. Tylko jeden raz odniosła wrażenie, że jednak jej los czasami go obchodził. To było wtedy, gdy postanowiła wyjść za Dezyderego. Tyle mogła powiedzieć na temat ojca.

A matka?

Helena Jurczyńska z domu Rawicka uchodziła w swoim czasie za najbardziej urodziwą pannę w okolicy. Wysoka, szczupła, z burzą blond loków okalających jej śliczną twarz, gdy tylko pojawiła się na jakimkolwiek zebraniu towarzyskim, przejażdżce lub w teatrze, od razu przyciągała spojrzenia. Potem jednak zaczynano zwracać uwagę na zbyt często zmieniające się nastroje pięknej panny. Jej duże zielonoszare oczy niekiedy przypatrywały się ludziom ze skupieniem i zainteresowaniem, by nagle, bez żadnego szczególnego powodu niepokojąco zmętnieć, tak że rozmawiający z nią człowiek nie mógł mieć cienia wątpliwości, że urodziwa dziewczyna odpłynęła myślami gdzieś daleko i nie obchodziło jej, w czym towarzystwie i na jaki temat prowadziła konwersację. Rzadko się śmiała, zresztą nawet wtedy, gdy to robiła, jej wesołość wydawała się sztuczna, wymuszona. Zdecydowanie była bardziej skłonna do melancholii i choć jej zachowanie mogło niepokoić i niejednego faktycznie niepokoiło, niemniej nigdy nie brakowało starających się o jej względy.

Poślubiła Michała Jurczyńskiego, bo tak zdecydował jej stryj, pod opieką którego po śmierci rodziców przebywała. Powszechnie uważano, że Jurczyński zrobił dobry interes na tym małżeństwie, bo dziewczyna była nie tylko piękna, ale i posag dostała jak prawdziwa księżniczka. A atuty te pozwalały łatwiej zaakceptować jej dziwaczne niekiedy zachowanie. Poza tym niektórzy utrzymywali, że małżeństwo z tak zdecydowanym i energicznym mężczyzną, jakim był Jurczyński, wyleczy Helenę z jej dziwactw. Ona sama nie buntowała się przeciwko podjętym bez jej udziału decyzjom, bo też i nie miała nic przeciwko narzeczonemu. Był przystojny, zamożny i nietuzinkowy. W momencie składania ślubnej przysięgi jeszcze nie była w nim bezgranicznie zakochana, nie miała przecież czasu, by poznać go na tyle dobrze, ale – o czym zapewniała swoją stryjeczną siostrę Cecylię – miała jak najlepsze intencje, by przyrzeczenia złożonego w kościele dotrzymać.

Tymczasem nowo poślubiony mąż od początku traktował ją z dystansem. Helena tłumaczyła to sobie niepokojącym faktem, że przez kilka pierwszych lat pożycia ich małżeństwo pozostawało bezdzietne, o co – jak przypuszczała – mąż miał do niej pretensje. Nigdy wprawdzie tego nie powiedział, ona jednak nie potrafiła wyzbyć się owego przekonania. Jakaż była jej radość, gdy wreszcie na świecie pojawiły się upragnione dzieci. Wprawdzie pierwsza urodziła się córka, Ada, co nie wywołało entuzjazmu Jurczyńskiego, jednak rok później przyszedł na świat upragniony syn. Mimo to Helena dość szybko miała się przekonać, że jej nadzieje na poprawę stosunków z mężem były płonne. Nie rozumiała tego – na ogół przecież adorowano ją i podziwiano – a on z niczego jej się nie tłumaczył. Właściwie prawie wcale z nią nie rozmawiał. Gdy domagała się jego uwagi – w tych pierwszych latach małżeństwa czasem ośmielała się upominać o swoje prawa – zbywał ją byle czym. Raz jednak mała Ada usłyszała, jak ojciec, zniecierpliwiony płaczem żony, powiedział szorstkim tonem, aby dała mu spokój i zajęła się czymkolwiek, zamiast całymi dniami jęczeć i załamywać ręce. On nie ma ani czasu, ani ochoty wysłuchiwać jej wydumanych lamentów.

– Wydumanych? – wykrzyknęła Helena. – Załedwie zauważasz moją obecność. Wkrótce zapomnisz, że w ogóle istnieję.

– Na litość boską, kobieto, czego ode mnie oczekujesz? – Michał Jurczyński był coraz bardziej zirytowany. Na ogół starał się zachować zimną krew, czasem jednak popędliwa strona jego natury brała w nim górę. A do tego żona coraz bardziej działała mu na nerwy.

– Niewiele, naprawdę niewiele – płakała Helena. – Porozmawiaj ze mną od czasu do czasu. Wysłuchaj mnie. Przynajmniej będę wiedziała, że jeszcze pamiętasz o moim istnieniu.

Ilekrót mała Ada słuchała płaczu matki i widziała jej łzy, niemal zamierało w niej serce. Nawet nie dlatego, że tak bardzo ją kochała i tak bardzo jej współczuła. Raczej dlatego, że na ogół jej nie rozumiała. Być może była wtedy za mała, aby pojąć przyczynę strapienia matki, z drugiej jednak strony nie mogła się wyzbyć wrażenia, że zachowanie matki jest niekiedy dość... zagadkowe. Najpierw kaskada śmiechu, a zaraz potem szloch i łzy. I rozmowy, które Helena nagle, bez żadnej sensownej przyczyny

przerywała w pół słowa i popadała w zamyślenie. Jakby zapadała się wtedy w sobie. Takie sytuacje zdarzały się w obecności gości, służby, a także dzieci. Ada i Piotruś truchleli wtedy ze strachu.

– Mama zasnęła? – zapytał kiedyś Piotruś.

– Nie. Przecież ma otwarte oczy – odpowiedziała mu Ada, ale ponieważ źrenice matki czasami wręcz nieruchomiały, dziewczynka z kolei nie była pewna, czy matka przypadkiem nie umarła w trakcie rozmowy z nimi.

W takich sytuacjach niania Kazimiera wyprowadzała ich z pokoju. Jeśli miało to miejsce przy gościach, ci, zachowując wszelkie zasady kurtuazji, dyskretnie zegnali się z domownikami i wychodzili. Adzie w pewnym momencie przyszło do głowy, że może to właśnie było powodem, dla którego ojciec unikał jakichkolwiek okazji, aby przebywać sam na sam z żoną. Wystarczyły mu jej widok i kompromitujące zachowanie podczas większych spotkań towarzyskich. Wkrótce zresztą liczba takich spotkań została ograniczona do najbardziej niezbędnego minimum. A po śmierci Piotrusia w ogóle się skończyły.

Podczas tamtej wymiany zdań między rodzicami, podsłuchanej przez siedmioletnią wówczas Adę, ojciec jasno dał matce do zrozumienia, co o niej myśli. Do tej pory chyba nigdy nie był aż tak dosłowny, przynajmniej Ada nie słyszała, aby zwracał się do matki w tak ostrych i bezwzględnych słowach. Rozdrażniły go jednak jej łzy, szloch, lament, co w połączeniu z denerwującym go od lat zachowaniem sprawiło, że wreszcie postanowił wyłożyć karty na stół. I nie pozostawił tu żadnych złudzeń ani niedopowiedzeń.

– Ja miałbym z tobą rozmawiać? Niby o czym? Nie istnieje żadna kwestia, żaden temat, które moglibyśmy razem omówić. Czytałaś ostatnio coś wartościowego? Nie sądzę. Interesują cię sprawy tego majątku? Nie masz o nich zielonego pojęcia i przez tyle lat nie zrobiłaś nic w kwestii własnej ignorancji. Nic cię nie interesuje poza adorowaniem własnej osoby, przyglądasz się wyłącznie sobie. Lamentujesz, gdy zebrani wokół ciebie ludzie przestają zajmować się tobą i twoimi wydumanymi problemami, a mają ochotę pomówić o czymkolwiek innym. Nie możesz się pogodzić z faktem, że przestałaś być gwiazdą sezonu. Histeryczka i nieznośna melancholiczka – oto, kim jesteś. Nie ma w tobie nic godnego uwagi. Od lat wyłącznie mnie kompromitujesz.

– Nie obchodzą mnie inni ludzie! Obchodzisz mnie tylko ty! Tylko ciebie potrzebuję! – płakała coraz rozpaczliwiej Helena.

Ada poczuła niesmak i wtedy po raz pierwszy pojęła wściekłość ojca. Czy matka doprawdy nie dostrzegła, że jej płacz wywołuje w nim wyłącznie pogardę i wściekłość? Dlaczego w ogóle nie stara się nad sobą panować? Dziewczynka była absolutnie pewna, że znajdujące się w pobliskich pomieszczeniach dwie pokojówki wszystko słyszą i niechybnie rozniosą wieści o awanturze wielmożnych państwa w całym domu i obejściu.

Opamiętaj się, mamó, błagała w myślach, ale przecież była kompletnie bezradna.

Ojciec jednak nie wahał się wyrazić tych emocji na głos, choć w jego tonie nie było błagania ani łagodnej perswazji, a tylko – zdecydowanie wręcz – rozkaz.

– Opamiętaj się, wariatko, albo oddam cię na leczenie do zamkniętego zakładu dla obłąkanych. Zresztą od pewnego czasu uważam, że to dla ciebie najwłaściwsze miejsce, tyle tylko, że od razu wybuchłby skandal na całą okolicę. A tego wolałbym nam wszystkim oszczędzić. Wystarczy już, że o nas gadają, i to z twojej przyczyny.

Wzmianka o zamkniętym domu dla obłąkanych przeraziła Adę, choć wtedy jeszcze nie końca dobrze pojmowała znaczenie tych słów. Helena jednak pojęła je bardzo dobrze i przeraziła się nie na żarty. Przestała nawet płakać.

– To ci się nigdy nie uda – rzekła wreszcie, gdy już zdołała wydobyć z siebie głos.

Tym razem ton tego głosu nie przypominał rozpaczliwego zawołania. Był ostry, twardy. Ada nie dowierzała własnym uszom. Takiego tonu nigdy dotąd u matki nie słyszała.

– Witold i Cecylia nigdy na to nie pozwolą. – Mówiła o stryjecznym rodzeństwie, z którym się wychowała w domu stryjostwa Rawickich. – A poza tym – kontynuowała – jestem matką twoich dzieci. Pamiętaj o tym.

– Niebawem! – zakpił mąż. – Przypomniałaś sobie o istnieniu dzieci?

– Jak możesz! – Helena ponownie zaczęła zawodzić, a Ada znów poczuła, jak ściska się jej serce. Nie z powodu przykrości, jakiej doznała matka. Raczej z powodu prawdy, jaką zawierały słowa ojca. Już wcześniej podejrzewała, że ani Piotruś, ani tym bardziej ona nie zajmują w sercu Heleny jakiegoś szczególnego miejsca.

Bywały dni, gdy nie wzywała ich do siebie. Gdy niania mimo to prowadziła ich do pokoju matki.

– Z pewnością na was czeka, nawet jeśli tego nie mówi. Jest dzisiaj bardzo smutna, może wasz widok ją rozweseli. Postarajcie się być dla niej mili.

Helena potrafiła odwrócić się do ściany.

– Zabierz dzieci. Przeszkadzają mi teraz – mówiła, choć oboje z Piotrusiem nie zdążyli często nawet się do niej odezwać.

Czasem nie protestowała przeciwko obecności dzieci, ale całkowicie je ignorowała, patrząc w okno lub – rzadziej – przeglądając jakąś książkę. Książki tylko przeglądała, nie potrafiła skupić się na czytaniu. Sama to kiedyś wyznała Cecylii. Nie potrafiła się także skoncentrować na własnych dzieciach. Słuchając wymówek ojca kierowanych pod adresem żony, Ada z bólem przyznawała mu rację. Zresztą przecież matka przed chwilą zapewniała męża, że to on jest jedyną osobą, na jakiej jej zależy. Zapewne to także było prawdą.

– Co jeszcze mogłabym zrobić? – płakała Jurczyńska. – Czego ode mnie oczekujesz? Zrobię wszystko, co tylko zechcesz.

Słowa męża nie pozostawiały cienia złudzenia:

– Nic nie rób. To jedyne, czego jeszcze od ciebie oczekuję. Okazałaś się beznadziejną żoną, nie potrafisz być dobrą matką dla swoich dzieci. Jedyne, co możesz jeszcze zrobić, to nie rzucać mi się oczy. Wystarczy, że muszę tolerować świadomość twojej obecności w tym domu. O ile nie nadwerężysz do końca mojej cierpliwości.

Pomimo że od tamtej rozmowy minęło kilkadziesiąt lat i oboje Jurczyńscy już nie żyli, Adrianna pamiętała każde usłyszane wtedy słowo i tak jak wtedy każde wbijało jej się w serce niczym nóż.

Wtedy, jako mała dziewczynka, nie przypuszczała nawet, że to zaledwie przedsmak dużo większego nieszczęścia, jakie czekało jej rodzinę.

Ojciec w każdym razie dotrzymał słowa. Zaledwie tolerował obecność żony. Wyprowadził się jednak ze wspólnej sypialni, co zauważyła nawet Ada, o służbie nie wspominając. Helena miała okazję widywać męża praktycznie tylko w jadalni przy stole, choć i to nie zawsze, a także podczas coraz rzadszych wizyt, jakie im składano. W pewnym momencie jedynymi osobami, które jeszcze ich odwiedzały, był jej brat stryjeczny, Witold Rawicki, i jego rodzona siostra, Cecylia. Niekiedy Witoldowi towarzyszył jego syn, starszy od Ady o sześć lat Dezydery, z tym że różnica wieku uniemożliwiała wtedy zawarcie przyjaźni między kilkuletnią wtenczas dziewczynką a nastoletnim kuzynem. Żony wuja Witolda Ada nie miała okazji poznać – ciotka zmarła na rok przed jej narodzinami, a owdowiały wuj nie zamierzał drugi raz się żenić. Wieść gminna niosła, że nigdy nie odżałował zmarłej, nie lubił opuszczać rodzinnego Radziejowa, a ponieważ nie potrafił znaleźć wspólnego języka z Michałem Jurczyńskim, rzadko odwiedzał siostrę i szwagra. Tym bardziej że również Dezydery wyraźnie nie lubił tych wizyt i na ogół odbywał je z wielce znudzoną miną.

Z Cecylią rzecz się miała inaczej. Kuzynka Heleny lubiła odwiedzać Jurczyńskich i wyglądało na to, że dobrze się czuła w ich posiadłości. Jej wizyty były tam także mile widziane, i to zarówno przez Helenę, jak jej dzieci, a nawet męża, który na ogół zaledwie tolerował gości żony. Cecylia była jednak wyjątkiem, Jurczyński szanował ją i lubił z nią rozmawiać, co nie uszło niczyjej uwadze, w tym także uwadze służby. Nawiasem mówiąc, służba także cieszyła się z wizyt stryjecznej siostry dziedziczki, pewnie dlatego, że Cecylia była damą miłą, dystyngowaną i taktowną w obejściu, a poza tym, w przeciwieństwie do Heleny Jurczyńskiej, zachowywała się w sposób spokojny i przewidywalny. Nierzadko też, gdy jeszcze zdarzały się większe zebrania towarzyskie w Jurczewicach, a wiadomo było, że Helena z powodu jakiejś nagłej niedyspozycji nie będzie mogła temu podołać, Cecylia zastępowała ją w pełnieniu honorów pani domu. Nikogo to nie dziwiło, choć przecież w normalnych układach

towarzyskich podobne sytuacje mogłyby zastanawiać. W tym konkretnym przypadku każdy z gości zdawał się jednak doskonale rozumieć, w czym rzecz, tym bardziej że Cecylia zachowywała się wówczas w sposób jak najbardziej taktowny.

– Helena źle się czuje – mówiła. – Prosiła, abym ją zastąpiła. Przekazuje państwu pozdrowienia i uszanowanie.

Wizyty Cecylii łagodziły napięcie, które towarzyszyło na co dzień wszystkim mieszkańcom dworu w Jurczewicach, poprawiały atmosferę, wprowadzały spokój i uśmiech. Ada i Piotruś przepadali za ciotką, uosabiała przecież wszystko, czego brakowało ich matce. Zajmowała się nimi chętnie, zabierała ich na przechadzki, wymyślała gry i zabawy. Nikt jednak nie wyczekiwał wizyt Cecylii z taką tęsknotą i zapamiętaniem jak Helena. Kuzynki od lat były do siebie przywiązane jak rodzone siostry, a kto wie, czy nie bardziej. Wychowały się w jednym domu i choć potem zarówno jedna, jak i druga wyszły za mąż, w dalszym ciągu utrzymywały ze sobą tak bliski kontakt, jak to jeszcze było możliwe. Codzienne wspólne bytowanie pod jednym dachem, a w związku z tym niekończące się dziewczęce zwierzenia zastąpione zostały częstymi i długimi listami i – od czasu do czasu – odwiedzinami. Te ostatnie zdecydowanie przybrały na częstotliwości, gdy małżeństwo Cecylii ze Stanisławem Barcińskim zakończyło się fiaskiem i separacją. Barcińska nigdy nie tłumaczyła się przed towarzystwem z przyczyn takiego stanu rzeczy. Nawet Helena musiała zadowolić się dość ogólnikowo brzmiącym stwierdzeniem: „Nie rozumieliśmy się, nie pasowaliśmy do siebie. Każde z nas miało inne upodobania. Działaliśmy sobie na nerwy. Dalsze trwanie tego małżeństwa byłoby tylko szczerą męką, niczym więcej”.

Helena nie miała wątpliwości, że to niepełna prawda, nie drążyła jednak tematu, nie naciskała na bardziej szczegółowe zwierzenia, choć sama nie szczędziła kuzynce żadnych szczegółów z własnego nieudanego małżeństwa. Liczył się dla niej sam fakt, że spotkał je podobny los w kwestii zawiedzionych nadziei na udane życie rodzinne, i fakt ten jeszcze bardziej zbliżył ją do stryjecznej siostry. Dodatkowo podziwiała Cecylię za odwagę, wiedziała bowiem, że pomysł separacji wyszedł od kuzynki, choć jej mąż zgodził się bez większych oporów. Nie wyraził za to zgody na postawienie sprawy przed konsystorzem ani na wszczęcie kroków rozwodowych. Wyjechał za to za granicę, zostawiając żonie duże warszawskie mieszkanie i zapewniając jej środki na utrzymanie. Nie mieli dzieci, nie było zatem potrzeby, aby widywali się ze sobą choćby sporadycznie, a korespondencję ograniczali do spraw czysto formalnych, czyli finansowych.

Sama separacja wystarczyła jednak, by wybuchł skandal towarzyski, a osoba Cecylii stała się celem plotek i nawet pewnego rodzaju ostracyzmu towarzyskiego. Zniosła to z godnością, a nawet pewnego rodzaju brawurą. Odważnie rzuciła wyzwanie atakującym ją nobliwym obywatelom, zastępując ich towarzystwem osób zupełnie innego autoramentu. Otworzyła swój warszawski salon dla ludzi, którzy przejawiali zainteresowanie sztuką, literaturą, teatrem, muzyką, ale także nowinkami technicznymi i medycznymi, którzy mieli coś do powiedzenia w kwestiach filozoficznych i egzystencjalnych. W jej salonie bywali aktorzy, dziennikarze, ludzie pióra. Nie spotkało się to z aplauzem jej dawnego towarzystwa, które może by i wybaczyło jej rozstanie z mężem, gdyby chociaż zadbała o stworzenie pozorów bycia znękaną i nieszczęśliwą samotną kobietą. Tak jednak nie było.

Helena podziwiała zatem kuzynkę za odwagę, siłę ducha i zaradność, tym bardziej że w sobie nie potrafiła wykrzesać tych cech. A przynajmniej długo tak sądziła. Dlatego tym bardziej łaknęła towarzystwa Cecylii, odwiedzin kuzynki, rozmów z nią. W jej obecności mogła zawsze wypłakać się do woli, a ta nigdy nie okazała zniecierpliwienia ani irytacji. Niemal do końca życia Helena uważała ją za swoją jedyną prawdziwą przyjaciółkę. Także Ada latami ufała ciotce całym sercem. Jak pokazało życie – obie się myliły.

Patrząc na rodzinny grobowiec, Adrianna skrzywiła się ze smutkiem, jak zawsze, gdy wspominała Cecylię Barcińską. A przy okazji własny upór i naiwność sprzed lat.

Czy o tym także powinna opowiedzieć swojej wnuczce? A może jednak nie budzić tamtych upiorów? Nie otwierać dawno już zatrzęsniętych drzwi?

Musiała to sobie jeszcze raz przemyśleć.

- Chyba żartujesz. – Irena nie pozostawiała najmniejszych złudzeń, co o tym myśli.
- To moja sprawa – odgryzła się natychmiast Adrianna.

Doskonale wiedziała, co teraz nastąpi. Córka nie odpuści i zaraz przedstawi jej własny punkt widzenia i wszystkie argumenty na jego poparcie. Adrianna nie znosiła tego mentorskiego tonu, który Irena nabyła podczas pracy w urzędzie, gdy nieraz miała za zadanie pouczyć interesanta, że jego oczekiwania niewiele mają wspólnego z obowiązującymi w tym kraju prawem i realiami.

I oczywiście, jak należało się tego spodziewać, Irena przystąpiła do ataku.

– Przecież ty dopiero poznasz to dziecko. I tak od razu zamierzasz zaciągnąć je na cmentarz, pokazać kaplicę i opowiedzieć ze szczegółami dzieje rodzinnych miłości i skandali?

– Po pierwsze nikogo nie zamierzam tam ciągnąć siłą – odparła urażona matka. – A po drugie to już nie dziecko, lecz siedemnastoletnia panna. I nie widzę w tym nic niestosownego, że dowie się, kim byli jej pradziadkowie i reszta krewnych.

– Prawdopodobnie ucieknie z cmentarza na sam widok tej kamiennej kaplicy. Ja przynajmniej zawsze miałam ochotę to zrobić, gdy mnie tam prowadziłaś – wypaliła Irena. – Eliza także – dodała.

– Nie musisz być bezpośrednia w tak bezwzględny sposób.

Irena zdążyła już pożałować swoich słów. Spojrzała ze skrucą na zaciętą w gniewie i twardym uporze twarz matki, po czym dotknęła jej dłoni.

– Przepraszam, zagalopowałam się. Zresztą tak naprawdę bałam się tej kaplicy tylko w dzieciństwie. Później mi przeszło.

– Przepraszam, przyjmuję, ale kłamać nie musisz. Wiem, że odwiedzasz starą część cmentarza w Broniszczach tylko wtedy, gdy jesteś zmuszona mi towarzyszyć – odparła z goryczą Adrianna, zabierając dłoń z uścisku córki.

To, co powiedziała przed chwilą Irena, nie było przecież dla niej żadnym objawieniem. Rozumiała obiekcje obu córek przed odwiedzaniem tamtego miejsca – sama je przecież podzielała – ale nie zmieniało to faktu, że o miejscu spoczynku krewnych należało pamiętać. Takie były zasady, które im wpajała i od których nigdy nie zamierzała odstępować. Koniec. Kropka. Takie też zasady przekazała obu wnukom. Teraz czas na wnuczkę. Postanowiła przypomnieć o tym Irenie.

– Nasze sympatie i antypatie tracą na znaczeniu w obliczu spraw ostatecznych – rzekła surowo.

– Na szczęście twoi synowie to rozumieją. I tylko dzięki temu mam nadzieję, że po mojej śmierci ktoś z rodziny będzie odwiedzał tamtą starą kaplicę. Chłopcy nigdy nie mieli w tej sprawie żadnych obiekcji.

– Daruj sobie tę tyradę, mamó. Dobrze wiesz, że nie stosujesz tych zasad wobec wszystkich swoich krewnych. Jest jeden wyjątek. To znaczy ja wiem o jednym wyjątku. – Irena nie wytrzymała, oburzona faktem, że matka jest w stanie z taką łatwością wypierać z pamięci prawdy tak oczywiste dla jej córki. Adrianna zresztą w mig pojęła, w czym rzecz, bo poczerwieniała na twarzy, niemniej bez wahania podjęła rzuconą rękawicę.

– Ten, jak to nazwałaś, wyjątek jest tu bez znaczenia. Tamtej osoby od dawna już nie traktowałam jako swojej krewniej. Możesz być pewna, że chodziło tu o sprawę zdecydowanie większej wagi niż zwykły gniew czy antypatia.

Irena pominęła milczeniem ostatnią uwagę matki. Uznała, że istotnie nie warto już do tego wracać ani tym bardziej drążyć, i wróciła do tego, o czym mówiła wcześniej.

– Zanim zaczniesz tej dziewczynie opowiadać o zmarłych z naszej rodziny, ona najpierw powinna poznać tych żywych. Nie sądzę, by Eliza udzielała jej szczegółowych informacji. A czasu na to nie będzie dużo, raptem dwa tygodnie. Potem, miejmy nadzieję, Ula będzie nas jeszcze odwiedzać. Tak naprawdę dopiero za jakiś czas będzie gotowa usiąść obok ciebie i wysłuchać wszystkiego, co masz jej do powiedzenia. Z pewnością nie zdążysz tego zrobić w ciągu tych dwóch tygodni, nawet gdyby jakimś cudem od razu tak bardzo się do ciebie zbliżyła, że nic innego nie chciałaby tu robić, jak tylko siedzieć i cię słuchać. A poza tym wcale nie jestem pewna, czy powinnaś w tych wspomnieniach wchodzić zbyt



głęboko w szczegóły.

– Powtarzam, to moja sprawa. I nie traktuj mnie z łaski swojej jak bezrozumnej staruszki, której trzeba wszystko tłumaczyć i nad którą trzeba czuwać, by nie zrobiła niczego głupiego.

– Chcę tylko, aby wszystko się udało. Żeby niczego nie zepsuć.

– Żebym ja niczego nie zepsuła. To chciałaś powiedzieć?

Irena westchnęła i podniosła się z miejsca. Uznała, że lepiej i tym razem pominąć uwagę matki milczeniem. W przeciwnym razie musiałaby raz jeszcze powtórzyć wszystkie swoje argumenty, a na to po pierwsze nie miała już ochoty, a po drugie – nie widziała w tym sensu. Kiedy matka była przekonana do jakiegokolwiek swojej racji, gdy już podjęła decyzję, nie było na nią mocnych. Jedyne, co Irena mogła teraz zrobić, to skierować uwagę Adrianny na inne aspekty związane ze zbliżającym się terminem wizyty siostry i siostrzenicy. Aspekty dotyczące zdecydowanie bardziej przyziemnych spraw.

– Najwyższy czas, abyś zaczęła przygotowania – rzekła.

– Przecież cały czas się przygotowuję.

I znowu ten pełen urazy ton. W dodatku zawierający dość silny akcent zdumienia. Adrianna Rawicka naprawdę uważała, że najistotniejsze w tym wszystkim jest przygotowanie rodzinnych albumów ze zdjęciami, powyciąganie ze schowków pożółkłych z powodu starości listów i sztambuchów, ewentualnie umycie i uporządkowanie nagrobnych pomników. Niekiedy była tak oderwana od rzeczywistości, że Irena z trudem powstrzymywała odruch, by nią z lekka nie potrząsnąć i nie podnieść głosu. A przy tym matka była tak pewna swoich racji!

– Myślę o zakupach, powinnaś zacząć gromadzić jakieś zapasy.

– Zapasy? Nie jestem wiewiórką.

Do tego jeszcze ta kpina i wzruszenie ramion. Na litość boską, kiedy ona wreszcie zrozumie, że nie jest już wielką damą i panią na włościach zatrudniającą kilka, a bywało, że i kilkanaścioro osób służby. Epoka wielkich dam minęła. Nastąpiła epoka zmęczonych kobiet w wytartych jesionkach i rozdeptanych starych butach, urabiających sobie ręce po łokcie i wystawiających w kilometrowych kolejkach pod sklepami, by zapewnić rodzinom jakieś takie funkcjonowanie. Matka unikała zderzenia się z taką rzeczywistością. Twierdziła, że woli zjeść suchy chleb i ziemniaki z przydomowego ogródka niż wyklócać się ze sprzedawczyniami i pozostałymi towarzyszami kolejkowej niedoli o kawałek podgardlanej lub szynkę, w której oprócz tłuszczu byłoby choć trochę mięsa. Wprawdzie nie zawsze mogła uniknąć tego losu, ale kombinowała, jak mogła, by znaleźć jakikolwiek inny sposób na zaopatrzenie domowej spiżarni i niedawno zakupionej (to znaczy wywalczonej w sklepie) lodówki.

Do tego, trzeba przyznać, miała głowę, jednak nawet i przy takich transakcjach pamiętała o dobrych manierach, choćby o tym, aby pokątnie zaopatrujących ją chłopów i proste kobieciny traktować bardzo uprzejmie, chociaż nie uniżenie. Przede wszystkim jednak przydawało się tu jej doświadczenie radzenia sobie z trudnościami w zaopatrzeniu. Przeżyła przecież dwie wojny światowe – a była to cenna szkoła życia, przydatna w czasach Polski Ludowej, choć i to nie zawsze. Polska Ludowa bowiem stawiała niekiedy nowe wyzwania wobec przedwojennych manier i zasad dobrego wychowania.

Zatem najwyższy czas, by dawna dziedziczka Radziejowa zaczęła wreszcie myśleć o praktycznych stronach przygotowań na przyjazd Elizy i Uli, pomyślała zgryźliwie Irena i przystąpiła do ataku:

– Nie jesteś wiewiórką, ale nie zapominaj, że przez pewien czas będziesz miała w domu większą liczbę ludzi, którym trzeba będzie dać coś do jedzenia. Wprawdzie to ja je zaprosiłam i przez większość czasu będą mieszkali u mnie, ale przecież ciebie także odwiedzą, choćby na kilka dni. Przecież sama się na to zdecydowałaś. – Irena straciła już resztki cierpliwości. Niedługo wróci z pracy Roman, synowie skończą zajęcia, czas przygotować obiad, a tymczasem jej matka snuje rozważania na temat cmentarnej kaplicy i rodzinnych historii, zastanawiając się, ile z tego i w jaki sposób opowiedzieć wnuczce. Jakby cały świat ograniczał się wyłącznie do spraw związanych z przeszłością! Jakby życie nie toczyło się dalej i nie domagało się respektowania swoich najbardziej elementarnych praw. – Nie licz na to, że wystarczy ci zaopatrzenie tego, pożałuj się Boże, sklepiku w Broniszczach – kontynuowała. – Powinnaś dzisiaj spróbować cokolwiek kupić w Warszawie, skoro już tu przyjechałaś. Przyda się trochę ususzonych

kielbasy, bo to się nie zepsuje. Masz porządną spiżarnię, możesz kupić szynkę i boczek na uwędzenie. Na litość boską, mam, ja mam ci o tym przypominać? Nie zrobisz tego w ostatniej chwili, nawet nie próbuj planować zakupów w ostatnich dniach przed ich przyjazdem. A oprócz mięsa jest jeszcze tyle innych potrzeb.

– Nie panikuj jak jakaś tępa baba. Wiem, co mam robić. Przyjdzie czas, skontaktuję się z Cholakową i Józwiakiem i wszystko będzie, jak trzeba. A poza tym nie są to sprawy najistotniejsze. Nie samym chlebem żyje człowiek.

Tym razem Irena nie wytrzymała i podniosła głos:

– Może i jestem zwykłą tępą babą i zapewne nie samym chlebem żyje człowiek, ale bez niego z pewnością długo nie pociągnie. A na twoim miejscu raczej nie liczyłabym na cudowne rozmnożenie pokarmu. Cholakowa i Józwiak też nie przylecą do ciebie ot tak, na pierwsze zawołanie. Nawet oni muszą się do tego przygotować.

Tępa baba! Irena aż sapnęła ze złości. Matka zachowywała się tak, jakby w ogóle nie zdawała sobie sprawy z tego, czym jest codzienna walka o zapełnienie lodówki i spiżarni. Jakby wszystko można było załatwić prywatnie i nieoficjalnie! Od czasu do czasu oczywiście można. Ale poza tym jest codzienność. Rodzinie trzeba dać coś do jedzenia. Inaczej prowadzi się gospodarstwo, jak się mieszka samej czy nawet we dwoje z drugą dorosłą osobą. Dzieci muszą się dobrze odżywiać. A czasy są, jakie są, i nie zanoszą się na to, aby miało być lepiej.

– Dobrze, dobrze. Wiem, co mam robić. Powtarzam: nie cierpię jeszcze na demencję starczą i nie mam sklerozy. – Adrianna powoli się podniosła. – Nie będę ci już dłużej przeszkadzać. Wracam do domu.

– A to co znowu? – Irena wyjmowała właśnie ziemniaki z wiadra upchniętego w rogu kuchni. – Myślałam, że zostaniesz na obiedzie. Roman i chłopcy by się ucieszyli. Nie obrażaj się tak zaraz.

– Nie obrażam się, ale czas już na mnie. Za godzinę mam autobus, a jazda tramwajem na Grójecką też trochę zajmie. I jeszcze trzeba poczekać, aż łaskawie taki wtoczy się na przystanek. Pozdrów ode mnie chłopców i Romka. Wpadnijcie w którąś niedzielę. Obiecuję, że z głodu nie umrzecie.

Ostatnie zdanie zabrzmiało sarkastycznie, by nie rzec: prowokacyjnie, ale Irena nie podniosła już tej rękawicy. Poczuli się niezręcznie. Matka miała ten niezaprzeczalny dar, że potrafiła wzbudzać w ludziach wyrzuty sumienia.

– Zostań – poprosiła. – Nie musisz tak się spieszyć.

Przecież nikt tam na ciebie czeka. Tylko ten pusty dom i wspomnienia. A najbliżsi sąsiedzi mieszkają kilkaset metrów dalej, dopowiedziała w myślach. Nie odważyłaby się wyrazić tego na głos.

– Jak to? Nie muszę się spieszyć? – zapytała kpiąco Adrianna. – Przecież sama przed chwilą zmotywowałaś mnie do działania. Muszę lepiej się przygotować na przyjęcie gości.

– Mam... – zaczęła bezradnie Irena, ale matka wzięła już do ręki torebkę, podeszła i pocałowała córkę w policzek.

– Dobrze już, dobrze. Będziemy w kontakcie. W razie czego poproszę o pomoc. I nie denerwuj się tak wszystkim, proszę.

Gdy tylko wyszła na zewnątrz, odetchnęła pełną piersią. Nie wyobrażała sobie mieszkania w bloku. Wprawdzie jako młodziutka dziewczynka spędziła prawie dziesięć lat w warszawskim mieszkaniu ciotki Cecylii Barcińskiej, ale to po pierwsze była inna Warszawa, pierwsze dziesięciolecie dwudziestego wieku, jeszcze przed wielką wojną, a po drugie inny rodzaj mieszkania – sześć przestronnych pokoi w alei Róż. Tymczasem Irena i jej rodzina gnieździłi się w małym mieszkanku na Żoliborzu, gdzie stale unosiła się woń gotowanych potraw, to dotyczyło także całej klatki schodowej, a z ulicy przez otwarte wiosną i latem okna także nie dochodziły zbyt przyjemne zapachy.

Być może było to dodatkowym impulsem, który sprawiał, że gdy tylko Adrianna odwiedzała córkę, dochodziło między nimi do szermierki słownej. Tak jakby ciasnota i duchota tego mieszkania wyzwalały w nich obu wojownicze instynkty. W Broniszczach także zdarzało im się ze sobą dyskutować i nie zgadzać, ale bez tej zawziętości, ironii i krańcowego zniecierpliwienia jak podczas spotkań w Warszawie. A przecież kochały się i mimo wszystkich dzielących je różnic charakteru i upodobań

rozumiały.

Adę drażniła w córce jej chęć narzucania wszystkim wokół własnego zdania. W domu sprawowała władzę niemal absolutną. Niemal. Bo choć łagodny i spokojny Roman całkowicie się tej władzy poddał, to jednak chłopcy od czasu do czasu stawiali na swoim. Obaj też zwierzili się kiedyś Adriannie i Dezyderemu, że zrobią wszystko, co w ich mocy, aby po skończeniu szkoły i studiów jak najszybciej się usamodzielnili i wyprowadzić od rodziców. Żaden z nich nie wyobrażał sobie, że miałby założyć rodzinę i mieszkać z matką za ścianą.

Adrianna życzyła wnukom jak najlepiej, ale w cichości ducha wątpiła, czy mają jakieś szanse na realizację marzeń o niezależności, o własnych mieszkaniach już nawet nie wspominając. Wbrew temu bowiem, co sądziła na jej temat Irena, Adrianna wcale nie była tak oderwana od realiów życia w Polsce. Nie żyła wyłącznie wspomnieniami, widziała, co się wokół dzieje, słuchała tego, co mówią ludzie, potrafiła też twardo stąpać po ziemi. Życie nauczyło ją bycia spostrzegawczą i zaradną. Poza tym podczas wojen patrzyła na zniszczenia, śmierć i nędzę. Sama to kiedyś przypomniawszy Irenie, gdy córka, jak to miała w zwyczaju, próbowała „sprowadzić ją z obłoków przeszłości na ziemię”.

Życie Adrianny nie rozpieszczało, i to pod żadnym względem. Tak, nie miała złudzeń, na jakim świecie żyje i jakie są realia, ale – w przeciwieństwie do córki – nigdy nie pozwoliła, by te realia wpłynęły znacząco na jej sposób bycia, na jej upodobania, aby odebrały jej to, co uważała za najwartościowsze. Nigdy nie wyrzekła się własnego, stworzonego przez siebie świata, w którym umiała schować się przed wszechogarniającym chamstwem, szarością i bylejakością. Nie zdiadziwała – mówiąc bez ogródek.

Razem z Dezyderem i tysiącami innych rodzin w Polsce stracili po wojnie majątek, choć – w przeciwieństwie do innych, mniej zaradnych – nie pozwolili, aby strąciło ich to na samo dno ubóstwa. Udało im się przechować część pieniędzy, a Dezydery, dowiedziawszy się z pewnych bardzo zaufanych źródeł o planowanej przez władzę wymianie pieniędzy w pięćdziesiątym roku, odpowiednio szybko, choć zarazem w sposób niekierujący na niego podejrzeń, wycofał pieniądze z kasy oszczędnościowej. To znaczy tę część pieniędzy, którą tam trzymali, ponieważ resztę przezornie woleli zachować w domu. W ten sposób uniknęli losu tysięcy Polaków, których w wyniku owej wymiany pieniędzy ograbiono z oszczędności. Depozyty bankowe wymieniano według kursu sto starych złotych na trzy nowe, a gotówkę w proporcji odpowiednio sto do jednego. Mieli czas, by jeszcze przed planowaną reformą walutową przeprowadzić się do domu po zaprzyjaźnionym zmarłym organiscie i zamieszkać w urokliwych pobliskich Broniszczach. A zatem w porównaniu z innymi rodakami, zwłaszcza tymi nagle zbiedniałymi, dawali sobie stosunkowo dobrze radę i w dodatku w sposób, który nie narażał ich nowym władzom. Potrafili być dyskretni i nie rzucać się w oczy. Potrafili być skuteczni. Właśnie dlatego, że byli zaradni. Że dobrze oceniali rzeczywistość. Bo nie byli oderwanymi od życia marzycielami – jak oceniała ich Irena. Choć nigdy nie zrezygnowali z tych marzeń. Nigdy nie poddali się wszechogarniającemu duchowemu zubożeniu. A wspomnienia i kultywowanie przeszłości oczywiście bardzo im w tym pomagały. Teraz, gdy zabrakło męża, to właśnie wspomnienia stały się dla Adrianny najcenniejszą wartością, choć nigdy nie traciła z oczu teraźniejszości.

Świadomość obecnych realiów nie oznaczała jednak, że w Adriannie budził się – jak w jej córce – instynkt stadny, gdy tylko spostrzegła zatrzymujący się pod sklepem spożywczym samochód z zaopatrzeniem albo kłębiący się tam tłum zdesperowanych kolejkowiczów. Irena, wzorem większości rodaków, biegła wtedy w ten zgiełk, nie próbując nawet zadać sobie pytania, czy naprawdę musi to robić. Na ogół przecież ani ona, ani pozostali kolejkowicze nie od razu orientowali się, co rzucono tym razem. To nie było istotne. Ważne było, aby odstać swoje, skłócić się, a bywało, że i wymienić ciosy z tymi, którzy znajdowali się najbliżej sklepowej lady, wreszcie kupić. Albo i nie. Bo kto wie, kiedy w sklepie znowu pojawi się jakikolwiek towar. A więc zapasy, zapasy, bo przecież rodzina, dzieci, święta, imieniny, goście. Jeśli czasem tak heroicznie upolowane produkty psuły się i w rezultacie trzeba było ich część wyrzucić, to już trudno. Mniejsza z tym. To nie nasza wina. To oni, czyli komuniści, doprowadzili nas do tego swoimi rządami. A w ogóle po co o tym myśleć? Takie są realia. Trzeba się dostosować, i tyle.

„Do kraju tego, gdzie kruszynę chleba / Podnoszą z ziemi przez uszanowanie / Dla darów Nieba... / Tęskno mi, Panie...”<sup>1</sup>.

Co by napisał Norwid, gdyby zobaczył psujące się po śmietnikach jedzenie? Bynajmniej nie tylko kruszyny chleba? Napisałby o przystosowaniu? Adrianna szczerze wątpiła.

Zresztą nie zamierzała się w taki sposób przystosowywać do rzeczywistości. Stała w kolejkach, gdy już nie miała innego wyjścia. Nie wysługiwała się na okrągło Cholakową i Józwiakiem. Przeciwnie – robiła to najrzadziej, jak mogła. I zawsze uczciwie płaciła, bez wyklócania się. A oni jakoś tak sami z siebie uważali, że pani Rawickiej nie wypada oszukiwać. Bo pani Rawicka to porządny klient, przedwojenna klasa.

Przypieszyła kroku, widząc nadjeżdżający tramwaj. Uchwyliła się uchwyty i jakoś weszła do środka. O miejscu siedzącym nawet nie marzyła, zresztą wołała nie przeciskać się dalej, bo kto wie, czy zdołałaby wtedy wysiąść na odpowiednim przystanku. Znacznie trudniejsze zadanie czekało ją na dworcu autobusowym przy Grójeckiej. Do poszczególnych stanowisk kłębiły się tłumy ludzi, którzy wyszli z pracy bądź wracali z zakupowych łowów do podwarszawskich miejscowości. Marne były szanse, by ci stojący nieco dalej zdołali zmieścić się do podstawionych właśnie autobusów. Niektórzy więc klęli w głos, wiedząc, że będą musieli czekać godzinę albo i dwie godziny dłużej na następny. Inni nie rezygnowali, tylko tłoczyli się i zawzięcie szturmowali pojazdy, by niemal po głowach tych stojących bliżej dostać się do środka. Wszyscy nieładnie zmęczeni, sfrustrowani, wściekli.

Nie potrzebujemy kolejnej wojny, aby zacząć się zabijać, pomyślała smętnie Adrianna, ustawiając się na końcu kolejki. Trudno, moja wina. Mogłam wziąć pod uwagę, że o tej porze ludzie wychodzą z pracy i będzie tłok.

Na ogół przyjeżdżała do Warszawy wczesnym rankiem, jeśli miała coś do załatwienia. Córkę odwiedzała rano – gdy ta akurat miała urlop – albo wieczorami. Dawno nie wychodziła od niej o takiej porze jak dziś.

Może więc Irena ma trochę racji, że czasem tracę kontakt z rzeczywistością? – Uśmiechnęła się pod nosem.

Stojący za nią młody, może trzydziestoletni, człowiek zinterpretował po swojemu jej zdawkowy uśmiech.

– Może i ma pani rację. Może trzeba zacząć się z tego śmiać. – Nie wytrzymał jednak i warknął: – A niech by to już wreszcie jasna cholera wzięła!

<sup>1</sup> C.K. Norwid, *Moja piosnka*.

Nie wiem, czy powinnaś w tych wspomnieniach wchodzić zbyt głęboko w szczegóły – tak mniej więcej wyraziła się Irena. Co miała na myśli?

Adrianna nie zapytała jej o to wtedy, tak na wszelki wypadek. Prawdopodobnie bowiem okazałoby się, że w mniemaniu córki powinna ograniczyć się do najbardziej podstawowych informacji. Jaki jednak miałyby to sens, skoro tyle pewnie nawet Eliza zdradziła Uli. A poza tym Adrianna chciałaby opowiedzieć swojej jedynej wnuczce o konkretnych ludziach, z ich zaletami i wadami, sprawić, by stali się w oczach tej młodziutkiej, wychowanej w Anglii dziewczyny kimś jak najbardziej realnym, bliskim. Zapoznałaby ją przecież tylko z tymi faktami, które znali Andrzej i Jacek. Chyba że według Ireny „zbyt głęboko weszła w szczegóły”. Może ona rzeczywiście tak myślała? Zbываła milczeniem opowieści matki o spacerach na starą część cmentarza w towarzystwie wnuków albo wyprawy do Radziejowa, gdzie na oczach wszystkich rozpadał się ich dawny, przejęty przez władzę ludową dwór.

Boisz się, że chłopcy mogą niechęć opowiedzieć o tym w szkole? – zastanawiała się w myślach i nawet zadała przed laty takie pytanie córce, na co tamta zachnęła się i najwyraźniej nie miała pojęcia, co odpowiedzieć. No tak, jeszcze kilka lat temu można się było obawiać niemal wszystkiego, trzeba było analizować każde słowo przed wypowiedzeniem go na głos, ale przecież czasy tego najbardziej mrocznego terroru się skończyły. Nie zwrócono zagrabionej własności, ale przeprowadzono rehabilitacje wielu ludzi, w tym dawnych posiadaczy ziemskich i właścicieli fabryk.

O co zatem mogło jeszcze chodzić Irenie?

Gdybyż córka potrafiła wyrażać swoje zastrzeżenia w sposób bardziej zrozumiały. Taki, w którym nie trzeba by było doszukiwać się podtekstów i snuć domysłów. Szczegóły! Dobrze sobie!

A może rzeczywiście nie ma sensu już na wstępie „ciągnąć” (tak właśnie wyraziła się Irena) tej młodziutkiej Uli do kaplicy nagrobnej jej pradziadków? W każdym razie chyba nie jest to najlepsze miejsce, by właśnie tam wychowana w zupełnie innych warunkach młoda osoba wysłuchiwała rodzinnych historii. Kto wie, czy nie podziałaloby to na dziewczynę przygnębiająco i – co gorsza – zniechęcająco.

Dobrze. Najpierw pokażę jej albumy. Zacznę od najstarszego.

Wyjętą z kredensu księgę wyniosła na ganek i odetchnęła świeżym, jeszcze rześkim o poranku powietrzem. Pierwsza strona – zdjęcia Heleny i Michała Jurczyńskich. Oczywiście opowie wnuczce o swoich rodzicach. Opowie o ich nieudanym małżeństwie. Zrobi to najbardziej oględnie, jak się tylko da, ale czemu Ula miałaby o tym nie wiedzieć? Ostatecznie Jurczyńscy się przecież formalnie nie rozeszli. Być może dlatego, że nie zdążyli. A może też dlatego, że w tamtych czasach decyzja o formalnym zakończeniu małżeństwa i jej zrealizowanie były bez porównania trudniejsze niż obecnie. Tak czy inaczej, nie żyli już ze sobą. Czy to jakaś wstydliva informacja, z którą nie wypada zaznajamiać wnuczki? Wtedy, przed pierwszą wojną – oczywiście był to niebywały skandal. Ale teraz? Ostatecznie małżeństwo Elizy także się rozpadło. Ula, podobnie jak babka, patrzyła na rozpad swojej rodziny. Na pewno zrozumie... Nagle Adrianna poczuła przyspieszone bicie serca i ten nieprzyjemny niepokój, jaki niekiedy się w niej odzywał. Tak jakby usłyszała czyjeś wołanie, choć nie miała pojęcia, skąd ono dobiegało i kto ją wzywał. W okamgnieniu podjęła jednak decyzję – nie będzie epatowała szczegółami, opowiadając Uli o swoich rodzicach.

Następna strona... Piotruś. Jedno, jedyne zachowane zdjęcie, w dodatku nie najlepszej jakości. Zostało zrobione, wedle napisu na odwrocie, w tysiąc dziewięćset pierwszym toku, na kilka miesięcy przed jego śmiercią. O Piotrusiu trzeba oczywiście Uli opowiedzieć. Nawet jeśli zrobiła to już wcześniej Eliza. Choć w głębi serca Adrianna wątpiła, by córka była aż tak wylewna. Zbyt wiele w niej było żalu do niej i do Dezyderego, gdy osiemnaście lat temu opuszczała kraj. I żal ten z pewnością w dużej mierze był wciąż aktualny, skoro zdecydowała się przyjechać tylko z krótką wizytą, w dodatku dopiero po śmierci Dezyderego. I zapewne w dalszym ciągu podchodziła do tego niezbyt chętnie. Uległa dopiero męczącym perswazjom Ireny. Adrianna zawsze uważała, że Irena, jeśli się zawzięła, potrafiła tak długo

wiercić swojej ofierze dziurę w brzuchu, aż wreszcie osiągała swój cel. Byłby z niej dobry oficer śledczy.

No dobrze, tak czy owak, Ula powinna wiedzieć, kim był Piotruś Jurczyński. Po raz kolejny przy tej okazji nasza Adrianna ponura refleksja, że nie przetrwało ani jedno jej wspólne zdjęcie z braciszkiem. Ani jedna fotografia, na której byłoby oboje. Może zresztą takowa nigdy nie istniała? Adrianna nie potrafiła sobie przypomnieć, by kiedykolwiek zrobiono im wspólne zdjęcie, ale przecież nie wszystko musiała zapamiętać. To było wieki temu. Z drugiej strony w tamtych czasach fotografowanie nie było tak powszechne jak obecnie.

Na kolejnej stronie zobaczyła własne zdjęcie... w towarzystwie Rozalii. Niewiele brakowało, a fotografia ta zostałaby pocięta nożyczkami na kawałki albo rozerwana na strzępy, a może i spalona w ogniu świecy. Za każdym razem wyroku na niej chciał dokonać nie kto inny jak młodzianka wówczas Ada Jurczyńska. Nie zrobiła tego... Nie potrafiła, nie mogła. Zawsze coś ją w ostatniej chwili przed tym powstrzymało, jakieś wewnętrzne przekonanie, że tego nie należy robić, że jeśli zniszczy tę pamiątkę, gorzko pożałuje. Błogosławione przecucie! Ada po latach dziękowała Bogu i przeznaczeniu, że jedyne wspólne zdjęcie, na którym została uwieczniona w towarzystwie Rozalii, jednak przetrwało. Choć długo trzymała je osobno, we własnym sekretarzyku. Do albumu włożyła dopiero po śmierci ojca.

Rozalia. Już dawno oddała jej sprawiedliwość i dlatego oczywiście powinna opowiedzieć o niej Uli. Lecz... w jaki sposób? Jakie szczegóły miała w tym wypadku odrzucić?

Najłatwiejszy w tej opowieści będzie początek. Niewinny, dobry, pełen ciepła. Taki, jaka była Rozalia. Potem będzie już trudniej, potem trzeba się zastanowić nad selekcją zdarzeń. Lecz początek nie będzie przedstawiał trudności. Przynajmniej ona, Adrianna, lubi wracać wspomnieniami do tego dnia, gdy po raz pierwszy przedstawiono jej guwernantkę.

Było to na początku sierpnia tysiąc dziewięćset drugiego roku, pół roku po śmierci Piotrusia.

Gdy na polecenie matki piastunka sprowadziła ją do małego saloniku pełniącego niekiedy rolę pokoju śniadaniowego, mała Ada w pierwszej chwili skoncentrowała uwagę na Helenie Jurczyńskiej, a nie na nieznannej jej do tej pory młodej kobiecie. Już sam fakt, że matka, po raz pierwszy od pogrzebu syna starannie ubrana i uczesana, przyjmowała wizytę i wezwała córkę do swojego saloniku, wydał się jej mocno zastanawiający. Przecież od kilku miesięcy pogrążona w ciężkiej żałobie Jurczyńska właściwie nie opuszczała swojej sypialni i nawet posiłki jadła sama, a kiedy Kazimiera przyprowadzała do niej córeczkę, zdawała się w ogóle nie zauważać obecności małej. Nawet jeśli czasem od niechcenia zadała córce jakieś pytanie, to i tak nie słuchała odpowiedzi. Ada zatem doszła do wniosku, że matka wcale nie potrzebuje, wręcz nie życzy sobie jej odwiedzin.

– Nie prowadzaj mnie do niej – oznajmiła niani. – Ona mnie już nie chce.

Kazimiera była zgorszona w najwyższym stopniu.

– Co za niedobre i nieczułe dziecko – odparła oburzona. – Jak w ogóle możesz tak myśleć?! Twoja biedna matka cały czas rozpacza po śmierci Piotrusia. Chyba możesz to zrozumieć? Powinnaś postarać się być dla niej pociechą w strapieniu, a nie dąsać się i obrażać.

– Mnie też jest smutno, a nikogo to nie obchodzi! – zawołała wtedy rozżalona dziewczynka, po czym dodała to, co od pewnego czasu chodziło jej uparcie po głowie: – Szkoda, że to nie ja umarłam.

– To grzech tak mówić! – zgromiła ją bardziej w tej chwili przerażona niż zagniewana niania.

Lecz Ada wiedziała swoje. Matka i ojciec zawsze woleli Piotrusia niż ją. Gdyby to pod nią, a nie pod jej bratem, załamał się lód na stawie, nawet w połowie by tego tak nie przeżywali, jak w przypadku syna. O ile w ogóle byłoby to dla nich jakimś zmartwieniem. Piastunka, słuchając jej, przeżegnała się i stanowczo zabroniła nie tylko tak mówić, ale nawet myśleć. Nie wolno przyzywać śmierci, perorowała, śmierć i tak o nikim nie zapomni. Nie wolno mieszać się do boskich planów. Wielkie spotkało ich wszystkich nieszczęście, to prawda, ale na wolę boską nic się nie poradzi. Bóg wie, co robi. Widocznie tak miało być.

Słowa niani zrobiły na Adzie pewne wrażenie, niemniej nie pozwalała prowadzić się do matki tak długo, aż Kazia przestała na to nalegać. Tego dnia jednak oznajmiła, że matka sama ją wzywa, i to nie do swojej sypialni, lecz do saloniku na dole, bo chce jej kogoś przedstawić. To było coś nowego, w każdym razie wprowadzało jakieś urozmaicenie w ponurą i żalobną egzystencję ostatnich miesięcy.

Na widok prezentującej się schludnie Heleny Ada poczuła taką radość, że niewiele brakowało, a rzuciłaby się matce na szyję. Jednakże ta powstrzymała ją jednym, ale bardzo wymownym gestem dłoni.

– Przywitaj się z panną Rozalią Reńską – oznajmiła spokojnie, prawie obojętnie.

W jednej chwili cała radość i podniecenie zniknęły jak za zdmuchnięciem świecy. Głęboko rozczarowana, przywołana do porządku dziewczynka zatrzymała się w miejscu i dygnęła przed gościem, choć tak naprawdę pragnęła już tylko wrócić biegiem do swojego pokoiku.

– Dzień dobry. – Usłyszała miły, pełen serdecznego ciepła głos i dopiero wtedy przyjrzała się uważniej kobiecie, której do tej pory z pewnością nie miała jeszcze okazji ani widzieć, ani poznać.

W tej chwili instynktownie odgadła, że z pewnością nie była ona żadną znajomą matki, choćby dlatego, że nie miała prezencji osoby z towarzystwa. Z ich towarzystwa. Nie była taka jak te wszystkie panie, które niegdyś odwiedzały ich dom i nawet teraz, choć już bardzo rzadko, składały czasem grzecznościową, kurtuazyjną wizytę.

Rozalia Reńska miała wówczas dziewiętnaście lat, a w wyrazie jej twarzy, gestach, obejściu nie było nic ze sztywnej powściągliwości damy, z którą dopiero zawiera się znajomość. Właściwie gdyby ubrano ją w fartuszek i włożono na głowę czepek, wyglądałaby jak pokojówka. Tyle że matka nie urządziłaby takiej hecy z okazji przyjęcia do pracy nowej pokojówki. Ani nie przestawiałaby jej córce, ani sama nie zawracałaby sobie głowy podejmowaniem takowej w saloniku.

– Panna Reńska będzie twoją guwernantką – wyjaśniła wreszcie matka. – Jej zadanie będzie polegało na przygotowaniu cię do nauki w dobrej warszawskiej pensji. Abyś nie odstawała tam od innych panienek i dobrze sobie radziła. Dlatego nie ma czasu do stracenia i lekcje zaczniesz już w sierpniu.

A zatem o to chodziło? Chcieli ją wysłać na pensję, pozbyć się jej z domu! Ada była przerażona nie na żarty. Strach nie odebrał jej jednak woli oporu i walki.

– Nie chcę wyjeżdżać do szkoły – oznajmiła rozpaczliwie.

– Panna Reńska nauczy cię przy okazji dobrych manier – dodała surowo Helena, a potem, nie zważając już na dziecko, zwróciła się bezpośrednio do młodej nauczycielki: – Proszę nie przejmować się humorami tego dziecka, lecz stanowczo i konsekwentnie wziąć je w karby. Mała, jak sama pani widzi i słyszy, jest dość uparta i krnąbrna, ale powinna sobie pani z nią poradzić. – A potem dodała słowa, których Ada nigdy już nie zapomniła: – Jej brat był znacznie lepiej ułożonym dzieckiem.

W pokoju zrobiło się cicho jak w kościele. Ada zadrżała i mocniej ścisnęła dłoń Kazimiery. Opuściła nisko głowę. Czuła na sobie spojrzenia wszystkich zebranych w saloniku kobiet, sama jednak nie była w stanie odwzajemnić żadnego z nich. Usłyszała ponownie obojętny, wyprany z wszelkich emocji głos matki:

– Zna pani swoje obowiązki, panno Rozalio. Wszystkie warunki zostały już omówione. Kazimiera zaprowadzi panią do przeznaczonego dla pani pokoju, a od jutra proszę przystąpić do pracy.

– Oczywiście, proszę pani – odpowiedziała Rozalia, a Helena Jurczyńska, nie zwracając już na nikogo uwagi, opuściła pomieszczenie.

Przez chwilę panowało niezręczne milczenie, które wreszcie przerwała Kazimiera:

– Zechce pani udać się ze mną. Przy okazji pokażę pani gabinet przeznaczony do lekcji.

– Byłabym wdzięczna – odpowiedziała dziewczyna, a Adę po raz kolejny ujęło miłe brzmienie jej głosu.

Potem, za każdym razem, gdy wracała wspomnieniami do tego dnia, utwierdzała się coraz bardziej w przekonaniu, że pierwszą cechą, którą pokochała w pannie Reńskiej, był właśnie jej głos. Wszystko inne stanowiło już chyba nieuchronną konsekwencję tej fascynacji. Trochę później miała się przekonać, że Rozalia Reńska zafascynowała nie tylko ją. I niewykluczone, że każdy, kto uległ jej urokowi, najpierw dawał się uwieść niskiemu, ciepłemu tembrowi jej głosu.

W gruncie rzeczy Reńska nie mogła poszczycić się wybitną urodą. A nawet, mówiąc wprost, nie była ładna, raczej bardzo przeciętna. W gronie innych kobiet z początku trudno byłoby ją nawet zauważyć. Idąc po schodach, a potem długim korytarzem, w ślad za Kazią i młodą guwernantką, Ada przyglądała jej się spod oka dyskretnie, ale zarazem uważnie.

Reńska była niewysoka, krępa, miała okrągłą, by nie powiedzieć pyzată, twarz i gładko zaczesane do tyłu, splecione w gruby węzeł popielate włosy. Dopiero następnego dnia Ada miała okazję przekonać się, że guwernantka miała duże szare oczy i czarujący uśmiech. To te właśnie cechy – pogodne spojrzenie, uśmiech i brzmienie głosu – decydowały o jej niezaprzeczalnym uroku, który sprawiał, że ludzie przestawali zastanawiać się nad brakiem urody u tej dziewczyny.

– Proszę nie brać sobie zanadto do serca słów pani Jurczyńskiej – tłumaczyła tymczasem Kazia. – Pani jest pogrążona w ciężkiej żałobie po synku i nie zawsze panuje nad tym, co mówi. To znaczy, broń Boże, nic złego nie chciałam powiedzieć. Proszę mnie dobrze zrozumieć. Chodzi jednak o to, że pani Jurczyńska trochę... przesadza. Panienka Ada jest naprawdę miłym dzieckiem, choć sytuacja panująca teraz w tym domu nie jest łatwa. Dla nikogo, a zwłaszcza dla małej dziewczynki. Proszę mi wybaczyć, jeśli to, co teraz mówię, wydaje się pani zbyt śmiałe.

– Ależ skądże znowu – pospieszyła z wyjaśnieniem Reńska. – Czuję, że ja i moja uczennica naprawdę się zaprzyjaźnimy. Mówiąc to, odwróciła się do Ady i zanim dziewczynka zdążyła uciec spojrzeniem, mrugnęła do niej wesoło.

Następnego dnia zaczęły się lekcje. Najpierw te poranne, potem, po przerwie obiadowej, popołudniowe. Te drugie nie trwały zresztą długo, bo gdy słońce zaczęło intensywnie świecić w wychodzące na południowy zachód okna, w pokoju zapanował upał nie do wytrzymania.

– W taką pogodę to grzech siedzieć w murach – oświadczyła rezolutnie Rozalia i uśmiechnęła się do wpatrzony w nią Ady. – Chyba odłożymy książki i pozwolimy sobie na małe wagary. Co o tym sądzisz?

Ada wstydziła się przyznać, że nie rozumie, co oznaczają jakieś tam wagary, ale na wszelki wypadek skinęła potakująco głową.

– No to wspaniale – ucieszyła się dziewczyna, tak jakby nie była do końca pewna reakcji dziewczynki. – W takim razie idziemy na spacer. Myślę, że jak na pierwszy dzień nauki ty także masz już dość ślęczenia nad książkami.

– Nie – odparła grzecznie Ada. – Podobało mi się.

– Jesteś bardzo uprzejma – roześmiała się Rozalia – ale nie obawiaj się. Możesz być ze mną szczerą. Nie widziałam jeszcze dziecka, które przedkładałoby książki nad możliwość wyhasania się na świeżym powietrzu czy gdziekolwiek indziej. A możesz być pewna, że wiem, co mówię. Mam pięcioro młodszego rodzeństwa.

Ada była jednak szczerą w swej ocenie. Lektury jej się podobały, były dla niej nowym i ciekawym doświadczeniem, w przeciwieństwie do jurczewickiego parku i ogrodu, które od śmierci brata straciły dla niej wszelki powab. Nie mówiąc już o braku ochoty do jakichkolwiek zabaw i „hasania”.

Nie protestowała jednak, bo po pierwsze nie była jeszcze gotowa do żadnych zwierzeń związanych ze swoim samopoczuciem, a po drugie widziała, że nauczycielka ma chęć wyjść na zewnątrz. Ada zaś chciała sprawić jej przyjemność. Już wtedy czuła, że wczorajsze przewidywania Rozalii à propos wzajemnej przyjaźni między nimi mają szansę się spełnić.

Sierpień tego roku był naprawdę piękny, a po obfitych deszczach z końca lipca przyroda wyraźnie się ożywiła i sprawiała wrażenie niemal tak świeżej jak w maju. Rozalia przyglądała się temu z zachwytem.

– Na wsi przynajmniej widać, czuć i słyszeć lato – zawołała z entuzjazmem. – Do tej pory rzadko miałam okazję opuszczać Kraków i cieszyć się latem na wsi. Nawet na naszych Plantach nie jest tak pięknie jak tu.

– Czy Kraków jest daleko stąd? – zapytała Ada.

Było to pierwsze pytanie, jakie zadała nauczycielce. W ogóle były to pierwsze słowa, na jakie odważyła się z własnej inicjatywy. Rozalia najprawdopodobniej wzięła to za dobry znak, odpowiedziała bowiem bez wahania i z widoczną przyjemnością:

– Tak, dość daleko. Po skończeniu jednej z tamtejszych pensji udzielałam prywatnych lekcji i korepetycji w trzech krakowskich domach. Potem jeden z pacjentów mojego ojca, bardzo wytworny i miły obywatel ziemski, powiedział, że znajomy jego przyjaciół z Kongresówki szuka nauczycielki dla



swojej córki. Tak trafiłam tutaj. I jestem bardzo zadowolona – dokończyła rezolutnie.

– Pani ojciec jest lekarzem? – zainteresowała się Ada.

Onieśmienie, które odczuwała podczas lekcji, stopniowo ustępowało.

– Tak – potwierdziła wesoło Rozalia.

– I zgodził się, aby pani wyjechała z domu, żeby pracować? – Ledwo zadała to pytanie, od razu się zawstydziała. To, co powiedziała, wydało jej się bardzo niewłaściwe, nawet niegrzeczne. Rozalia jednak tak tego nie oceniała, odpowiedziała bowiem bez zastanowienia:

– Ojciec mój jest postępowym człowiekiem. – Zerknęła na Adę. – Ty pewnie jeszcze nie rozumiesz, co to znaczy. Otóż wcale nie uważa, by praca była dla kobiety czymś niewłaściwym. Zawsze twierdził, że jego córki powinny w razie czego umieć sobie radzić w życiu. A poza tym, jak ci już mówiłam, mam liczne rodzeństwo. Nie jest łatwo utrzymać taką rodzinę, nawet lekarzowi.

Ada nie miała nic na ten temat do powiedzenia, więc już w zgodnym milczeniu minęły dworski ogród i znalazły się za parkanem. Dalej rozciągały się łąki i pola, gdzie po skoszonym zbożu pozostały sterczące rżyska.

– Jeśli nie jesteś zmęczona albo głodna, mogłybyśmy pójść tam, choćby kawałek – zaproponowała Rozalia.

– Dobrze – odparła Ada. Spacer zaczynał jej się podobać. Poza tym tak rzadko miała okazję wyrzeć za ogrodowy parkan. Co najwyżej do parafialnego kościoła, ale przecież nigdy pieszo, nigdy na przechadzkę. Zresztą od pogrzebu Piotrusia zaledwie kilka razy zabrano ją do kościoła w Broniszczach.

– Chodźmy tędy! – zawołała ochoczo nauczycielka, wskazując na wąską, zarośniętą ścieżynę wijącą się między kilkoma wierzbami. – Kiedy byłam mała, czytałam, że w takich miejscach mieszkają wróżki i elfy, choć na ogół nie pokazują się w pełnym słońcu. Łatwiej trafić na nie wieczorową porą. Może jednak nam się uda i spotkamy któreś z nich, nawet teraz, w biały dzień?

– Nie – zaprotestowała zdławionym głosem dziewczynka i cofnęła się o dwa kroki.

Rozalia błędnie zrozumiała jej reakcję.

– Przestraszyłaś się? Przepraszam, już nie będę opowiadać takich rzeczy. Żartowałam. Wróżki i elfy przecież nie istnieją, choć przyznam ci się w tajemnicy, że tego żałuję.

– Nie pójdę tam – powtórzyła uparcie dziewczynka, a ton jej głosu nie pozostawiał złudzeń, że nie ustąpi.

– Dlaczego? – zainteresowała się wreszcie Rozalia, a jej spojrzenie podążyło za wzrokiem uczennicy. – Co się tam znajduje?

– Staw – odpowiedziało dziecko, a Rozalia w jednej sekundzie przestała się uśmiechać. Drżącą ręką pogłaskała dziewczynkę po głowie.

– Przykro mi, skarbie – szepnęła. – Naprawdę nie wiedziałam. Czy chcesz już wracać do domu?

Do domu? To znaczy do ponurego dworu, w którym przebywali pogrążona we własnym świecie, tracąca coraz częściej kontakt z rzeczywistością matka i milczący nieprzyjaźnie ojciec? Michał Jurczyński coraz częściej zresztą wyjeżdżał, nie mówiąc nikomu dokąd ani w jakim celu, i nie wracał nawet po dwa, trzy tygodnie.

– Nie! – krzyknęła rozpaczliwie dziewczynka i nagle, wiedziona jakimś wewnętrznym impulsem, przylgnęła całym ciałem do Rozalii. – Nie chcę wracać do domu.

Zamiast tego pragnęła tulić się do tej nieznanej aż do wczoraj dziewczyny, tak innej niż matka i wszystkie kobiety, które do tej pory miała okazję poznać. Nawet ciotka Cecylia, nawet niania Kazimiera nie przytulały jej w taki sposób i nie głaskały tak czule po głowie jak ta młoda guwernantka, córka niezamożnego, krakowskiego lekarza. Dziewczyna z innego środowiska, z innego świata. Ze świata, którego Ada nie знаła.

– Dobrze, teraz już wszystko będzie dobrze – powtarzała Rozalia. – Nie wrócimy jeszcze do domu. Sama wybierz drogę i miejsca, które chciałabyś mi tutaj pokazać.

I tak, objęte w pole, poszły przed siebie.

Oto początek ich przyjaźni, która jednak przetrwała zaledwie cztery miesiące. W grudniu tysiąc dziewięćset drugiego roku ich zażyłość została wystawiona na próbę i nie przeszła jej zwycięsko. Między

nimi została wykopana tak głęboka przepaść, której przez wiele lat nie sposób było zasypać, choć Rozalia jeszcze długo potem robiła, co w ludzkiej mocy, aby tego dokonać.

Nigdy nie przestała kochać swojej małej uczennicy, a potem dorastającej i całkiem już dorosłej pasierbicy.

Adrianna, dotykając starej fotografii, na której ktoś – nie mogła już sobie przypomnieć kto – uwiecznił je obie, fotografii, której nigdy nie zdecydowała się zniszczyć, na nowo poczuła tamto ciepło i słodycz, jakich zaznała kilkadziesiąt lat temu, gdy tuliła się do swojej nauczycielki i czuła jej dłoń na swojej głowie.

– Opowiem o tobie swojej wnuczce – szepnęła, wodząc palcami po zdjęciu. – Chociaż tyle ci się ode mnie należy.

– Naprawdę zamierzasz rozpamiętywać to do końca swoich dni? – spytał ją kiedyś Dezydery.

– Tak, wiem, że ty jesteś mistrzem w wypieraniu z pamięci spraw mało przyjemnych – odcięła się wtedy. Choć wiedziała, że nie była sprawiedliwa.

Dezydery rzucił wtedy na nią szybkie, niemniej uważne, spojrzenie spod oka i wzruszył ramionami.

– Czasami tak właśnie trzeba... aby nie zwariować.

Oczywiście on także miał swoje wspomnienia i zawsze była tego świadoma. Starał się jednak inaczej do nich podchodzić niż ona.

– To już przeszłość – powtarzał. – Nie zmienimy jej. Zadręczanie siebie i rozdrapywanie starych ran pytaniami, co by było, gdyby postąpiło się inaczej, nie ma już sensu. Co było, to było. Koniec. Kropka.

Niby tak, niby też to wiedziała. Mimo wszystko wspomnienia tamtego grudniowego poranka tysiąc dziewięćset drugiego roku nigdy nie dały jej spokoju, bo oznaczały prawdziwą rewolucję w jej jako tako poukładanym życiu. I to właśnie wtedy, gdy wreszcie po raz pierwszy dzięki Rozalii czuła się kochana i doceniana. Gdy wreszcie odkrywała, co to znaczy być szczęśliwą i bezpieczną. Nagle to wszystko zostało w brutalny sposób przerwane i Adrianna nigdy potem nie mogła oprzeć się przekonaniu, że miało to wpływ na całą resztę jej życia. Już nigdy nie zdołała pozbyć się tkwiącej w niej obawy, że z mozołem odbudowywane poczucie bezpieczeństwa może znowu okazać się ułudą, a w każdym razie przyjdzie jej za nie zapłacić. Jak wtedy...

Pierwsze, co potrafiła sobie przypomnieć, to było szarpnięcie za ramię. A potem gorączkowo szeptane słowa:

– Wstawaj. Wyjeżdżamy.

Początkowo myślała, że to sen, taki mało komfortowy, więc w pierwszym odruchu chciała naciągnąć koldrę na głowę i odwrócić się w stronę ściany, ale czyjeś ręce jej na to nie pozwoliły.

– Obudź się, na litość boską. – Usłyszała i w tym momencie rozpoznała głos matki. Ten jej pełen napięcia ton, gdy wpadała w rozdrażnienie. To nigdy nie zapowiadało niczego dobrego.

Z trudem otworzyła oczy. Wokół panowały ciemności.

– Przecież jest noc – wyszeptała.

– Jest szósta rano – odparła Helena Jurczyńska, zapalając lampę. – No już, podnoś się z łóżka, natychmiast. Musimy stąd wyjechać. Nie zostanę tu ani dnia dłużej.

– Nie chcę jechać – zaprotestowała z płaczem Ada. – Jest ciemno, zimno. Chcę spać.

Najbardziej jednak przerażała ją matka. Tak pobudzonej nie widziała jej jeszcze nigdy, a w każdym razie nie potrafiła sobie tego przypomnieć. Zaraz też przyszło jej do głowy, że wołała oglądać ją, gdy ta ospale i w milczeniu patrzyła całymi godzinami w okno, do nikogo się nie odzywając, niż teraz, gdy wykonała tyle gwałtownych ruchów i wyrzucała z siebie tyle niezrozumiałych słów.

– Nie masz tu nic do gadania! – krzyknęła matka. – Dobrych manier, jak widać, też cię nie nauczyła ta... – przerwała, napotykając ostrzegawcze spojrzenie Kazimierzy, która w tym samym momencie wślizgnęła się do pokoju. – Przygotuj ją do wyjazdu, i to bez zbędnej zwłoki – rzuciła w stronę niani.

– Dobrze, proszę pani – odparła cicho Kazia, ale było wątpliwe, czy Helena Jurczyńska zdążyła ją usłyszeć, w tej samej bowiem chwili wyszła.

Wystraszona Ada patrzyła teraz w napięciu w wilgotne, zaczerwienione oczy służącej.

– Dlaczego płaczesz, nianiu? – spytała, czując, że jeszcze chwila, a sama zacznie krzyczeć wniebogłosey.

– Smutno mi, że odjeżdżasz – odpowiedziała Kazia.

– A ty nie pojedziesz z nami?

– Nie. Pojedziesz tylko ze swoją matką.

To było zupełnie niepojęte. Wprawdzie Ada do tej pory rzadko opuszczała Jurczewice, ale zawsze towarzyszyła jej niania. Czasami oschła, bardzo staroświecka i surowa, była jednak kimś, kto dawał dziewczynce jakieś poczucie bezpieczeństwa i zapewniał stabilizację. Kazia po prostu była zawsze obok, nawet wtedy, gdy Ada jej nie widziała i nie słuchała jej pouczeń lub połajanek. Tak czy owak, dziewczynka zawsze miała świadomość, że ktoś nad nią czuwał, że ktoś jej strzegł. Zwłaszcza że na rodzicach rzadko mogła w tej sprawie polegać. W dodatku podróż tylko z matką wydawała się jej czymś wprost niesłychanym. To się do tej pory nie zdarzało. Nawet przechadzki wyłącznie w towarzystwie Heleny odbywały się bardzo sporadycznie, a od czasu wypadku Piotrusia – ani razu. Nie mówiąc o tym, że od tamtej tragedii Ada nie miała najmniejszej ochoty na żaden spacer z matką. Podświadomie czuła lęk, że matka nie ustrzeże jej przed złem i kto wie, czy po raz drugi nie przyczyni się do niego... choćby zupełnie niechcący... jak wtedy, w przypadku brata. A nagły, zupełnie niespodziewany wyjazd, gdy wokół panowały ciemności, a matka zachowywała się w sposób tak niepokojący, krył w sobie zapowiedź czegoś złego.

– Pospiesz się. Podaj mi tamtą sukienkę. Trzeba uczesać włosy. – Kazia wytarła oczy i energicznie zakrzętnęła się wokół siedzącej nieruchomo dziewczynki, pakując rzeczy do kuferka.

– Nigdzie nie jadę – wyszeptwała coraz bardziej przerażona Ada.

– Nic na to nie poradzę, dziecko. Naprawdę... nic. – Niania zatrzymała się na chwilę w biegu i popatrzyła ze współczuciem na wychowankę. Ze współczuciem, a zarazem z bezradnością. I właśnie ta bezradność odebrała Adzie resztkę nadziei. Bo Kazia do tej pory nigdy nie była bezradna, zawsze znajdowała jakieś wyjście z sytuacji.

– Dokąd mam jechać? – zapytała wobec do tego dziewczynka i dwie wielkie łzy spłynęły po jej policzkach.

Na chwilę w oczach piastunki dojrzała – niezależnie od bezradności – wyraźną niechęć.

– Do pani Barcińskiej – odparła Kazia szorstkim tonem, jak zawsze, gdy tylko wspominała Cecylię. Ada już dawno spostrzegła, że Kazia nie lubiła ciotki – niania była jedyną znaną jej osobą, która nie podzielała ogólnego entuzjazmu, gdy Cecylia odwiedzała Jurczewice – ale jak dotąd dziewczynka nie zdołała dociec przyczyny tego stanu rzeczy. Raz nawet spytała o to piastunkę, ale w odpowiedzi doczekała się tylko na wpół zdumionego, na wpół zagniewanego spojrzenia i lekceważącego wzruszenia ramion.

– Do ciotki?

– Przecież mówię.

– Ale...

– Nie zadawaj mi żadnych pytań. – Kazia ponownie zabrała się energicznie do pakowania kufrów. Jej oczy rzucały gniewne błyski, była bardzo wzburzona. – Nie ja tu jestem od wyjaśniania ci takich spraw. Twoja matka byłaby z tego bardzo niezadowolona. A teraz pomóż mi. Nie siedź tak, podejdź tu do mnie, trzeba zapiąć tę sukienkę. Jeszcze trzewiki. I palto. No już, schodzimy na dół. Reszta ubrań zostanie dostarczona później do Warszawy, chyba że Pan Bóg jeszcze wszystko odwróci...

Co Pan Bóg ma odwrócić? I dlaczego reszta ubrań ma być wysłana do domu ciotki później? Co to znaczy reszta ubrań? Wszystkie?!

Zatrzymała się raptownie na schodach i wielkimi z przerażenia oczami wpatrzyła się w Kazię.

– A panna Reńska? Ona także ze mną pojedzie?

– Nie – odparła głucho Kazia, uciekając wzrokiem przed spojrzeniem wychowanki.

– Przecież mam z nią lekcje! – Ada wyrwała dłoń z uścisku niani i zawróciła biegiem na górę. – Przecież muszę mieć z nią lekcje!

– Natychmiast wracaj! – krzyknęła zdesperowana Kazia, ale było oczywiste, że za nią nie nadaży.

Ada dopadła tymczasem do pokoju nauczycielki, ale drzwi się otworzyły, zanim zaczęła w nie stukać, a na progu ukazała się Rozalia. Była bardzo blada, dygotała na całym ciele. Dziewczynka objęła ją z całej siły.

– Musi pani ze mną jechać, proszę, proszę...

– Nie mogę – wyszeptwała Rozalia i drżącą dłonią dotknęła mokrego od łez policzka dziewczynki.

W tym samym momencie obie usłyszały przeraźliwy wrzask Heleny:

– Nie dotykaj mojego dziecka! Zabieraj swoje łapy, ty brudna dziwko!

Zarówno Ada, jak i Rozalia niemal podskoczyły ze strachu. Helena tymczasem chwyciła córkę za ramiona i jednym silnym szarpnięciem zmusiła ją, aby oderwała swoje ramiona od Rozalii. A potem wycięła tamtej mocny, siarczysty policzek.

– Co ty mówisz?! Co ty robisz?! – zawołała Ada, nadaremno próbując wyrwać się z uścisku matki.

Nie pojmowała znaczenia słów rzuconych pod adresem guwernantki, rozumiała jednak, że musiały być bardzo obraźliwe. Nigdy też nie przypuszczała, że Helena miała tyle siły i że... była zdolna kogokolwiek uderzyć.

Modliła się o nadejście pomocy, zarówno dla niej, jak dla zaatakowanej panny Reńskiej, i pomoc ta rzeczywiście nadeszła, choć Ada do końca życia zadawała sobie pytanie, czy to była rzeczywiście odpowiedź Boga na jej błaganie. W dodatku pomoc ta okazała się skuteczna tylko w odniesieniu do zaatakowanej Rozalii.

Usłyszały bowiem szybkie kroki, a potem ostry, stanowczy głos ojca:

– Opamiętaj się wreszcie, ty wariatko! – To były jego słowa rzucone pod adresem żony. Potem zdecydowanym ruchem odepchnął ją od nauczycielki.

– Wynoszę się stąd! – krzyknęła donośnym, piskliwym głosem Helena.

– No to się wynoś! Na co jeszcze czekasz!? Wszystkim tu będzie lżej bez ciebie. Jedź i zacznij się wreszcie leczyć, o ile to jest jeszcze do wyleczenia!

– Zabieram córkę! Już nigdy nie zobaczysz żadnej z nas! – Helena nie ściszyła głosu, a całej sytuacji przyglądała się przyczajona za winklem służba.

Jurczyński rzucił okiem na skuloną dziewczynkę i wykonał taki ruch, jakby zamierzał do niej podejść, ale Helena mocniej ścisnęła rękę Ady i szarpnęła ją do tyłu.

– Wychodzimy! Natychmiast – rzekła tym samym wysokim, histerycznym tonem, po czym ruszyła biegiem schodami do wyjścia, ciągnąc za sobą córkę.

Nikt ich nie gonił, nikt już za nimi nie wołał, a mimo to Helena nie zwolniła. Ada była niemal pewna, że spadną ze schodów, łamiąc ręce i nogi, dotarły jednak do stojącego nieopodal dworskiego ganku pojazdu. Bagaże były już zapakowane, a woźnica Walenty, choć z pewnym wahaniem, to jednak smagnął batem konie i wreszcie ruszyli. W miasteczku trzeba było poczekać na pociąg do Warszawy, co w zimnie ponurego grudniowego poranka nie należało do przyjemności. Walenty towarzyszył im aż do przyjazdu pociągu, po czym zainstalował je w środku razem z bagażami i dopiero wtedy się pożegnał, patrząc ze smutkiem na obydwie, zwłaszcza na małą panienkę. Ada zdołała jeszcze zobaczyć, że stary uczynił znak krzyża w powietrzu i to ostatecznie przekonało ją, że nigdy więcej nie zobaczy już ani Walentego, ani Kazimierę, ani ojca, ani panny Rozalii. Na samą myśl o tym zrobiło jej się tak ciężko na sercu, jakby miała tam stukilowy kamień. Zwłaszcza wspomnienie Rozalii przygnębiło ją tak bardzo, że nie była w stanie przez długi czas spojrzeć na matkę, a tym bardziej się do niej odezwać.

Patrzyła w okno na przesuwające się, przyprószone śniegiem pola. Noc ustąpiła już szarówce, nadal jednak był to ponury krajobraz. Nic nie napawało jej optymizmem. Helena Jurczyńska także milczała, aż wreszcie, gdy były już niemal u celu podróży, Ada odwróciła oczy od okna i przyjrzała się matce. Jurczyńska wyglądała i zachowywała się tak, jak to zazwyczaj bywało. Fryzurę miała w nieładzie, kilka kosmyków zwisało jej smętnie z czoła. Zaczerwienione oczy, policzki i nos były następstwem dopiero co przeżytych emocji i wzruszenia. Patrzyła bezrefleksyjnie przed siebie, a Ada ze strachem pomyślała, że matka chyba w ogóle jej nie dostrzega i pewnie znowu – jak to często bywało – znajduje się w swoim, niedostępnym dla innych ludzi świecie. Tyle że teraz Ada była na nią skazana, nie mogła przecież liczyć na opiekę Rozalii i Kazimierę.

– Mamo...

Brak jakiegokolwiek reakcji matki przeraził dziewczynkę jeszcze bardziej. Zeskoczyła z siedzenia i lekko szarpnęła Helenę za łokieć.

– Co się stało? Dlaczego jedziemy do cioci Cecylii?

Helena drgnęła i wreszcie odwzajemniła spojrzenie dziecka. Niewielka to była pociecha dla Ady – matka bowiem wyglądała jak człowiek wybudzony z głębokiego snu albo ktoś, kto nie do końca rozumie, co się wokół dzieje.

– Dlaczego tak krzyczałaś na pannę Reńską?! – zawołała płacząco Ada i dopiero to pytanie odniosło skutek.

Spojrzenie Jurczyńskiej nabrało wyrazu, choć z pewnością nie napawało optymizmem. Była w nim nie tylko żal i gorycz. Helena nawet nie próbowała ukryć nienawiści.

– Ta podła wydra, ta krakowska kumoszka ubzdurzyła sobie, że spróbuje zająć moje miejsce.

Ada na moment osłupiała i cofnęła się z powrotem na siedzenie. Nie rozumiała słów matki, ale przecież to się zdarzało już wcześniej. Także wtedy, gdy jeszcze żył Piotruś. Odkąd Ada pamiętała, Helena czasem mówiła rzeczy zupełnie bez sensu, tak że dziewczynka w końcu do tego przywykła. Jednak tym razem sytuacja była inna. Groźniejsza, poważniejsza. Tym razem Ada skazana była na tę kobietę, innego opiekuna na razie nie miała.

Uznała zatem, że najrozsądniej będzie o nic już nie pytać, szczęśliwie do przedziału zajrzał konduktor, aby powiadomić, że zbliżają się do docelowej stacji. Obie z matką musiały przedstawiać dość przygnębiający widok, zarówno bowiem konduktor, jak i tragarze przyglądali się im z ciekawością i ze współczuciem, a gdy wreszcie stanęły na progu mieszkania ciotki, służąca, która otworzyła drzwi, wydała z siebie pełen grozy okrzyk.

– Rzeczy są na dole, w dorożce – objaśnił jej zmieszany nieco woźnica, na co tamta natychmiast zawołała stróża i jego dwóch synów. Wtedy z głębi mieszkania nadeszła wreszcie Cecylia Barcińska, która także nie ukrywała przerażenia.

– Boże, jak ty wyglądasz? Co się stało? – zawołała, ale nie czekała na odpowiedź, tylko razem ze służącą wprowadziły Helenę Jurczyńską i jej córkę do środka.

Tego wieczora Ada została bardzo wcześnie położona do łóżka, zaraz zresztą, utrudzona przeżyciami całego dnia, twardo zasnęła. Nie miała pojęcia, co spowodowało, że obudziła się w środku nocy, w każdym razie nie czuła już zmęczenia. Wstała z łóżka i spojrzała na zegar. Wskazywał kwadrans po północy. Natychmiast przypomniała sobie wypadki poprzedniego dnia, a fakt, że nie znajdowała się w swoim pokoju w Jurczewicach, ostatecznie przekonał ją, że wszystko, na co patrzyła i czego słuchała w ciągu ostatniej doby, nie było snem, lecz przerażającą rzeczywistością. Wiedziała, że nie zdoła teraz zasnąć i tknięta jakimś impulsem czy przecuciem otworzyła ostrożnie drzwi, by wyrzeć na zewnątrz. Natychmiast zauważyła smugę światła w głębi korytarza i bez wahania, choć na palcach, ruszyła w tamtym kierunku.

Z jednego z pokoi dobiegały przyciszone, ale wyraźne odgłosy rozmowy. Ada, rozejrzawszy się bacznie wokoło, przystawiła ucho do zamkniętych drzwi. Czy była to sypialnia ciotki, czy też gościnny pokój przeznaczony dla matki, tego nie wiedziała, ale nie miała najmniejszej wątpliwości, że słyszała ich głosy.

– Jesteś pewna? – pytała Cecylia. – Nie zrozum mnie źle, ale czasem nerwy tak bardzo nas zawodzą, że wyobraźnia podsuwa najróżniejsze... wyobrażenia... i wtedy łatwo...

– Ty także uważasz mnie za wariatkę? – przerwała jej wzburzona Helena. – Wiem, co widziałam i słyszałam. Zresztą, powtarzam, podejrzewałam ich od dawna. Ty także podczas ostatniej wizyty zasugerowałaś, że nie podoba ci się ta dziewczyna, że jest w niej coś... fałszywego, a zarazem odstręczającego. To twoje własne słowa! Przypominasz je sobie?

– Tak – odparła ciotka, a ton jej głosu zabrzmiał osobiście, w każdym razie inaczej niż zazwyczaj. – Lecz to, co teraz mówisz... nie mieści się w głowie. Wtedy, pamiętam, parę razy podchwyciłam jej spojrzenia rzucone w jego stronę. Nie podobały mi się, ale przecież wiem, na jakim świecie żyję. A bo to pierwszy raz się zdarzyło, że jakaś głupia guwernantka czy inna służąca zadurzyła się w ojcu swoich uczniów? Zwróciłam ci tylko uwagę, żebyś miała oko na tę pannicę, a w razie czego przywołała ją do porządku. To wszystko. Jednak, szczerze mówiąc, nie bardzo wierzyłam, aby Michał kiedykolwiek zwrócił na nią uwagę. Jest tak pospolita i nieciekawa, że prawie było mi jej żal.

– Zwrócił na nią uwagę, bądź pewna. Czasem widywałam ich rozmawiających ze sobą i od razu

wydawało mi się, że zachowują się zbyt swobodnie. Służba też to zauważyła, w domu zrobiło się bez mała jak w ulu. A ostatniej nocy, właściwie już nad ranem, zobaczyłam, jak wychodził z jej pokoju. Od kilku nocy nie mogłam zmrużyć oka, miałam takie przeczucie, właściwie pewność. Potrzebowałam tylko dowodu. Poszłam tam i zobaczyłam... Nie mam wątpliwości, żadnej.

– Co właściwie zobaczyłaś? – Tym razem w głosie ciotki Ada usłyszała wyraźne zniecierpliwienie.

– Mówiłam ci już. Obejmowali się, całowali... Nie mogę... – Matka zanosła się szlochom. – Nie chcę już o tym mówić...

– Ale zapewne nieraz będziesz musiała, skoro zdecydowałaś się zrobić taki skandal! – Cecylia była wyraźnie wzburzona, bo powiedziała to niebezpiecznie głośno. Zaraz jednak ponownie ściszyła głos, niemniej Ada, przytulona do drzwi, słyszała każde słowo. – Popełniłaś błąd.

– Co takiego? – krzyknęła Helena, a ponieważ zapewne kuzynka próbowała ją mitygować, zaraz dodała: – Nie, nie będę mówić cicho. Nic mnie to nie obchodzi. Niech usłyszą wszyscy dookoła, dość tego udawania.

– Wszyscy? – podchwyciła Cecylia. – Twoja córka... także?

Helena na chwilę umilkła, a Ada miała ochotę wrzasnąć na całe gardło, przez te drzwi, że przecież matka już jej to powiedziała. Wspomniała w pociągu, że Rozalia próbowała ją zastąpić. Jakoś tak to sformułowała. Dopiero teraz do dziewczynki dotarło znaczenie tamtych słów. Helena być może także to sobie przypominała, bo przez pewien czas nic nie mówiła i dopiero po dłuższej chwili Ada usłyszała jej pytanie. Tym razem wyrażone niepewnie, trwożliwie, czyli tak, jak to miała w zwyczaju.

– Dlaczego uważasz, że popełniłam błąd? A poza tym...co to ma znaczyć, że to ja wywołam skandal?

– Nie umiałaś powściągnąć emocji. Narobiłaś wrzasku na cały dom, obudziłaś służbę, podniosłaś rękę na tę dziewczynę, zelżyłaś ją przy świadkach i przy własnym dziecku. Bądź pewna, że wieść o tym rozniesie się po całej okolicy w ciągu jednej doby. Wiem, że chciałaś skompromitować nauczycielkę, ale towarzystwo uzna to za twoją kompromitację. A wiesz dlaczego? Bo ona w gruncie rzeczy do tej pory wcale się nie liczyła. Pewnego dnia i tak zakończyłaby pracę w waszym domu i wyjechała. I wszystko uległoby zapomnieniu. Teraz na to nie licz. Zrobiłaś awanturę, opuściłaś męża. I co dalej?

– Ty także odeszłaś od męża.

– Nie w taki sposób. I nie z takiego powodu. Ale jeśli już powołałaś się na mój przykład, to ci powiem, że chociaż ja i Stanisław staraliśmy się załatwić sprawę w miarę dyskretnie, to i tak w Warszawie brzęczało wtedy jak w ulu. Co będzie w twoim – tak, w twoim – przypadku, bo niemal cała uwaga i komentarze skupiają się w takich okolicznościach na kobiecie, nawet nie potrafisz sobie wyobrazić. Czy będziesz miała siły, aby stawić temu czoło? Wiesz, co robić dalej?

– A więc uważasz, że powinnam była milczeć i znosić taką zniewagę! – zaprotestowała Helena, a jej wysoki, piskliwy głos świadczył o ogarniającej ją panice.

– To zależy, czy masz jakiś plan działania, czy nie. Jeśli nie, to znaczy, że postąpiłaś wysoce nieroztropnie. Tak, mogłaś to przeczekać. Takie rzeczy zdarzały się, zdarzają i będą się zdarzać na tym świecie. A w twoim przypadku dochodzi jeszcze jedna przyczyna... Sama mi mówiłaś, że Michał nie traktuje cię już jak żony. Nie macie... wspólnej sypialni, no sama zresztą wiesz, o co mi chodzi. Nie patrz tak na mnie, jakbyś była szesnastoletnią pensjonarką i niczego nie pojmowała. Nie wierzyłaś chyba, że on zamierza żyć w celibacie.

– O Boże, co ty mówisz! Ty – moja stryjeczna siostra! Ty go usprawiedliwiasz?

– Nie. – W głosie ciotki było tyle oburzenia, że trudno było wątpić w szczerść jej słów. – Oczywiście, że nie! Ale takie jest życie, trzeci czy czwarty raz ci to powtarzam, zacznij mnie wreszcie słuchać. Tacy są mężczyźni i większość kobiet przyjmuje to do wiadomości. Gdyby każda chciała uciekać z domu z powodu pokojówki, bony do dziecka czy guwernantki, z pewnością niewiele małżeństw ostałoby się na tym globie. Jeśli kobieta chce zachować stanowisko żony, wie, że musi na pewne sprawy... patrzeć przez palce. Może nie zawsze tak jest, ale przypuszczam, że w większości przypadków. Albo ma się męża, albo ma się rację. Już nasze prababki to wiedziały. Powinnaś była

przeczekać. Twój mąż z pewnością nie traktowałby poważnie takiej dziewczyny jak ta Reńska. Jak mogło ci przyjść do głowy, że owa panienska mogłaby cię zastąpić na stanowisku jego żony?! Bzdura, moja droga! Ale teraz... teraz kości zostały rzucone. Teraz sama nie wiem, co mam ci poradzić.

– Myślałam, że będziemy mogły zostać u ciebie. – Głos matki brzmiał błagalnie, lękliwie. Ada już nie mogła jej słuchać, ale nie odchodziła od drzwi. Stała przy nich jak zaczarowana, przestało ją nawet obchodzić, że ktoś mógłby ją tu zobaczyć. Nie mogła odejść, musiała złowić każde słowo. Choć nie wszystko rozumiała, miała to jednak zapamiętać w najdrobniejszych szczegółach na resztę swoich dni.

– Oczywiście, że możecie tu zostać tak długo, jak tylko zechcesz – odparła Cecylia, a Ada była przekonana, że ciotka niezbyt chętnie widziała podobną perspektywę. – Czy jednak jesteś pewna, że naprawdę tego chcesz? Teraz na pewno tak. Ale na jak długo starczy ci tej ochoty?

Ponownie zapadło milczenie, co mogło sugerować, że do Heleny Jurczyńskiej dotarły wszystkie konsekwencje tego, na co się poważyła.

– Trzeba porozmawiać z Witoldem – odezwała się wreszcie Cecylia.

– Nie, tylko nie to. Obiecuj, że tego nie zrobisz! – zaprotestowała z rozpaczą Helena.

– A niby dlaczego? To mój brat, twój kuzyn. Zaradzi temu, pomówi z Michałem.

– Nie, on nie potrafi... To znaczy Michał go nie posłucha. Zlekceważy go... Widzisz... jak by to powiedzieć...

– Chcesz powiedzieć, że twój mąż gardzi moim bratem, tak?

Tak, odpowiedziała w myślach Ada. Wiedziała, o co chodzi matce. Sama kilka razy miała okazję obserwować, jak ojciec odnosił się do wuja. Nie rozumiała tego, sama lubiła kuzyna matki. Wuj Witold Rawicki był spokojnym, łagodnym człowiekiem. Czy w tym tkwiła przyczyna, że Jurczyński traktował go tak, jak wymagający profesor traktuje zwykłego, przeciętnego uczniaka, który w jego obecności traci resztki pewności siebie? Jak by nie było, Ada, już jako mała dziewczynka, podobnie jak jej matka, nie wierzyła w skuteczność interwencji wuja. Jak na zawołanie przypomniawszy sobie reakcję ojca, gdy Witold próbował wstawić się za Heleną po śmierci Piotrusia. Wciąż wzdygała się na samo wspomnienie.

Naraz dotarło do niej, że matka powiedziała coś do ciotki, tyle że ona, Ada, na moment wyłączyła się ze śledzenia toku rozmowy. Usłyszała za to kategoryczną odpowiedź ciotki:

– Nie, na to nie licz. Nie wymagaj tego ode mnie, nawet nie prosz. Ja nie nawarzyłam tego piwa...

– przerwała w połowie zdania.

– Ciebie nie zlekceważy – jęknęła matka i dodała ciszej: – Ciebie zawsze lubił.

– Już dość. Idziemy spać. Spójrz, która godzina, połóż się. O tej porze i tak niczego nie wymyślimy.

– Cecylia...

– Nie. A teraz wracam do mojego pokoju. Ja także muszę odpocząć.

Do uszu Ady dobiegł wyraźny odgłos odsuwanego krzesła i kroków. Dziewczynka w jednej sekundzie doszła do wniosku, że jednak nie chciałaby zostać przyłapaną na podsłuchiwanie, i czym prędzej, choć nadal na palcach, pobiegła do swojego pokoiku.

Dwa miesiące później Helena Jurczyńska zmarła w szpitalu, w którym znalazła się wskutek nagłego zasląbnienia, jak to wyjaśniono Adzie. Ona sama nie była obecna przy śmierci matki, nikt nie zaprowadził jej do szpitala. „To nie miejsce dla dzieci” – usłyszała.

– Dlaczego mama umarła? – spytała tamtej nocy, gdy powiedziano jej, co się stało.

Nie rozpaczała, nie czuła nawet smutku. Od tamtego grudniowego świtu, gdy została zbudzona i zabrana z Jurczewic, wciąż miała poczucie nierealności tego, co się wokół niej działo. Niespodziewana śmierć matki była w jej przekonaniu jednym z elementów całego łańcucha zdarzeń. Wcześniej, z wyjątkiem wypadku Piotrusia, wszystko w jej życiu było przewidywalne. Szara codzienna rutyna, która czasami w przeszłości ją drażniła, teraz nabrała zupełnie innego znaczenia. Brakowało jej tamtej codzienności, jednostajności. Ogrodu, parku, lasu i łąk w Jurczewicach. W ciągu tych czterech miesięcy, gdy miała przy sobie Rozalię, nauczyła się to wszystko kochać.

Tęskniła za swoją nauczycielką.



Niezależnie od tego, czego dowiedziała się od matki, potem z podsłuchanej nocnej rozmowy i wielu innych, które po niej nastąpiły, nie potrafiła myśleć źle o młodej kobiecie, ponieważ dała jej ciepło i czułość, a tak bardzo ich wtedy potrzebowała. Dopiero później zrozumiała, że nie tylko ona. Wtedy jednak tego nie pojmowała. Wtedy jedynie tęskniła.

Dlatego gdy ciotka powiedziała jej o śmierci matki, pierwszą reakcją Ady była myśl, że teraz nareszcie wróci do Jurczewic, do Rozalii. Bo jakoś nie potrafiła sobie wyobrazić rodzinnego domu bez ukochanej guwernantki. Lecz kiedy popatrzyła na skurczoną z bólu twarz Cecylii i jej rozbiegane oczy – a takich symptomów u Barcińskiej nigdy dotąd nie widziała – zawstydziała się, że nie czuje smutku po matce. Że nie płacze jak ciotka. I uznała, że powinna zapytać o przyczyny śmierci, chociaż o to. Gdy kilka dni wcześniej zabrano matkę do szpitala – co samo w sobie było niesłychanym wydarzeniem w kamienicy i wzbudziło zainteresowanie całego warszawskiego towarzystwa ich sytuacją rodzinną – zapytała, co się stało.

„Pani zasłabła” – odpowiedziała służąca, lecz nie patrzyła dziecku w oczy.

Zasłabła? Dlaczego? I co to w ogóle znaczy? Czasami, jeszcze w Jurczewicach, służące szeptały między sobą, że dziedziczka znowu „słabuje”, lecz nikt jej z tego powodu nie zabierał do szpitala.

A zatem? Wtedy, kilka dni temu, nie doczekała się odpowiedzi, więc przestała dociekać.

Teraz, gdy spytała ciotkę o przyczynę śmierci matki, także nie spodziewała się odpowiedzi. I szczerze mówiąc, wcale jej nie oczekiwała. Zapytała jedynie dlatego, że tak wypadało.

Ciotka jednak, usłyszawszy jej pytanie, jakby się ożywiła.

– To jej wina – szepnęła i uważnie spoglądała na siostrzenicę.

W pierwszej chwili Ada była niemal pewna, że Cecylia oskarża właśnie ją o to, co spotkało matkę.

Dlatego pokręciła gwałtownie głową.

– Nie.

– Tak. – Ciotka położyła obie dłonie na ramionach dziewczynki, tym samym zmuszając ją, aby patrzyła jej w oczy. – Helena miała rację – kontynuowała. – To ja się myliłam. Umarła z powodu tej krakowskiej wydry, tej tłustej kumoszki, która zabrała jej męża i o mały włos zabrałaby także ciebie. Wyrzuciła twoją matkę z domu, aby zająć jej miejsce.

– To nieprawda – zaprotestowała słabym głosem Ada. W jednej chwili odgadła, o kim mówiła Cecylia, ale przecież to się zupełnie nie zgadzało z tym, co sama pamiętała. – Mama sama chciała wyjechać... Krzyczała wtedy...

– Wyjechała, bo nie mogła tego dłużej znieść. Takie upokorzenie... Ja też jej nie wierzyłam, ale to ona miała rację. Ta kobieta zniszczyła twój dom. Postanowiła zostać dziedziczką Jurczewic. Twojej matce pękło z tego powodu serce.

Pękło serce? To musiało bardzo boleć. Na samą myśl Ada wzdrygnęła się, ale nadal nie wierzyła. Uznała jednak, że na razie lepiej nie dyskutować z ciotką, która w tym momencie wyglądała i zachowywała się jak jej zmarła kuzynka.

Wkrótce Helena Jurczyńska oraz jej córka wróciły tam, skąd wyjechały dwa miesiące wcześniej. Helenę złożono w grobie, którego tak bała się za życia. A niedługo później zdarzyło się coś, co sprawiło, że Ada uwierzyła w oskarżenia matki i ciotki. I na długie lata znienawidziła Rozalię Reńską.

Początkowo nic nie zapowiadało takiego obrotu spraw. Ciotka odwiozła ją do pograżonych w ciszy i żalobie Jurczewic. Tam oczekiwał ich Michał Jurczyński, a wokół trumny z ciałem Heleny modlili się sąsiedzi i służba. Ada, gdy wprowadzono ją do salonu, aż wzdrygnęła się na ten widok, bo natychmiast stanęła jej przed oczami sytuacja sprzed roku. Wtedy w wystawionej trumnie spoczywał jej mały braciszek, ale wokół zgromadziło się także dużo ludzi, słychać było szepty modlitwy i szmer przesuwanych w dłoniach różańców. I znowu, podobnie jak przed rokiem, Ada nie potrafiła rozpoznać żadnego z żałobników, choć przecież zdawała sobie sprawę, że ich zna, a przynajmniej większość z nich. I tak jak wówczas marzyła o jednym – aby zostawiono ją w spokoju, aby mogła opuścić ten salon i nie patrzeć... Nie patrzeć.

Nie mogła jednak tego uniknąć. Gdy wraz z ciotką i ojcem weszła do salonu, odniosła wrażenie, że szmer pacierzy jakby zamilkł, poczuła na sobie spojrzenia zebranych. Rzuciła okiem na matkę – widziała ją po raz pierwszy od tamtego wieczoru, gdy wspólnie zjadły kolację w mieszkaniu Cecylii Barcińskiej. Ciotki wtedy z nimi nie było, wybrała się do teatru i zapowiedziała swój powrót późną nocą. Dlaczego Helena jej nie towarzyszyła, lecz została w domu? Ada wolała nie zadawać tego pytania na głos. Zresztą odpowiedzi częściowo się domyślała na podstawie usłyszanej rano rozmowy dwóch służących. Matka nie czuła się dobrze na dużych zebraniach towarzyskich. Jako kobieta, która opuściła męża, koncentrowała na sobie zbyt wiele uwagi, i to zarówno w teatrze, jak na salonach, a w dodatku nie była to uwaga naznaczona życzliwością. Wyjątek stanowili ludzie o bardziej postępowych poglądach, od czasu do czasu zapraszani przez Cecylię do jej salonu, ale nawet w ich towarzystwie Helena czuła się skrępowana. Dlatego prawie nie opuszczała mieszkania kuzynki, nawet na przechadzki wychodziła rzadko. Tego ostatniego wieczoru była wyraźnie przygnębiona, nie odzywała się i prawie nie jadła.

Ciocia nie powinna była jej tak zostawiać, pomyślała wtedy Ada. Mogła sobie darować ten teatr i zostać w domu.

Nie wypadało jednak wygłaszać takiej opinii na głos. Obie z matką od kilku tygodni korzystały z gościny Cecylii Barcińskiej i nie mogłyby wymagać, aby dodatkowo jeszcze z ich powodu rezygnowała ze swoich upodobań. Niewykluczone zresztą, że obecność kuzynki i siostrzenicy zaczynała jej już ciążyć, chociaż starała się tego nie okazywać. A przynajmniej Ada ani razu tego nie zauważyła.

Tamtego wieczora, gdy służąca przyszła do jadalni, aby zabrać stamtąd dziewczynkę i położyć ją do łóżka, Ada odwróciła się jeszcze i powiedziała „dobranoc”, ale zgodnie z przewidywaniami nie doczekała się odpowiedzi. Mimo to nie miała żadnych złych przeczuc. Zachowanie matki nie odbiegało od normy, to znaczy od tej normy, do której zdążyła przyzwyczać otoczenie, w tym własną córkę. A tymczasem...

Rano służąca, unikając spojrzenia Ady, zakomunikowała jej, że Helena nagle zasłabła i została odwieziona do szpitala.

– Kiedy? W nocy? – spytała zdumiona dziewczynka.

Pokojówka kiwnęła głową.

– W nocy. A właściwie nad ranem.

– A więc w nocy czy nad ranem? – dopytywała się mała.

– A jakie to ma znaczenie? Zasłabła i już. – Pokojówka wreszcie straciła cierpliwość.

No tak, pomyślała Ada, zerkając raz po raz na spokojną twarz matki leżącej w trumnie, jakie to ma znaczenie, skoro i tak jej nie uratowali w tym szpitalu. Dlaczego zasłabła tak nagle? Naprawdę pękło jej serce?

Helena wyglądała, jakby spała. Na jej twarzy wreszcie malował się spokój, którego nie dane jej było zaznać za życia. Wszystkie udręki umysłu i serca nieodwołalnie ją opuściły.

Tyle że ta twarz zaczynała się już zmieniać, nabierać ostrości, zapadać się. Mdły zapach kwiatów wokół trumny w połączeniu z dużą liczbą zebranych ludzi nagle stał się rzeczywistością trudną do zniesienia. Przed oczami Ady zatańczyły ciemne mroczki i byłaby upadła, gdyby w porę nie pochwyciły

jej czyjeś silne ręce. Zdążyła jeszcze usłyszeć wzmożony szmer wielu głosów, a potem straciła świadomość. Odzyskała ją w swoim jurczewickim pokoju. Pierwszą reakcją była ulga, że się tu znalazła. Że wokół widzi swoje meble i rzeczy, że czuje się niczym wśród starych przyjaciół. I dopiero uczyniwszy to spostrzeżenie, rozejrzała się po zgromadzonych wokół jej łóżka osobach.

Kazia kładła jej na czole zimny kompres. Wuj Witold trzymał ją za rękę i patrzył z niepokojem.

– Otworzyła oczy. – Usłyszała i w tym samym momencie spostrzegła kuzyna Dezyderego stojącego za plecami Witolda.

Sama nie wiedziała czemu, ale to do niego najpierw się uśmiechnęła, choć był to jeszcze bardzo blady uśmiech.

– Bogu niech będą dzięki – szepnął wuj i ulga na jego twarzy była tak widoczna, że Ada, gdyby miała siły, rzuciłaby mu się szyję.

– Całe szczęście, że zdążył ją pan w porę uchwycić, bo inaczej upadłaby i kto wie, czy nie rozbiłaby głowy – rzekła niania.

– Niepotrzebnie wprowadzono ją do salonu tak od razu po przyjeździe. To przecież jeszcze dziecko. I bez tego nie brakowało jej złych doświadczeń w życiu.

– Jakże to! – oburzyła się niania. – Matki miała nie pożegnać przed zamknięciem trumny?!

Witold najwyraźniej miał inne zdanie w tej sprawie, ale nie chciał wdawać się w dyskusję. Ponownie uśmiechnął się do siostrzenicy.

– Aleś nam stracha napędziła! Dezydery, biegnij do ciotki i wuja i powiedz, że już odzyskała świadomość.

To, że ojca nie było przy niej w pokoju w takiej chwili, wcale Ady nie dziwiło. Przywykła do jego chłodu i dystansu, sama zresztą nauczyła się traktować go podobnie. Nie przejęła się też nieobecnością ciotki, tym bardziej że Kazia zaraz jej wyjaśniła, że przecież mąż i kuzynka zmarłej musieli zostać w salonie pełnym żałobników. Mniejsza z tym, pomyślała obojętnie. Dobrze, że byli tu wuj Witold i Kazia. A nawet Dezydery, z którym przecież jak dotąd nie miała ani możliwości, ani okazji zawrzeć bliskiej znajomości, lecz mimo to czuła do niego sympatię. Myślami przyzywała jednak jeszcze jedną osobę, za którą tęskniła podczas tygodni pobytu w Warszawie. Przecież pomimo zapewnień ciotki, a wcześniej jeszcze matki, Ada nie mogła uwierzyć w jej winę. Po prostu – nie potrafiła.

– Gdzie jest Rozalia? – wyszeptala jednym tchem.

Natychmiast podchwyciła pospiesznie wymienione spojrzenia dwojga dorosłych i nabrała złych przeczuć.

– A gdzie ma być – odburknęła niechętnie Kazimiera. – Wróciła do swoich rodziców. Myślałam, że o tym wiesz.

– Wróciła do Krakowa? – Ada pozostawiła bez komentarza ostatnie zdanie piastunki.

– Tam przecież jest jej rodzinny dom.

– Kiedy wyjechała? – dopytywała się gorączkowo, kompletnie ignorując wuja, który łagodnie dotykał jej czoła, dając tym samym znak, że nie powinna się teraz denerwować ani dopytywać o Rozalię.

– Zaraz po tym, jak ty i twoja świętej pamięci matka opuściliście Jurczewice – odpowiedziała suchym i rzeczowym tonem niania. Wyglądało na to, że nie podzielała niepokoję Witolda Rawickiego. W przeciwieństwie do niego miała ochotę podjąć temat.

– Dlaczego wyjechała? – Oczy dziewczynki wypełniły się łzami. Wracała przecież do Jurczewic, mając w głowie tę jedną nadzieję, tę jedną pociechę – że zostanie tu pannę Reńską.

– No cóż, nie było powodu, aby tu zostawała, skoro straciła uczennicę.

– Chcę, żeby tu była! – Ada rozplakała się na dobre. – Chcę, aby tu wróciła! I co ja teraz bez niej zrobię?!

– Nie czas o tym mówić. – Wuj Witold próbował ją uspokoić, ale słowa te bardziej niż do niej kierował do Kazi.

Ada nie mogła jednak przestać szlochać i nie reagowała na żadne próby ukojenia jej żalu. Śmierć matki nie wywołała w niej takiej rozpacz jak strata Rozalii. Była wtedy pewna, że już nigdy więcej jej nie zobaczy.

Po pogrzebie dziedziczki Jurczewice pogrążyły się w całkowitej ciszy i przygnębieniu. Właściwie pod wieloma względami było tak, jak po śmierci Piotrusia – Ada przecież doskonale to pamiętała. Tyle że tym razem całkowicie straciła nadzieję, że jeszcze kiedykolwiek poczuje się szczęśliwa i kochana.

Dni mijały jeden za drugim, szare, jednostajne, byle jakie. W dodatku mroźna, ponura pogoda w żaden sposób nie nastrajała optymistycznie. Po śmierci Piotrusia przynajmniej można było liczyć na wizyty ciotki Cecylii, a także – choć znacznie rzadziej – wuja Witolda. Teraz ze strony tamtych dwojga zapadła zupełna cisza.

– Do widzenia, maleńka, będę o tobie codziennie myśleć, pamiętaj – zapewniała ją ciotka, gdy zegnała siostrzenicę przed powrotem do Warszawy po pogrzebie. – Nie mogę zabrać cię ze sobą, bo należysz do swojego ojca, ale mam nadzieję, że nastaną jeszcze lepsze dla nas czasy. Będę pisać.

Ada słuchała jej słów ze zdumieniem, w ogóle bowiem nie brała pod uwagę – nawet hipotetycznie – że ciotka miałaby ją zabrać ze sobą do Warszawy. Jej domem były Jurczewice, nawet te przygnębiające, ponure. Tu było miejsce, z którym wiązała swój los. Wtedy, w tych pierwszych tygodniach po pogrzebie matki, tak właśnie myślała i nawet nie zakładała, że kiedykolwiek zmieni zdanie.

Najbardziej jednak niepokoiła ją cisza wokół jej osoby. To znaczy służba o nią dbała, zaspokajano jej potrzeby, zawsze też mogła liczyć na towarzystwo Kazi, niemniej potrzebowała jakiegoś zajęcia, które wypełniłoby jej dni. Ojcu nie mogła się z tego zwierzyć. Po dawnemu nie zwracał na nią uwagi, nie zachęcał do rozmowy, nawet nie wydawał jej żadnych poleceń. I po dawnemu często wyjeżdżał i nie wracał po kilka dni, a nawet dłużej. Przywykła do tego, niemniej niepokoiła ją myśl, że ojciec w ogóle o niej zapomniał i w takim razie przestał zajmować się jej przyszłością.

– Co ze mną będzie? – zapytała kiedyś Kazię, która akurat porządkowała jej ubrania w szafie.

– A co ma być? – odburknęła starszuszka, bo chyba nie miała ochoty na rozstrząsanie podobnych dylematów.

Ada zdobyła się na odwagę i wyrzuciła z siebie to, co gnębiło ją od dawna:

– Przecież muszę się uczyć. Potrzebuję nauczycielki.

– Ach tak... – W oczach piastunki zamigotały żywsze iskierki. – Wtedy, w Warszawie, u ciotki nie miałaś guwernantki? – spytała z jawną złośliwością w głosie.

Przecież wiesz, że nie miałam, chciała odkrzyknąć z goryczą. Przez dwa miesiące nie miała żadnych zajęć. Tak jak tu, teraz.

Ponieważ jednak zirytował ją ton głosu niani – a ta przybierała go zawsze, gdy mówiła o Barcińskiej – postanowiła odbić piłeczkę.

– Nie, nie miałam. Ale ciocia powiedziała mi, że razem z mamą zaczęły już szukać dla mnie nauczycielki albo szkoły, tyle tylko, że nie zdążyły. Bo mama zasłabła i umarła – dokończyła zuchwale.

To było kłamstwo, wymyślone na poczekaniu. Ani Helena Jurczyńska, ani jej kuzynka nawet słowem nie zająknęły się na temat takiej ewentualności. A przynajmniej nigdy na ten temat nie wspomniały w obecności Ady. Niania nie musiała jednak o tym wiedzieć, a sam fakt, że nie omijała żadnej okazji, by pozwolić sobie na bodaj najmniejszą złośliwość wobec Cecylii, drażnił już dziewczynkę od pewnego czasu. Tym bardziej że Kazimiera nigdy nie chciała tego wytłumaczyć i jeszcze się gniewała, gdy Ada ją zagadywała.

Tym razem także nie skomentowała odpowiedzi swojej małej wychowanki, ale po jej ustach przebiegł bardzo wymowny uśmiezek.

– Zresztą to nieważne – dodała wyniośle Ada. – Teraz jestem z powrotem w domu i muszę się uczyć.

– Przecież to nie ode mnie zależy – odburknęła piastunka, udając, że pilnie ogląda niewidoczną przecież plamkę na jednej z sukienek.

– Ojciec zawsze cię słuchał – wypaliła dziewczynka.

– Co ja słyszę? Czyżby panienka prosiła mnie o wstawiennictwo? – spytała już zupełnie innym tonem Kazia. Słowa Ady najwyraźniej przypadły jej do gustu. Ada jednak nie miała ochoty na żarty.

– Już dłużej tego nie wytrzymam – jęknęła i zakryła dłońmi twarz.

Usłyszała, że Kazia zamyka szafę, a potem poczuła na swojej głowie dotyk jej spracowanej dłoni.

– Wiem, dziecko, że ci ciężko. – Usłyszała. – Mało to się napatrzyłam, co się wyrabiało w tym domu? Dobrze, powiem ci, ale mnie nie wydaj, bo to na razie nic pewnego.

– Co takiego? – Ada odjęła dłonie od twarzy i spojrzała ciekawie na nianię. Serce jej mocniej zabiło. Cokolwiek Kazia miała do powiedzenia, mogło to oznaczać jakieś urozmaicenie w beznadziejnej egzystencji ostatnich tygodni.

– Być może pan Jurczyński wyśle cię do szkoły.

– Do szkoły?

– Tak, przecież mówię wyraźnie. Do takiej szkoły dla panienek... od razu ze stacją na miejscu. No i co tak patrzysz na mnie? Przecież chcesz się uczyć. Nie masz ochoty pojechać do szkoły?

Kilka miesięcy temu matka wspominała o takim rozwiązaniu, Ada dobrze to pamiętała. Dlatego zatrudniono Rozalię. Miała ją przygotować do nauki na pensji. Ale przecież przygotowania te trwały tylko cztery miesiące. Czy to nie za krótko? Zresztą nieważne. Wtedy, w sierpniu, Ada zaprotestowała przeciwko rodzicielskim planom wysłania jej z domu do szkoły. Teraz sprawa wyglądała inaczej. Teraz ten wyjazd oznaczał upragnioną zmianę w życiu.

– Tak – szepnęła szybko. – Chciałabym pojechać do szkoły.

– To jeszcze nic pewnego, ale...

– Myślisz, że ona już tu nigdy nie wróci? – spytała zupełnie niespodziewanie wiedzona nagłym impulsem Ada.

Kazimiera od razu pojęła, o kogo chodzi, niemniej pytanie kompletnie ją zaskoczyło. Przecież od tamtego dnia, gdy dziewczynka zasłała nad trumną matki, a potem odzyskała przytomność, ani razu nie było już między nimi mowy na temat panny Reńskiej.

– Dlaczego miałaby tu wrócić? – odparła po chwili, ponownie się podniosła i ruszyła w kierunku szafy.

Ada nie potrafiła znaleźć odpowiedzi. Podeszła do niani i objęła ją w pasie.

– Wiem, że ją lubiłaś – rzekła cicho. – Na pewno też byś chciała, aby wróciła.

– Jestem tylko starą służącą, nie mam czasu myśleć o sprawach, które ode mnie nie zależą.

Ojciec zawsze cię słuchał, powtórzyła Ada, jednak tym razem w myślach. Wiele tu zależało od twojego zdania. Wszyscy doskonale wiedzą, że nie jesteś zwykłą służącą. A przede wszystkim zawsze dużo wiedziałas o wszystkim, co tu się działo.

Ostatnie spostrzeżenie ponownie przyspieszyło bicie jej serca.

– Ciotka Cecylia powiedziała, że Rozalia... że to z jej winy mamie pękło serce – szepnęła trwożliwie.

Spojrzenie Kazi nie zapowiadało niczego dobrego.

– Nie mnie oceniać słowa pani Barcińskiej – odparła tonem, w którym nie kryła swojej niechęci i pogardy. – Ja tylko mogę powiedzieć, że tak miłej panny jak ta nauczycielka to jeszcze nigdy i nigdzie nie spotkałam.

– Ja także. Ale przecież mama... mówiła to samo co ciotka Cecylia – szepnęła ponownie Ada.

Natychmiast zauważyła, że niania z najwyższym trudem zdobyła się na zachowanie spokoju.

– Pani Jurczyńska, świeć Panie nad jej duszą, była... No cóż, sama to przecież wiesz... Była bardzo chora i już nie radziła sobie z życiem. – Naraz jednak Kazia podniosła głos: – A jeśli naprawdę pękło jej serce, to nie z winy panny Reńskiej. Na pewno nie...

Ada, uspokojona co do rzekomej winy Rozalii, podeszła nieśmiało do niani i dotknęła jej ramienia.

– Wiesz, kiedy ojciec wyśle mnie do tej szkoły?

– No masz, a ty znowu swoje – zagderła piastunka, wracając do przerwanej zajęć. – Nie wiem tego na pewno, już ci mówiłam. I lepiej nie zawracać teraz tym głowy panu Jurczyńskiemu. Nie prędzej tam pojedziesz, jak po letnich wakacjach. A dopiero wiosna idzie.

Czyli dopiero za kilka miesięcy! Ada ponownie wpadła w przygnębienie. Miała przed sobą

perspektywę co najmniej kilku pustych, zupełnie beznadziejnie spędzonych miesięcy. Nic jednak nie mogła na to poradzić.

Nie może być już gorzej, myślała.

I znowu się myliła.

Było to dwa miesiące po śmierci Heleny Jurczyńskiej, w pierwszej połowie kwietnia. Ten dzień nie zapowiadał niczego złego, wręcz przeciwnie – pogoda nareszcie się poprawiła, wyrzało słońce, zrobiło się ciepło. Od kilku dni zieleniły się łąki i pola, a pierwsze wiosenne kwiaty wypuszczały pędy w jurczewickim ogrodzie. To zresztą sprawiło, że mieszkańcy dworu także wracali do życia, a marazm i ponury nastrój ostatnich miesięcy zaczął ustępować. Ada również poweselała i nabrała ducha optymizmu. O poranku w jeden z takich dni Kazimiera zakomunikowała swojej wychowance, że ma zejść na dół, do salonu.

– Co się stało? Mamy gości? – spytała Ada, choć przecież od dawna nikt ich nie odwiedzał, a w każdym razie ona nigdy nie była z takiej okazji proszona na dół. Nie miała ochoty schodzić do salonu. Wołała zaraz pobiec do ogrodu, ale Kazia jasno dała jej do zrozumienia, że takie jest życzenie pana Jurczyńskiego.

– Może to oznacza, że ojciec wysyła mnie jednak do szkoły, i to już teraz, nie czekając do jesieni – oznajmiła triumfalnie dziewczynka, ale Kazia tego nie skomentowała.

– Pokaż się, jak wyglądasz – gderła po dawnemu, ale była nie mniej przejęta niż Ada. Nawet nie starała się tego ukryć. – Poczekaj, wyglądem ci włosy. Po co to było otwierać okno z samego rana? Poranki są jeszcze chłodne. A teraz włosy potargane, twarz zaczerwieniona...

– Nie otwierałam okna – zaprotestowała dziewczynka, ale Kazia i tak jej nie słuchała. Kilkom energicznymi pociągnięciami grzebienia doprowadziła fryzurę swojej wychowanki do jakiegoś takiego porządku, zaraz jednak popatrzyła krytycznie na jej sukienkę.

– Ta ciemna sukienka nie bardzo pasuje na taką okazję, ale trudno. Zresztą pan dziedzic już czeka.

– A jaka ma być moja sukienka, jeśli nie ciemna? Przecież jest żałoba!

– Chodź już lepiej. – Kazimiera ujęła ją pod ramię, ale u wylotu schodów na chwilę się zatrzymała. – Tylko pamiętaj – rzekła ostrzegawczo i z pewnością, jak się wydało Adzie, obawą w głosie – żadnych małych popisów. Masz być grzeczna i zachowuj się jak prawdziwa dama.

– Ale co właściwie... – zaczęła Ada, ale nie zdążyła dokończyć, w tym samym bowiem momencie spostrzegła idącą w kierunku salonu służbę – wszystkich, co do jednego.

Uznała zatem, że musiało stać się coś naprawdę niesłychanego, a to w rodzinie Jurczyńskich nigdy nie oznaczało niczego dobrego. Dlatego wołała nie zadawać już żadnych pytań. Nogi ugięły się pod nią ze strachu, z całych sił ścisnęła dłoń Kazimierze, tak jakby od niej czerpała siły i otuchę.

Na dole, w salonie, były już obecne pokojówki, lokaj, podkuchenna i kucharka. Przybył nawet woźnica Walenty. I dopiero na końcu wszedł Michał Jurczyński w towarzystwie... Rozalii.

Ada nie wierzyła własnym oczom. Po raz pierwszy od kilku miesięcy poczuła radość tak wielką, że była gotowa skakać i klaskać w dłonie.

Jednak wróciłaś, chciała zawołać i niewiele brakowało, a podbiegłaby do ukochanej nauczycielki, ale silne ręce niani zatrzymały ją na miejscu. I dopiero wtedy przyszło jej do głowy, że coś się tu nie zgadza. Dlaczego powrotowi Rozalii towarzyszył taki ceremoniał? Jak by na to nie patrzeć, Rozalia Reńska, niezależnie od faktu, że była w Jurczewicach powszechnie bardzo lubiana, to przecież... pracowała tu jako guwernantka. O co zatem w tym wszystkim chodziło?

– Oto nowa pani Jurczyńska, od wczorajszego dnia moja żona – zakomunikował po chwili dziedzic, wskazując na stojącą obok niego dziewczynę, która w tym samym momencie zaczerwieniła się i spuściła wzrok. Wśród zebranych w salonie ludzi zapanowała zupełna konsternacja, jedni patrzyli na drugich, tak jakby nie byli pewni, czy dobrze usłyszeli lub zrozumieli. Michał Jurczyński ujął dłoń Rozalii i nieznacznie podniósł w górę. Ten jeden gest wystarczył, by wszelkie szmery ucichły. Ustało też ogólne poruszenie.

– Oczekuję, że wszyscy okażecie stosowny szacunek nowej pani i nikt z was nie będzie miał oporów wobec wypełniania jej poleceń. – Stanowcze słowa dziedzica przyjęto w całkowitym milczeniu.

Rozalia, czując na sobie spojrzenie męża, odważyła się wreszcie podnieść głowę, ale przyszło jej to z widocznym trudem. Nieśmiało i zapewne z tego powodu dość niewyraźnie uśmiechnęła się do wpatrzonych w nią ludzi.

– To wszystko – dodał na zakończenie Jurczyński. – Wracajcie do swojej pracy. I nie zapominajcie, że od tej pory o wszelkich domowych sprawach decyduje moja żona.

Kiedy służący, każdy z osobna skinął głową na znak uszanowania i posłuszeństwa, opuszczali salon, Kazimiera ścisnęła mocniej dłoń swojej małej wychowanki i podprowadziła ją do ojca i macochy. Dziewczynka poddała się temu bez oporu, była zbyt oszołomiona, aby zaprotestować i uciekać. Wszystko w niej jednak krzychało z oburzenia, bólu i żalu. Po uczuciu ogromnej radości, którego doznała jeszcze kilka minut temu na widok Rozalii, nie pozostał już nawet najmniejszy ślad. Teraz czuła się wyłącznie zdradzona i oszukana, i to przez osobę, której kilka miesięcy temu nauczyła się bezgranicznie ufać. Jeszcze parę minut temu wciąż wierzyła w jej niewinność, wciąż kochała ją całym sercem. Ale to należało już do przeszłości.

Opuściła nisko głowę, wzrok miała wbity w podłogę, nie reagowała na ostrzegawcze poszturchiwania ze strony Kazimiera.

– Przywitaj się ze swoją matką. – Usłyszała polecenie ojca wypowiedziane oschłym, kategorycznym tonem.

Poczuła, że dłoń Kazimiera, która ścisnęła jej ramię, drgnęła, a to, w połączeniu ze słowami ojca, sprawiło, że Ada podniosła gwałtownie głowę i zrobiła coś, na co nigdy wcześniej nie potrafiła się zdobyć – spojrzała mu prosto w oczy, śmiało, otwarcie, z gniewem. Spostrzegła, że go tym zaskoczyła, a fakt ten dodał jej odwagi i śmiałości.

– Przecież moja matka nie żyje – odpowiedziała tonem adekwatnym do tonu Jurczyńskiego.

Nie zwracała już uwagi na ostrzegawcze lekkie potrząśnięcie jej ramieniem przez piastunkę. Nie spuszczała wzroku z twarzy ojca, wobec tego widziała wyraźnie, że jej słowa zrobiły na nim ogromne wrażenie. Przecież w ogóle nie spodziewał się oporu z jej strony. Szybko jednak opanował zaskoczenie, a jego twarz przybrała tak znany Adzie wyraz uporczywości i stanowczości.

– Ostrzegam cię. Masz się zachowywać wobec mojej żony, jak przystało na córkę.

Niebawem, ale w ogóle się go w tej chwili nie bała. Fakt, że udało jej się go zaskoczyć, choćby na krótko, okazać mu swoją dezaprobatę wobec tego, co zrobił, dodał jej skrzydeł. Tak, dodał jej skrzydeł. Kiedyś słyszała takie określenie, wtedy wydało jej się głupie. Teraz nareszcie je rozumiała.

– Czyją córkę? Przecież nie jej – odpowiedziała mu zdławionym ze złości głosem.

Jurczyński, słysząc to, podniósł rękę i niebezpiecznie zbliżył do twarzy córki, ale w tym samym momencie zareagowała drżąca ze zdenerwowania Rozalia.

– Nie, proszę – zaprotestowała cicho i błagalnie spojrzała na męża. – Lepiej będzie, jeśli sama porozmawiam z Adusią. Przecież to dla niej trudna sytuacja, prawdziwe tornado.

Ada nawet nie rzuciła na nią okiem. Pełen oburzenia i goryczy wzrok wciąż miała utkwiony w twarzy ojca, który istotnie cofnął dłoń, ale nie zamierzał zostawić sprawy bez komentarza.

– Żeby mi to było ostatni raz – powiedział lodowatym tonem. – W przeciwnym wypadku gorzko tego pożałujesz.

Tak? A co mi zrobisz?! – Aż ją korciło, aby tak zawołać, rozsądek jednak zwyciężył. Uznała, że nie może przeholować. Zapowiadała się walka na śmierć i życie, nie mogła zatem stracić sił na samym początku. Walka... Aż zadrżała z emocji na samą myśl o tym, co ją czeka. Ale nie pozostanie im dłużna, nie podda się, na każdą karę odpowie kolejną formą protestu i oporu. Po raz pierwszy w życiu obudziła się w niej tak niespożyta energia i chęć do prowadzenia prawdziwej wojny. Była przekonana, że racja jest po jej stronie.

– Odprowadzę ją teraz do pokoju – odezwała się Kazimiera i uzyskawszy milczące przyzwolenie Jurczyńskiego, pociągnęła za rękę swoją zbuntowaną wychowankę.

W sypialni Ada usłyszała, jakim jest niedobrym i niewdzięcznym stworzeniem.

– Co za wstyd! Co za wstyd! – lamentowała piastunka.

– Czyj wstyd? Mój? – odcięła się dziewczynka.

– Przecież, że nie mój. Tak się zachować wobec rodzzonego ojca! Gdybym to ja tak się odezwała do mojego, połamałby mi wszystkie kości.

– Ona nie jest moja matką! Nie będę jej tak traktować! – krzyknęła zdesperowana Ada.

Kazia, słysząc to, wzięła się pod boki.

– Ale traktowała cię lepiej niż rodzona matka – rzekła bezpardonowo. – Każdy to widział. A czy ty sama nie tęskniłaś przypadkiem za jej powrotem?

– Ja tylko chciałam, aby było tak jak wcześniej – odparła ze łzami w oczach dziewczynka. – Gdy ona była moją nauczycielką.

– Gdyby wtedy była dla ciebie jedynie nauczycielką, nikim więcej, z pewnością tak bardzo byś się do niej nie przywiązała. Jeśliby ci na to pozwolono, przebywałabyś w jej towarzystwie od rana do wieczora. Nawet przed snem prosiłaś, by do ciebie przysła. A ona nigdy nie odmówiła, ani razu, choć nawet ja namawiałam ją do większej stanowczości. Aby nie dawała sobie wchodzić na głowę. Ale ona uważała, że ty potrzebujesz bliskości i ciepła, więc... przychodziła z tobą posiedzieć. Przypominam ci o tym, bo widzę, że chętnie byś to teraz wyrzuciła z pamięci. Nie pozwolę na to.

Niepotrzebnie, bo sama wszystko pamiętam! – chciała wrzasnąć na całe gardło Ada, ale nie zrobiła tego w obawie, że zaraz wybuchnęłaby straszonym płaczem. A nie mogła sobie pozwolić na łzy. Płacz osłabia, czyni człowieka miękkiem i podatnym na cudze argumenty, ona zaś musiała być teraz silna. I nie dać się przekonać do nie swoich racji. Wiedziała jedno: Rozalia zdradziła ich przyjaźń, być może nawet ją wykorzystała. Zresztą długo potem wciąż jeszcze uważała, że Rozalia Reńska wykorzystała także swój niezaprzeczalny wdzięk, urok i wszystkie te atuty, które miała w nadmiarze, a których nie posiadała po wielekroć od niej urodziwsza, ale rozchwiana emocjonalnie i nerwowo chora Helena Jurczyńska. Rozalia emanowała ciepłem, którego tamta nie była w stanie z siebie wykrzesać, miała w sobie spokój i wewnętrzną stabilność, których Ada bezskutecznie szukała u swojej matki. Których nie odnalazł w żonie Michał Jurczyński. Była inna niż kobiety z otaczającego go towarzystwa i ta odmienność, świeżość oraz oddanie musiały dodatkowo zwrócić jego uwagę. Wtedy, jako ośmioletnia dziewczynka, Ada nie była jeszcze zdolna do podobnych rozważań. Wtedy wystarczał jej prosty wniosek: Rozalia ją oszukała, zdradziła. To matka i ciotka miały rację. Rozalia uwiodła dziedzica Jurczewic i tym samym przyczyniła się do ostatecznej klęski matki. W tym także do jej śmierci.

„Próbowała zająć moje miejsce” – tak powiedziała w dniu ich ucieczki z Jurczewic Helena. I choć tyle razy myliła się i popełniała życiowe błędy, to przynajmniej ten jeden raz jej diagnoza była słuszna. A ciotka Cecylia potem przyznała jej rację. „Dziwka” – to było owo drugie wykrzyczane kiedyś przez Helenę pod adresem Rozalii słowo. Ada nigdy go nie zapomniała, a teraz, świeżo po awanturze w salonie, nareszcie zaczęła rozumieć jego znaczenie.

– Kochałaś pannę Reńską, nie próbuj teraz zaprzeczać – dodała na zakończenie swej przemowy Kazimiera.

Dość tego, pomyślała Adrianna, a głośno zimnym głosem odparła:

– Mylisz się. Ja ją tylko lubiłam. Zawsze pamiętałam, że była wyłącznie moją guwernantką, nikim więcej. A ponieważ teraz nie będzie już nawet nauczycielką, wobec tego pozostanie nikim.

I dotrzymała słowa.

Gdy następnego dnia zawołano ją do jadalni, początkowo starała się wykręcić niedobrym samopoczuciem. Kazia była jednak nieubłagana.

– Nic ci nie jest, panienko, poza tym że masz muchy w nosie – oznajmiła stanowczo. – Nie licz na to, że będę twojemu ojcu opowiadać jakieś kłamstwa, jakobyś była chora. Jeśli nie zejdziesz do jadalni po dobroci... Wolalabym nie być w twojej skórze.

Ada nie miała zatem wyjścia i naburmuszona pozwoliła się sprowadzić na dół. Nie zamierzała jednak stosować się do zaleceń niani, że ma być miła dla macochy i nie denerwować ojca. Co to to nie, myślała z ponurą satysfakcją, do tego nie mogą jej zmusić. Za nic. Podczas śniadania prawie nie tknęła jedzenia. Całkowicie zignorowała Rozalię, dygnęła tylko przed ojcem, nie odezwała się bodaj jednym słowem. Spozstrzegła wprawdzie, że Jurczyński z trudem powstrzymywał wybuch gniewu, postanowiła jednak wytrwać w oporze, nawet gdyby ojciec nie wytrzymał i wymierzył jej karę. Nie zrobił tego – Ada



kątem oka widziała, że mitygowała go żona, która kilka razy zaciskała ostrzegawczo dłoń na jego dłoni.

Zachowanie przy stole miało jednak swoje konsekwencje. Zabroniono Adzie wyjść do ogrodu, na polecenie ojca miała spędzić piękny, pogodny dzień w swoim pokoju. Uznała to za początek represji i postanowiła znieść je po bohatersku. Nie da się złamać, nigdy, za nic.

Siedząc nadąsana przy oknie, oczekiwała dalszych prześladowań, gdy do pokoju niespodziewanie weszła Rozalia, niosąc tacę z jakimiś smakołykami.

Wyglądała jak zwykła służąca, pomyślała z rozdrażnieniem dziewczynka. I co w tym dziwnego, przecież w tym domu w gruncie rzeczy nie była nikim innym. Przynajmniej do tej pory.

Przypomniało jej się pierwsze spostrzeżenie, jakie sama uczyniła, gdy przed kilkoma miesiącami przedstawiono jej Reńską. Z początku uznała ją za nową służącą, tak przynajmniej się prezentowała dziewczyna zatrudniona w Jurczewicach jako nauczycielka.

– Zjedz coś, kochanie – poprosiła ją tymczasem Rozalia, uśmiechając się przy tym serdecznie. – W przeciwnym wypadku się rozchorujesz.

I bardzo dobrze. Rozchoruję się i umrę. To lepsze niż patrzeć na was, niż patrzeć na ciebie, odpowiedziała w duchu Ada. Na głos jednak tego nie powiedziała. I wcale nie dlatego, że bała się reakcji macochy – nigdy się jej bowiem nie bała – czy nawet reakcji ojca. Postanowiła milczeć, by tym dosadniej okazać tamtej niechęć i lekceważenie.

– A ja bym nie chciała, aby coś złego ci się przytrafiło – kontynuowała wciąż niezrażona Rozalia. – Wiesz dlaczego? – Wykonała gest, jakby chciała pieszczotliwie dotknąć włosów dziewczynki, ale ta w ostatniej chwili uniemożliwiła jej to, odchylając do tyłu głowę.

Twój słodki głosik już na mnie nie działa. I nie chcę, abyś mnie dotykała, mówiło spojrzenie Ady. A przecież całymi miesiącami rozpaczliwie tęskniła tak za jednym, jak i drugim.

Rozalia cofnęła rękę i przez chwilę patrzyła na pasierbicę w milczeniu. Wreszcie przestała się głupio uśmiechać, pomyślała z satysfakcją Ada. Tyle że macocha najwyraźniej nie zamierzała od razu się poddać, choć już nie próbowała jej dotykać.

– Chciałam ci tylko powiedzieć, że rozumiem twoje zaskoczenie i niechęć. Prawdopodobnie na twoim miejscu zareagowałabym tak jak ty. Dopiero co straciłaś matkę...

Nie waż się jej wspominać!

– Wiem, że potrzebujesz czasu – kontynuowała Rozalia. – Nie zamierzam niczego przyspieszać. Nie mogę jednak pozwolić, abyś szkodziła swemu zdrowiu, abyś się głodziła.

Nie możesz mi niczego nakazać.

– I bądź pewna, że zawsze cię kochałam. Od samego początku.

– A ja ciebie nigdy – odparła Ada, czując, że nie potrafi dłużej wytrwać w swym postanowieniu, aby nie zamienić z tamtą ani słowa. To jednak nie było możliwe, nie wobec takich wyznań. Oczywiście kłamała. Kochała kiedyś Rozalię i właśnie dlatego tak bardzo zabolęła ją, że guwernantka okazała się kimś zupełnie innym niż wtedy, gdy łączyły ich tak bliskie relacje. W każdym razie w rozumieniu Ady była to zdrada.

– A ja odniosłam inne wrażenie. – Rozalia, słysząc wyznanie dawnej pupilki, niespodziewanie figlarnie się uśmiechnęła. – Lubiałaś mnie, nie zaprzeczaj. Doskonale spędzałyśmy czas razem.

Odpowiedziało jej chmurne, pełne nieskrywanej pogardy i ironii spojrzenie dziewczynki. To nie było spojrzenie ośmioletniego dziecka. To był wzrok Heleny Jurczyńskiej.

– Nie wiem, o czym mówisz – rzekła Ada. – Ty tu tylko pracowałaś. Dla mnie byłaś guwernantką. To wszystko.

Rozalia przestała się uśmiechać. Podniosła się z widocznym trudem.

– Dobrze, dam ci teraz spokój – rzekła cicho. – Może pospieszyłam się, przychodząc do ciebie tak od razu... Potrzebujesz więcej czasu. Ale pamiętaj, że jesteś dla mnie ważna, bardzo ważna. I wierzę... że kiedyś mi uwierzysz i zrozumiesz.

– Nigdy ci już nie uwierzę!

Z satysfakcją patrzyła na pobladłą, smutną twarz Rozalii, gdy ta opuszczała jej pokój.

Przez kolejne dni Ada niezłomnie trwała w swym postanowieniu niczym obrońca na murach

twierdzy obronnej. Tak właśnie się czuła, choćby z tego powodu, że w dalszym ciągu zabraniano jej wychodzenia na zewnątrz. Nikt poza Kazią do niej nie przychodził, a i piastunka ograniczała swoje wizyty do przynoszenia tacy z jedzeniem. Gdyby chociaż w tym czasie siedziała cicho. Ale gdzie tam! Nie szczędziła wychowawce kazań na temat jej skandalicznego zachowania. Raz jeden, zamiast niani, której w tym czasie wypadł jakiś inny niecierpiący zwłoki obowiązek, posiłek przyniosła jedna z pokojówek, Marcysia. I choć dziewczyna nie ośmieliła się złamać zakazu dziedzica, który zabronił rozmawiania z jego córką, to jednak jej przyjazny uśmiech i zachowanie dały Adzie jasno do zrozumienia, że służba – z wyjątkiem Kazimiery – popiera jej niezłomną postawę. Nic nie mogło bardziej zachęcić dziewczynki do dalszego oporu, doskonale bowiem zdawała sobie sprawę, że wkrótce z pewnością dowiedzą się o wszystkim sąsiedzi, a także wuj Witold i ciotka Cecylia. Oczywiście nie uwolnią jej z zamkniętego pokoju i nie zmuszą jej ojca do znaczących ustępstw, jednak sam fakt, że wokół jego drugiego małżeństwa wybuchnie – o ile już nie wybuchł – skandal, który z pewnością skończy się ostracyzmem towarzyskim wobec niego i jego nowej żony, już był dla Ady wielkim zadośćuczynieniem. Ona zaś bez wątpienia zostanie uznana za bohaterkę. Przecież nie mogło być inaczej.

Na razie zadowalała się sympatią i uznaniem służby. Miała przy tym świadomość, że między nią a zatrudnionymi w Jurczewicach ludźmi nawiązała się swoista nić porozumienia, która uderzała w nową dziedziczkę. Nowa dziedziczka, Boże drogi! Jak to brzmiało!

W przeszłości Rozalia była bardzo lubiana wśród całego pracującego w Jurczewicach personelu. Powszechnie postrzegano ją jako skromną, miłą nauczycielkę, która zawsze znalazła dla każdego dobre słowo, otwartą na problemy innych ludzi. Teraz jednak sytuacja uległa diametralnej zmianie. Nawiązując z dziedzicem romans, Rozalia złamała pewne oczywiste zasady moralne, ale z tego akurat przewinienia prędzej czy później większość by ją zapewne rozgrzeszyła. Nikt przecież nie był na tyle głupi, by nie zdawać sobie sprawy z tego, że podobne wypadki zdarzały się i będą się zdarzać na całym świecie. A świętej pamięci Helena Jurczyńska z pewnością nie zaliczała się do grona miłych, pracowitych dziedziczek, trudno ją także nazwać przyjemną towarzyszką życia. Nie trzymała z ludźmi, była dziwaczką – między sobą służba robiła coraz mniej zawoalowane uwagi, że dziedziczka miała źle w głowie. Zresztą okoliczni ziemianie podzielali to zdanie. Jako żona z pewnością nie spełniała swych obowiązków – we dworze nie dało się tego ukryć. Jako matka – także zawiodła. Dopuściła do tego, że w jej obecności syn uległ wypadkowi i w konsekwencji tego następnego dnia zmarł. Nie interesowała się córką. Niczym sensownym nie potrafiła się zająć, nawet gości nie potrafiła podejmować. Zatem służba się nie dziwiła, że taki mężczyzna jak dziedzic Jurczyński, który podobał się kobietom – co nietrudno było zauważyć nawet najmniej rozzamiętemu człowiekowi – szukał pocieszenia gdzie indziej. A wdzięczna, młoda i najwidoczniej chętna dziewczyna była pod bokiem.

Ale małżeństwo z guwernantką własnej córki?!

To już było podeptanie wszelkiego porządku. Nową dziedziczką stała się osoba, która – jak by nie patrzeć – w niedalekiej przeszłości była jednym z pracowników zatrudnionych we dworze, zajmowała pozycję niewiele tylko wyższą niż pokojówka. I jak tu teraz takiej słuchać i wypełniać jej polecenia!

Niejednego, a zwłaszcza niejedną, krew zalewała, gdy tylko o tym myśleli. Oczywiście wolę dziedzica trzeba było spełnić, jednak nawet on nie mógł nic poradzić na powszechną niechęć, jaka otaczała jego młodą żonę, na chłodne spojrzenia, jakimi ją obrzucano za jego plecami, na słowa padające pod jej adresem za zamkniętymi drzwiami kuchni. Opór małej panienki musiał się w takich okolicznościach spotkać z aprobatą, a kara odosobnienia, jaka na nią spadła – z oburzeniem, aczkolwiek niewyrażanym głośno. To właśnie wyczytała Ada z oczu Marcysi. I z tych jedyńych słów, na które pokojówka się odważyła przed opuszczeniem jej sypialni:

– Nie jest panienka sama. My wszyscy bardzo panienkę kochamy.

Jedna jedyna Kazia – z powodów, których Ada nie umiała zgadnąć – odnosiła się do nowej dziedziczki z dawną sympatią i najwyraźniej gryzła się niechęcią reszty służby oraz postawą panienki. Początkowo próbowała złamać opór dziewczynki niekończącymi się tyradami na temat jej

niewdzięczności, a kiedy nie przyniosło to spodziewanego, pozytywnego z jej punktu widzenia rezultatu, postanowiła spróbować przemówić małej buntownicze do rozumu po dobroci.

– Przecież w ten sposób nie wskrzesisz swojej matki – perorowała. – Odeszła na zawsze, nic na to nie poradzimy. A twój ojciec, tak czy inaczej, ożeniłby się po raz drugi. Mężczyzna nie potrafi zostać sam.

– Nieprawda – zaprotestowała Ada. – Wuj Witold nie ożenił się po raz drugi.

– Skoro zaś twój ojciec by się powtórnie ożenił – kontynuowała Kazimiera, całkowicie ignorując wtrącenie Ady na temat Witolda Rawickiego – to z pewnością pani Rozalia jest najlepszym wyborem, jakiego mógł dokonać.

– Najlepszym... – powtórzyła kąśliwie Ada. – Akurat. Ciocia Cecylia nazwała ją krakowską kumoszką albo przekupką, coś w tym rodzaju.

Wspominanie w tym momencie i w takim kontekście Cecylii Barcińskiej było błędem, o czym Ada zaraz się przekonała. Głos niani stracił natychmiast swój łagodny ton.

– To małżeństwo było na pewno lepszym rozwiązaniem niż związek z którąkolwiek z tych niby wielkich pań, które same nie wiedzą, czego chcą od życia, i nie potrafią się zabrać do żadnego uczciwego i sensownego zajęcia.

Podobne argumenty nie skruszyły jednak Ady. Podobnie jak kolejne próby pojednania, jakie jeszcze przez pewien czas podejmowała Rozalia. Dziewczynka odpowiadała na te wysiłki wyniosłym milczeniem – tym razem konsekwentnie przestrzegającym. Podobnie było z perswazjami Kazi i karami wymierzonymi przez ojca. Po pewnym czasie jednak rozluźniono nieco warunki jej izolacji, a mianowicie zatrudniono dla niej nową nauczycielkę. Była to córka organisty z Broniszcz, która dopiero co ukończyła pensję, a potem kursy nauczycielskie, i podjęła się pracy w Jurczewicach. Wieczorami wracała ona jednak do swojego domu. Nowa nauczycielka najwyraźniej dostała specjalne dyrektywy, by nie wdawać się z uczennicą w żadne osobiste rozmowy i zwierzenia, z drugiej zaś strony Ada, nauczona smutnym doświadczeniem, czym skończyć się mogą zbyt bliskie relacje z guwernantką, także nie starała się z nią zaprzyjaźnić. Tak czy owak, miała jednak jakieś pożyteczne zajęcia i dzięki temu łatwiej znosiła swój los.

I właśnie wtedy, gdy jako tako oswoiła się z realiami swojej egzystencji, jak grom z jasnego nieba spadła na nią kolejna niespodziewana wiadomość – na świecie pojawił się Krzyś.

Kiedy jej to oznajmiono, w pierwszej chwili kompletnie nie rozumiała, o co chodzi. Fakt, że od pewnego czasu Rozalia przestała ją wreszcie nachodzić, niemniej Ada była pewna, że macocha dała po prostu za wygraną. A tymczasem okazało się, że przyczyna zaniechania wizyt dotyczyła całkiem przyziemnej natury – gdy ciąża stała się zbyt widoczna, Rozalia wołała nie zaogniać jeszcze bardziej stosunków z pasierbicą.

– Na razie pani Jurczyńska jest jeszcze zbyt słaba, abyś mogła ją odwiedzać – zakomunikowała osłupiałej dziewczynce Kazimiera. – Ale za kilka dni pójdziesz zobaczyć swojego braciszka.

Braciszka?

– Mój brat nie żyje od dwóch lat – oświadczyła hardo Ada, gdy wreszcie była w stanie wydobyć głos z zaciśniętego gardła.

Nie przejęła się oburzeniem piastunki. Przywykła już do niego. Zabolały ją jednak słowa kucharki Genowefy, która następnego dnia, w zastępstwie zajętej przy noworodku Kazi, przyniosła jej posiłek.

– Nic panienka na to nie poradzi – westchnęła Genowefa, gdy ustawiała z powrotem na tacy brudne naczynia. – Jeżeli pan Jurczyński każe panience pójść do pokoju macochy, to lepiej to zrobić. Wola ojca jest niczym wyrok boski. Trzeba się jej poddać, i tyle.

Wtedy Ada rozumiała, że została sama na posterunku. Reszta służby pogodziła się już z nową sytuacją, a narodziny przyszłego spadkobiercy walnie się do tego przyczyniły, podnosząc pozycję i znaczenie jego matki w tym domu. Nadzieja na to, że Rozalia nie wytrzyma ostracyzmu i opuści ten dom, spełzły na niczym. Zrezygnowana Ada udała się zatem do pokoju położnicy, choć na dziecko ani na jego matkę nawet nie spojrzała. Podczas chrztu stała tam, gdzie jej polecono, i modliła się do Boga o rychłą śmierć. W takim też duchu napisała do ciotki i ponownie przestała jeść. Zawsze potem była

pewna, że gdyby nie karmiono jej na siłę, chyba istotnie jej opór miałby tragiczne zakończenie.

Wybawienie nadeszło wtedy, gdy już przestała się o nie nawet modlić.

Pewnego wrześnieowego poranka Kazimiera bez słowa wyjaśnienia pootwierala wszystkie szafy w jej pokoju i zaczęła wyjmować z nich ubrania.

– Dlaczego to robisz? – nie wytrzymała wreszcie Ada.

– Pakuję twoje rzeczy, nie widzisz?

– Widzę, ale dlaczego? – Ledwo Ada zadała to pytanie, zaraz doznała olśnienia. – Wyjeżdżam? – spytała gwałtownie. Miała wrażenie, że jeszcze chwila, a serce wyskoczy jej z piersi.

Piastunka zamruczała coś, co można było zinterpretować jako niechętne potwierdzenie.

– Dokąd? – A ponieważ Kazimiera zwlekała z odpowiedzią, Ada postanowiła sama rozwiązać zagadkę. – Do szkoły? – spytała na chybił trafił, bo akurat to przyszło jej do głowy.

Kiedyś przecież niania wspominała o takim projekcie, ale to było, zanim...

– Tak.

O Boże, zgadłam. Tylko czy to się dzieje naprawdę? Czy to nie jest sen? – zastanawiała się gorączkowo.

– A gdzie ta szkoła?

– W Warszawie. Gdzie ma niby być?

W Warszawie! Ada miała ochotę skakać i tańczyć. Nawet gdyby ta pensja znajdowała się w najbardziej zapadłej dziurze w tym kraju i gdyby miała najostrzejszą dyscyplinę, oznaczała wyzwolenie. Wyrwanie się z Jurczewic. Oby – jakimś cudem – na zawsze. Nie zerwała się jednak z miejsca ani nie zaczęła tańczyć tylko z jednego powodu. Powstrzymały ją pełne dezaprobaty spojrzenie piastunki i niemal widoczna chmura na jej czole.

– Będę mieszkać na pensji? – spytała ostrożnie i ponownie dotarło do niej, że i tym razem zna już odpowiedź. – A może ojciec zgodził się, abym zamieszkała w domu ciotki Cecylii?

– Tak. Zamieszkasz u ciotki – wydusiła z siebie z najwyższą niechęcią stara piastunka, a potem z niebywałą wręcz energią, by nie powiedzieć: z zajądlnością, zaczęła upychać sukienki Ady w przygotowanych kufrach.

– U ciotki spędziłam prawie dziesięć lat – szepnęła Adrianna, zamykając stary album ze zdjęciami.

– Kiedyś nam o tym wspominałaś, babciu – wtrącił Andrzej.

Potrzaskała głowa jak człowiek, który budzi się z głębokiego snu. Albo głębokiego zamyślenia. W każdym razie wracała do rzeczywistości.

– Przepraszam, nie mówiłam tego do was. – Uśmiechnęła się trochę nieporadnie.

To, co przed chwilą powiedziała, także zabrzmiało dość... dziwnie, ale obaj wnukowie byli przyzwyczajeni do jej dziwactw, które uważali za przejaw uroczego roztargnienia. Mimo to Jacek nie mógł sobie darować, by nie mrugnąć do niej zawadiacko.

– A do kogo mówiłaś, skoro nikogo oprócz nas tu nie ma?

– Wspominałam wam kiedyś, że mieszkam z duchami, których wy ani nie widzicie, ani nie słyszycie – odcięła się żartobliwie. Od razu też sobie przypomniała oburzenie Ireny, gdy przed laty dokładnie w ten sam sposób odezwała się do chłopców.

– Czemu ich straszysz? To nieodpowiedzialne – piekliła się córka, a Adrianna nie mogła potem pozbyć się wrażenia, że jedyną wystraszoną osobą była właśnie Irena. Gdy tylko przywoływali tamten incydent, Adrianna i obaj chłopcy śmiali się do rozpuku. Do niedawna razem z nimi śmiał się jeszcze Dezydery. I tylko czasem pozwalali sobie na niewesołą refleksję, jakim cudem ich córka nie odziedziczyła po swoich rodzicach nawet grama wyobraźni i fantazji. Zawsze była taką realistką. Zawsze twardo stąpała po ziemi. Czemu choć od czasu do czasu nie pozwoliła sobie na oderwanie się od trosk tej ziemi i poszybowanie w obłokach?

– Nie mogłam sobie na to pozwolić – odpowiadała na to kwaśno Irena. – Ktoś w tej rodzinie musiał być realistą. Ładnie byśmy wyglądali, gdybyśmy wszyscy byli oderwanymi od realiów marzycielami.

Ach, ta Irena z jej specyficznym pojmowaniem realizmu! Jakim cudem jej mężowi udało się ustrzec przed zagładą jego własną wyobraźnię i marzenia? Bo Roman, pomimo wielu godzin ciężkiej, wymagającej skupienia pracy, lubił podczas tych nielicznych chwil czasu wolnego pofruwać w obłokach. Jak jego synowie i teściowie.

– Myślałam, w jaki sposób przybliżyć waszej kuzynce naszą rodzinę – podjęła po chwili już zupełnie innym tonem Adrianna. – Wasza matka uważa, że Ula powinna przede wszystkim poznać tych z nas, którzy chadzają wśród żywych, i że należy raczej darować jej opowieści o tych, co już opuścili ten padół. – Zauważyła, że chłopcy wymienili między sobą spojrzenia, toteż dodała: – Być może Irena ma rację. Jak by na to nie patrzeć, wasza ciotka znajdzie się w tym kraju po raz pierwszy od osiemnastu lat. A wasza kuzynka nigdy dotąd tu nie była. Może rzeczywiście powinniśmy wszyscy poświęcić ten krótki czas ich wizyty na zbudowanie silniejszych więzi między nami, żywymi. Z drugiej jednak strony odkładanie wspomnień o zmarłych do kolejnej wizyty Elizy i Uli także mnie nie zadowala. Bo przecież nie wiadomo, kiedy ta druga wizyta nastąpi, o ile w ogóle będzie miała miejsce. – Westchnęła, zdając sobie sprawę, i to nie po raz pierwszy, że podobne dywagacje nie mają sensu.

– Ula zostanie tu do końca miesiąca – wyrwał się wreszcie Jacek i popatrzył na brata, jakby oczekiwał jakiejś nagany z jego strony za to, że wyjawiał coś, co miało być wielkim sekretem.

– Słucham? – Adrianna poczuła, że robi się jej gorąco, a na twarz występują wypieki.

– Już jakiś czas temu ciotka Eliza zapytała naszą matkę, czy byłaby taka możliwość, aby Ula została w Polsce dwa tygodnie dłużej – pospieszył z wyjaśnieniem Andrzej, wcale nie zagniewany na Jacka. – Matka odpisała, że to dobry pomysł. Ucieszyła się, bo podobno on wyszedł właśnie od Uli. To znaczy, że ta dziewczyna naprawdę chce nas poznać. Naprawdę jej na tym zależy.

– Na to wygląda – przytaknęła Adrianna. – Tylko dlaczego ja nic o tym nie wiedziałam?

Odezwała się w niej dawna gorycz, gdy odkrywała, że jej córki mają przed nią sekrety, którymi wzajemnie chętnie się dzieliły, a tylko ona, matka, o tylu sprawach nie wiedziała. Oczywiście rozumiała,

że dziewczęta, jak to siostry, miały prawo do takich tajemnic, i nawet cieszyła się, że były ze sobą tak blisko związane. Zawsze uważała, że największe problemy pojawiają się w rodzinie nie wtedy, gdy rozluźnieniu ulegają więzi między rodzicami a dorastającymi dziećmi, lecz wówczas, kiedy zanika wzajemna bliskość między rodzeństwem. Rodzice przecież prędzej czy później odchodzą – o ile zachowana jest właściwa kolejność w naturze, jak lubił żartować Dezydery – a bracia i siostry zostają ze swoją miłością, przyjaźnią i bogactwem wspólnych wspomnień. Dlatego nie gniewała się na córki o te ich pilnie skrywane przed nią sekrety, choć wolałaby wiedzieć o nich cokolwiek więcej. Jednak nie zmuszała ich do zwierzeń, nie oburzała się, że tak często była stawiana przed faktem dokonanym. A poza tym... nie miała też chyba do tego prawa, skoro sama ukrywała przed dziewczętami i przed Dezyderym swój własny sekret. Tym razem jednak zrobiło jej się przykro, że to nie od Ireny dowiedziała się o planowanym przedłużeniu pobytu wnuczki.

– Mama chciała ci o tym powiedzieć, tylko później... Bała się, że za bardzo się tym przejmiesz, babciu. – Andrzej był wyraźnie zmieszany, podobnie jak jego brat.

– No cóż, jak by na to nie patrzeć, to Irena je zaprosiła i większą część czasu spędzą u was, w Warszawie, nie w moim domu. Dlatego ona ma tu decydujący głos. Skoro uznała, że nie musi mi o wszystkim mówić, to jej sprawa – odparła Adrianna, ale w jej głosie zabrzmiała nutka goryczki.

Z tego powodu zaraz poczuła wyrzuty sumienia.

Jestem głupią, starą snobką. Czasami zachowuję się jak nieznośna pretensjonalna paniusia. Zamiast zachować spokój, robię niepotrzebne sceny i jeszcze wpędzam w zakłopotanie moje wnuki, pomyślała.

I właśnie wtedy Jacek oznajmił, że kuzynka do nich napisała. Oczywiście odpowiedzieli i tym samym nawiązała się między nimi nić porozumienia. Adrianna oczywiście domyśliła się, że wnuk chciał tą wiadomością poprawić jej humor, i tak się stało. To, czego się właśnie dowiedziała, zainteresowało ją i ucieszyło.

– Ona na tyle dobrze zna język polski, że jest w stanie korespondować? – spytała.

– No, niezupełnie. Korespondujemy po angielsku. To dla nas dobre ćwiczenie.

– Na pewno – potwierdziła, ale też i trochę zmarkotniała. Czemu wcześniej nie wzięła pod uwagę ewentualnej bariery językowej? I pomyśleć, że pierwotnie zamierzała opowiedzieć tej dziewczynie historię rodzinną.

Zaraz jednak okazało się, że jej troska była przedwczesna.

– Napisała, że rozumie i potrafi rozmawiać po polsku – kontynuował Jacek. – Ale język pisany wymaga jednak wyższego poziomu umiejętności. To jej własne słowa.

– Nie miałabym nic przeciwko temu, aby te dodatkowe dwa tygodnie spędziła w Broniszczach. A wy razem z nią. Miałabym wreszcie po raz pierwszy w życiu wszystkie wnuki razem.

Ledwo to powiedziała, poczuła znajomy ucisk w sercu, który był przejawem tęsknoty trawiącej ją od lat. Słowa wnuka sprowadziły ją jednak na ziemię, i to w sposób bardziej bolesny niż uczucie tęsknoty.

– Czy ciotka Eliza pisze czasem do ciebie? – zapytał chłopiec.

– Nie – odparła, bardzo dbając o to, by głos jej nie zadrżał. Zmusiła się nawet do uśmiechu. – Zapewne uznała, że skoro zapowiedziała swój przyjazd waszej matce, to powinno wystarczyć.

– Ty także do niej nie pisałaś?

Pytanie chłopca wprowadziło ją w popłoch. Opanowała się jednak. Przecież tym razem nie do niej należał kolejny krok. Uznała, że nie zaszkodzi przypomnieć o tym wnukom.

– Zapraszałam ją do Polski, gdy żył jeszcze wasz dziadek. Zresztą najpierw on to zrobił, zaraz jak się zaczęła odwilż i władze wreszcie ułatwiły kontakty z rodzinami na Zachodzie. Potem, gdy zachorował i wiedział już... czym to się dla niego skończy, napisałam do Elizy i prosiłam, aby przyjechała i przywiozła Ulę. Nie ukrywałam przed nią, że to może być ostatnia sposobność zobaczenia się z waszym dziadkiem. – Przygryzła wargi, a potem wykrzywiła je w smutnym uśmiechu. – Ale ona odmówiła. Zarówno dziadkowi, jak i mnie.

Oczywiście Andrzej i Jacek wiedzieli o tym. Znali nawet oficjalną przyczynę odmowy. Ciotka

nie mogła przyjechać z powodu dopiero co podjętej pracy. A za drugim razem – z powodu znalezienia nowej pracy. Wszyscy zresztą uznali, że ma to sens, i choć bardzo się zmartwili, przyjęli do wiadomości takie usprawiedliwienie. Tylko Adrianna i Dezydery znali prawdziwy powód, choć Adrianna nie przeczytała mężowi całej odpowiedzi córki. Darowała mu na przykład te słowa:

*Nie przyjadę, dopóki on żyje. I nie obchodzi mnie, czy mu o tym powiesz, czy nie. Takie postanowienie podjęłam prawie dwadzieścia lat temu i zamierzam go dotrzymać. Przypominam, skoro zapomnieliście.*

Nie odpowiedziała już na ten list i nie napisała więcej do Elizy.

– W każdym razie dziewczyna spędzi z nami nie dwa tygodnie, ale prawie cały miesiąc, a to już zmienia postać rzeczy. Oznacza, że będzie miała wystarczająco dużo czasu, by poznać kilka fajnych miejsc w tym kraju i żyjących, jak to ujęła matka, krewnych. A ponieważ nie zostało ich zbyt wielu, zdążymy zaznajomić ją także z tymi, którzy już odeszli.

– Owszem – oparła ostrożnie, starając się pozornym spokojem przykryć wewnętrzne podniecenie – jeśli będzie tego naprawdę chciała.

Tego Adrianna była coraz mniej pewna.

Pierwsze wrażenie zdawało się potwierdzać te nie do końca optymistyczne przewidywania. Na kilka dni przed spodziewanym przylotem gości coraz bardziej zaniepokojona Adrianna zakomunikowała Irenie, że jednak nie pojedzie na lotnisko.

– A to co znowu? – Córka była najwyraźniej zbita z tropu i popatrzyła na nią niepewnie. – Przecież było ustalone...

– Nic nie było ustalone. To był jedynie twój pomysł.

– Zaskoczyłaś mnie. Sytuacja staje się niezręczna. Nagle dowiaduję się, że...

– Ja także nagle dowiedziałam się, że moja wnuczka zostanie dłużej w Polsce. Raczyłaś mnie o tym powiadomić, gdy już nie miałaś wyjścia, bo o wszystkim powiedzieli mi twoi synowie.

– A ty wciąż nie możesz mi wybaczyć i przejść nad tym do porządku dziennego. Doprawdy, mam, miałam istne urwanie głowy, przygotowywałam mieszkanie na przyjęcie gości.

– Doskonale wiesz, o co chodzi.

– Wiem, że postanowiłaś nie pisać więcej do Elizy, nawet wtedy, gdy już wiedziałaś, że postanowiła przyjechać. Wiem, wiem, masz swoje powody. Ale nie zapominaj, że ona także miała swoje... Zresztą, daruj, ale nie mam ochoty zajmować się przeszłością i starymi sprawami między wami. Przestań mieć o wszystko pretensje. Dlaczego miałam ci mówić wcześniej o planach dotyczących Uli, skoro ty stale chodziłaś z głową w chmurach i oglądałaś stare albumy?

Adrianna powściągnęła nagłą irytację. Nie chciała się kłócić, przecież od dawna wiedziała, że są sprawy, na które ona i jej córka zawsze będą patrzeć inaczej. Trudno, czasem trzeba brać życie takim, jakie jest. Nie zmieni Ireny, tak jak Irena nie zmieni jej.

– Pomyślałam, że moja obecność na lotnisku stworzy tylko dodatkowe organizacyjne komplikacje – rzekła, siląc się na spokój. – Wszyscy będziemy już i tak wystarczająco wzruszeni i zdenerwowani. A poza tym co dalej? Przecież nie zostanę u was na noc, wszyscy z pewnością się nie pomieścimy w waszym mieszkaniu. W rezultacie biedny Roman musiałby mnie odwozić późnym wieczorem do domu, chyba że zaryzykowałabym podróż ostatnim autobusem. A przecież sama wiesz, jak to bywa z tymi ostatnimi autobusami. Od przystanku do domu też mam kawałek drogi, po ciemku mało przyjemny.

Zauważyła z zadowoleniem, że Irena zaczęła rozważać jej argumenty, choć nadal się jeszcze boczyła. Nie protestowała jednak, a odjeżdżając do domu, przyznała półgębkiem, że „może ma to jakiś sens, aczkolwiek mimo wszystko...”.

– Ale zgoda. Zrobimy tak, jak mówisz. Wytlumaczę Elizie, że to jedynie z powodów organizacyjnych. A w ciągu najbliższych dni po ich przylocie przyjedziemy do ciebie.

Adrianna darowała już sobie – i przy okazji córce – uwagę, że Elizie najprawdopodobniej będzie wszystko jedno, czy matka powita ją na lotnisku, czy nie, a i wizytę w Broniszczach najprawdopodobniej potraktuje jako przykry obowiązek.

Zresztą powinnam ją rozumieć, pomyślała smętnie. Czy ze mną nie było podobnie, gdy po latach spędzonych w Warszawie na polecenie ojca musiałam wrócić do jego domu? Przypuszczam, że Eliza czuje niemal dokładnie to samo co ja – przed wielu laty. Tyle że ja znajdowałam się w nieporównanie trudniejszym od niej położeniu.

\*

Kiedy w czerwcu tysiąc dziewięćset trzynastego roku Jurczyński napisał do Cecylii Barcińskiej, że życzy sobie, aby jego córka wróciła do Jurczewic, Adrianna wpadła w rozpacz. Nie chciała wracać, nie wyobrażała sobie tego. Na samą myśl o opuszczeniu Warszawy robiło jej się niedobrze. Nie miała jednak pomysłu, jak tego uniknąć. Ucieczka nie wchodziła w grę – dokąd miałyby uciekać? Z czego się utrzymać? Rok wcześniej wprawdzie ukończyła z wyróżnieniem pensję – tyle że szkoła dla dobrze urodzonych panien nie nauczyła jej żadnego konkretnego fachu. Zresztą nie umiałyby pracować. Nie takie wychowanie odebrała.

– Zrób coś, przekonaj ojca, aby zmienił zdanie – błagała ciotkę.

Ta jednak bezradnie rozkładała ręce.

– Zgodził się, gdy zaproponowałam mu przed laty, abyś zamieszkała u mnie podczas nauki na pensji. Później zgodził się, abyś towarzyszyła mi w kilkumiesięcznej podróży zagranicznej. Za każdym razem udało mi się go przekonać, że tak będzie z korzyścią nie tylko dla ciebie, ale także dla jego nowej rodziny. – Ciotka konsekwentnie od lat krzywiła się, gdy tylko musiała napomknąć o nowej rodzinie Jurczyńskiego. Czasami przy tej okazji uśmiechała się złośliwie. – Jednak nigdy nie było mowy o tym, abyś zamieszkała u mnie na stałe – dodała z westchnieniem. – Przecież i ty zawsze liczyłaś się z koniecznością powrotu do Jurczewic.

– Nieprawda – zaprotestowała gwałtownie Ada.

Nieprawda, powtarzała w myślach. Przywykła do Warszawy, do zebrań towarzyskich w mieszkaniu ciotki, do teatru, do kawiarni, do licznych grona znajomych. Do ożywionego gwaru i ruchu wielkomiejskich ulic, parków i traktów. Na samą myśl o wielkim i ponurym dworze na wsi, o łąkach, polach i pustkowiach ogarniała ją panika. Najgorsza była jednak świadomość faktu, kto od kilku lat zamieszkuje to miejsce. Przez ostatnie lata starała się nie myśleć o Rozalii i małym Krzysztofie.

Ojciec od czasu do czasu przyjeżdżał do Warszawy, ale po dawnemu niewiele mieli sobie do powiedzenia. Straciła też kontakt z jurczewicką służbą. Miała zatem wrażenie, że wraca do zupełnie obcych ludzi, a w dodatku niektórych z nich wołałaby już nigdy więcej nie widzieć na oczy. Przywiązała się za to do ciotki. Było to zupełnie naturalne, skoro mieszkała u niej w domu przez tyle lat. To pod wpływem Cecylii kształtowała się jej osobowość. Na wiele spraw patrzyła w identyczny jak ciotka sposób. Podobnie oceniała ludzi i zdarzenia. Przede wszystkim zaś tych, z którymi wiązały się dramatyczne przeżycia z jej dzieciństwa. Przebywając na co dzień z ciotką i słuchając jej, Adrianna pozbyła się resztek wątpliwości co do Rozalii. To Cecylia miała rację, to jej diagnoza była trafna, jej opinie i oceny były słuszne, bo uzasadnione faktami, których dziewczyna nie potrafiła zapomnieć. Tym bardziej się więc buntowała, że musi porzucić bezpieczny i przyjemny dom ciotki i wracać tam, gdzie – w jej przekonaniu, podtrzymywanym zresztą latami przez Cecylię – mieszkali sami wrogowie.

– W ogóle nie rozumiem, dlaczego ojciec chce, abym wróciła – lamentowała. – Przecież mu na mnie nie zależy, dobrze mu z tamtą kobietą i jej dzieckiem. Nie jestem mu do niczego potrzebna.

– Pewnie dlatego, że nie jest szczęśliwy – odparła Cecylia, a napotkawszy zdumione spojrzenie siostrzenicy, dodała: – Nawiązując bliskie relacje i w konsekwencji żeniąc się z tą żalną guwernantką, popełnił ogromny błąd i płaci za niego od lat. Równie dobrze mógłby sobie uwiązać kamień u szyi.

Nawet jeśli starała się powiedzieć to spokojnie, nerwy ją zawiodły i jak za każdym razem, gdy wspominała o małżeństwie Michała Jurczyńskiego, wzbierał w niej gniew.

– Ojciec ci o tym mówił? – spytała zapalczywie Ada.

Cecylia wzruszyła ramionami.

– Wystarczy na niego spojrzeć. Sama byś to zauważyła, gdybyś podczas jego wizyt w tym domu przyjrzała mu się uważnie, zamiast stroić miny jak obrażona księżniczka.



Ada nie miała ochoty na dyskusje o swoim zachowaniu wobec ojca, ani tym bardziej na temat jego rzekomego nieszczęścia. Fakt – nie poświęcała ojcu zbyt wiele uwagi, zresztą vice versa, niemniej zauważałyby, gdyby nie był zadowolony ze swojego życia. Doszła zatem do wniosku, że Cecylia, która wciąż o Rozalii wypowiadała się z najwyższą niechęcią i lekceważeniem, a szwagrowi nie chciała zapomnieć krzywdy wyrządzonej Helenie, tym razem wmawiała sobie coś, co nigdy nie miało miejsca. A człowiek, jeśli koniecznie pragnie uwierzyć w stworzony we własnej wyobraźni mit, może naprawdę się tej iluzji poddać.

Ojciec miałby być nieszczęśliwy z Rozalią?! Ada wciąż miała przed oczami tamte chwile, gdy ściskając dłoń swojej młodej żony, Jurczyński surowym tonem nakazywał służbie posłuch wobec nowej pani, a ją, Adę, nie mniej surowo karał, gdy nie chciała uznać macochy. Potem zaś stał w kościele u boku tej dziewczyny o wyglądzie prostej posługaczki i pęczniał z dumy podczas ceremonii chrztu ich syna, upragnionego spadkobiercy.

Z rozmowy z ciotką i ze swojego strapienia związanego z planowanym powrotem do Jurczewic zwierzyła się wujowi Rawickiemu, gdy przyjechał z wizytą do siostry.

– I pomyśleć, że ciocia Cecylia jest przekonana, jakoby ojciec był bardzo nieszczęśliwy, bo nareszcie uświadomił sobie swój błąd – sarknęła, gdy wraz z wujem przemierzali urokliwe alejki Łazienek.

– No cóż, Cecylia jest rzeczywiście uprzedzona – odparł zdawkowo Witold, a na jego twarzy ukazał się dość osobliwy uśmiech.

– Też tak uważam i nawet w pewnym sensie ją rozumiem, ale to nie znaczy, że muszę koniecznie zgadzać się

na zakłamywanie prawdy. Przecież, podobnie jak ona i ty, nie cierpię tej Reńskiej, ale...

– Mów tylko w swoim imieniu – przerwał jej łagodnym, lecz zdecydowanym tonem Witold, a napotkawszy jej osłupiałe spojrzenie, wyjaśnił: – Ja nie podzielam waszej niechęci wobec tej kobiety.

– A ponieważ Ada nie była w stanie wydobyć głosu z krtani, kontynuował zupełnie spokojnie, jakby objaśniał jakąś w gruncie rzeczy mało skomplikowaną prawidłowość: – Oczywiście wtedy, na samym początku, byłem tak samo oszołomiony jak wszyscy pozostali. Jednak potem... na pewno nie było jej łatwo.

– O! To z pewnością! – odparła gniewnie, gdy już odzyskała zdolność mówienia. – Zasłużyła sobie na to! Nie rozumiem, czemu jej bronisz!

– Starła się pogodzić naszą rodzinę. Nawet odwiedziła mnie w tym celu w Radziejowie. Była bardzo miła, zatroskana. Wyjaśniłem jej jednak, że między mną a jej mężem nigdy nie było przyjaźni ani zrozumienia i musiały się zdarzyć cud równy biblijnemu rozstąpieniu wód na Morzu Czerwonym, aby stało się inaczej. Niemniej zapewniłem ją o mojej życzliwości.

– Niebyle! Nawet na tobie wypróbowywała swoje sztuczki! I w dodatku, jak słyszę, z powodzeniem.

– Dlaczego miałbym być dla niej nieuprzejmy? Uprzejmość jest cechą ludzi dobrze wychowanych. Nikt ci o tym nie mówił?

Szczypta ironii w głosie Rawickiego wystarczyła, by Ada wręcz zagotowała się ze złości.

– A choćby dlatego, że ta kobieta przyczyniła się do zguby, do śmierci twojej kuzynki, z którą się wychowałeś, drogi wuju. I do której, o ile pamiętam, byłeś bardzo przywiązany.

Rawicki zatrzymał się raptownie na środku alejki, zupełnie nie dbając o to, że zwraca na siebie uwagę innych spacerowiczów.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Wiem, jak było. Widziałam...

– Co takiego właściwie widziałas? – Patrzył na nią surowo, bezlitośnie. Nie miała pojęcia, co odpowiedzieć, piekliła się z bezsilności.

Czemu taki jesteś? – wyrzucała mu w myślach.

– Otóż to, nic nie widziałas – rzekł kategorycznie. – Powtarzasz zasłyszane bzdury, nic więcej.

– Matka widziała... wszystko.

- Czyżby? Rozmawiałaś z nią przed jej śmiercią? – Wuj nie zmieniał tonu.
- Wtedy już nie. Ale wcześniej, gdy zabrała mnie z Jurczewic...
- Nie rzucaj pochopnych oskarżeń, jeśli nie znasz całej prawdy.
- Wystarczy mi fakt, że ojciec ożenił się z Reńską zaledwie dwa miesiące po śmierci mojej matki.

A ona niedługo potem urodziła...

- Tak. Ale to nie jest cała prawda.
- Czy potrzebuję czegoś więcej? Mnie to wystarczy.
- Helena żałowała, że opuściła twojego ojca, że wyjechała z Jurczewic – mruknął Witold i nie zwracając już uwagi na dziewczynę, ruszył przed siebie.

Zaraz zresztą ponownie znalazła się obok.

- Skąd o tym wiesz, wuju? – spytała, czując się tak, jakby wchodziła na grząski grunt.
- Sama mi o tym powiedziała.
- Kiedy?

Boże, ja chyba śnię, myślała z narastającą paniką, czemu nie wiedziałam o tym wcześniej?

- Na kilka godzin przed śmiercią. Odwiedziłem ją w szpitalu. Nie wiedziałaś o tym?

Potrząsnęła głową. A może, próbowała znaleźć jakieś wytłumaczenie, może ciotka wspominała jej o tym, a ona zupełnie to przeoczyła? Bo z jakiego powodu ciotka miałaby ukrywać wiadomość o wizycie jej brata w szpitalu u kuzynki?

- Czy mama mówiła coś jeszcze?

Tym razem to wuj potrząsnął głową, choć odniosła wrażenie, jakby się na moment zawahał.

A może tylko jej się zdawało?

– Ada, dziecko, posłuchaj... – Ponownie swym zwykłym łagodnym gestem położył dłoń na jej ramieniu. – Nie ma sensu wracać już do tamtej sprawy i na nowo bez ustanku ją rozgrzebywać. Kochałem Helenę jak rodzoną siostrę, ale ona już dawno temu odeszła, a życie toczy się dalej. Była chorą, udręczoną kobietą, która od dziecka potrzebowała pomocy dobrego lekarza, ale nikt się tym nie zajął, jak trzeba. Nie rozgrzeszam Michała, ale co się stało, już się nie odstanie. I nie potrafię rzucić w niego kamieniem za to, że nie zostawił samej sobie dziewczyny, która była brzemienna z jego powodu, choć niejedną na jego miejscu tak właśnie by uczynił.

Rozmowa z wujem Rawickim nie wpłynęła na nią kojąco. Nawet fakt, że zaprosił ją do Radziejowa i wspomniał, że kuzyn Dezydery wkrótce przyjedzie z Paryża, nie poprawił jej nastroju. Wątpiła, by ojciec pozwolił jej ruszyć się gdziekolwiek, zwłaszcza do wuja Rawickiego. Bo przecież człowiek pokroju jej ojca nigdy nie wzięłby pod uwagę, że kuzyn jego pierwszej żony nie tylko go nie potępiał, ale nawet starał się zrozumieć. Ojciec nie dbał o podobne zrozumienie, nie dbał o opinię swojego środowiska, zależało mu tylko na tej pospolitej guwernantce, którą poślubił. A ją, Adriannę, sprowadzał do Jurczewic, aby przypomnieć, gdzie jej miejsce i komu jest winna posłuszeństwo.

Zbuntowana i rozgoryczona wracała zatem tam, gdzie kazano jej wrócić, i dopiero na widok poczciwego starego Walentego, który wyjechał po nią na stację, odtajala.

- Ależ z panienki wyrosła prawdziwa dama! – Staruszek także nie ukrywał radości na jej widok.

– A co tam słyhać we dworze? – spytała, gdy już jechali, a ona z każdą kolejną wiorstą zamartwiała się coraz bardziej na myśl, co ją tam na miejscu czeka. Rozmowa ze staruszką pozwalała jej zachować jaki taki spokój i nie wpaść w panikę.

– Co robić, panienko, robota od rana do wieczora, jak to na wsi. Nigdy czasu na nic nie ma. A i człowiek męczy się szybciej niż kiedyś. Starość nie radość, jak to mówią.

– Powinniście mniej pracować, a więcej wypoczywać – rzuciła od niechcienia, czując, że denerwuje się coraz bardziej.

Spostrzegła jednak, że Walenty poważnie zaniepokoił się jej słowami.

– Co to, to nie! – zaprotestował energicznie. – Myślałby kto, że niedołęga jaki ze mnie i do niczego się już nie nadaję. Lubię powozić. Lubię pracę przy koniach. Umarłbym, gdyby mi tego zabrakło.

– Wiem, Walenty, wiem – uspokajała go, jak mogła, i czym prędzej zaczęła zadawać kolejne pytania. Także by spróbować zapanować nad własnym, coraz większym niepokojem. – Wszyscy zdrowi

we dworze?

– Co by tam nie mieli być zdrowi. Krzysia przywieźli onegdaj z Krakowa, ze szkół. Wakacje się zaczęły – dodał zmieszany, nie będąc pewnym reakcji dziewczyny.

– Aż do Krakowa go wysłali? – spytała zdumiona Ada, zanim zdążyła ugryźć się w język. Właśnie złamała jedno ze swoich postanowień, by nie zadawać żadnych pytań o przyrodniego brata. By ignorować jego istnienie, jak tylko się da.

– A to panienka nie wiedziała? – zdumiał się z kolei stary, a gdy zarumieniona potrzasnęła głową, dodał: – Ano do Krakowa. Rodzina pani Jurczyńskiej mieszka w Krakowie, to chłopaka wzięli do siebie. On za delikatny, by iść między obcych. A tak to i pani znacznie częściej niż kiedyś bywa u rodziców, bo to przy okazji i syna odwiedzi.

Pani. Pani Jurczyńska. Ada zacisnęła dłonie. Jak widać, służba przywykła już do tamtej, skoro nawet taki Walenty, który przed laty nie zostawiał na Rozalii suchej nitki, teraz wypowiadał się o niej z uszanowaniem. Widać przez bez mała dziesięć lat wszyscy przywykli do nowych porządków.

Dla niej, dla Ady, była to sytuacja wciąż tak samo nieznośna. Nawet gdyby ojciec dziesięć lat temu nie wysłał jej do Warszawy, i tak nie zaakceptowałyby swojej guwernantki w roli nowej dziedziczki. Była tego pewna.

Od razu zatem przeszła do pytań o służbę.

– Błazej, ten stary kamerdyner od pokoi, umarł zeszłej wiosny – odpowiadał chętnie Walenty. – A i Genowefa, pamięta panienka, nasza dawna kucharka, także już na tamtym świecie. Ale to pewnie panienka już wie.

– Nie wiedziałam – zasmuciła się szczerze.

– Myślałem, że jakie listy panienka dostawała z domu. – Walenty się zmieszał.

– Nie dostawałam. I sama nie pisałam.

– Ale Kazimiera, panienki niania, zdrowa i dyryguje wszystkim jak dawniej. Jak panienki zabrakło, to się zaraz piastowaniem Krzysia zajęła – pospieszył z wyjaśnieniem staruszek, ale natychmiast zamilkł i poczerwieniał, podchwyciwszy spojrzenie Ady.

Zaciął konie i już się nie odzywał. Ona także milczała. Zza drzew zamajaczyły dworskie mury.

A zatem stało się. Wracam do tego więzienia, pomyślała i w tym momencie zaczęła dygotać na całym ciele.

Na ganku zobaczyła ojca oraz stojącą u jego boku Rozalię.

\*

Nie lubiła tego wspomnienia i od lat go nie przywoływała. Dziś jednak przyszło samo – zupełnie spontanicznie, nieproszone.

Nie posiadała już ani Jurczewic, ani Radziejowa. Nie miało to jednak znaczenia, bo refleksja i tak wróciła: że Eliza, jadąc z wizytą do niej, do matki, zapewne będzie targana podobnymi rozterkami i niechęcią jak ona, gdy przed wieloma laty wracała do ojca.

Nie potrafiła tego odczytać z jej twarzy, gdy już stanęły naprzeciw siebie.

– Prawie dwadzieścia lat... – szepnęła Adrianna. – Tyle się nie widziałyśmy.

Słowa te padły zupełnie spontanicznie. Nie tak chciała powitać niewidzianą od lat córkę. Nie tak melodramatycznie. Przecież żadna z nich nie potrzebowała sentymentalnego nastroju. Spotkanie miało przebiec w pogodnej, spokojnej atmosferze, bez rozszarpywania starych ran. Przynajmniej ona, Adrianna, właśnie tego chciała. I zakładała, że Eliza – także. A tymczasem na sam jej widok nie potrafiła powstrzymać drżenia rąk, nóg, głosu. I te słowa, najbardziej banalne i sentymentalne, jakie tylko można sobie wyobrazić. Nie, z pewnością nie była z siebie zadowolona, ale nic nie mogła na to poradzić. Była przekonana, że wszystkie dławione przez lata uczucia miała teraz wypisane na twarzy, z której spadła przygotowana wcześniej maska.

– Dzień dobry, mamó.

Przynajmniej Eliza trzymała fason. Ale może to nie jej zasługa, może dzieciom w takich sytuacjach jest łatwiej? Bo widocznie przychodzi taki moment w życiu, gdy to rodzice stają się bezbronni.

Adrianna w milczeniu, przez łzy – tak, jeszcze te cholerne łzy – patrzyła na swoje młodsze dziecko. Obie córki były do niej pod pewnymi, rzucającymi się na pierwszy rzut oka względami fizycznie podobne, bo też wszystkie trzy odziedziczyły po dziadku, Michale Jurczyńskim, prawie czarne oczy i ciemne, gęste włosy. Wszystkie też były szczupłe, wyprostowane jak świeca, bez garbienia się i chowania głowy w ramiona, co powodowało, że poruszały się z gracją, i to niezależnie od okoliczności. Nie sposób było jednak nie zauważyć różnic, a Adrianna widziała je w swoich córkach od momentu, gdy nauczyły się stawiać pierwsze kroki. Eliza zawsze była wyższa od siostry w tym samym wieku, i pewnie z tego powodu sprawiała wrażenie szczuplejszej, wręcz kościstej. Z biegiem czasu rzucało się to w oczy bardziej, niż kiedy miała dwadzieścia lat – czyli wtedy, gdy Adrianna widziała ją ostatni raz. Ostrzejsze niż u siostry rysy twarzy, bardziej uwypuklone kości policzkowe, a w spojrzeniu gorycz, wprawdzie starannie maskowana, nie na tyle jednak skutecznie, by Adrianna jej nie dostrzegła.

To pewnie dlatego, że w życiu spotkało ją więcej rozczarowań niż siostrę, pomyślała. Nawet jeśli bytowała w lepszych warunkach niż Irena, a podczas wojny nie zaznała horroru okupacji. Choć z drugiej strony przeżyła koszmar bombardowań Londynu.

Adrianna marzyła teraz, aby ją pogłaskać, przytulić, mówić te same słowa, które wypowiadała do córki, gdy ta była jeszcze małą dziewczynką. Zapragnęła też wykrzyczeć swoją tęsknotę i wreszcie wyznać, że w tym momencie, gdy wreszcie znowu są razem, już nie czuje do niej żalu związanego z odpowiedzią na zaproszenie sprzed roku – ale czuła, że nie powinna tego robić. Spojrzenie Elizy wymuszało dystans. Ona najwyraźniej nie była gotowa na podobne uczuciowe deklaracje.

– Chłopaki i Ula przyjadą za godzinę autobusem – wtrącił wesoło Roman, tym samym rozładowując pełną napięcia atmosferę, a zarazem przerywając krępujące milczenie. – Pewnie na uparte go zmieścilibyśmy się w naszej skorupie – poklepał z miłością maskę samochodu – ale przez miasto strach tak jechać. Milicja by się przyczepiła jak nic.

Roman miał dobre układy w pracy, zarówno z kolegami, jak i szefem, toteż w niektórych sytuacjach mógł wykorzystywać samochód do celów prywatnych. Wolał jednak nie naruszać wtedy przepisów – w razie wpadki i mandatu prawdopodobnie musiałby się pożegnać z możliwością pożyczania auta.

Zanim weszli do domu, Eliza rozejrzała się po obejściu i ogrodzie.

– A więc tu znaleźliście swoją przystań po tym, jak was obrabowali z Radziejowa – rzekła.

– No cóż, tak – przytaknęła Adrianna, niezadowolona, że się lekko zaczerwieniła. – Zapewniam cię jednak, że w porównaniu z innymi, w tym także z naszymi sąsiadami, wyszliśmy na tym nie najgorzej. Twój ojciec... – Przygryzła wargi i zakłęła w duchu. Niepotrzebnie wspomniała o Dezyderym, nie należało tego robić teraz, od razu w pierwszych słowach, przy powitaniu.

– Tak, tak... – Pokiwała obojętnie głową Eliza, po czym spoglądając na obwieszoną owocami jabłoni, dodała jakby mimochodem: – Jak wiadomo, potrafił być operatywny i korzystać z uroków życia.

– To miejsce wprawdzie nie równa się z Radziejowem i Jurczewicami, ale ja zawsze je lubiłam, a dla naszej mamy jest teraz w sam raz – wtrąciła pospiesznie Irena, choć wiedziała, że jej słowa wypadły dość niezręcznie. Obawiała się jednak, że w przeciwnym wypadku matka z pewnością odpowiedziałaby ciętą ripostą. Wystarczyło tylko na nią popatrzeć.

– Czy ja powiedziałam, że mi się tu nie podoba? – Eliza w udanym zdumieniu otworzyła szeroko oczy i ten jeden gest sprawił, że Adrianna zapatrzyła się w nią jak urzeczona. W jednej sekundzie to, co powiedziała na temat Dezyderego, straciło znaczenie.

Boże, to spojrzenie, ta mimika... A ja myślałam, że wreszcie... że to już jest za mną.

– Ja też zawsze lubiłam Broniszczę – kontynuowała jak gdyby nigdy nic Eliza. – Tutejszy kościół, zabudowę, nawet ten stary cmentarz. Lubiłam też plebańię i domek organisty. Bo przecież to dawny dom organistów, prawda?

– Tak. – Adrianna skinęła głową i czując, że opanowała już wzruszenie, dodała pewniejszym głosem: – Oczywiście, że wolałabym cię teraz witać w twoim rodzinnym domu, w Radziejowie, ale i tak się cieszę...

– Do Radziejowa z pewnością bym nie przyjechała – weszła jej w słowo Eliza spokojnym, niemal miłym tonem, jakby udzielała łagodnego napomnienia, ale ton ten sprawił, że Adrianna poczuła mróz przebiegający wzdłuż kręgosłupa. Po minie Ireny poznała, że starsza córka rozpaczliwie się zastanawia, co teraz powiedzieć, aby załagodzić kolejny zgrzyt. Roman odnalazł się najlepiej, po prostu zajął się wnoszeniem toreb do domu.

– A więc tak będziemy ze sobą rozmawiać? – zagadnęła wreszcie Adrianna i spojrzała Elizie prosto w oczy, tym razem bez cienia sentymentu.

Eliza wreszcie się uśmiechnęła, a do jej matki i siostry dotarło w tym momencie, że zrobiła to po raz pierwszy, odkąd znalazła się w Broniszczach.

– Może wejdziemy do środka? – zaproponowała swobodnie, choć obie pozostałe kobiety odgadły, ile wysiłku kryło się pod tą pozorną nonszalancją. – W tym domu nie byłam jeszcze nigdy.

Siedziały potem razem przy stole w kuchni. Irena zajęła się obiadem, choć Adrianna niczego tak nie pragnęła, jak osobiście stanąć przy garnkach i pozwolić obu córkom wyjść w tym czasie na spacer, do ogrodu albo gdziekolwiek. Byle tylko zostać sama i pozbierać myśli. Lecz niestety Irena nie pozwoliła jej na to.

– Nie ma mowy – oświadczyła kategorycznie. – Ja i Eliza gadamy ze sobą bez przerwy od trzech dni. Teraz czas na ciebie, mamo. Obie musicie postarać się choć w części nadrobić stracony czas.

Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz? – myślała z rozpaczą matka. – Nadrobić stracony czas, dobre sobie. Przecież to nie stracony czas jest tu największym problemem.

Przeraziła ją perspektywa rozmowy w cztery oczy z Elizą. Szczerze mówiąc, wolałaby rozmawiać z kimś naprawdę obcym. Wtedy może nie czułaby tego bólu i skrępowania.

– Pozwól przynajmniej, że będziemy ci towarzyszyć w kuchni – zaproponowała pogodnie, choć wewnątrz czuła narastającą niechęć, także do Ireny. Że też ta dziewczyna zawsze próbowała wszędzie wcisnąć swoje trzy grosze i wszystkim narzucać swoje zdanie i własny sposób naprawy świata. Kiedy wreszcie szanowna Irena zrozumie, że w prywatnych, rodzinnych kontaktach nie może zachowywać się jak urzędnik wobec petentów mających w danej kwestii inny pogląd!

– W kuchni?! – oburzyła się Irena. – Jeszcze czego! To nie nasza dawna dworska kuchnia, gdzie mieściło się kilka służących.

– Z pewnością jednak jest większa od twojej, w Warszawie – odcięła się zirytowana już na dobre Adrianna. Do licha, była przecież u siebie w domu i nie zamierzała pozwolić, by ją tu przedstawiano z kąta w kąt. – Chyba nie przeszkadza ci, że posiedzimy w kuchni? – zwróciła się teraz do Elizy, która wydawała się ubawiona całą sytuacją.

– Niby czemu? Kuchnia to moje naturalne środowisko, zarówno w pracy, jak i poza nią – odparła młodsza córka i wyjmując papierosa z torebki, spytała: – Można tu zapalić?

Adrianna nigdy nie paliła i nie pozwalała na palenie w domu, ale tym razem machnęła ręką na znak zgody. Papierosy były w tej chwili najmniejszym problemem. A w ogóle to kiedy Eliza nauczyła się palić? Czy stało się to jeszcze przed jej zamążpójściem i wyjazdem z Polski? Adrianna za nic nie mogła sobie teraz tego przypomnieć.

– Masz ciężką pracę? – zagadnęła, bo przecież od czegoś trzeba było zacząć rozmowę, a żadna z córek nie kwapiła się do tego.

Eliza zaciągnęła się papierosem i wzruszyła obojętnie ramionami.

– Praca jak praca. A żyć z czegoś trzeba.

Z pewnością tak, lecz na litość boską, czy tak powinna wyglądać ich rozmowa?! Ich pierwsza rozmowa od lata trzydziestego dziewiątego roku?!

– Przecież przed wojną rozpoczęłaś studia. Powinnaś mieć lepszą pracę niż w knajpie! – wyrzuciła z siebie z żalem Adrianna.

– I co z tego? – Ton głosu Elizy sugerował jednoznacznie, że i ona pomалу zaczyna ulegać emocjom. – Przypomnę ci jednak, że niespecjalnie przykładałam się do nauki. Zresztą nawet gdybym nie przerwała tych studiów i nie wyjechała, to i tak wybuchła wojna i całą tę edukację szlag by trafił. Nie mam wykształcenia. Takie są fakty, o których zresztą powinnaś pamiętać.

– Eliza! – Irena, mieszając zupę w garnku, ostrzegawczo podniosła drugą dłoń do góry.

– Poza tym w czasie wojny urodziłam przecież dziecko – dodała już spokojniej Eliza i rozgniotła w popielniczce niewypalonego do końca papierosa. – Nie miałam służących ani żadnej niani. Sama musiałam zakasać rękawy. Gdzie tu widzisz możliwość wznowienia studiów albo zdobycia jakichkolwiek kwalifikacji do bardziej ambitnej pracy?

Służące, nianie... Adrianna przez chwilę zastanawiała się, czy i tu nie słyszy przytyku pod swoim adresem, ale postanowiła nie podejmować tej rękawicy. To był zresztą drobiazg wobec słów, które mogły tu jeszcze paść. Na razie uznała, że skoro Eliza zaczęła opowiadać o sobie, trzeba pozwolić jej się wygadać. Lepiej już słuchać najbardziej nawet raniących słów niż siedzieć obok tykającej bomby.

– A potem, gdy Ula wreszcie podrosła, zostałam z nią sama – kontynuowała Eliza. – I musiałam brać się do takiej roboty, jaką mogłam zdobyć. A zapewniam was, że nie było łatwo. Anglicy po wojnie tak zdziadzieli, że na każdego cudzoziemca patrzyli jak na wroga, który zabiera im możliwość bytowania w ich własnym kraju. Zwłaszcza zaś Polacy byli dla nich niczym cierń w oku. Nie było pracy, wprowadzono za to reglamentację żywności. Teraz już jest pod tym względem lepiej, ale to nadal nie raj, jak to tu sobie pewnie wyobrażacie. Tak, pracuję w pubie, który mimo wszystko wygląda porządniej niż tutejsze, jak to raczyłaś, droga mamó, nazwać, knajpy. Pub jak pub, nic niezwykłego, ale przecież nasi polscy generałowie, którzy z oczywistych względów, w obawie o własne życie, nie wrócili po wojnie do Polski, wcale nie skończyli lepiej niż ja. Anglicy nie przyznali im rent ani zasiłków wojskowych, czy jak to się tam nazywa, więc podobnie jak ja musieli się wziąć do ciężkiej fizycznej pracy. Nasi generałowie! Którzy uratowali tyłki tym na Zachodzie! Bitwa o Anglię, drugi front, Afryka, Włochy, a co w zamian? Zmywanie garów po knajpach, szorowanie podłóg albo praca w garażach i warsztatach samochodowych, choć to ostatnie przynajmniej brzmi godniej. Więc nie wypominaj mi, że i ja dzielę los tamtych ludzi.

– Nie wypominam ci – wtrąciła łagodnie Adrianna – tylko mi cię żal...

– Niepotrzebnie. – Eliza sięgnęła po następnego papierosa. – Ja uważam, że i tak mi się udało przy ówczesnym deficycie miejsc pracy. A poza tym Anglicy, z którymi pracuję, są naprawdę w porządku, zatem można powiedzieć, że nie mam powodów do narzekań. Mogę też utrzymać siebie, Ulę, zapłacić rachunki.

– Ryszard przysyła ci chyba jakieś kwoty na dziecko? – spytała Adrianna, choć nie miała pewności, czy córka nie odbierze tego jako dodatkowego przytyku do jej zapewnień, jakoby sama, bez niczyjej pomocy, była w stanie pokryć wszystkie wydatki.

– Oczywiście. Spróbowałyby inaczej! Przecież to jego córka – odparła ostro Eliza i spojrzała matce w oczy z jawną prowokacją.

Adrianna natychmiast zrozumiała wymowę tego spojrzenia i poczuła gorąco uderzające jej do

głowy. Gorzko pożałowała swego pytania dotyczącego byłego zięcia.

– A zatem jesteś zadowolona z życia w Anglii – podjęła niepewnie. – Nie bierzesz pod uwagę powrotu na stałe do Polski?

Eliza nie odpowiedziała i zapatrzyła się w okno, więc Adrianna doszła do wniosku, że córka albo nie usłyszała pytania – co było raczej niemożliwe – albo postanowiła je zignorować, co już było bardziej prawdopodobne.

Nagle poczuła się zmęczona tą rozmową i zniechęcona do jej kontynuowania. Sama myślała, że Eliza miała spędzić w jej domu kilka dni, odbierała Rawickiej resztę odwagi. Dźwignęła się z krzesła i już miała podejść do Ireny, aby pomóc jej odcedzić ziemniaki, gdy nagle Eliza odwróciła się od okna i dosłownie zatrzymała ją wzrokiem.

– Byłam przedwczoraj na Powązkach. Gdyby nie Irena, grób byłby zupełnie zaniedbany.

Adrianna stała jak rażona, niezdolna do najmniejszego gestu, o słowie już nie wspominając.

– Nie, nie odbieraj tego jako pretensji – dodała Eliza, która także podniosła się od stołu. – Przecież ty nie masz żadnego obowiązku tam bywać. Tak tylko mówię, żebyś wiedziała...

Żebyś wiedziała, że ty wciąż pamiętasz... – dokończyła za nią w myślach matka.

Przez chwilę mierzyły się uważnymi spojrzeniami.

– No nic, wyjrzę na trochę do Romana – rzekła wreszcie Eliza. – Zdaje się, że wciąż dłubie przy samochodzie. Miły z niego facet. Ty, Ireno, jako jedyna z nas potrafiłaś znaleźć sobie odpowiedniego faceta.

Pół godziny później przyjechali chłopcy i Ula.

Dziewczyna była przeciwieństwem matki, i to pod wieloma względami. Niewysoka, z burzą rudokasztanowych loczków wokół trochę piegowatej, lecz niebrzydkiej buzi, z wyglądu i temperamentu przypominała ojca. Adrianna i Irena zapamiętały go jako miłego, pogodnego chłopaka, co – zwłaszcza dla Adrianny – przez lata było sporą pociechą. Jeśli już córka zdecydowała się oderwać od rodziny, to przynajmniej miała u swego boku dobrego człowieka, przy którym powinna poczuć się wreszcie szczęśliwa. Zresztą musiała go lubić i doceniać, skoro zdecydowała się za niego wyjść i razem z nim opuścić ojczysty kraj. Adrianna nie wyobrażała sobie, by mogło być inaczej. Nie wierzyła, że w momencie zawierania małżeństwa Eliza kochała Ryszarda Borzęckiego, ale przecież miłość może przyjść z czasem. Dlatego z wielkim rozczarowaniem przyjęła wiadomość o rozwodzie córki. I choć niedawno dowiedziała się od Ireny, że zięć związał się z inną kobietą i wyjechał do Kanady, nadal nie potrafiła myśleć o nim źle. A że w głębi serca nie chciała tak o nim myśleć, to już inna sprawa. W każdym razie ze skrywaną ulgą przyjęła fakt, że wnuczka była taka do niego podobna. I wszystko jej się podobało w tym kraju – poczynając od wybiedzanej jeszcze po wojennych zniszczeniach warszawskiej Starówki, którą pokazali jej kuzyni, na zatłoczonym autobusie do Broniszcz kończąc. Najbardziej chyba jednak podobała jej się cioteczni bracia, zresztą z wzajemnością, i tak cała trójka wchodząc sobie nawzajem w słowo, opowiadała jakiegoś ich zdaniem zabawne zdarzenie z autobusu, jakąś szermierkę słowną między pasażerami, która ich szczególnie ubawiła. Adrianna patrzyła na nich z czułością – jak rozmawiali, śmiali się i jedli, aż im się uszy trzęsły, a obserwując ich, czuła, że ustępuje z niej cała gorycz i smutek wywołane przez zachowanie i słowa Elizy.

Wnuczka mówiła z silnym brytyjskim akcentem i zabawnie kaleczyła niektóre słowa, ale promieniowała z niej takie zadowolenie i pogoda ducha, że Adrianna w myślach zadawała sobie pytanie, czy którakolwiek z jej córek, będąc w wieku tej siedemnastoletniej dziewczyny, miała w sobie tyle dobrej życiowej energii. Ona sama z pewnością – nie. Ani teraz, ani w przeszłości.

– Cieszę się, że wreszcie cię widzę, kochanie – powiedziała jej Adrianna przy powitaniu.

– Nie mogłam się doczekać – odpowiedziała wnuczka.

Teraz, przy stole, gdy tylko młodzież na chwilę umilkła, Adrianna wyraziła obawę, czy aby podczas tych paru dni pobytu w Broniszach Ula nie zacznie się nudzić.

– To tylko mała miejscowość, bez żadnych atrakcji – rzekła. – Co innego stolica, ale tu?

– Andrzej i Jacek nigdy się tu nie nudzili – odpowiedziała rezolutnie dziewczyna. – Sami mi to powiedzieli.

– Oni prawie się tu wychowali. – Babka uśmiechnęła się.

– Nie ma mowy o nudzie – zapewnił Jacek. – Niedaleko jest fajne jezioro, dookoła są lasy. Pokażemy ci Radziejowo, Jurczewice... – Zamilkł na chwilę.

– To dobry kawałek drogi stąd. Za daleko na pieszą wędrowkę – przypomniała Adrianna. Chciała jeszcze dodać, że obecnie w Jurczewicach i w Radziejowie nie ma już nic godnego obejrzenia, ale się powstrzymała. Sama przecież marzyła o tym, aby wnuczka poznała rodzinną przeszłość. Rzuciła krótkie spojrzenie na Elizę, ta jednak nie zareagowała.

– Weźmiemy rowery – odparł Jacek. – Dwa są tutaj, trzeci pożyczymy od Józwiaków.

Będzie dobrze, myślała Adrianna. Nawet jeśli nie dogadam się już z Elizą, obecność jej córki mi to wynagodzi. Jak ty byś się cieszył, gdybyś mógł tu teraz z nami siedzieć przy tym stole. Spojrzała na fotografię męża stojącą na starej komodzie i w tym samym momencie poczuła na sobie spojrzenie Elizy. Nie była w stanie odpowiedzieć jej tym samym. Zadrżała. Przymknęła powieki i pomimo że wciąż słyszała wesołe głosy wnuków i przygadującego im wesoło Romana, przeniosła się myślami do innego, bardziej okazałego pokoju, do stołu, przy którym również siedziała nie mniej rozgadana gromada.

To wspomnienie, podobnie jak poprzednie, przyszło zupełnie niespodziewanie, nieproszone.

Czemu akurat teraz?

Ale słysząc śmiech wnuczki i wciąż czując na sobie uparte spojrzenie młodszej córki, nie miała nawet cienia wątpliwości, że przecież zna odpowiedź.



Tamtego czerwcowego dnia tysiąc dziewięćset trzynastego roku, gdy wbrew swej chęci i woli wracała do Jurczewic, przyszłość jawiła jej się w jak najmroczniejszych barwach. Struchlała ze strachu patrzyła na czekających na nią na ganku ojca i Rozalię, jednocześnie mając przed oczami ponurą wizję całego szeregu kolejnych dni, tygodni, miesięcy i prawdopodobnie lat. Niewykluczone, że do śmierci ugrzęźnie w tym domu. A potem skończy jak jej matka, w koszarnej kaplicy Jurczyńskich na broniszczewskim cmentarzu. Opadła na oparcie siedzenia i zmrużyła oczy, a wtedy, zupełnie niespodziewanie, usłyszała głos Walentego:

– Byłbym zapomniał... Państwo mają gości.

– Gości?

Zdumiał ją ton Walentego, w którym nie dość starannie kryła się niechęć i kąśliwość.

– Rodzeństwo pani Jurczyńskiej zjechało. Letnisko tu sobie robią, jak co roku – szepnął stary.

– Boże drogi...

Niczego więcej nie zdążyła się już dowiedzieć od pocziwego woźnicy, który najwidoczniej nie przejawiał zadowolenia z obecności tych konkretnych gości. Wsiadając z powozu i zbliżając się do ganku, Ada szarpała rękawiczki ze złości. Czemu Walenty wcześniej jej tego nie powiedział? Wtedy, od razu na stacji. Nie bacząc na konsekwencje, wsiadłaby w pierwszy powrotny pociąg do Warszawy. Tak jest, wróciłaby od razu do ciotki. I niechby się później paliło i waliło. A tak w ogóle – czemu nikt jej wcześniej o tym zawiadomił? Czyżby Cecylia także o tym nie wiedziała? Ojciec nie wspominał jej o gościach w liście, w którym polecił, aby Ada wracała do domu? Adrianna była wręcz skłonna przypuszczać, że zrobił to na życzenie Rozalii, która umyśliła sobie, że czas najwyższy, aby pasierbica wreszcie poznała jej rodzinę.

Jakkolwiek było, stała już w progu rodzinnego domu i nie mogła zapobiec temu, co ją czekało.

Uprzejmie i chłodno przywitała się z ojcem. Na Rozalię ledwie spojrzała, ta jednak najwyraźniej postanowiła nie przejmować się zachowaniem pasierbicy, bo zaraz obsypała ją gradem życzliwych komplementów. Jaka śliczna panna z ciebie wyrosła! Czy podróż zanadto cię nie zmęczyła? Droga od stacji po ostatnich deszczach zrobiła się tak wyboista, że każdego by zmordowała!

Ada odpowiadała jej zdawkowo, półgębkiem i wreszcie weszli do dworskiej sieni, a potem dalej, na pokoje. W tym samym momencie od strony bocznego wyjścia prowadzącego do ogrodu dał się słyszeć gromki śmiech, zaraz też w korytarzu pojawiła się gromada rozbawionej młodzieży. Przerzucali się żartami, ale na widok Michała i Rozalii, a zwłaszcza Ady, przystanęli. Śmiech zamarł im na ustach i uprzejmie się uklonili.

– Cieszę się, że wreszcie możecie się poznać – odezwała się trochę zmieszana Rozalia. Chłód i powściągliwość pasierbicy wyraźnie ją deprymowały.

A na co liczyłaś? – pomyślała niechętnie Ada, zauważywszy jej zmieszanie. – Że upływ czasu zmienił moją ocenę tego, co zrobiłaś razem z moim ojcem? Że w ciągu tych lat nabrałam dystansu? Nic z tego. Najlepsze, co mogłabyś zrobić, to trzymać mnie z daleka od siebie i tego domu, a nie sprowadzać mnie tutaj na siłę.

Tymczasem jednak Rozalia postanowiła zapoznać ją ze swoim młodszym rodzeństwem.

– To moi bracia: Janek, Tomasz i Damian. I moja siostra, Hania. A wy poznajcie moją pasierbicę, Adę.

Ada zaledwie skinęła im głową, nie starając się nawet zapamiętać wyglądu tych młodych ludzi ani ich imion. Nie postąpiła nawet o krok w ich kierunku, nie wyciągnęła ręki na powitanie, co sprawiło, że i oni zachowali dystans wobec niej.

– Zapewne chciałabyś teraz odpocząć i rozpakować swoje rzeczy. – Rozalia najwyraźniej czuła się coraz bardziej niezręcznie.

– Tak. Zgadza się – odpowiedziała wreszcie Ada. – Proszę mi na razie wybaczyć, ale pójdę do swojego pokoju.

– Oczywiście, będzie jeszcze czas na dłuższą pogawędkę i lepsze zapoznanie się – potwierdziła skwapliwie zarumieniona jak piwonia Jurczyńska.

Postaram się, aby okazji ku temu było jak najmniej, postanowiła Ada, wstępując po schodach i rozglądając się wokół. Nie zauważyła większych zmian w wystroju wnętrza i umeblowaniu, co najwyżej jakieś drobiazgi i bibeloty ustawione na komodach. Widać „nowa pani Jurczyńska” lubiła takie mieszczańskie ozdoby – Ada nie mogła sobie darować tej małej złośliwości. A potem przyszło jej do głowy, że Rozalia już nie jest tu nowa. To raczej ona, Ada, stała się kimś obcym w tym otoczeniu. Nie знаła na przykład młodej pokojówki, która zajęła się rozpakowywaniem jej rzeczy. Dziewczyna wspomniała, że została zatrudniona w zeszłym roku. A zmian personalnych wśród służby było zapewne więcej. Adrianna zastanawiała się właśnie, czy podpytać dziewczynę o tę lub inną osobę – od Walentego bowiem dowiedziała się wyłącznie o śmierci starego Błażeja i Genowefy – gdy do pokoju weszła Kazimiera.

Na jej widok Ada aż podskoczyła z radości, a fakt, że przed laty nie rozstały się w najlepszej zgodzie, nie miał już znaczenia. Bo choć poróżniło je inne podejście do kwestii małżeństwa ojca, nie sposób było zapomnieć, że piastunka zawsze dawała jej to, czego nie potrafili lub nie chcieli dać rodzice – opiekę i poczucie jakiegoś takiego bezpieczeństwa.

– Nareszcie cię widzę, mój kwiatuszku. – Staruszka zaklaskała w ręce. – Aleś się zmieniła! Gdyby mi nie powiedzieli, że panienka wróciła, wcale bym cię nie poznała.

– Za to ty nie zmieniłaś się wcale – wyznała szczerze Ada. Kazia w jej przekonaniu zawsze wyglądała tak samo.

Już miała zapytać, czemu niania ani razu nie odwiedziła jej w Warszawie ani do niej nie napisała, ale w porę ugryzła się w język. Kazia przecież mogła zarzucić jej to samo. W dodatku obydwie doskonale znały przyczynę takiego stanu rzeczy. Wystarczyło choćby ich odmienne podejście do Cecylii i Rozalii.

Kazimiera nakazała pokojówce przygotować kąpiel dla panienki – „jechałaś od stacji w upale i kurzu” – a potem opowiedziała jej to i owo na temat sąsiadów i służby. Zapoznała ją ze starymi i nowymi ploteczkami oraz okolicznymi skandalami. Nie poruszała spraw rodzinnych, a Ada była jej za to bardzo wdzięczna.

Już myślała, że może przynajmniej tego dnia zostawią ją w spokoju, gdy Kazia na odchodnym pozbawiła ją tej nadziei.

– Za godzinę państwo i goście siadają do stołu. Pamiętaj, aby się nie spóźnić. Twój ojciec tego nie lubi.

Ada w jednej chwili poczuła się jak człowiek, któremu odcięto wszystkie drogi ucieczki. Postanowiła jednak opanować emocje i przynajmniej odroczyć w czasie to, czego i tak w dłuższej perspektywie nie mogła uniknąć.

– Raczej nie zejdę do jadalni – odpowiedziała na pozór spokojnie, a nawet z niewinnym uśmiechem na ustach. – Padam ze zmęczenia i nie czuję głodu.

Kazia natychmiast zmieniła się na twarzy. Nie odpowiedziała uśmiechem, a jej oczy zaczęły rzucać gniewne błyski. Nie ulegało wątpliwości, że po miłym powitaniu i przyjacielskiej atmosferze nie został nawet ślad.

– Jeśli nie zejdiesz do jadalni, udowodnisz tym samym, że jesteś źle wychowana – rzekła lodowatym tonem. – Będzie to zniewaga z twojej strony wobec ojca, macochy i ich gości.

– To jej goście, nie moi – zareplikowała zapalczywie Ada, porzucając swoje szlachetne zamiary, by nie wchodzić już w żadną scysję z piastunką.

– Obie należycie do tej samej rodziny, czy to ci się podoba, czy nie. Jesteś zobowiązana zachować się odpowiednio wobec osób, które są jej bliskie i które ona tu zaprasza. To jedna z podstawowych zasad obowiązujących w tak zwanym dobrym towarzystwie. Czy w domu takiej damy jak twoja ciotka nie nauczyła cię dobrych manier?

Ach, więc o to chodzi? – pomyślała wściekła Ada. – Czyli wznawiamy wojnę... Dobrze.

– Nienawidzisz mojej ciotki, prawda? – odbiła piłeczkę. – Nie musisz odpowiadać, zawsze to

wiedziałam, dokąd tylko sięga moja pamięć. Może mi wreszcie powiesz dlaczego.

Mierzyły się przez chwilę uważnymi spojrzeniami, w których oprócz gniewu czaił się też żal, że nie potrafią już żyć obok siebie w zgodzie. Że są sprawy, na które patrzą inaczej, i wszystko wskazuje na to, że tak już zostanie.

– Jesteś dorosłą panną i tak się zachowuj – przemówiła wreszcie powoli piastunka. – To, co od biedy mogło jeszcze ujść dziecku, młodej damie już nie uchodzi. Jeśli nie zejdziesz do jadalni, nie tylko uczynisz wszystkim afront, ale jeszcze dowiedziesz, że w gruncie rzeczy wciąż jesteś małą, bezmyślną dziewczynką.

– A w ogóle co to za historia z tymi gośćmi?! – krzyknęła dotknięta do żywego Ada. – Dlaczego nikt nie raczył mnie o nich powiadomić?!

Kazia stała już w otwartych drzwiach, ale słysząc jej słowa, odwróciła się.

– Trzeba było czytać listy z domu i odpowiadać na nie, a wtedy byś o wszystkim wiedziała. Przecież pani Jurczyńska pisała.

– Jakie listy?! Nie było żadnych listów! – zawołała, zbyt zdumiona, by zrobić to od razu, więc było już za późno. Staruszka zdążyła zamknąć za sobą drzwi i odejść.

Bzdury jakieś, myślała gniewnie. Żadne listy nie przyszły. Wiedziała bym, gdyby było inaczej.

A jeśli jednak przyszły?

Przypomniała sobie z niechęcią, że w miesiąc po jej przyjeździe do Warszawy ciotka Cecylia istotnie wspomniała jej o liście z Jurczewic.

– Ona napisała – oznajmiła, specjalnie akcentując te słowa. – Chcesz przeczytać?

Odwrzasnęła wtedy, że nie chce – ani teraz, ani nigdy. Czyżby mimo wszystko Rozalia nie zrezygnowała i pisała dalej, a Cecylia po prostu nie dostarczała jej tych następnych listów i zatrzymywała je albo odsyłała? No cóż, to akurat do niej podobne.

Trudno. Było, minęło. Tak czy inaczej, ona, Ada, nie chciałyby czytać żadnych wiadomości od macochy ani jej wyznań czy tłumaczeń. Doszła jednak do wniosku, że teraz rozsądniej będzie zejść na ten nieszczęsny obiad do jadalni i nie przeciągać struny. Zarzuty Kazimierzy, jakoby zachowywała się jak mała dziewczynka – w dodatku bezmyślna mała dziewczynka – nie dawały jej spokoju. Czy naprawdę mogła być w ten sposób postrzegana przez osoby postronne?

Zeszła więc do jadalni, tym samym odbierając Kazimierze powód do dalszego gderania nad jej usposobieniem, choć staruszka i tak odprowadzała ją pełnym żalu wzrokiem.

Już podczas obiadu Ada doszła do wniosku, że obecność tak dużej i ożywionej gromady przy stole miała także swoje dobre strony. Przede wszystkim ani razu nie zapadła niezręczna cisza. Wręcz przeciwnie – towarzystwo było bardzo rozgadane, a jedynymi osobami, które przez dłuższy czas milczały, byli Ada, Michał Jurczyński oraz najstarszy z gromady gości – brat Rozalii, Damian – choć on od czasu do czasu zmuszony przez młodsze rodzeństwo wtrącał jakieś słowo. Ady nikt przez dłuższy czas do tego nie zmuszał, dlatego miała okazję spokojnie przypatrzeć się całej reszcie.

Rzuciwszy kilka ukradkowych spojrzeń na macochę, uznała, że Rozalia niewiele się zmieniła w ciągu tych bez mała dziesięciu lat. Przytyła jeszcze bardziej, ale i jako młoda dziewczyna nie miała wiotkiej figury, jej twarz jednak pozostała taka sama – okrągła, pełna i może dlatego bez żadnych widocznych zmarszczek. Nadal pogodna, nadal uśmiechnięta, wesoła i pełna życia zachowywała się jak wtedy, gdy pracowała w tym domu jako nauczycielka. Małżeństwo z dziedzicem Jurczewic i macierzyństwo nie zmieniły jej sposobu bycia. Ada nie potrafiła sobie jej wyobrazić na salonach, inna sprawa, że podobno – jak kiedyś wspomniała ciotka Cecylia – ojciec i Rozalia niespecjalnie udzielali się towarzystwu. Na początku było to spowodowane ostracyzmem ze strony okolicznego towarzystwa oburzonego okolicznościami pospiesznie zawieranego małżeństwa z osobą spoza ziemiańskiej sfery. Potem, gdy emocje osłabły, sąsiedzi z samej ciekawości chętnie poznaliby drugą żonę Jurczyńskiego, tyle że żadne z nich dwojga nie przejawiało ku temu najmniejszej ochoty.

I tak pozostałaś mieszczką, nigdy nie przyjęłaś się w nowym środowisku, pomyślała z pewną satysfakcją Ada, a następnie skupiła uwagę na ojcu. Dla niego z kolei upływający czas był bardzo łaskawy. Nadal był atrakcyjnym mężczyzną, prezentował się dużo lepiej i dostojniej od żony, której

brakowało tej jakże istotnej elegancji, szyku, blichtru.

Wygląda jak służąca usługująca swemu panu. W ostateczności przecież nią właśnie kiedyś była.

Pozwoliwszy sobie na ten jeszcze jeden przytyk pod adresem Rozalii, Ada przyjrzała się z kolei prawie dziesięcioletniemu chłopcu, który był jej przyrodnim bratem. Niemal go nie znała, nie widziała go od dnia jego chrztu. Michał Jurczyński, przyjeżdżając od czasu do czasu do Warszawy, aby złożyć wizytę szwagierce i zobaczyć się z córką, ani razu nie przywiózł ze sobą syna. Czy dlatego, że nie chciał drażnić Cecylii – o opinię córki przecież nie dbał – czy też sam nie miał ochoty podróżować w towarzystwie małego dziecka – tego Ada nie wiedziała i nie chciała wiedzieć. Fakt pozostawał jednak faktem, że ten mały był jej bratem i przyszłym dziedzicem Jurczewic. Gdy go teraz obserwowała, chwyciła czasem ciekawe spojrzenie chłopca i chociaż w pierwszej chwili oboje, niczym spłoszeni spiskowcy, odwrócili od siebie oczy, to jednak żadne z nich nie mogło się oprzeć pokusie, by ponownie nie rzucić w stronę drugiego okiem. Ada z trudem powstrzymywała wzruszenie, bo Krzyś był podobny do Piotrusia. I w dodatku – na szczęście – prawie w ogóle nie wdał się w matkę. Najwyraźniej jednak mały Jurczyński czuł się bardzo dobrze w towarzystwie kuzynów Reńskich. Pewnie dlatego, że – przynajmniej wedle słów Walentego – sporo czasu spędzał w Krakowie i zamiast na stacji mieszkał z rodziną matki.

Dokładnie tak jak ja, pomyślała Adrianna, wspominając pobyt u ciotki.

Wyglądało na to, że Krzyś szczególnie upodobał sobie towarzystwo niewiele od niego starszej Hani. W każdym razie dziewczynka tak właśnie wyglądała. Poza tym młodsza siostra Rozalii raczej drażniła Adę, a wszystko wskazywało na to, że także Jurczyńskiego. Zachowywała się zdecydowanie zbyt swobodnie, była hałaśliwa, głośno się śmiała, pozwalała sobie na różne uwagi, na które zdaniem Ady (i zapewne także jej ojca – jak zauważyła) dziecko nie powinno sobie pozwalać, zwłaszcza w gronie dorosłych. Co dziwniejsze nikt, poza najstarszym bratem, jej nie mitygował. A i jego uwagi spływały po niej jak woda po kaczce. Tomek i Janek mieli odpowiednio po piętnaście i szesnaście lat i byli jeszcze uczniami gimnazjum. Sprawiali sympatyczne wrażenie, jeden przez drugiego opowiadali jakieś zabawne historie ze szkoły, choć Ada nie potrafiłaby powtórzyć bodaj jednego zdania. Siedzący obok niej Damian przeważnie milczał, chyba że poczuł się w obowiązku przywołać do porządku swoje rodzeństwo. I zapewne w takiej atmosferze obiad przebiegałby do samego końca, gdyby Rozalii nie przyszło do głowy, by nie sprowokować do udziału w rozmowie milczącej pasierbicy i sporadycznie odzywającego się brata.

– Jesteście niemal rówieśnikami, specjalnie posadziłam was obok siebie, moglibyście się lepiej poznać, zamiast siedzieć jak dwa sfinksy – zaświergotała radośnie.

Ada poczerwieniała, ale darowała sobie szukanie celnej riposty. Damian jednak zareagował:

– Zauważyłem, że coraz częściej zachowujesz się jak nasza matka – zwrócił się do siostry, a w pozornie żartobliwym tonie jego głosu słyhać było niewielką, ale wyraźną nutkę niezadowolenia. – Ona także bardzo lubi udzielać wszystkim dookoła wskazówek, co jej zdaniem jest dla nich najlepsze. I to jeszcze zanim sami zainteresowani złączą się zastanawiać, czy w ogóle chcą cokolwiek zmieniać w swoim życiu.

Rozalia spłoszyła, ale przynajmniej odeszła jej ochota, by zajmować się dwójką milczących młodych ludzi. Nie przedłużała też celebrowania obiadu, tym bardziej że Jurczyński wybierał się na spotkanie z dwoma dzierzawcami.

Przez kolejne dwa dni Ada robiła, co w ludzkiej mocy, by kontakty z rodzeństwem macochy ograniczyć do niezbędnego minimum, czyli wspólnych posiłków. Dwa razy z trudem wymówiła się od propozycji wycieczek, zastanawiała się jednak, jak długo zdoła się chronić przed narzucanym jej towarzystwem. Tego dnia, gdy po raz drugi wymigała się od wycieczki, której główną atrakcją miał być piknik w oddalonej o kilka wiorst miejscowości, wyruszyła na samotną przechadzkę skrajem łąki w kierunku małego zagajnika, gdzie zaczynał się las.

Zagajnik wabił urodą o każdej porze roku. W maju kwitły tam konwalie, wczesnym latem można było znaleźć morze fiołków, później z kolei, gdy przyroda przygotowywała się do jesieni, ziemię na małej polance pokrywały wrzosy.

Ada dosłownie w ostatniej chwili zauważyła leżącego na trawie Damiana. Patrzył na przepływające po niebie białe obłoki, dlatego założyła, że nie zdążył jej zauważyć. Ostrożnie cofnęła się w kierunku ścieżki prowadzącej bezpośrednio do lasu i w tej samej chwili usłyszała jego głos:

– Spokojnie. Jestem tu sam i nie przypuszczam, że cała reszta zrezygnowała z pikniku, aby przybiec tu naszym śladem.

Nie patrzył na nią, wciąż uważnie śledził obłoki. Mimo to poczuła się trochę nieswojo. Sam fakt, że ten młody człowiek z pewnością dostrzegł jej próbę ucieczki, nie stawił Ady w korzystnym świetle.

– Nie chciałam panu przeszkadzać – usprawiedliwiła się zawstydzona.

Podźwignął się z murawy i wreszcie na nią spojrział.

– Fakt, chciałem choć trochę побыć sam. Podobnie jak pani. Zabawne, ale pewnie dlatego pani obecność w ogóle mi nie przeszkadza.

– Byłam pewna, że wszyscy wybrali się na piknik. – Ada w dalszym ciągu nie czuła się komfortowo.

– Uchowaj Boże! Jeszcze trochę, a oszalałbym od tego ciągłego zgiełku. Muszę wreszcie zebrać myśli i przypomnieć sobie, kim właściwie jestem. Zresztą, o ile się nie mylę, mój szacowny szwagier także starał się tego uniknąć. Wizyty mojej rodziny co roku wystawiają jego cierpliwość na bardzo poważną próbę. To święty człowiek. Inny na jego miejscu już dawno chwyciłby za kij i przepędził nas stąd niczym kupców ze świątyni. I pani niech się mną nie krępuje – dodał ubawiony jej niepewną miną. – Zgaduję, że nie ma pani ochoty ani na moje towarzystwo, ani na rozmowę. Jeśli ma pani ochotę odejść, proszę to zrobić. Ale jeśli zamierzała pani spędzić trochę czasu w tym miejscu, to proszę zostać i nie zawracać sobie mną głowy. Możemy pomilczeć razem.

– A czy tak wypada? – Uśmiechnęła się wreszcie.

– Czemu nie? Często tak praktykuję w moim życiu.

– Nie wystraszył pan w ten sposób wszystkich przyjaciół i znajomych?

– Dobieram sobie takich, przy których mogę zachowywać się swobodnie.

– A rodzina pozwala panu na taką swobodę?

– No, nie bardzo – przyznał, zasepiwszy się zabawnie. – Lecz w przeciwieństwie do przyjaciół rodziny sobie nie wybieramy.

Roześmiała się i wbrew wcześniejszym zamiarom usiadła na pobliskim pniu.

– Jednak pani nie odeszła – zauważył.

– Jednak rozmawiamy, zamiast milczeć – odparła wesoło.

W odpowiedzi westchnął teatralnie.

– Ostrzegam, że nie nadaję się do zabawiania dam. Należę do ginącego gatunku samotników, ci zaś w powszechnej opinii uważani są za nudziarzy.

– Nudzi się pan w życiu?

– To raczej większość ludzi nudzi się w moim towarzystwie, w tym niemal wszystkie kobiety.

– Mnie nie musi pan zabawiać – odparła po chwili zamyślenia Ada.

Zapadła cisza, tylko raz w oddali zabrzmiał świergot jakiegoś ptaka. Powietrze zatrzymało się w upale, nawet najsłabszy wietrzyk nie poruszał gałęziami drzew.

– Wiem, że spędziła pani wiele lat w Warszawie – zagaił po pewnym czasie Damian. – Zastanawiam się, co panią skłoniło do powrotu w te strony.

– Nic w tym niezwykłego – odparła obojętnie, choć na moment serce jej się ścisnęło. – Takie było życzenie mojego ojca.

Ponownie zapadło milczenie, które tym razem przerwała Ada:

– Czym się pan zajmuje w życiu?

– Studiuję medycynę – odparł ponownie, wracając do kontemplacji nieba.

– Zamierza pan pójść w ślady ojca? – zainteresowała się, przypomniawszy sobie, że ojciec Rozalii był lekarzem.

– To zależy. To znaczy tak, zamierzam zostać lekarzem. Taki był mój wolny, świadomy wybór. Ojciec niczego mi nie narzucał. Tyle że w przeciwieństwie do niego nie mam zamiaru obarczać się liczną

rodziną. Ojciec mógłby doskonalić swoją wiedzę medyczną i pracować znacznie efektywniej, nie mówiąc już o braniu udziału w sympozjach naukowych, gdyby nie konieczność bezustannego harowania na zaspokojenie potrzeb dużej rodziny. Odkąd sięgam pamięcią, w domu zawsze był taki rejwach i hałas, że mowy nie było, aby choć przez godzinę mógł w spokoju się skupić na naukowej lekturze. Jaka taka cisza zapadała tylko późną nocą, o ile któreś z dzieci nie płakało na całe gardło. A przecież ojciec także musiał kiedyś odpoczywać. Już dawno postanowiłem, że nie będę powielał jego przykładu.

Słuchała go, przypomniałszy sobie, że podobne poglądy głosił niejeden z gości zapraszanych do salonu ciotki Cecylii. Damian jednak opacznie zrozumiał jej milczenie.

– Zdaje się, że panią zgorszyłem. Kobiety na ogół tak właśnie reagują, gdy próbuję wyjaśnić mój pogląd na podobne kwestie. Notabene zawsze mnie intrygowało, co takiego uroczego widzicie w posiadaniu dużej, absorbującej rodziny. W ciągłym rejwachu i marnowaniu czasu na uganianie się całymi dniami za dziećmi, służbą, mężem i Bóg jeden wie, czym jeszcze. Dlaczego tak marzycie o podobnym życiu, w którym nie ma się ani czasu, ani pewnie ochoty, by usiąść, zebrać myśli, popatrzeć w niebo czy za horyzont.

– Nie zgorszył mnie pan – odpowiedziała spokojnie. – Chyba rozumiem, co ma pan na myśli.

Usłyszawszy jej słowa, uśmiechnął się z niedowierzaniem.

– Proszę się nie gniewać, ale nie sądzę, aby pani to rozumiała. Nie wychowała się pani w dużej, wielodzietnej rodzinie. Nie patrzyła pani na matkę, której cały świat ograniczył się do spraw domu i dzieci. Której najbardziej ambitnym zadaniem stało się zaprowadzenie jakiegoś takiego ładu, a było to na ogół karkołomne zadanie. O życiowych zmaganiach mojego ojca zdążyłem już co nieco opowiedzieć.

– Mój dom rodzinny był zupełnie inny. Nie sądzę jednak, by nawet pan chciał się ze mną zamienić. To był wyjątkowo nieprzyjazny dom. Ponury, milczący, bardzo zimny. Ja, w przeciwieństwie do pana, zamiast wiecznego harmidru pamiętam przygnębiającą, ziejącą zewsząd pustkę.

Wreszcie przyjrzał się jej uważnie.

– Wiem, że miała pani rodzzonego brata – rzekł cicho.

Skinęła głową. Bała się, że jeśli powie bodaj najkrótsze słowo na temat Piotrusia, rozplacze się.

– Domyślałam się, że trudno pani o podobnie bliską relację z Krzyśkiem – kontynuował spokojnie i ostrożnie, a ponieważ ani nie potwierdziła, ani nie zaprzeczyła, pokiwał ze zrozumieniem głową. – Biedny mały Krzysiek... Wiadomość, że ma się pojawić na świecie, nikogo początkowo nie zachwycała.

– Mogę to sobie wyobrazić – szepnęła z wysiłkiem, gdy zdała sobie sprawę, że chyba oczekiwał jej odpowiedzi.

– Rozalia, póki mogła, trzymała sprawę w tajemnicy – kontynuował – ale przecież nie mogła tego robić bez końca. Zwłaszcza w takiej rodzinie jak nasza, gdzie wszyscy bez ustanku siedzą sobie wzajemnie na karku. Miałem dwanaście lat, gdy wróciła do domu po stracie posady w Jurczewicach, i od razu widziałem, że coś z nią nie tak. Nie domyślałem się, rzecz jasna, w czym rzecz, ale matka w końcu się połapała i w domu rozpętało się prawdziwe piekło. Matka lamentowała, ojciec wyrzucał z siebie lawinę pytań. Rozalia płakała i nie chciała mówić, ale w końcu... Ojciec napisał do Michała Jurczyńskiego, a on... od razu przyjechał. I bez żadnych zbędnych ceregieli ożenił się z moją siostrą. Ślub był cichy, dyskretny, bez udziału nas, dzieci. Tylko rodzice i dwoje, podobno przypadkowych, świadków. A poza tym żadnej fety, żadnego wesela, nic. Jakby na to nie patrzeć, pani ojciec zachował się, jak należy. Choć inni mu tego nie darowali.

Ada zaczerwieniła się, słysząc ostatnie słowa, choć mało było prawdopodobne, aby zostały skierowane pod jej adresem. A może jednak? Nadal nie wiedziała, jaką wiedzę miał ten człowiek na jej temat i jej reakcji na ślub ojca. Ile powiedziała mu Rozalia i czy cokolwiek mu napomknęła na ten temat. Przypomniała sobie za to, co miał w tej sprawie do powiedzenia wuj Witold. On również dobrze ocenił decyzję ojca.

Podniosła się powoli, ponieważ poczuła, że jeszcze chwila, a nogi zdrętwieją jej do reszty.

– Podobno pan i rodzeństwo przyjeżdżaliście tu każdego lata – zagadnęła bez żadnego związku z tym, co przed chwilą usłyszała.

– Zgadza się. Kilka lat temu towarzyszyła nam jeszcze jedna siostra, ale wyszła już za mąż.

– Wnioskuje z tego, że lubiliście to miejsce.

Damian w odpowiedzi wzruszył ramionami.

– Moje rodzeństwo zawsze dobrze się tu czuło – odpowiedział.

– A pan?

– Ja? No cóż... – Zamyślił się, jakby rozważał, na ile szczerości może sobie pozwolić. – Zależy, jak na to spojrzeć. Tęskniłem za ciszą i spokojem, a towarzystwo mojego rodzeństwa całkowicie to wykluczało. Mogła się pani o tym przekonać. Z drugiej jednak strony... można tu znaleźć kilka takich miejsc, gdzie ma się wrażenie, że niebo jest na wyciągnięcie ręki. I te obłoki, prawie ich dotykam.

– Chyba pan przesadza! – Ponownie się roześmiała i to spowodowało, że również on wybudził się z rozmarzenia.

– To już moje ostatnie wakacje w tym miejscu – odezwał się zupełnie innym tonem. – Za rok kończę studia i podejmuję pracę. Koniec z marnotrawieniem czasu na kilkutygodniowy, jałowy pobyt na wsi.

– I na patrzeć w obłoki – dodała przekornie.

Uśmiechnął się jakby z pewnym politowaniem.

– Czasami trzeba spróbować dotknąć obłoków. – Wzruszył ramionami. – Oderwać się od ziemi. Czy choćby spojrzeć w niebo.

\*

– Mamo, źle się czujesz? Ona czasem wpada w taki dziwny stan. Mówiłam, że nie powinna mieszkać sama.

Wystraszony głos Ireny przywrócił Adriannę do rzeczywistości. Otworzyła oczy i rozejrzała się wokół. Oczywiście wszyscy siedzieli przy stole. Ona, jej córki, wnuki i zięć. A z fotografii na komodzie patrzył na nią Dezydery.

– Znowu napędziłaś nam stracha – ponownie odezwała się Irena. I tym razem w jej głosie nietrudno było usłyszeć wymówkę.

– Znowu napędziłam ci stracha, czego zresztą nie zamierzałam robić. Nikt inny nie panikuje – odparła Adrianna. – Nie zaczynaj, proszę, wmawiać mi wszystkich możliwych chorób.

– Tak? To przestań wreszcie mamrotać o dotykaniu nieba czy lichu wie, co jeszcze.

Czyżby? Mówiłam do siebie? Muszę na to uważać, zrugowała się w myślach.

– Naprawdę zdarza ci się dotykać nieba, mamo? – spytała nieoczekiwanie Eliza i w jej oczach zamigotało jakieś światło. – A to nowość! Nie miałam o tym pojęcia. Może coś opowiesz na ten temat?

– Może i opowiem, ale tylko pod warunkiem, że będziesz gotowa mnie wysłuchać – odpowiedziała impulsywnie Adrianna, zanim zdołała zastanowić się nad własnymi słowami.

– Przestańcie wreszcie! – Irena nagle podniosła głos. – Ja bym radziła zejść z tych obłoków na ziemię! I wreszcie zacząć normalnie ze sobą rozmawiać.

- To stare zdjęcie, z początków wieku. Nie oddaje w pełni jej urody.
- Dlaczego? Moim zdaniem jest dość wyraźne – odparła Ula.

Siedząc na ganku, oglądały stary album. Dwa dni po przyjeździe córki i wnuczki do Broniszcz Adrianna odważyła się zaproponować Uli taką rozrywkę. Reszta gości znalazła sobie w tym czasie inne zajęcia. Andrzej pojechał w jakiejś pilnej sprawie do Warszawy, Jacek naprawiał łańcuch w starym rowerze. Co robiły Irena i Eliza, Adrianna nie wiedziała. Wkrótce po śniadaniu obie córki zniknęły jej z oczu, zakładała zatem, że udały się na spacer, aby spokojnie porozmawiać w cztery oczy. Adrianna miała pełną świadomość, że ona sama na podobną przechadzkę, a tym bardziej szczerą rozmowę z Elizą nie mogła liczyć, ale była już z tym pogodzona. A nawet gdyby miała ochotę i odwagę uderzyć się w piersi, musiałaby przyznać, że nie czuła potrzeby wysłuchiwania osobistych albo nawet intymnych zwierzeń młodszej córki. Bo w gruncie rzeczy mogłoby to oznaczać konieczność rewanzu z jej strony. A przecież coś takiego nie mogło wchodzić w grę, w żadnym wypadku. Już dawno temu o tym zdecydowała.

No cóż, widocznie musi mi wystarczyć, że mam możliwość popatrzenia na nią. To wszystko. Może to już ostatnia taka okazja w moim życiu. A rozmowa? Czasami lepiej zostawić sprawy takimi, jakimi są. Nie rozdrapywać starych ran, myślała.

Skoncentrowała uwagę na wnuczce, a dziewczyna odpowiedziała jej żywym i wdzięcznym zainteresowaniem. Bez żadnych podchodów i pełnych skrępowania zabiegów, ot tak, prosto z mostu, Ula zapytała ją o rodzinne pamiątki. I to już następnego dnia po przyjeździe do Broniszcz. Tak jakby to była najzwyczajniejsza sprawa na świecie, jakby znały się od lat, a nie zaledwie jedną dobę.

Jak to dobrze, że jest taka śmiała i bezpośrednia, pomyślała z ulgą i nieskrywaną radością Adrianna. Żadna z jej córek nigdy nie była tak otwarta jak wnuczka. Być może dlatego, że współczesne dziewczęta nie są skrępowane takimi zasadami obyczajowymi jak niegdyś ich rówieśnice. Nie muszą na każdym kroku liczyć się z tym, jak wypada, a jak nie wypada zachować się w danej sytuacji, czy wolno im się w ogóle odezwać. A może nie była to jednak kwestia zwyczajów epoki, a raczej usposobienia? Miłego, otwartego i życzliwego wobec ludzi? Ojciec Uli miał dokładnie takie cechy – Adrianna dobrze to pamiętała. I tylko po nim wnuczka mogła je odziedziczyć. Przecież nie po matce, która rzadko kiedy, nawet jako młoda dziewczyna, liczyła się z uczuciami innych. I to także trudno było jej zapomnieć.

– Radziejowo i Jurczewice, a raczej to, co z nich zostało, pokażą ci chłopcy. Słyszałam, że zaplanowali już wycieczkę rowerową, to dobre kilka kilometrów stąd – odpowiedziała Adrianna, odnosząc się do pytania wnuczki. – Ja mogłabym zaprezentować ci stary rodzinny album. Lubisz takie oglądać?

Ula odparła, że tak. Raz miała ku temu okazję – w domu jej londyńskiej koleżanki. Oglądała zdjęcia z przełomu wieków i zrobiły na niej ogromne wrażenie.

– Nie sądziłam, że masz coś takiego, *grandma* – zaznaczyła z rozbijającym wdziękiem i szczerością.

– Nie wiem, czy to dokładnie to samo... Sama musisz ocenić.

Ula od razu zwróciła uwagę na fotografię Heleny Jurczyńskiej.

– To moja matka – wyjaśniła jej Adrianna. Przez chwilę zastanawiała się, ile może powiedzieć na temat kobiety, która kilkadziesiąt lat temu wydała ją na świat. Przecież już wcześniej postanowiła, że nie będzie, przynajmniej na razie, wchodzić w zbyt przykre szczegóły dotyczące własnych rodziców, a pradiadków Uli. Wypadało jednak coś powiedzieć, cokolwiek, dlatego dodała: – Uchodziła za piękną dziewczynę, a potem kobietę, choć może na tej starej fotografii tego nie widać. Była jasną blondynką o szarych oczach. Swego czasu bardzo chciałam być do niej podobna, a nie byłam. Potem mi przeszło... A to mój ojciec, jak widzisz, wdałam się raczej w niego. – Szybko przewróciła stronę, by nie prowokować ewentualnych pytań. Tyle informacji powinno wystarczyć, przynajmniej na początek.

– Jesteś do niej podobna, *grandma* – odezwała się Ula, wskazując na wyjątkowo udane zdjęcie



Cecylii Barcińskiej.

Spostrzeżenie było trafne. Adrianna słyszała je nieraz, zarówno w dzieciństwie, jak i potem. Jednak uwaga wnuczki mimo wszystko ją zaskoczyła. Przecież fotografia Cecylii przedstawiała piękną, elegancką, ale przede wszystkim młodą, zaledwie trzydziestoparoletnią kobietę. Jakim cudem dziewczyna zauważyła podobieństwo między tą stylową, atrakcyjną damą a starszą już kobietą, jaką była jej babka?

Tajemnica szybko się wyjaśniła.

– Mama pokazała mi fotografię, która przedstawia was obie. To znaczy ciebie i mamę. Mama miała wtedy dwanaście lat, a ty bardzo przypominałaś tę tutaj... – odparła rezolutnie Ula i popukała kciukiem zdjęcie.

– No tak... – Adrianna poczuła, że coś ją ściska w gardle. Eliza, wyjeżdżając przed laty do Anglii, zabrała ich wspólne zdjęcie? Nie wiedziała o tym. Opanowała jednak wzruszenie i wskazała na album. – To moja ciotka, kuzynka matki.

– Ach tak! – przypomniała sobie dziewczyna. – Mama coś kiedyś mówiła... Lubiała ją, ale potem się pogniewałyście i nie pojechałaś nawet na jej pogrzeb, tak? – Naraz uzmysłowiła sobie popełnioną gafę i zarumieniała się jak piwonია. – Przepraszam, *grandma*... – wymamrotała zawstydzona.

– Mama opowiadała ci o takich sprawach? – spytała poruszona do żywego Adrianna. Po niedawnym wzruszeniu wywołanym wiadomością, że Eliza przechowywała ich wspólne zdjęcie, nie było już śladu.

– Nie mnie. Tacie. – Ula zmarkotniała. – Dawno temu... Podśluchałam. Czasem tak robiłam – dodała w przyływie kolejnej fali szczerości.

– Nic nie szkodzi. Wszystkie dzieci podsłuchują, a przynajmniej spora ich część – odparła Adrianna, której uwadze nie uszedł fakt, że wnuczka posmutniała na wspomnienie ojca. W tej sytuacji nawet ukłucie bólu spowodowane słowami Elizy nie było już tak dotkliwie. A poza tym... mój Boże... o co tu się gniewać? Przecież Eliza opowiedziała prawdę.

Dziewczyna już tego nie skomentowała, przyjrzała się za to z uwagą zdjęciu Piotrusia.

– Mój brat – wyjaśniła Adrianna. – Matka zapewne ci o nim opowiadała.

– Nie jestem pewna. To syn twojej macochy?

– Nie, to mój rodzony brat, Piotruś... Piotr – poprawiła się.

– Nie mówiła, że miałaś rodzony brata – padła ponownie szczerą i zaskakującą odpowiedź. – Co się z nim stało?

– Już dawno nie żyje – odparła pozornie niedbałym tonem Adrianna i pośpiesznie przewróciła stronę.

Ponownie poczuła ukłucie bólu. Oczywiście Eliza nie była zobowiązana opowiadać córce o małym Piotrusiu. Skoro jednak zaznajomiła męża z historią konfliktu jej matki z Cecylią, to powinna być konsekwentna i powiedzieć, że istniał ktoś taki jak mały rodzony braciszek tejże matki.

– Moja macocha. – Wskazała na Rozalię. – A to jej syn, Krzyś. – Tym razem głos jej niebezpiecznie drgnął. – Ten, o którym, jeśli dobrze zrozumiałam, Eliza ci opowiedziała.

– Tak. Zmarł na gripę hiszpankę zaraz po pierwszej wojnie?

– Zgadza się – potwierdziła Adrianna i znowu przyszło jej do głowy, że również na ten temat nie ma ochoty snuć wspomnień. Jeszcze nie teraz. Jakaż była głupia, gdy kilka miesięcy temu zakładała, że w sposób interesujący i barwny opowie wnuczce o rodzinie.

– Wiem, że bardzo długo nie cierpiałaś swojej macochy – odezwała się już śmieiej Ula. Zabawnie brzmiał silny brytyjski akcent. Sam fakt, że tak bezpośrednio zwracała się do babki też mógł niejednego ubawić. I ta jej otwartość, szczerść! Jednak to, co mówiła, dało Adzie wiele do myślenia. Przede wszystkim zrozumiała, że Eliza, decydując się cokolwiek powiedzieć swojemu mężowi i córce na temat matki, wybierała te wątki, które nie stawały jej w korzystnym świetle.

Co mówiła na temat Dezyderego? Czy wspomniała o tamtej bolesnej sprawie sprzed lat? Raczej wątpliwe, Adrianna jednak nagle zapragnęła się o tym dowiedzieć. Choćby po to, by zyskać jaką taką pewność, na czym stoi.

– Z tego, co słyszę, mama opowiadała ci trochę o naszej rodzinie – zagała ostrożnie.

– Trochę? Bardzo mało. – Dziewczyna uśmiechnęła się pod nosem. – Tylko wtedy, gdy ja lub tata o coś ją zapytaliśmy. Chociaż nawet wtedy nie zawsze miała ochotę na wspomnienia.

– Brakuje ci go, prawda? – spytała cicho Adrianna i zaraz pożałowała tego pytania. Odpowiedź była przecież oczywista. Z drugiej strony dawała możliwość dowiedzenia się czegokolwiek o życiu Elizy... tam.

– Tak. – Ula skinęła głową, po czym ponownie skoncentrowała się na albumie. Najwyraźniej, podobnie jak jej babka, nie była jeszcze gotowa na bardziej osobiste wyznania. Patrzyła teraz na ślubną fotografię Adrianny i Dezyderego. – Ładnie wyglądaliście – oceniła i wszystko wskazywało na to, że zrobiła to szczerze.

– No cóż... – Adrianna zawahała się, nie bardzo wiedziała, co powiedzieć.

Szczęśliwie Ula najwyraźniej nie oczekiwała bardziej sensownej odpowiedzi, za to z niesłabnącym zainteresowaniem wpatrywała się w fotografię.

– Ty byłaś bardzo ładna, a dziadek też taki przystojny – analizowała.

Adrianna milczała, bo trudno było zaprzeczyć. Nawet wtedy, przed laty, najzawziętsi krytycy jej małżeństwa nie mogli doszukać się żadnego mankamentu w prezencji młodej pary, jak i całej ślubnej oprawy.

– Nigdy dotąd nie widziałam żadnego zdjęcia dziadka – dodała nieoczekiwanie Ula i ta kolejna szczerza uwaga poraziła Adriannę niczym uderzenie pioruna.

Opanowała jednak emocje. Właściwie czego innego mogła się spodziewać po córce? Eliza wyjechała z Polski prawie dwadzieścia lat temu, pełna niechęci do Dezyderego i wzdargy wobec matki. Już nie wiadomo, co było gorsze – ta niechęć czy pogarda. Przynajmniej jednak zabrała fotografię Adrianny. W przeciwieństwie do zdjęcia Dezyderego. Gdyby знаła prawdę... Na samą myśl o takiej ewentualności Adrianna poczuła lodowate dreszcze wzdłuż kręgosłupa. Nie, nie trzeba już nawet o tym myśleć. Po co wywoływać stare upiory? Nikomu z żyjących członków rodziny to nie pomoże, a zaszkodzić zawsze może.

– Ja i twój dziadek byliśmy kuzynami w drugiej linii, pewnie o tym nie słyszałaś? – oznajmiła, pozostawiając bez komentarza wcześniejsze słowa wnuczki. – Jego ojciec i moja matka byli rodzeństwem stryjecznym.

Oczywiście nie miała pewności, czy Ula już o tym nie wiedziała. Jednak spojrzenie dziewczyny wyrażało najżywsze zainteresowanie.

– To znaczy, że znaliście się od dziecka. Przecież do tego wszystkiego mieszkaliście niedaleko od siebie – zauważyła roztropnie.

– To trochę skomplikowane. – Adrianna uśmiechnęła się. – Wprawdzie Radziejowo i Jurczewice dzieliła odległość kilku wiorst, ale nasi ojcowie nie utrzymywali ze sobą zbyt bliskich relacji. Tak czasem bywa w rodzinie.

– Wiem – potwierdziła Ula, a kąciki jej ust nieznacznie drgnęły.

Jasne, że wiesz. Mogłam sobie darować tę głupią uwagę, zbeształa samą siebie Adrianna, ale kontynuowała:

– Poza tym Dezydery był ode mnie kilka lat starszy. No i już w dzieciństwie nasze drogi się rozeszły. Miałam osiem lat, gdy wyjechałam do ciotki, u której spędziłam kolejnych dziesięć lat życia. Dezydery z kolei w wieku osiemnastu lat wyjechał na studia do Paryża. Dopiero tam, już jako dorośli, choć nadal młodzi ludzie odnowiliśmy znajomość. A właściwie w pewnym sensie zaczęliśmy się poznawać.

– Nie wiedziałam, że byłaś w Paryżu.

No cóż, Eliza była rzeczywiście bardzo oszczędna w słowach, jeśli chodzi o rodzinne wspomnienia. Choć z drugiej strony nie przeszkadzało jej to w przybliżaniu córce nieprzyjemnych faktów z życia Adrianny. O jakich jeszcze mało chwalebnych wydarzeniach jej opowiedziała?

– Tak, gdy skończyłam pensję, ciotka zabrała mnie w kilkumiesięczną podróż zagraniczną. Mój ojciec na to pozwolił, więc...

– Ta sama ciotka, z którą potem nie chciałaś już mieć nic do czynienia – przerwała jej Ula, tak jakby chciała się upewnić, że dobrze zrozumiała.

Adrianna poczuła, że jej twarz poczerwieniała, ale odważnie odwzajemniła uważne spojrzenie wnuczki.

– Tak, poróżniłam się z nią wiele lat później – odparła i obawiając się dalszych ewentualnych pytań Uli o przyczynę konfliktu między nią a ukochaną wcześniej Cecylią, chciała pospieszenie kontynuować wątek paryskiego spotkania z Dezyderym, ale wnuczka ją uprzedziła.

– Zatem pojechałaś za granicę i spotkałaś tam mojego dziadka. I co? Od razu zakochaliście się w sobie?

Nie zakochałam się w nim. Nie w takim znaczeniu, jak to rozumiesz, jak to pojmują młode dziewczęta i chłopcy, a zapewne także wielu dojrzałych ludzi pod każdą szerokością geograficzną, pozwoliła sobie na tę gorzką refleksję Adrianna, ale do wnuczki uśmiechnęła się promiennie.

– No nie, nie tak szybko. Widzieliśmy się raptem kilka godzin. Następnego dnia wyjechaliśmy z ciotką do Mediolanu.

– Tak krótko byliście w Paryżu?

– Nie. Ale okoliczności tak się ułożyły, że mój kuzyn mógł nas odwiedzić dopiero w przeddzień naszego wyjazdu.

– No tak. – Ula pokiwała w przebłysku nagłego zrozumienia. – Przecież studiował, musiał się uczyć.

– Wtedy już skończył uczelnię. – W głosie Adrianny zabrzmiała lekka ironia. – Mimo to został jeszcze przez pewien czas we Francji. Dobrze się tam bawił, a Paryż oferował mu tysiackroć więcej rozrywek niż Radziejowo. Możesz to sobie zresztą wyobrazić. Nie spieszyło mu się do domu.

– I miał tam z czego żyć?

Adriannę trochę zirytowała ignorancja wnuczki. To wprawdzie nie była jej wina, że nie знаła wielu faktów z życia krewnych, ale przecież jako uczennica elitarniej szkoły średniej – Rawicka wiedziała o tym od Ireny – powinna mieć przecież jakąś wiedzę na temat obyczajów epoki sprzed wielkiej wojny i realiów ówczesnego bytowania młodzieży z tak zwanych wyższych sfer. A do tego, mieszkając w Anglii, miała przecież nieskrępowany dostęp do literatury światowej dotyczącej tamtych czasów.

Czy nie to miał na myśli Dezydery, formułując zaraz po zakończeniu drugiej wojny stwierdzenie o ignorancji ludzi Zachodu? Dokładnie tak to nazwał.

– Miał z czego żyć – odpowiedziała jednak spokojnym i nawet pogodnym tonem. – Jego ojciec, wuj Witold, o to zadbał. Radziejowo było najlepiej prosperującym majątkiem w okolicy. Na drugim miejscu plasowały się Jurczewice – dodała po namyśle.

– Mimo to...

– Zresztą niedługo po naszym spotkaniu wrócił do rodzinnego majątku – rzekła pospieszenie, ucinając dalsze rozważania na ten temat. – A poza tym nie był wyjątkiem. Wielu młodych ludzi z naszej sfery, oczywiście mam na myśli mężczyzn, w identyczny sposób zdobywało zarówno wykształcenie, jak i doświadczenia życiowe. Jeśli mieli okazję nacieszyć się nieskrępowaną atmosferą Paryża, to z tego korzystali. Potem tak wielu z nich zginęło w czasie wielkiej wojny.

Usłyszała gorycz we własnym głosie i zamilkła. Niestychane, pomyślała. Kiedy ostatni raz wygłosiła podobną kwestię? Chyba wieki temu. Dawny ból odezwał się w niej ze zdwojoną siłą, pewnie dlatego, że przez tyle lat nie dopuszczała go do głosu.

– Opowiedz mi o tym waszym paryskim spotkaniu, *grandma*.

Wolałabym, abys postarała się nazywać mnie po polsku babką. Ten angielski odpowiednik tylko mnie irytuje, pomyślała Adrianna. Tak nagła i nieprzyjazna refleksja przeraziła ją jednak. Boże, co się z nią dzieje? *Grandma* czy babka – ostatecznie to przecież bez różnicy. A dziewczyna i bez tego bardzo się stara, i to nie tylko, jeśli chodzi o posługiwanie się językiem polskim.

Czepiam się, bo się starzeję. A nawet nie dlatego... Czepiam się, bo irytuje mnie Eliza... Ale jej córka jest zupełnie inna. W dodatku zainteresowana rodzinną przeszłością. Przecież jeszcze kilka dni temu zaledwie ośmieliłam się o tym marzyć. Dobrze, opowiem jej, w jaki sposób zbliżyłam się do

Dezyderego. Albo on do mnie, zależy z jakiej strony na to popatrzymy.

Wróciła wspomnieniami do tego zimowego dnia tysiąc dziewięćset trzynastego roku, gdy do hotelowego apartamentu Cecylii w Paryżu zapukał Dezydery Rawicki. Obie nie widziały go całe lata.

W pamięci zachowała czternastoletniego chłopca, który w tych rzadkich chwilach, gdy mieli okazję się spotkać, na ogół nie odzywał się do nikogo poza swoim ojcem. Ani do niej, ani do reszty zebranego towarzystwa. Tymczasem jej oczom ukazał się przystojny, dość wysoki ciemnowłosy młodzieniec, rozgadany i iskrzący humorem, który – jak sam bez cienia żenady wyznał – więcej czasu niż studiom poświęcał wesołemu towarzystwu w kawiarniach Montmartre’u, Montparnasse’u, Operze czy Moulin Rouge. Ani wobec niej, ani wobec Cecylii nie przejawiał cienia onieśmienia, dzięki czemu nie zapadła nawet chwila krępującego milczenia, z jakim na ogół trzeba się liczyć, gdy spotykają się ludzie, którzy nie widzieli się od dawna. Choć z pewnością dopomógł w tym fakt, że utrzymywał korespondencję z Cecylią Barcińską, choć niezbyt regularnie.

– Witaj, kuzynko Ado – zagał wesoło. – Nie widziałem cię sto lat albo i dłużej. Miałaś szczęście wyfrunąć przed wiekami z naszej zaśniedziałej prowincji. Mnie się to udało dopiero kilka lat temu. Dalibóg, jakbym się wtedy na nowo narodził! Przyznaj się, z tobą było podobnie?

Ada nie spodziewała się tak otwartego powitania, a co dopiero podobnych słów. W dodatku bardzo szczerych. Nie miała zamiaru powielać jego tonu – przecież nie łączyły ich do tej pory żadne bliskie stosunki. Nie była pewna, czy w dzieciństwie wymienili między sobą bodaj dziesięć słów. Wolała zachować jak najdalej idącą powściągliwość. Nieco zmieszana odpowiedziała mu zatem, że o jej wyjeździe z Jurczewic do stolicy zdecydował ojciec, a poza tym powodem tego wyjazdu była szkoła, nie zaś rozrywki.

– Nie opowiadaj mi tu farmazonów – roześmiał się kuzyn. – Nie klęczysz przy konfesjonale, a ja nie jestem twoim ojcem spowiednikiem. Prysnęłaś z Jurczewic, jak tylko nadarzyła się okazja. Szkoła była tu jedynie wygodnym pretekstem. I nie obawiaj się, nie potępiam cię, kuzynko, bo i ze mną stało się podobnie jak z tobą. Tyle że manewr ten udał mi się dopiero, gdy skończyłem osiemnaście lat. Ty zrobiłaś to znacznie wcześniej.

– Niczego sama nie zrobiłam – oburzyła się nie na żarty. W jej przekonaniu kuzyn na zbyt wiele sobie pozwalał. Nawet jeśli miał rację, to przecież powinien wiedzieć, że nie o wszystkim wypada mówić na cały głos. – Miałam wtedy osiem lat. O niczym nie mogłam sama decydować – dodała.

Jej chłodny ton i wyraźny dystans nie zrobiły na Dezyderym najmniejszego wrażenia. A jeśli już – to ponownie go ubawiły.

– Czyżby? – zawołał wesoło. – No już, kuzynko, przede mną nie musisz udawać. Gdybyś nie urządziła im piekła w tych Jurczewicach, z pewnością twój ojciec nie zastanawiałby się nad wysłaniem cię do szkoły i wegetowałabyś tam po dziś dzień jak zwykła parafianka. Dałaś im zdrowo do wiwatu, więc wyprawili cię z domu.

– No już, daj jej spokój – wtrąciła się wreszcie z żartobliwą perswazją Cecylia. – Po co do tego wracać? Najważniejsze, że po tylu latach macie wreszcie okazję ponownie się zobaczyć i lepiej poznać. Pomówmy o terażniejszości. Opowiadaj o sobie. To dopiero musi być ciekawe! Co pożytecznego porabiasz, mój chrześniaku?

– A więc to prawda, że to ty przed laty ręczyłaś w kościele za moje religijne wychowanie? Słyszałem takie pogłoski, ale nie dawałem im wiary. Lecz teraz muszę, skoro słyszę, jak sama się do tego przyznałaś. Nie za dobrze wywiązałaś się ze swojego zobowiązania, ale na swoje usprawiedliwienie masz fakt, że nie dałem ci ku temu najmniejszych szans. Jednak lepiej, abyś nie wiedziała, jak spędzam tu czas. Masz rację, to dość ciekawe, niemniej nie są to informacje dla matki chrestnej, a zwłaszcza młodziutkiej i, jak mniemam, wciąż niewinnej kuzynki.

Cecylia pogroziła mu żartobliwie palcem, a potem zagadnęła, czy Dezydery zamierza w ogóle wracać do Radziejowa.

– Zapewne, zapewne. – Pokiwał głową. – Staruszek już na mnie czeka. Z tego, co wiem, już w ogóle przestał wychodzić do ludzi.

– Witold wygląda także synowej – mruknęła Cecylia.

– A tego nie obiecuję. W każdym razie nieprędko.

– Nie wierzysz w instytucję małżeństwa – stwierdziła pogodnie ciotka.

– Mam o niej takie samo zdanie jak ty, droga cioteczko. Sama wiesz, na podstawie własnego doświadczenia, ile warta jest ta instytucja.

Ada, słysząc tak śmiałą aluzję do nieudanego małżeństwa ciotki, w pierwszej chwili zamarła, spodziewając się, że Cecylia przestanie wreszcie żartować i nie pozwoli bratankowi dworować ze swojej osoby, że kategorycznym tonem przywróci go do porządku. Tak się jednak nie stało. Barcińska wzruszyła niedbale ramionami i bynajmniej nie przestawała się uśmiechać.

– Nie zawsze tak bywa jak w moim przypadku – zauważyła. – Na przykład twoi rodzice się kochali. Tak było – dodała, spostrzegłszy, że Dezydery lekko się skrzywił. – Witold do tej pory oplakuje twoją matkę i nigdy nie chciał myśleć o powtórnym małżeństwie.

– Och, daruj sobie, droga ciociu, tę pieśń nad pieśniami – odparł młody Rawicki tonem wypranym z wszelkiego sentymentu. – Niejednokrotnie zadawałem sobie pytanie, jak długo potrwałaby ta idylla, gdyby matka nie umarła zaledwie kilka lat po ślubie. W którym momencie doszłoby do katastrofy? Bo z pewnością w końcu by do niej doszło.

– Dlaczego tak mówisz? – Cecylia nadal się uśmiechała, ale ton jej głosu się zmienił, spoważniał.

– Stanowili dwa zupełnie różne typy osobowości, tyle że zbyt krótko byli razem, aby zaczęło im to przeszkadzać. Ty o tym wiesz, ja trochę pamiętam. Ojciec zresztą też ma tego świadomość, choć nawet na torturach by się nie przyznał. – Zerknął na milczącą i oszołomioną Adę i choć na moment się zawahał, jednak dodał: – Jesteśmy w swoim rodzinnym gronie i możemy otwarcie powiedzieć, że małżeństwa w naszej rodzinie mogłyby każdego zniechęcić do tej instytucji. Chyba że...

– Tak?

– Chyba że dwoje ludzi potraktuje małżeństwo jak swego rodzaju interes, który każdemu ma przynieść jakąś korzyść, ale nikt się nie bawi w niepotrzebne sentymenty. I oboje gwarantują sobie nawzajem uszanowanie własnej, niezależnej od drugiej strony, przestrzeni życiowej.

– Pod jakim względem? – spytała zamyślona Cecylia.

– Pod każdym, droga ciociu. Małżeństwo to nie więzienie. Drzwi trzeba zostawić otwarte choćby po to, aby od czasu do czasu w nim przewietrzyć.

– O Boże! – Cecylia nie wytrzymała. Wstała i przeszła się po pokoju. – Jesteś za młody na to, aby pozwalać sobie na podobne rozgoryczenie w tych sprawach. Do takich wniosków dochodzimy na ogół po latach niedobrych doświadczeń.

– Mnie wystarczyło obserwowanie innych. Tam u nas, w kraju. I oczywiście tutaj.

– A miłość? – zapytała ciotka.

Nie patrzyła ani na siostrzenicę, ani na bratanka.

– Tak, owszem... Dlatego wspominałem o tych otwartych drzwiach.

– O ile nie przytrafi się taka, która potrząśnie całym naszym życiem. – Ciotka ponownie uśmiechnęła się pod nosem. – Wtedy, wierz mi, te otwarte drzwi nikomu nie przyniosą pożytku. Wręcz przeciwnie.

Ada, która powoli przestawała rozumieć tę dziwną wymianę zdań, a zaczynała z kolei odczuwać niepokój, słysząc słowa ciotki, drgnęła. Nie tyle zresztą same słowa ją zaintrygowały – wydały jej się zbyt wydumane – ile ton, jakim zostały wypowiedziane: smutny, choć zarazem pełen napięcia.

– Nic takiego nie istnieje – odparł Dezydery, ale mniej pewnie niż do tej pory. Wyglądało na to, że i on spostrzegł wzburzenie ciotki, choć ona sama zaraz postarała się o zmianę tematu rozmowy i ponownie zaczęła żartować. Powiedziała nawet, że zapewne wszyscy troje potrzebują przewietrzenia, i to w jak najbardziej dosłownym tego słowa rozumieniu, a zatem pora wyjść na spacer. Przechadzka ulicami Paryża z pewnością dobrze im zrobi.

– A w ogóle co to za rozważania prowadzimy, gdy wreszcie mamy okazję spotkać się i cieszyć swoim towarzystwem – zaznaczyła.

\*

– Ja bym raczej powiedziała, że dziadek wyprzedzał swoje czasy. – Ula uśmiechnęła się niewyraźnie, wysłuchawszy opowiadania babki. – Dzisiaj jego poglądy na sprawy obyczajowe nie robiłyby już takiego wrażenia.

– O, zapewniam cię, że i wtedy nie brakowało ludzi, a nawet całych środowisk, które temu przyklaskiwały – odparła Adrianna i ponownie, jak za każdym razem, gdy wspominała tamto spotkanie z Dezyderym w Paryżu, przed oczami stanął jej Damian Reński, brat Rozalii, jak tłumaczy jej, dlaczego nie zamierza powiełać modelu życia rodzinnego swoich rodziców. – To chyba charakterystyczne dla czasów, które zmierzają ku jakiejś katastrofie albo przynajmniej ku wielkiemu przełomowi.

– Masz na myśli wielką wojnę, *grandma*?

– Chociażby. Ta wojna wiele zmieniła. Nie tylko granice państw i polityczne strefy wpływów, ale także – a może przede wszystkim – wiele usankcjonowanych przez wieki obyczajów.

– Dziadek był chyba z tego zadowolony... No... z tej zmiany obyczajów?

– Zawsze umiał dostosować się do wszelkich zmian. – Adrianna nieznacznie się skrzywiła, ale podchwyciwszy uważne spojrzenie Uli, rozpogodziła twarz. – A jednocześnie potrafił żyć tak, jak chciał, bez względu na to, jakie normy aktualnie panowały.

– Jak to się stało, że za niego wyszłaś? – spytała nagle wnuczka. – Skoro wiedziałaś, jakie miał poglądy na małżeństwo. Ja bym chyba nie poszła na coś takiego... Małżeństwo bez miłości... no i te otwarte drzwi... Mimo wszystko ja bym nie mogła... A może było inaczej? Pewnie jednak zakochał się w tobie, a ty w nim?

Adrianna wiedziała, że należało odpowiedzieć szybko. Zbyt długie zwlekanie z tym mogłoby się wydać wnuczce podejrzane. W każdym razie mogłoby ją zaprowadzić do nie wiadomo jakich wniosków. Mimo wszystko po raz pierwszy podczas tej rozmowy Rawicka nie odczuwała już zadowolenia z powodu bezpośredniości wnuczki. Przyszło jej do głowy, że dziewczyna jest chyba za bardzo otwarta. I zbyt ciekawa.

Czy jednak nie chciałam, aby moja wnuczka zainteresowała się rodzinną przeszłością? Czy sama nie rozbudziłam w niej tej ciekawości, być może zbyt szczegółowo zdając jej relację z rozmowy, jaką ja, Cecylia i Dezydery odbyliśmy przed laty w Paryżu? Może trochę mnie poniosło... Chyba sama okazałam się zbyt spontaniczna, skoro tak dokładnie o tym opowiedziałam dopiero co poznanej dziewczynie. Skoro wciąż tak dobrze to pamiętam. Ale przecież... tak naprawdę właśnie wtedy wszystko się zaczęło, stwierdziła w duchu.

– Pod wieloma względami ja i twój dziadek byliśmy do siebie podobni. – Tym razem ostrożnie dobierała słowa. – Ja, podobnie jak on, już jako młoda osoba wyzbyłam się wielu złudzeń. Moi rodzice nie byli udanym małżeństwem, matka zdecydowała się odejść od ojca, co w tamtych czasach... – Zawahała się.

– Moi także się rozstali – odparła szybko Ula. – Ale ja wciąż wierzę w trwałe związki oparte na miłości. W każdym razie nie zgodziłabym się na żadne otwarte drzwi. Przepraszam, *grandma* – dodała, bo tym razem ona poczuła, że się zdecydowanie zagalopowała.

– Życzę, aby ci się udało – rzekła cicho Adrianna, a po chwili wyjaśniła już znacznie swobodniejszym tonem: – Jednak musisz wiedzieć, że w tamtych czasach małżeństwa zawierane z miłości były rzadkim zjawiskiem. Często młodzi prawie się nie znali przed ślubem. A mimo to większość z nich przywiązywała się do siebie i rozwody zdarzały się bardzo rzadko. – I tylko w duchu pozwoliła sobie na gorzką refleksję, że wśród przyczyn, które decydowały o stosunkowo małej liczbie rozwodów – małej oczywiście w porównaniu z późniejszymi czasami – akurat wzajemne przywiązanie małżonków nie odgrywało najważniejszej roli. Na głos dodała co innego: – A ja naprawdę bardzo lubiłam mojego kuzyna. I on mnie. Dość dobrze się rozumieliśmy. To pozwoliło nam przetrwać niejedno trudne doświadczenie.

– No tak. – Ula pokiwała głową, choć Adrianna nie była pewna, czy przekonała wnuczkę.

– Wzięliśmy ślub w styczniu czternastego roku. Osiem miesięcy później wybuchła pierwsza wojna światowa i nasze życie stanęło na głowie. Potem już nic nie było takie jak wcześniej – szepnęła Adrianna.

– Ale przecież po tamtej wojnie nie straciliście majątku. Więc dlaczego nic już nie było jak dawniej?

Stop. Ostrożnie! – upomniała się pospiesznie Adrianna. – Powiedziałam o jedno zdanie za dużo. I w dodatku zupełnie niepotrzebnie, a ta dziewczyna jest bardzo spostrzegawcza. Zwraca uwagę na szczegóły, które umknęłyby innym słuchaczom. Przecież chłopcom powiedziałam niemal dokładnie to samo, a oni nie zadawali żadnych dodatkowych pytań. Niepotrzebnych już nikomu pytań.

Teraz nie pozostawało nic innego, jak znaleźć jakąś w miarę sensowną odpowiedź, która zabrzmiałaby wiarygodnie i tym samym zadowolila wnuczkę.

– Majątku nie straciliśmy, ale wielka wojna spowodowała taki ogrom zniszczeń w całym kraju, że trudno było nie doświadczyć ich na własnej skórze. Zubożeliśmy, trzeba się było zabrać do solidnej pracy. Za to odzyskaliśmy własne niepodległe państwo. Choć niewiele brakowało, a dwa lata później byśmy wszystko nieodwołalnie stracili, włącznie z tą dopiero co odzyskaną niepodległością. W dwudziestym mieliśmy wojnę z bolszewikami, a możesz mi wierzyć, że w razie przegranej nasz los byłby tragiczny. Na szczęście, jak zapewne wiesz, stało się inaczej. Dziesięć lat później przyszedł z kolei lata wielkiego kryzysu ekonomicznego i także trzeba było niemałego sprytu, by się utrzymać na powierzchni. Tak, wojna, która wybuchła w tysiąc dziewięćset czternastym roku, oznaczała pod wieloma względami koniec stabilnej, spokojnej epoki. Zmieniły się obyczaje, styl życia, wszystko.

– No jasne, rozumiem. – Ula pokiwała głową i już bez żadnych komentarzy skoncentrowała się na przeglądaniu kolejnych stron albumu.

Fotografie Elizy i Ireny jako małych dziewczynek, potem dorastających pańienek, a na koniec już tylko Ireny, także z jej narzeczoną, wkrótce z mężem i dziećmi. No i kolejne zdjęcia obojga Rawickich tudzież ich znajomych i przyjaciół. Brakowało ślubnej fotografii rodziców Uli.

– No cóż, Eliza nie przysłała nam innych waszych zdjęć – odparła Adrianna, wcale nie kryjąc smutku. – Ale chyba nie mogę mieć do niej o to pretensji. Kiedy niby miałyby to zrobić? Przecież nie w czasie wojny. A potem najwidoczniej nie miała już do tego głowy.

Rodzice wzięli ślub na początku sierpnia trzydziestego dziewiątego roku, pomyślała Ula. Do wybuchu wojny we wrześniu matka nie zdążyła przysłać rodzicom swojej ślubnej fotografii? A po wojnie nie miała już do tego głowy? Co to w ogóle znaczy? Dziewczyna uznała jednak, że nie będzie męczyć babki podobnymi trudnymi pytaniami.

W nocy, przed zaśnięciem, zagadnęła jednak o to matkę. Były już same w przygotowanym dla nich gościnnym pokoju. Eliza rozczesywała właśnie włosy i skrzywiła się, usłyszawszy pytanie córki.

– Nie pamiętam, pewnie miałam wtedy inne sprawy na głowie niż wysyłanie zdjęć do Polski – odparła niechętnie.

– W ogóle nie napisałaś do swoich rodziców, jeszcze zanim wybuchła wojna? Przecież wyjechałaś stąd na początku sierpnia, miałaś więc trochę czasu, aby...

– Nie – przerwała jej szorstko matka. – Wyobraź sobie, że nie pisałam.

– Ale dlaczego? – nie ustępowała Ula.

Eliza wstała gwałtownie od lustra, przed którym się czesała, i zaczęła ścielić łóżko. Była jednak wzburzona, Ula widziała to wyraźnie.

– Nie czułam takiej potrzeby – burknęła. – Nie rozstałam się z nimi w zgodzie.

Położyła się do łóżka i odwróciła twarz w kierunku ściany. Ula jednak podeszła do niej, przysiadła obok i nieśmiało dotknęła jej ramienia.

– Dziadkowie sprzeciwiali się twojemu małżeństwu z tatą? – spytała ostrożnie.

– Nie, wręcz przeciwnie.

– Mówisz poważnie czy ironizujesz? – Ula odniosła wrażenie, że istotnie usłyszała złośliwą ironię w głosie matki.

– Zapewniam cię, że jak najbardziej poważnie. Twój ojciec zyskał ich uznanie, jak tylko go poznali. I dość szybko zaczęli go postrzegać jako przyszłego zięcia.

Ula wyprostowała się, ale nie spuszczając oka z Elizy, postanowiła zadać pytanie, które męczyło ją od kilku dni. Teraz zebrała się na odwagę, czując, że odpowiedź matki mogłaby wyjaśnić przyczynę

niechęci, jaką od lat odczuwała wobec swoich rodziców. Nie umiałyby tego przeczucia w żaden sposób udowodnić – przecież wydawało się takie irracjonalne – nie dawało jej jednak spokoju.

– Dlaczego aż dwa razy pojechałaś na ten stary cmentarz na Powązkach?

– Skąd o tym wiesz?

Czy jej się zdawało, czy też tym razem usłyszała w głosie matki napięcie?

– Ciotka Irena coś wspomniała o tym cmentarzu. Podobno pojechałaś odwiedzić grób kogoś znajomego z czasów studiów albo szkolnych.

– No to już znasz odpowiedź. Po co pytasz?

– Mogłaś mnie tam zabrać ze sobą.

– Na cmentarz? Po co? Spędziłaś ten czas z kuzynami dużo pożyteczniej, a już z pewnością dużo weselej.

– A jednak...

– Chciałam tam być sama. To moje wspomnienie i moja sprawa. – Eliza usiadła poirytowana na łóżku. – Czasem mam prawo pobyć sama.

– Tak, rozumiem. Tu chodzi pewnie o jakiegoś bliskiego przyjaciela... albo przyjaciółkę.

– Pewnie tak. A przy okazji paru innych kolegów i znajomych, którzy zginęli w czasie powstania w czterdziestym czwartym roku. Niewykluczone, że podzieliłabym ich los, gdybym nie wyjechała z Polski. Wystarczy ci takie tłumaczenie?

– Byłaś tam dwa razy.

– Bo nie wiem, czy jeszcze będę miała ku temu okazję. Czy kiedykolwiek jeszcze tu przyjadę.

A teraz daj mi spokój. Chcę spać.

Ponownie się położyła, tyle że tym razem nakryła głowę kołdrą. Z pewnością szybko nie zaśnie. Ula nie miała co do tego nawet cienia wątpliwości. Matka była na to zbyt wzburzona. Czy choć raz przespała porządnie całą noc, odkąd tu przyjechała? A właściwie odkąd ojciec wyprowadził się z domu?

Porozmawiaj ze mną, mamó, tak szczerze, otwarcie. Powiedz, co cię dręczy od lat. Ula nieraz pragnęła zadać matce te pytania, ale powstrzymywał ją przed tym jakiś wewnętrzny opór czy raczej przekonanie, że matka nie będzie chciała wyjść temu naprzeciw.

Podniosła się i odeszła w drugi kąt pokoju, tam gdzie znajdowało się łóżko przeznaczone dla niej.

– Czy dziadkowie byli szczęśliwym małżeństwem? – spytała zupełnie spontanicznie, choć jeszcze przed chwilą usłyszała od matki, że ta nie chce rozmawiać.

Chyba oszalałam, żeby o to pytać! – zrugła samą siebie. Czy opowieść babki zrobiła na niej aż takie wrażenie? W pewnym sensie tak, nie tylko ze względu na to, co Adrianna zdecydowała się ujawnić. Nawet bardziej ze względu na słowa, które nie padły.

– Co ci znowu przyszło do głowy, w dodatku o takiej porze? – Eliza ponownie na nią spojrzała. Tym razem jednak była wyraźnie zaintrygowana i Ula postanowiła to wykorzystać.

– Rozmawiałam z nią dzisiaj. Pokazała mi stary album ze zdjęciami. Ale tak jakoś dziwnie mówiła o dziadku. Że nie wierzył w małżeństwo z miłości. Właściwie w ogóle nie wierzył w małżeństwo w takim normalnym tego słowa rozumieniu. Że to bardziej forma jakiegoś interesu, a mąż i żona powinni mieć prawo do swobody i takie tam.

– Nie zaskoczyłaś mnie. To podobne do twojego dziadka – odparła Eliza i uśmiechnęła się złośliwie. – Co najwyżej dziwi mnie, że twoja babka zdobyła się na taką szczerłość. Odkąd pamiętam, zawsze go usprawiedliwiała.

– Może dlatego, że w wielu sprawach podzielała jego poglądy – podchwyciła Ula. – Tak mi przynajmniej powiedziała. To znaczy niezupełnie co do słowa. Raczej, że go lubiła, rozumiała, na wiele spraw patrzyli podobnie.

– Aha. – Eliza ziewnęła ostentacyjnie. – No to masz odpowiedź. Niektórym takie rzeczy wystarczają do szczęścia. A teraz... dobranoc. Daj mi odpocząć. Boli mnie głowa.

„Boli mnie głowa”. Ile razy Ula to słyszała! Matka w ten sposób kończyła każdą niewygodną dla siebie wymianę zdań, często tak właśnie zbywała prośby i pytania. A ile razy słyszał to ojciec!

O ilu jeszcze sprawach mi nie powiedziałaś? – pomyślała Ula, patrząc na zwiniętą pod kołdrą



postać. Przyszło jej nawet do głowy, aby wbrew niechęci matki zadać jeszcze jedno pytanie: dlaczego nawet nie zająknęła się na temat rodzonych brata babki, skoro wspomniała kiedyś o tym przyrodnim?

Zrezygnowała jednak z tego pomysłu, przypomniawszy sobie, że babka również nie kwapiła się do bardziej szczegółowej opowieści na ten temat i zaraz przewróciła stronę w albumie.

Zresztą może rzeczywiście nie ma sensu upatrywać w tym jakiejś wielkiej zagadki, czy nawet szczególnie ważnego rodzinnego wydarzenia.

Dam już temu spokój, postanowiła, choć jednocześnie była prawie pewna, że prędzej czy później powróci do tej sprawy.

Jak to się stało, że wyszła za Dezyderego? Dlaczego to zrobiła, skoro miał takie poglądy na małżeństwo?

Od wielu lat nikt już nie zadawał jej tych pytań.

Wtedy gdy ogłosili swoje zaręczyny, huczyla na ten temat cała okolica. Sąsiedzi snuli najróżniejsze domysły, kotłowało się od plotek, nikt jednak nie zdecydował się zadać tych pytań samym zainteresowanym. Zarówno Michał Jurczyński, jak i Witold Rawicki słynęli z tego – choć każdy na swój sposób – że nie udzielali się towarzysko, a opinia okolicznych ziemian obchodziła ich tyle co zeszłoroczny śnieg.

Ada dopiero wróciła od ciotki po dziesięcioletnim tam pobycie i dlatego mało kto w okolicy potrafił powiedzieć coś więcej na jej temat. Niektórzy pamiętali ją jako małą dziewczynkę, zanim wyjechała z Jurczewic, aczkolwiek nawet przed tym rzadko opuszczała dom, by składać wizyty w towarzystwie swoich rodziców. Oni oboje także nie kwapili się do tego, aby gdziekolwiek bywać, a na dobrą sprawę kondycja – jak mawiano oględnie – Heleny Jurczyńskiej w pewnym momencie to wykluczała.

Uwaga postronnych zwróciła się w stronę Ady trzy razy: gdy jej matka, odchodząc od męża, zabrała ją ze sobą, by zamieszkać w domu innej rodzinnej skandalistki, czyli Cecylii Barcińskiej, a potem drugi raz – gdy dziewczynka stamtąd wróciła z powodu śmierci Heleny Jurczyńskiej. I straciła przytomność przy jej trumnie w jurczewickim salonie. Potem uważnie jej się przyglądano podczas ceremonii pogrzebowej, jakby w pełnej ciekawości obawie, czy mała sierotka nie zasłabnie po raz kolejny. I wreszcie – wtedy z pewnością było o niej najgłośniejsze – przypomniano sobie o Adzie dwa miesiące później w kontekście skandalu, jakim okrzyknięto małżeństwo Michała Jurczyńskiego z byłą guwernantką. Jurczewicka służba wносиła wtenczas pikantne informacje o protestach małej Ady, o karach, jakie na nią spadały, co podgrzewało atmosferę w okolicy.

Wreszcie dziewczynka wyjechała do Warszawy i po kilku miesiącach sprawa zaczęła przysychać. O małej zapomniano, przyzwyczajono się do nowych porządków w rodzinie Jurczyńskich i przestano się nimi zajmować, tym bardziej że i oni, żyjąc na uboczu, nie interesowali się życiem sąsiadów. Powrót Adrianny przyjęto w tych warunkach stosunkowo obojętnie. Wzorem ojca i macochy nigdzie nie bywała, toteż trudno było na jej temat snuć jakiegokolwiek dywagacje.

Inaczej rzecz się miała z jej kuzynem, Dezyderym Rawickim. Ten bowiem, w przeciwieństwie do większości swojej rodziny, nie potrafił żyć w cieniu. W każdym razie się o to nie starał. Pod tym względem podobny był do swojej ciotki – Cecylii Barcińskiej.

Młody Rawicki posiadał wszelkie atuty, które powinny były otwierać mu drogę do zrobienia kariery w życiu. W wieku dwudziestu pięciu lat miał ukończone studia prawnicze na paryskiej Sorbonie, biegle konwersował, czytał i pisał w czterech językach obcych. Do tego był wysoki, szczupły, wysportowany, więc przyciągał spojrzenia kobiet, które uwielbiały przeglądać się w jego ciemnych oczach i zachwycały się południową – jak mawiały – urodą. Był podobny do nieżyjącej już od dawna matki, która ponoć miała ormiańskich przodków i stąd wziął się tak niesłowniański wygląd u jej syna. Odkąd ukończył osiemnaście lat, bywał rzadkim gościem w rodzinnym Radziejowie, tak że w pewnym momencie okoliczne ziemiaństwo zaczęło nawet snuć domysły, że piękny i utalentowany młodzieniec zamierza na stałe osiedlić się nad Sekwaną czy też w jakimś innym mieście Europy Zachodniej i tylko ci najbardziej rozsądni i trzeźwo myślący wskazywali na absurd podobnych podejrzeń.

– Dezydery jest jedynakiem – przekonywali. – Jedynym spadkobiercą Radziejowa. Witold Rawicki nie dałby spokoju synowi, gdyby ten zaniechał swojego obowiązku wobec rodzinnego majątku. Chłopak na razie szaleje i korzysta z życia, jak to młody. Spodobało mu się za granicą, ale przecież z pewnością sam pojmuje swoje rodzinne powinności. Wyszumi się, wróci i koniec końców ustatkuje. Jak my wszyscy.

– To nie jest takie pewne – odpowiadali kwaśno sceptycy. – Nie wszyscy młodzi wracają.

Francja, Anglia, Włochy czy nawet Szwajcaria działają jak magnes na naszą młodzież. A młody Rawicki jest pod tym względem bardziej narwany niż inni. Zresztą co w tym dziwnego? W jego rodzinie nie brakowało narwańców, a nawet pomyleńców. I do tego skandalistów – obojga płci.

Powyższych poglądów nie zmieniał fakt, że akurat ojciec Dezyderego, Witold, był jak najbardziej zrównoważonym, uporządkowanym i oddanym pracy w swoim majątku człowiekiem. Najwyraźniej – mawiano – ojciec nie miał większego wpływu na jedynaka. Zawsze mu zresztą we wszystkim pobrażał, nic więc dziwnego, że stracił w jego oczach jakikolwiek autorytet i nie był w stanie niczego mu nakazać ani zabronić.

Lecz – ku zaskoczeniu wszystkich krytyków i malkontentów – Dezydery wrócił jednak z Paryża i przejawiał zainteresowanie pracą w majątku. Wyglądało zatem na to, że gotów był rozpocząć nowy etap w swoim do tej pory niestabilnym życiu, co z kolei mogło oznaczać także plany matrymonialne. Taki był przecież porządek rzeczy. Sama myśl o tym rozpałała wyobraźnię mieszkańców wszystkich okolicznych majątków, zwłaszcza zaś tych, w których były panny na wydaniu. Gra była bowiem warta świeczki.

Radziejowo było piękną posiadłością. Folwarki, pola, pastwiska, nawet las, o młynach nie wspominając, przynosiły niebagatelne zyski. Zaczęto wobec tego słać zaproszenia do obu Rawickich, a okoliczne panny, ich matki, ojcowie, wujowie, ciotki i dziadkowie dwoili się i troili, by skupić na sobie uwagę Dezyderego. Zaprzeszono plotkowania na temat podobno zbyt swobodnego prowadzenia się młodego człowieka w Paryżu, co do tej pory, jeśli już na zebraniach towarzyskich brakowało innego tematu do konwersacji, wałkowano z upodobaniem, choć także i w tej sprawie opierano się bardziej na przypuszczeniach – wiadomo przecież, co w Paryżu wyrabiają młodzi, którzy wyrwali się spod rodzicielskiej kurateli – niż na sprawdzonych informacjach. Teraz liczyło się już tylko to, na którą z młodych panien Dezydery zwróci uwagę na tyle, aby ją poślubić.

Młody Rawicki na ogół nie wymawiał się od owych zaproszeń i wyglądało na to, że dobrze się wtedy bawił – w przeciwieństwie do ojca, który w większości przypadków zawsze wyszukał jakieś usprawiedliwienie, by nie opuszczać domu. Zachowanie starszego z panów Rawickich nie dziwiło już jednak nikogo, na ogół bowiem dawno już przyjęto do wiadomości, że w sensie towarzyskim należał do odludków. Niektórych jednak – fakt, że bardzo nielicznych – zastanawiało, dlaczego Witold zachowywał się tak, jakby ewentualne plany małżeńskie jedyne go syna i spadkobiercy niespecjalnie go interesowały. Albo też jakby nie traktował poważnie składanych przez niego w okolicznych majątkach wizyt. Jakby z góry zakładał bądź wiedział, że i tak nic z tego nie będzie.

Po pewnym czasie zresztą wszelkie domysły i dywagacje stały się bezprzedmiotowe. W sierpniu tysiąc dziewięćset trzynastego roku ogłoszono zaręczyny Dezyderego Rawickiego z jego kuzynką, Adrianną Jurczyńską. Zaskoczenie było ogromne, nikt z sąsiadów nie przewidział takiego obrotu sprawy. Szybko też niektórzy dali wyraz swemu oburzeniu, jakoby młody Rawicki świadomie zwodził co niektóre panny i dawał nadzieję na matrymonium rodzinom, a w gruncie rzeczy bawił się ich kosztem. On sam pewnego razu, zagadnięty w tej materii, zrobił zdumioną minę i odparł, że nigdy nikomu nic podobnego nie tylko nie obiecywał, ale nawet nie stwarzał najmniejszych podstaw do wyciągnięcia podobnych wniosków. Jeśli zaś ten czy ów uważał, że przyjmowanie zaproszeń jest jednoznaczne z planami matrymonialnymi, to już sprawa tego czy owego. On, Dezydery, nie odpowiada za czyjeś przypuszczenia czy bogatą wyobraźnię.

I dopiero wtedy wszyscy rozczarowani i zagniewani sąsiedzi musieli wreszcie przyjąć do wiadomości smutną prawdę, że istotnie żadnej z odwiedzanych panien Rawicki nie wyróżniał. Żadnej – z wyjątkiem młodej Jurczyńskiej.

Jak to jednak możliwe?

Dla nikogo w okolicy nie było przecież tajemnicą, że Jurczyńscy i Rawiccy trzymali się od siebie z daleka, zwłaszcza po śmierci Heleny. W dodatku zarówno panna Ada, jak i Dezydery całe lata spędzili daleko od rodzinnych domów i od siebie. Nikt nie słyszał, by kiedykolwiek ich drogi skrzyżowały się ze sobą w obcych stronach. Jedno i drugie stosunkowo niedawno wróciło do domu. Nie mieli zatem możliwości dobrze się poznać i zapalać do siebie na tyle silnym uczuciem, by decydować się na

małżeństwo. W dodatku – jak powszechnie uważano – ani Michał Jurczyński, ani Witold Rawicki z pewnością nie marzyli o takim rozwiązaniu, a jednak tak jeden, jak i drugi najwyraźniej nie stawili większego, w każdym razie skutecznego, oporu. Wobec tego powszechnie uznano, że wytłumaczenie może być jedno. Obie te skoliżone przeciwieństwo ze sobą rodziny to zgraja dziwaków. Każdy na swój sposób to oryginał. Może więc nie należy się dziwić, że dwoje kuzynów postanowiło się pobrać, a ich ojcowie się na to zgodzili. Ostatecznie trafił swój na swego. Na dobrą sprawę Rawiccy i Jurczyńscy są siebie wari. Młodzi zatem dobrali się jak w korcu maku. Poza tym niewykluczone, że Michał Jurczyński jest w gruncie rzeczy zadowolony, że córka zostanie panią Radziejowa. Przecież Jurczewice miał odziedziczyć jego syn z drugiego małżeństwa...

– I tak koło się zamknęło – mawiano złośliwie. – Kiedyś on ożenił się z Rawicką i wziął razem z nią piękny posag, a teraz jego córka wychodzi za Rawickiego i wnuki odziedziczą Radziejowo. Zawsze tęsknym okiem spoglądał na tę posiadłość.

„Jak wszyscy” – słowa te wisały w powietrzu, lecz tylko nieliczni, i to w najbardziej zaufanym gronie, zdobyli się na to, aby wypowiedzieć je na głos.

Nie wahano się za to mówić otwarcie, że tam, gdzie w grę wchodziła perspektywa zysku, tam też nie mogło zabraknąć Jurczyńskiego. Małżeństwo córki zapewne także rozpatrywał w kategoriach dobrego interesu.

Gdy niedługo przed ślubem Ada zaznajomiła narzeczonego z krążącymi na ich temat plotkami, on jedynie roześmiał się i wzruszył ramionami.

– Niech gadają, co im się podoba – skwitował to wesoło. – Może zresztą te domysły i plotki nie odbiegają daleko od prawdy. Chęć zysku towarzyszyła ludziom od zawsze. To zupełnie naturalne. Poczytaj Biblię, a sama się przekonasz.

– Adam i Ewa nie rozmawiali o pieniądzech – odcięła się wtedy. Nie do końca też podzielała jego beztróskie podejście do kotłujących się wokół plotek.

– Skąd ta pewność? – odparł wesoło. – Przecież nikt nie spisał dziejów ich wspólnego życia dzień po dniu.

Tak, Dezydery miał na wszystko gotową odpowiedź.

Dlaczego przyjęła jego oświadczenia? Tej nocy, po rozmowie z wnuczką, raz jeszcze wracała do zamieszania, jakie towarzyszyło im obojgu od momentu zaręczyn jeszcze przez kilka miesięcy po ślubie. Nad reakcją sąsiadów w końcu jakoś przeszła do porządku dziennego. Byli jednak inni, którzy zadawali jej to pytanie i nie szczędzili przestroż. A ich opinii nie mogła tak łatwo zlekceważyć.

– Jesteś pewna, że wiesz, co robisz? – zapytał ojciec bezpośrednio po rozmowie z Dezyderym.

Nawet teraz, po blisko pięćdziesięciu latach, pamiętała swoje zaskoczenie, że ojciec takimi słowami wyraził swój sceptycyzm. Wbrew plotkom wcale nie brał pod uwagę, czy małżeństwo córki mu się opłaci, czy nie. Radziejowo nie miało w jego oczach aż takiej wartości. Wręcz przeciwnie – kojarzyło mu się źle, bo przywoływało wspomnienie pierwszej żony. Ada sądziła jednak, że jest ojcu na tyle obojętna, że nie będzie w ogóle drażył sprawy. Nigdy do tej pory nie poruszał z nią spraw osobistych. Rzadko kiedy w ogóle się do niej odzywał, czy chociażby zwracał na nią uwagę. Zresztą od dawna już jej to nie obchodziło. Tym bardziej więc była zaskoczona, że zadał jej tak bezpośrednie pytanie. Jednak nie zamierzała wnikać, jakie powody nim kierowały. Nie miała zamiaru z niczego mu się zwierzać. Odezwały się w niej wszystkie złe wspomnienia, ponownie dała też o sobie znać zadra, która siedziała w niej od momentu, gdy ojciec powiadomił wszystkich o swoim ślubie z Rozalią. Jak próbował ją, Adę, zmusić do uznania swojego drugiego małżeństwa.

Odpowiedziała mu więc krótko i zdecydowanie, że tak, bardzo dobrze wie, co robi. Chce wyjść za Dezyderego, bardzo tego pragnie. Powstrzymała się jednak przed wykrzyczeniem mu w oczy, że jednym z głównych powodów jej decyzji jest pragnienie wyrwania się z Jurczewic, miejsca, które już dawno przestała uważać za swój dom i do którego nie chciała nigdy wracać. Małżeństwo z Dezyderym dawało jej taką właśnie możliwość. Innej w najbliższej, a niewykluczone, że i dalszej perspektywie czasowej nie widziała. Musiała się wyrwać z Jurczewic najszybciej, jak to było możliwe, inaczej by tu oszalała.

Szczęśliwie ojciec nie stawiał dalszych pytań i udzielił pozwolenia na ślub.

Byli jednak inni. Na przykład Kazimiera. Jak ze znanych tylko sobie powodów nie znosiła Cecylii Barcińskiej, tak również podchodziła ze źle tajoną niechęcią do Dezyderego.

– A co to znowu za pomysł? – lamentowała. – To nie dla ciebie człowiek. Nie podejmuj decyzji, za którą zapłacisz całym swoim życiem, a może nie tylko swoim.

Przy tym wszystkim Kazia odgadła bez trudu, że za decyzją Ady stała chęć wyrwania się z Jurczewic.

– I to ma być powód do brania ślubu z pierwszym, który ci to zaproponował?! – krzyczała. – Co za dziecinada!

– To nie twoja sprawa – odparła lodowatym tonem Ada.

W jej przekonaniu piastunka, która od lat gorącym przywiązaniem darzyła Rozalię i Krzysia, dopuściła się zwykłej zdrady, a w dodatku nie była obiektywna, bo zawsze – choć nigdy nie powiedziała tego wprost – sprawiała wrażenie, jakby miała jakieś zastrzeżenia do całej rodziny Rawickich. W tym poniekąd także do Heleny Jurczyńskiej, która notabene wywodziła się z Rawickich.

Z tego też powodu opinią i lamentami Kazi postanowiła się nie przejmować. Nie mogła jednak zlekceważyć opinii wuja Witolda, swojego przyszłego teścia.

– Wiem, że małżeństwa między kuzynami nie należą do rzadkości – zauważył, patrząc z troską na Adę – a w dodatku ty i Dezydery jesteście kuzynami w dalszej linii pokrewieństwa, niemniej przywykłem do tego, aby traktować cię jak córkę mojej zmarłej siostry stryjecznej, z którą wychowywałem się pod jednym dachem i którą traktowałem jak rodzoną. Niełatwo mi teraz będzie myśleć o tobie jak o synowej.

– Myślę, że oboje szybko do tego przywykniemy – odparła cicho Ada, ale tego akurat nie była tak do końca pewna.

– Tak, pewnie tak – przyznał po chwili. – Obawiam się jednak czego innego. Być może jestem niepoprawnym marzycielem i niejedną rzuci mi brak realizmu – zwłaszcza że to ostatnie jest uważane we współczesnym świecie za bardzo pożyteczną cechę – niemniej nie przestanę uważać, że ludzie powinni pobierać się z miłości. Wszystkie inne powody są jedynie wyrachowaniem i nie przyniosą nikomu szczęścia.

Nie było sensu wmawiać mu, że oboje z Dezyderym w ciągu tak krótkiego czasu zapalali do siebie gwałtownym uczuciem. Wuj był za mądry, aby w to uwierzyć, Ada także nie chciała okłamywać go w tej sprawie. Odpowiedziała mu jednak, że małżeństwa zawierane z miłości mogą się także skończyć katastrofą.

– Tak, mogą – potwierdził ze smutkiem. – Mimo to mają większe szanse na szczęście niż te, w których od początku tej miłości nie było. Jaką masz gwarancję, że ty lub Dezydery nie poznacie w pewnym momencie kogoś, kto stanie się sensem waszego życia? I co wtedy?

Drzwi będą otwarte, pomyślała, ale równocześnie zadrzała. To, co usłyszała, wywołało w niej obawy, których do tej pory nie dopuszczała do głosu. Wzięła się więc w garść i postanowiła opanować emocje.

– Nie dojdzie do tego, wuju – odpowiedziała, odnosząc się do jego obaw.

– W takim razie pozostaje mi mieć nadzieję, że będzie, jak mówisz.

Zauważyła, że powiedział to przyjaźnie, ale bez przekonania.

Gorzej, że z powodu planowanego ślubu po raz pierwszy od dziesięciu lat doszło do poważnej – a zarazem ostatniej – awantury z Rozalią. Od dnia, gdy Ada wróciła z Warszawy do Jurczewic, Rozalia robiła, co w jej mocy, by zapobiec spięciu między nimi. Przez dwa pierwsze tygodnie ułatwiał to fakt, że w Jurczewicach przebywało na wakacjach jej rodzeństwo. Potem, gdy bracia i siostra wyjechali, Rozalia także nie inicjowała żadnej poważnej rozmowy z pasierbicą. Była całkowicie świadoma jej niechęci wobec siebie. Wyglądało na to, że chce dać jej czas na oswojenie się z powrotem na wieś. Wkrótce jednak, na zaproszenie wuja Witolda, Ada pojechała na trzy tygodnie do Radziejowa – ojciec ku jej wielkiej uldze wyraził na to zgodę – a niedługo potem od razu oznajmiła Jurczyńskiemu, że przyjęła oświadczyzny Dezyderego. Następnego dnia kuzyn przyjechał we własnej osobie i oficjalnie

poprosił wuja o rękę Adrianny. Michał po krótkiej rozmowie z córką wyraził zgodę, ale tego samego dnia Rozalia postanowiła wreszcie zaprzestać chowania głowy w piasek i wyznać pasierbicy, co jej leżało na sercu.

– Wiem, że nie chcesz ani ze mną rozmawiać, ani mnie wysłuchać, ani nawet na mnie patrzeć – zaczęła niepewnym, cichym głosem, co od początku stawiało ją na przegranej pozycji.

– Zgadłaś – odparła chłodno Ada i byłaby odeszła, nie dając macosze żadnej możliwości rozwinięcia wypowiedzi, gdy ta zupełnie niespodziewanie chwyciła ją za łokieć. Zaraz zresztą cofnęła rękę, bo spojrzenie pasierbicy zmroziło ją niemal do szpiku kości.

– Poczekaj – kontynuowała coraz bardziej rozpaczliwie Rozalia. – Możesz mi wierzyć albo nie, ale ja naprawdę dobrze ci życzę.

– Daj mi spokój. Nie potrzebuję twoich życzeń. Kiedy to wreszcie zrozumiesz?

Mówiła niechętnym, pełnym pogardy tonem, który miał zniechęcić do Rozalię do przedłużania rozmowy. Tonem, który miał tamtą zranić. I tak też się stało. W oczach macochy pojawiły się łzy, jednak nie rezygnowała.

– Nie powinnaś wychodzić za tego człowieka – szepnęła.

– Nie powinno cię to obchodzić.

– Przecież wiem, dlaczego to robisz. Ze względu na mnie – głos jej drgnął – i Krzysia. Ale nie musisz, naprawdę nie musisz. Zaraz na początku września wracam razem z Krzysiem do Krakowa. Zacznie się szkoła, więc... nie będzie mnie tutaj.

Co ona bredzi? Chce mi powiedzieć, że z wyjątkiem wakacji nie mieszka na stałe z moim ojcem?

– zdziwiła się Ada i zaraz przypomniały jej się słowa ciotki, że ojciec nie jest szczęśliwy w tym małżeństwie. Że płaci za błąd, który popełnił, nawiązując z tą kobietą romans. Ale właściwie co mnie to obchodzi? – pomyślała.

– Nic mnie to nie obchodzi – odparła na głos.

– Wychodząc za Dezyderego Rawickiego, popełniasz wielki błąd. Potem nie będzie już odwrotu.

– A ja ci powtarzam, żebyś od moich spraw trzymała się z daleka.

– Jak mogę trzymać się od tego z daleka, skoro ty przez dwa tygodnie trzymałaś się tak blisko mojego brata!

Ada przez moment patrzyła na nią jak rażona piorunem. W pierwszej chwili miała takie wrażenie, jakby cała krew uderzyła jej do głowy. Nie wierzyła własnym uszom. Owszem, polubiła Damiana Reńskiego, przez dwa tygodnie jego pobytu w Jurczewicach chętnie dotrzymywała mu towarzystwa. Okazał się miłym, nawet interesującym młodym człowiekiem. Miała z kim wymieniać poglądy, potrafił zajmująco opowiadać. Umiał też słuchać tego, co ona miała do powiedzenia. Polubiła go, choć wcześniej nie zakładała, że mogłaby wytrzymać bodaj chwilę w towarzystwie kogokolwiek z rodziny macochy. On był jednak tak niepodobny do swojej siostry, tak inny od całej reszty rodzeństwa! Na jakiej jednak podstawie Rozalia doszła do wniosku, że zwykle koleżeństwo, rozmowy i wspólne spacerunki mogły oznaczać cokolwiek poważnego między jej bratem a pasierbicą? W dodatku wyglądało na to, że nie miałyby nic przeciwko temu. Ot parweniuszka i prowincjuszka w najbardziej pejoratywnym tego słowa rozumieniu!

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytała Ada zduszonym przez wściekłość głosem.

Rozalia zdążyła się już zreflektować, choć nadal drżała na całym ciele.

– Nic – odparła cicho.

– Uważasz, że dotrzymując towarzystwa twojemu bratu, gdy na twoje zaproszenie przebywał w tym domu, zachowałam się niestosownie? – Ada nie ustępowała. – Że go bezwstydnie zwodziłam, a może nawet uwiodłam?

– Nie. Oczywiście, że nie. – Rozalia była już bliska płaczu.

– Ośmieliłaś się oceniać mnie według twojej miary? – indagowała bezlitośnie Ada.

Rozalia zbladła i cofnęła się o dwa kroki. Skuliła ramiona, co sprawiło, że wyglądała teraz jak człowiek, który pozbawiony wszelkiej możliwości obrony, bezradnie czeka na nieuchronne razy.

– Oczywiście, że nie podejrzewałam cię o nic niewłaściwego – jęknęła.

– To dobrze. – Ada patrzyła na nią z pogardą i wydeła wargi. – Na wszelki jednak wypadek, gdyby podobnie głupia myśl zaświtała ci w głowie, bądź łaskawa wysłuchać i zapamiętać, co ci mam do powiedzenia. Nie zamierzam bowiem kiedykolwiek jeszcze do tego wracać. Polubiłam twojego brata, a on mnie, ale żadne z nas nie wiązało z tą sympatią żadnych planów i nadziei na coś więcej. Jeśli chcesz, sama go o to zapytaj, ale bądź pewna, że cię wyśmieje. Damian nie zamierza już nigdy więcej przyjeżdżać na jakikolwiek dłuższy pobyt do Jurczewic, lecz nie ma to nic wspólnego ze mną. Po prostu zawsze traktował ten coroczny wakacyjny rytuał jako wyjątkowo przykry obowiązek, nigdy nie czuł się tu naprawdę swobodnie i dobrze. I przyjmij wreszcie do wiadomości, że wychodzę za Dezyderego Rawickiego, a ty w tej kwestii nie masz nic do powiedzenia. Rozumiesz? Nic. Ani jednego słowa.

Rozalia, pomimo że przerażona i upokorzona, odważyła się jednak zareplikować.

– Na temat młodego Rawickiego krążą różne... – zaczęła nieśmiało, nie miała jednak szans na dokończenie wypowiedzi.

– Czyżby?! – zawołała Ada, czując, że jej cierpliwość już się wyczerpała. – I właśnie ty ośmielasz się to mówić?! A pamiętasz jeszcze, co sama zrobiłaś dziesięć lat temu?! Inni w każdym razie pamiętają, co z ciebie za jedna i dlaczego mój ojciec czuł się w obowiązku cię poślubić.

Teraz obie już drżały. Rozalia opadła na fotel i zakryła głowę dłońmi, tak jakby obawiała się, że zaraz spadną na nią razy. Choć z drugiej strony słowa Ady musiały ją zabołeć bardziej niż najbardziej dotkliwe uderzenie. Tak przynajmniej wyznała jej po latach.

– Zniszczyłaś moją rodzinę – dodała jeszcze na koniec Ada, ale ten strzał chybił celu. Wręcz przeciwnie – podziałał na macochę mobilizująco. Wyprostowała się, a z jej twarzy zniknął wyraz rozpacz i załęknienia. Spojrzała śmiało w oczy pasierbicy.

– Naprawdę wierzysz w to, że zostało tam jeszcze coś do zniszczenia? – spytała wyzywająco.

Ada natychmiast podjęła to wyzwanie.

– To, co zrobiłaś, zabiło moją matkę – odparła wściekle, ale w jednej chwili jak na zawołanie stanęło jej przed oczami dzieciństwo i dwoje rodziców, którzy nie byli w stanie żyć ze sobą w zgodzie i zapewnić szczęśliwego dzieciństwa ani jej, ani bratu.

Czy w tej rodzinie zostało jeszcze cokolwiek do zniszczenia?

Wiedziała jedno – nie chciała tego analizować. Nie potrzebowała wspomnień. Nie mogła już patrzeć na Rozalię. Odwróciła się na pięcie i prędko wyszła na ogrodową werandę. Jak się jednak okazało, to nie do niej należało ostatnie słowo.

– Ja zabiłam twoją matkę?! – zawołała za nią Rozalia. – Kto naopowiadał ci podobnych bzdur?! Twoja ciotka, tak? A ty tak po prostu jej uwierzyłaś! Tak bez cienia wątpliwości!

Ada zbiegła po schodkach pewna, że Rozalia podąży jej śladem, ale tak się nie stało. Macocha nie wróciła już do przerwanej rozmowy, nie zabrała też głosu ani w kwestii przygotowań do ślubu, ani wyprawy dla pasierbicy.

„Jeśli jesteś pewna, że dokonałaś słusznego wyboru, że podjęłaś właściwą decyzję, to życzę Ci szczęścia” – taki był komentarz Damiana, gdy doniosła mu o zaręczynach. O nic nie pytał, nie podawał jej planów w wątpliwość. Zrobił to dopiero po latach. Ale i ona dopiero po latach wykrzyczała mu swój żal. Niepotrzebnie. Za późno.

Urok późnego lata, pomyślała Adrianna, gdy tej nocy, po rozmowie z wnuczką, siedziała na ganku i wsłuchiwała się w odgłosy dobiegające z sierpniowego mroku, wydawane przez cykady w ukryte w ogrodowych krzewach, żaby w pobliskim stawie i jakąś samotną sowę w lesie.

Lubiła sierpień, gdy przyroda stopniowo się wyciszała, przygotowując na przyjęcie jesieni, lecz wciąż letnia aura nie dawała jeszcze za wygraną. Jak dojrzały w latach człowiek, który nadal czuje się młody, choć jednocześnie coraz częściej dostrzega w sobie objawy upływającego czasu – zbliżającej się jesieni życia.

W sierpniu tysiąc dziewięćset trzynastego roku zdecydowała się przyjąć oświadczyzny Dezyderego, zaledwie dwa miesiące po swoim powrocie do Jurczewic. Wcześniej, gdy rodzeństwo Rozalii wyjechało już do Krakowa, wuj Witold zaprosił ją do Radziejowa, a ponieważ ojciec nie zgłaszał sprzeciwu, pojechała tam na trzy tygodnie i od razu poczuła się tak, jakby znalazła swoje miejsce na

ziemi. Nawet nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy była tu po raz ostatni. Wszystko, co widziała, było dla niej nowe, a mimo to, mimo to...

To mógłby być mój dom – taka była jej pierwsza myśl, gdy tylko przywitała się z wujem i kuzynem.

Nie rozumiała, skąd wzięło się owo przeświadczenie. Było bowiem niewytłumaczalne, irracjonalne. Czy uczucie bliskości wiązało się z faktem, że w Radziejowie wychowała się jej matka? Wątpliwe, przecież Helena Jurczyńska nigdy nie była jej tak bliska, aby teraz, po latach, Adrianna odczuwała jakiegokolwiek wzruszenie na myśl, że przebywa w miejscu tak niegdyś ważnym dla jej zmarłej matki. Więc może sprawiła to obecność wuja, zawsze tak samo życzliwego i okazującego jej tyle dobroci i zainteresowania? A może...

Bez żadnego onieśmienia, skrępowania i przymusu odnowiła kontakty z kuzynem. Zapewne sprzyjał temu fakt, że widzieli się rok temu w Paryżu, więc od wspomnień na ten temat zaczęli swoją pierwszą rozmowę w Radziejowie. Teraz mieli dla siebie całe trzy tygodnie i większość tego czasu spędzali w swoim towarzystwie. Nigdy nie brakowało im tematu do rozmów. Dezydery nigdy jej nie nudził, czasami tylko ją irytował, ale to nadawało kontaktom z nim interesujące akcenty. Podobnie było z Damianem Reńskim. Czasami nawet Ada pozwalała sobie na refleksję, że obaj byli do siebie pod pewnymi względami podobni i z pewnością na wiele kwestii mieli niemal identyczne poglądy. Nawet napomknęła o tym Dezyderemu.

– Niebywałe! – roześmiał się. – Spodobał ci się ktoś złączony więzami krwi z twoją macochą?! Zarumieniła się, co nie uszło jego uwadze.

– Zaraz „spodobał” – zachnęła się. – Zaczynasz mówić jak jurczewickie służące, które widząc mnie w towarzystwie tego człowieka, plotkowały po kątach i wyobrażały sobie Bóg wie co.

– No, no, nie kpiłbym z takich spraw. Nikt nie jest tak skuteczny w rozprowadzaniu wieści po wszystkich okolicznych opłotkach jak właśnie służące.

– Co mnie to obchodzi. – Wzruszyła ramionami.

– Kto wie, czy to nie obchodzi twojej macochy. – Mrugnął do niej.

Tak, właśnie Dezydery wziął pod uwagę, że Rozalia mogłaby wyciągnąć jakieś daleko idące wnioski. Adzie wtedy jeszcze w ogóle nie przyszło to do głowy.

– Powinna chyba znać poglądy swojego brata – odparła lekceważąco. Jak zawsze, gdy zmuszona była wypowiedzieć się na temat Rozalii. – Przede mną w każdym razie nie ukrywał, że nie planuje życia rodzinnego. Zamierza bez reszty poświęcić się pracy lekarskiej. Wychował się w dużej rodzinie i zdaje się, że nie wywołało to w nim entuzjazmu.

– Ciekawy facet. Naprawdę odważył się powiedzieć coś takiego dziewczynie, która dotrzymywała mu towarzystwa?

Słyszac to, Ada zirytowała się trochę.

– Nie mam wątpliwości, że obaj bez problemu znaleźlibyście wspólny język. Ty z kolei nie miałeś oporów przed wygłoszeniem poglądu na temat otwartych drzwi w małżeństwie.

– Tak dobrze to zapamiętałaś?! – roześmiał się. – I w dodatku, jak mniemam, nie możesz mi tego darować?

Zagryzła wargi, zła na samą siebie, że się tak wyrwała, i to bez żadnego zastanowienia.

– Biedna kuzynko – kontynuował dalej wesoło Dezydery. – Dlaczego wciąż trafiasz na swej drodze na takie nieciekawe indywidua? Na typów spod ciemnej gwiazdy? No już, nie gniewaj się. Dajże spokój. Powiedz mi lepiej, co zamierzasz porabiać w Jurczewicach przez kolejne tygodnie, miesiące, może lata?

– A jaki mam wybór? – odcięła się nadal nadąsana. – Chyba mi tam przyjdzie skonać. Nienawidzę tego miejsca, myślałam, że o tym wiesz.

Może posunęła się za daleko w swej szczerości, ale nic nie mogła poradzić na to, że taka właśnie była prawda. Prawda, od której w żaden sposób nie mogła uciec ani tym bardziej o niej zapomnieć. W obecności Dezyderego mogła to przynajmniej wyznać otwarcie.

– O mnie nie warto nawet mówić – dodała już spokojniej. – Ja nie mogę o sobie decydować.



Powiedz lepiej, co z tobą. Czy to prawda, że zostajesz już na stałe w domu? Nie wracasz do Paryża?

– Nie, nie wracam. Radziejowo to mój obowiązek i moje przeznaczenie. Nie mam ani brata, ani siostry, nikogo, kto wzięłby na siebie odpowiedzialność za rodzinną posiadłość. A nie popadłem jeszcze w ten rodzaj dekadencji, aby było mi obojętne, co stanie się z dziedzictwem pozostawionym mi przez całe pokolenia przodków. Tak więc, droga kuzynko, podobnie jak ty mam bardzo ograniczone pole manewru. W zasadzie nie mogłem podjąć innej decyzji.

– Ale mogłeś dać sobie na to jeszcze trochę czasu. Twój ojciec nie jest stary i sam bardzo dobrze daje sobie radę.

– W życiu różnie bywa – spoważniał Dezydery. – Nie chciałbym zostać zaskoczony jakimś nieprzewidzianym wypadkiem. I wiem, że muszę się jeszcze wielu rzeczy nauczyć od ojca... póki czas.

Zrozumiała, o czym mówił, ale zdumiała ją fakt, że kuzyn, którego do tej pory oceniała jako świetnego kompana, niemniej człowieka, który najchętniej spędzał czas na rozrywkach, głosił zaskakujące i mało poważne poglądy na życie, był zdolny do podobnych refleksji.

– Wytrzymasz tu bez towarzystwa, do jakiego przywykłeś... tam? – spytała jednak sceptycznie.

Mówiła przecież na podstawie własnych doświadczeń, własnej tęsknoty za życiem w wielkim mieście.

– Znajdę sobie inne, nie mniej interesujące – odparł.

Nie przywiązywała do tych słów większego znaczenia. Uznała, że ponownie zaczął żartować.

Tymczasem miesiąc później zaproponował jej małżeństwo.

– Sama przyznaj, że ma to sens – przekonywał, gdy kompletnie oniemiała pojęła wreszcie, że mówił poważnie. – Jesteśmy do siebie podobni. Towarzystwo słabo odnajdujemy się w tych stronach. Pewnie dlatego, że oboje wiele czasu spędziliśmy daleko stąd. Pragniesz opuścić Jurczewice, a nie znajdziesz lepszego sposobu, by zrealizować ten zamiar. Chyba że spodobał ci się któryś z sąsiadów. Jeśli tak, to mów od razu – ponownie zażartował. – Bo jak zakładam, brat macochy w dalszym ciągu nie wchodzi w grę? – Spoważniał jednak, napotkawszy jej pełne wyrzutu spojrzenie. – Prawda jest taka, że jeśli nie zdecydujesz się na mnie, ojciec zaaranżuje ci inne małżeństwo. Może udane, a może nie. A po mnie przynajmniej wiesz, czego się spodziewać. Dogadujemy się całkiem dobrze, będziesz się tu cieszyła swobodą, jaka do tej pory nawet ci się nie śniła.

– Chyba że w ogóle nie zamierzam wychodzić za mąż – odparła, gdy wreszcie była w stanie wydobyć z siebie głos.

– Oczywiście. Zostaniesz wtedy w Jurczewicach, które w przyszłości odziedziczy twój przyrodni braciszek. Z pewnością nikt cię stamtąd nie wyrzuci. Jeśli odpowiada ci kariera starej panny, dożywotniej rezydentki mieszkającej kątem u rodziny brata, to masz do niej pełne prawo.

Nic nie mogło jej bardziej przerazić. Analizowała propozycję kuzyna całe dziesięć dni. Sierpień nieubłaganie zbliżał się do końca, nieodwołalnie kończyło się też lato. Pomyślała o długich jesiennych wieczorach, jakie przyjdzie jej spędzać w Jurczewicach, wśród ludzi, których traktowała jak obcych. O domu, teoretycznie i tylko z nazwy rodzinnym, ponieważ wiązały się z nim same smutne, niedobre wspomnienia. Myślała też o Radziejowie, gdzie od razu, od pierwszej wizyty, poczuła się jak u siebie. O wuju, zawsze tak bliskim. O Dezyderym, którego bardzo lubiła i z którym mogła być szczerą. Nawet jego poglądy na małżeństwo w gruncie rzeczy jej nie szokowały. Niejedno już przeżyła, na niejedno się natrzyła, i to w dodatku we własnej rodzinie.

– Tak – oznajmiła wreszcie po długim namyśle i gruntownej analizie wszystkich za i przeciw. – Wyjdę za ciebie.

– Dobra decyzja – odparł wesoło Dezydery, a ponieważ w dalszym ciągu mimo wszystko miała dość wystraszoną minę, dodał: – Nie będziesz żałować. Obiecuję.

– Ty też nie – odparła nie swoim głosem. Uznała jednak, że wypadało coś powiedzieć.

– Nie wątpię – roześmiał się w odpowiedzi.

Jedyną osobą, która od samego początku bardzo pozytywnie odniosła się do całego projektu, była Cecylia Barcińska.

*Nawet sobie nie wyobrażasz, jak się cieszę z takiej nowiny* – pisała, a entuzjazm ciotki wyczuwało

się niemal namacalnie w każdym słowie. *Podjęłaś właściwą decyzję, bądź tego pewna. A wątpliwości i obawy, o których wspominasz? Tylko głupiec ich nie doświadcza, możesz mi wierzyć. Małżeństwo jest zawsze ryzykiem, także wtedy – a właściwie nawet zwłaszcza wtedy – gdy pobierają się ludzie najgoręcej w sobie zakochani. I nie wszystko zależy tylko od nas, czasem musimy godzić się z wyrokami losu. Ryzyko niepowodzenia jest zawsze mniejsze, gdy łączą się ze sobą ludzie do siebie podobni. Ja w każdym razie już rok temu, podczas tamtego spotkania w Paryżu, zaczęłam marzyć o takim dla was obojga rozwiązaniu. Powtórzę zatem raz jeszcze: wybrałaś tak, jak należało. A przy okazji wyrwałaś się spod władzy tej kobiety, która zajęła miejsce twojej biednej matki.*

Czy nigdy potem nie żałowała swojej decyzji?

Wspominając tamte chwile, Adrianna poczuła nagły i bardzo nieprzyjemny chłód. Sierpniowe noce potrafią być już zimne. Podniosła się z krzesła na ganku i weszła do uśpionego domu. Na górze w pokojach spały jej dzieci i wnuki. Ona i Dezydery stworzyli tę rodzinę.

Podeszła do komody i wzięła do ręki jego zdjęcie sprzed dziesięciu lat.

– Brakuje mi ciebie – szepnęła. – Twojej beztroski, twojego poczucia humoru, ale i zdecydowania. Twojej odwagi i odpowiedzialności, kiedy trzeba było brać na siebie tę mniej przyjemną, trudniejszą stronę życia. Twojej miłości i twojego poświęcenia. – Głaszcząc fotografię, poczuła łzy pod powiekami. – A czy tobie czasem... tam... brakuje mnie? Czy w ogóle mam prawo o to pytać?

– I oto Radziejowo, a raczej to, co z niego zostało.

– Całkiem sporo. – Ula uśmiechnęła się. – Myślałam, że będzie gorzej. Mówiliście przecież...

Jacek machnął ręką i wskazał na spacerującego nieopodal brata.

– To on mówił. Lubi przesadzać.

– W czym znowu przesadziłem? – zapytał Andrzej, który zbliżał się do nich, prowadząc stary, nieco zdezelowany rower.

– Myślałam, że zobaczę tu ruiny i zgliszcza – odparła pogodnie Ula. – Tak to mniej więcej przedstawiłeś. Tymczasem dwór nadal stoi.

Przestała się jednak uśmiechać na widok smutku malującego się na twarzy kuzyna.

– To był kiedyś naprawdę piękny obiekt. Miejscowi nazywali go nawet zamkiem. Zamek w Radziejowie – tak mówiono. To, co teraz widzisz, jest zaledwie namiastką tego, co było. I nie należy już do nas, no ale o tym już wiesz. Teraz dwór stanowi własność państwa. Jeszcze trochę, a zniszczyje do reszty i rozpadnie się na części.

W milczeniu podeszli do ceglanego parkanu i przez zamkniętą bramę zajrzeli do środka.

– Może to i lepiej, że jest zamknięte, niż gdyby każdy mógł tu wchodzić – odezwała się Ula. – Wtedy naprawdę niewiele by już zostało.

Zaraz jednak zrozumiała, że nie należało tego mówić.

– Jakie to ma znaczenie – warknął ze złością Andrzej – skoro to już i tak nie należy do naszej rodziny?

– Ładnie tu – powiedziała to szczerze, ale przede wszystkim po to, aby go uspokoić i przywrócić dobry nastrój, jaki towarzyszył im przez całą drogę.

– Było pięknie – odparł już trochę łagodniejszym tonem, akcentując pierwsze słowo.

– Pamiętasz cokolwiek, gdy to było jeszcze wasze? – spytała ostrożnie. Nie miała pewności, czy tym pytaniem ponownie nie wprowadzi go w stan rozdrażnienia. Z drugiej jednak strony chciała sprowokować go do wspomnień. Przecież w zanadrzu chowała także inne pytania.

– Coś tam... jakieś migawki, szczerze mówiąc, prawie nic. Miałem sześć lat, gdy nas stąd wyrzucili.

– Która droga prowadzi do Jurczewic? – Ula rozejrzała się wokół.

– Tamta, na południe, skrajem lasu – odpowiedział z kolei Jacek. – To jakieś siedem kilometrów stąd.

– Myślałam, że trochę dalej.

– Kiedyś jechało się tam okrężną trasą, w dodatku w wielu miejscach niewygodną i wyboistą. Potem powstała nowa, krótsza droga. Bardziej wyrównana, choć także piaszczysta.

– Pojedziemy?

– Nie dzisiaj. Zresztą Jurczewice bardzo cię rozczarują. Tam już naprawdę niewiele zostało. Dwór był mniejszy od tego w Radziejowie, a w dodatku jeszcze przed wojną popadł w zaniechanie. Po śmierci syna pradziadek stracił werwę i ochotę do jakiegokolwiek działania. A babcia nigdy nie miała serca do rodowej siedziby.

– Nie wiedziałam, że miała jeszcze jednego, w dodatku rodzonego brata – odezwała się po chwili milczenia Ula.

Nie zamierzała wcześniej poruszać tej kwestii, pomysł nasunął jej się zupełnie spontanicznie, na samo wspomnienie o Jurczewicach.

– No cóż, to było tak dawno temu, że teraz już mało kto o tym wie – odparł Andrzej. – Wcale się nie dziwię, że matka zapomniała ci powiedzieć.

O wielu sprawach mi nie powiedziała, i to nie dlatego, że zapomniała, pomyślała ponuro Ula, ale tak naprawdę co innego ją zaintrygowało.

– To było dawno? Więc wy go nie pamiętacie?

– Mowy nie ma. Ani my, ani nasza matka. Twoja też nie. Ten wypadek wydarzył się w tysiąc dziewięćset drugim roku.

– Wypadek? – Ula przystanąła jak rażona. Pomimo upału na moment poczuła lodowaty dreszcz.

– Zginął w wypadku?

– No, niezupełnie tak było. – Andrzej popatrzył w niebo, tak jakby chciał się upewnić, czy przypadkiem pogoda nagle się nie zepsuje i nie zaskoczy ich deszcz. – Zawracajmy – zarządził. – Kawalek drogi przed nami.

– W takim razie co się z nim stało? – zapytała Ula, gdy tylko wyprowadzili rowery z wertepów na wyrównaną drogę. – Z tego, co mówisz, w chwili śmierci ten chłopak był jeszcze całkiem młody albo nawet był jeszcze dzieckiem. Co za fatum! Obaj jej bracia stracili życie w tak młodym wieku.

– Może i fatum – zgodził się Andrzej. – Podobno nasz pradziadek tak właśnie uważał. Tyle że zamiast „fatum” używał słowa „przekleństwo”.

– Raczej klątwa – poprawił go Jacek.

– Nie. Klątwa jest związana z działaniem osób trzecich. A nic nie wiadomo o tym, by ktoś rzucił klątwę na pradziadka, choć nie cieszył się zbyt wielką sympatią i nie zabiegał o popularność w terenie. Przekleństwo jest związane z wyrokami losu, a nie życzeniem ludzkim. Tak jak fatum.

– Znowu bawisz się w filozofa.

– Jak zwał, tak zwał. Powiedzcie lepiej, co się stało z tym chłopcem – przerwała dyskusję Ula. Była coraz bardziej podekscytowana.

– Brat babci miał wtedy sześć lat – podjął Andrzej.

– Sześć lat! Boże drogi! – nie wytrzymała i krzyknęła, choć obiecała sobie w duchu, że nie będzie przerywać braciom.

– No tak, sześć lat. Był od niej młodszy o rok. A wypadek miał miejsce na stawie w Jurczewicach.

– Tego stawu już dawno nie ma – wtrącił Jacek, tak jakby podejrzewał, że Ula zechciałaby go zobaczyć.

– Utopił się? – spytała przerażona dziewczyna.

– Niewiele brakowało. To było pod koniec lutego. Załamał się pod nim lód. W ostatniej chwili uratowali go przejeżdżający nieopodal chłopci. Wyciągnęli go z lodowatej wody, odwieźli wozem do dworu. Niestety dostał zapalenia płuc i niedługo potem zmarł.

– O Boże... Poszedł nad staw zupełnie sam? Bez żadnej opieki?

– W tym właśnie tkwi cały szkopuł. Zarówno chłopiec, jak i jego siostra, czyli nasza babcia, bawili się wtedy pod opieką swojej matki. Nie zapobiegła wypadkowi, czego mąż nigdy jej już nie wybaczył.

– Dlaczego jej nie wybaczył? Przecież dla niej także był to straszny cios! – Ula wyglądała na wstrząśniętą. – Nie zawsze można zapobiec wypadkowi dziecka.

– Widzisz, w tym akurat przypadku sprawa była dość niejednoznaczna. Nasza prababka... jak by to powiedzieć...

– Dzisiaj niektórzy by powiedzieli, że miała nierówno pod sufitem – wtrącił dość bezceremonialnie Andrzej. – Wtedy także nie brakowało takich, którzy nie wahali się nazywać jej wariatką.

– Była psychicznie chora? Dlaczego zatem dopuszczono do tego, by zajmowała się dziećmi? Dlaczego jej nie leczono?

– Trudno powiedzieć, co było z nią nie tak. Najprawdopodobniej cierpiała na ciężką depresję nazywaną wtedy melancholią. A nie leczono jej, bo generalnie nie było skutecznych metod leczenia. Co najwyżej zamykano niektórych chorych w szpitalach dla obłąkanych, ale głównie po to, aby ich odizolować od ludzi zdrowych. Pradziadek nie posunął się tak daleko, choć ponoć nieraz jej tym groził. Może zresztą w końcu by to zrobił, ale zmarła rok po swoim synu. A wracając do tamtego wypadku... Prababka na ogół nie zajmowała się dziećmi. Od tego była jakaś podeszła w latach piastunka, która feralnego dnia akurat zaniemogła. W przeciwnym razie z pewnością towarzyszyłaby swojej pani

i dzieciom. Pradziadka nie było wtedy w domu. Może gdyby był, zabroniłby żonie przechadzki z dziećmi nad staw. Służba nie śmiała tego zrobić, a prababka miała wtedy taki dzień, gdy wchodziła w etap tak zwanej górki. Rozumiesz? Raz była w dole, a innym razem stawała się bardzo aktywna, pomysł gonił pomysł. No i... wyszło, jak wyszło...

– Jednak oskarżanie jej o śmierć dziecka było okrucieństwem. Tym bardziej że sama nie była zdrowa.

Ula sama nie rozumiała, skąd wzięło się u niej tyle goryczy i buntu. Czowała za to ogromne współczucie wobec tej kobiety, która nie była wytworem literackiej fantazji. Była jej prababką i przyszło jej przeżyć niewyobrażalne nieszczęście.

– Widzisz, ci chłopci, którzy nadjechali wtedy drogą i wyciągnęli chłopca spod kry, mówili potem... – Andrzej się zawahał, jakby poniewczasie uznał, że chyba chciał powiedzieć za dużo.

Jego brat nie miał jednak takich obiekcji, a może doszedł do wniosku, że wypada jednak dokończyć rozpoczęte zdanie. Kuzynka mogłaby źle zrozumieć te niedopowiedzenia.

– Podobno Helena stała na brzegu i patrzyła na tonące dziecko. Nie płakała, nie krzyczała, nie starała się ratować. Znieruchomiała niczym żona Lota. To jej mała córeczka, czyli nasza babcia, podniosła alarm i zawołała na pomoc tych chłopów, zanim sami zdążyli pojąć, co się dzieje. A jej matka ani drgnęła. Chłopi potem mówili, że ciarki im po plecach przeszły, gdy na nią popatrzyli. Ale w sumie... jaka to różnica, czy starała się ratować dziecko, czy nie? Skoro chłopiec i tak zmarł.

– Kto wam to opowiedział?

– Dziadek Dezydery. Babcia nigdy nie chciała o tym mówić. A sprawa była wtedy głośna. Wszyscy w okolicy o niej rozprawiali, i to w najdrobniejszych szczegółach.

Dobrze, nie będę jej o nic pytać, postanowiła Ula, przypomniawszy sobie widoczny pośpiech babki, gdy przewracała stronicę w albumie, tę, na której znajdowało się zdjęcie jej małego brata.

Resztę drogi przebyli w milczeniu, upał nie sprzyjał rozmowie. Piaszczysta droga, którą mieli do pokonania – także nie. Dopiero, gdy na horyzoncie pokazała się wieża kościoła w Broniszczach, Jacek zrobił uwagę, że to prawdziwe szczęście, że tych kilka gorących, suchych dni sierpnia spędzają właśnie tu, na wsi. W Warszawie byłoby to nie do wytrzymania, zwłaszcza w ich niedużym mieszkaniu z oknami zwróconymi na południowy zachód.

– Można tam oszaleć przy takiej duchocie – dodał.

Ula otrząsnęła się ze swoich myśli, gdy tylko usłyszała wzmiankę o Warszawie.

– Kto jest pochowany na Powązkach? – spytała ni z tego, ni z owego, w każdym razie obaj chłopcy spojrzeli na siebie, a potem na nią, mocno zaskoczeni.

– Skąd ci to przyszło do głowy? – wydusił wreszcie z siebie Jacek.

– Moja matka była tam aż dwa razy w ciągu tych czterech pierwszych dni, jakie spędziłyśmy w Warszawie. Słyszałam też, jak ciotka Irena wspomniała jej, że także stara się tam bywać. Matka nie chce o tym mówić. Gdyby tam był pochowany ktoś z bliskiej rodziny albo z przyjaciół, chyba nie ukrywałaby tego przede mną.

– Tak, rzeczywiście, nasza matka bywa tam dwa albo trzy razy w roku – odezwał się wreszcie Andrzej. – Z tego, co wiem, odwiedza groby kilku kolegów czy przyjaciół, którzy zginęli w powstaniu warszawskim. No i grób jakiejś ciotki, która umarła jeszcze przed wojną. Tak kiedyś napomknęła. Zabrzmiało to logicznie, więc o nic więcej nie pytałem.

– Żaden z was nigdy jej nie towarzyszył?

– No, jakoś się nie złożyło. Zawsze lubiła tam jeździć sama, ewentualnie od czasu do czasu z ojcem, ale rzadko. Co w tym dziwnego? To jej wspomnienia i jej przyjaciele. Ma prawo pobyc z nimi sam na sam... w pewnym sensie. Tym bardziej że stale, czy to w pracy, czy w domu, czy w kolejkach sklepowych, otaczają ją tłumy ludzi. Zresztą jeśli cię to interesuje, sama ją zapytaj.

– Chyba tak zrobię – odparła Ula, a w duchu postanowiła, że zrobi to dopiero po wyjeździe matki.

Skręcali już w uliczkę prowadzącą do domu babki, gdy postanowiła zadać jeszcze jedno pytanie, choć wiedziała, że chłopaków zapewne także to zdziwi:

– Czy dziadkowie byli ze sobą szczęśliwi?

Zgodnie z jej przewidywaniami obaj mieli zaskoczone miny. Ale przecież niczego innego się nie spodziewała. Jej angielscy koledzy także nie zastanawiali się nad podobnymi kwestiami. W przeciwieństwie do koleżanek.

– Chyba tak – odparł w końcu Jacek. – Pasowali do siebie jak ulał. Lubiliśmy mieszkać razem z nimi tu, w tym domu. Ja bynajmniej nie skakałem z radości, gdy ojciec dostał mieszkanie w Warszawie. Tu czułem się bardziej u siebie.

– Spędzaliśmy tu święta, ferie i większość wakacji – dodał Andrzej. – Warszawa i dom naszych dziadków to dwa zupełnie różne światy. Po przyjeździe do Broniszcz zawsze miałem takie wrażenie, jakbym się znalazł w zupełnie innej epoce... Dziadkowie byli tacy... – Zastanowił się nad odpowiednim słowem.

– Staroświeccy? – podpowiedziała Ula.

– Może raczej niedzisiejsi. Liczyły się dla nich inne wartości i zasady niż te dominujące obecnie. Choć z drugiej strony, w przeciwieństwie do wielu starszych ludzi, którym większość życia minęła w innym ustroju i innej rzeczywistości obyczajowej, oni zawsze dobrze sobie radzili w obecnej.

Ale czy byli ze sobą szczęśliwi? – chciała wiedzieć dziewczyna. Pasowali do siebie jak ulał, powiedział Jacek. Lecz na jakiej zasadzie? Niczym dwoje dobrych przyjaciół nadających – jak to się mówi – na tych samych falach? Czy jak dwoje kochających się ludzi przypominających dwie połówki owocu?

Czy uczucie, którego między nimi nie było na początku małżeństwa – tak przynajmniej należało zrozumieć słowa babki – rozwinęło się później, z biegiem wspólnie spędzanych lat i niełatwych doświadczeń? A może pojawiło się nagle, pod wpływem jakiegoś wydarzenia w ich życiu?

Albo... rzeczywiście nigdy go nie było, za to od czasu do czasu, aby poradzić sobie z tą uczuciową pustką, oboje albo jedno z nich, korzystali z tych niedomkniętych lub nawet szeroko otwartych drzwi.

Prawdopodobieństwo, by wnuki o tym wiedziały, było bliskie zeru. Może matka i ciotka coś kiedyś zauważyły, ale nawet jeśli, to przecież nie zechcą o tym opowiadać. Babka tym bardziej.

A właściwie co mnie to obchodzi? – pomyślała wreszcie Ula. – Jakże ma to teraz znaczenie? Ludzie mają przecież prawo do swoich wspomnień i sekretów.

Ogarnęła ją senność będąca efektem wycieczki rowerowej przebytej w pełnym słońcu i upale. Powietrze wokół jakby znieruchomiało. Nie słychać było śpiewu ptaków, tylko niekiedy w pobliskich krzewach i trawie rozległo się leniwe bzyczenie owada. Urok późnego lata na wsi, przesyconego zapachem papierówek na drzewach, świeżych, dojrzałych pomidorów i innych warzyw, wabiącego intensywnymi kolorami przyrody. Już po żniwach, lecz pora zrywania owoców, robienia przetworów i grzybobrania dopiero się zbliża. Przypomnienie, że to już najwyższy czas, by pozwolić sobie na ostatnie, może jedyne wakacyjne szaleństwo, zanim nastanie jesień, a potem ciągnące się w nieskończoność zimowe dni i tygodnie.

Przypomniało jej się, że właśnie wtedy, w pełni tej rozleniwiającej zmysły pory lata, w sierpniu tysiąc dziewięćset czternastego roku wybuchła wojna, która wyrzuciła życie milionów ludzi do góry nogami. I – jak wyznała jej babka – nic już nie było takie jak przedtem. A przecież od ślubu dziadków minęło zaledwie osiem miesięcy. Dopiero co rozpoczęli wspólne życie.

I pomyśleć, że jeszcze przed chwilą zamierałam dać sobie spokój z zagłębianiem się w ich historię. A teraz na nowo czuję, że jednak muszę ją poznać. Nawet jeśli to będzie zwykła opowieść o ludziach, którym przyszło żyć w niełatwych czasach, ale w codziennym, wspólnym życiu uniknęli wstrząsających dramatów czy romantycznych wzruszeń. Często to właśnie pozornie szara codzienność zasługuje na największą uwagę i najwyższy szacunek. Bo jak wytłumaczyć prosty fakt, że kiedyś ludzie potrafili wytrwać przy sobie w najtrudniejszych warunkach i okolicznościach, a dziś byle kryzys staje się powodem rozstania? Mieli większe serca? Bardziej kochali? Byli bardziej odpowiedzialni za siebie i za bliskich? A może stawiali mniejsze wymagania losowi i innym ludziom niż większość współcześnie żyjących?

Postanowiła skłonić babkę do kolejnej porcji wspomnień.

\*

– Wojna wprawdzie wybuchła w sierpniu, ale pierwsze symptomy nadciągającego kryzysu miały miejsce w czerwcu. Choć przyznaję, że większość z nas niekoniecznie zdawała sobie z tego sprawę czy poważnie się tym przejęła – rzekła Adrianna, gdy wieczorem wnuczka zagadnęła ją o lato czternastego roku, które, jak powiedziała wcześniej, sprawiło, że nic już nie było takie jak dawniej.

– Masz na myśli zamach w Sarajewie? – zainteresowała się Ula. – Mnie uczono w szkole, że to była najważniejsza przyczyna wojny. A ty mówisz, że niewielu się tym przejęło.

– Bo tak było. Zaczynało się lato, piękne i pogodne. Jedni planowali wakacyjne wyjazdy, a inni prace polowe. Na letnią kanikulę wyjeżdżali monarchowie, premierzy, politycy, a także każdy, kto mógł sobie na to pozwolić.

– Wy także?

– Nie, my w maju wróciliśmy ze spóźnionej nieco podróży poślubnej. To sprawiło, że zainteresowanie wokół nas w okolicy wyraźnie odżyło. Wciąż było wielu takich, którzy nie mogli darować Dezyderemu, że z licznego grona panien na wydaniu wybrał właśnie kuzynkę. Wiedziałam jednak, że z biegiem czasu ludzie przestaną się nami zajmować, choć nawet do głowy mi nie przyszło, że w dużej mierze stanie się tak dzięki wojnie. Wielkie nagłówki o zamachu na następcę tronu cesarsko-królewskiej monarchii Austro-Węgier oczywiście robiły pewne wrażenie, jednak nie na tyle silne, by upatrywano w tym fackie iskry, która podpali Europę. Tylko nieliczni wieszczili katastrofę. Więcej mówiono o zbliżających się żniwach i o tym, jakich cen na rynku rolnym można się spodziewać na jesieni. A zamach? Zartowano niekiedy, że zamachy są wpisane w ryzyko zawodowe polityków i ich rodzin. Bałkany zaś od dawna były niczym beczka prochu. Tam co jakiś czas wybuchała lokalna wojna. Albo zabijano, albo dawano się zabijać. Wszyscy walczyli ze wszystkimi. Trudno się było w tym zorientować. Odkąd Turcy stracili tam swoje wpływy, prawie nigdy nie było spokoju. Do tego sam arcyksiążę Ferdynand nie był specjalnie popularną postacią. Węgrzy go wprost nie cierpieli, a ich komentarze po zamachu wręcz nasuwały podejrzenie, że być może sami Madziarzy mieli tu coś na sumieniu. W Galicji zamach przyjęto obojętnie, w Czechach co najwyżej popłakano nad arcyksiężną Zofią, która pochodziła z tego kraju. Arcyksiążęcą parę pochowano dyskretnie, w każdym razie nie towarzyszyły temu żadne rozbudowane ceremonie. Nawet ich dzieciom nie pozwolono przyjść na pogrzeb. Gazety przez pewien czas ekscytowały się sprawą zamachu, a potem, kto mógł, wyjechał na wakacje. Reszta zajęła się własnymi sprawami.

– Jak ty.

– Jak ja. Dokładnie.

Była przecież świeżo upieczoną dziedziczką Radziejowa i postanowiła w miarę możliwości włączyć się w zarządzanie majątkiem. Być aktywną. W niczym – broń Boże – nie przypominać Heleny Jurczyńskiej.

– Nie musisz tego robić – zastrzegł teść, którego ona wciąż jeszcze w chwilach zapomnienia potrafiła nazwać wujem. – Nie jesteś przyzwyczajona do takich zajęć.

– Więc czas najwyższy, aby zmienić te przyzwyczajenia – odparła. – Muszę coś robić. Muszę coś umieć.

– Dobrze – zgodził się wreszcie łaskawie Witold. Nadal jednak podejrzewała, że nie traktował poważnie jej zainteresowania gospodarstwem. Raczej jako chwilowy kaprys, który przeminie.

Tymczasem Ada wkrótce nauczyła się zarządzania domem i służbą. Szybko też znalazła wspólny język z pracującymi w Radziejowie ludźmi. Służbie od dawna brakowało już obecności pani domu w tym majątku. Dziedzic od wielu lat był wdowcem, zresztą nieboszczka – świeć Panie nad jej duszą – niespecjalnie przejmowała się majątkiem i nie zżyła się z Radziejowem. Jej oczy były pełne tęsknoty za dalekimi stronami, z których przybyła, stale też ją gdzieś nosiło, podróżowała, wreszcie po kilku latach odeszła na wieczne spoczywanie. Syn odziedziczył po niej ten niepokój duszy i chęć wyrwania się w daleki świat, toteż gdy wreszcie wrócił z Paryża, mało kto ze służby wierzył, że zagrzeje dłużej miejsce w domu. Ożenek oznaczał jednak stabilizację, a młoda pani przypadła wszystkim do gustu. Nawet tym,

którzy pamiętając jej matkę, początkowo obawiali się, czy aby córka nie okaże się do niej podobna pod... pewnymi – nie najlepszymi – względami. Z ulgą jednak stwierdzono, że młoda pani Rawicka w ogóle nie przypominała matki, aż dziw brał, jak bardzo były do siebie niepodobne. Dom ożył, starszy pan poweselał, młodszy najwyraźniej się usatkwował, zatem wydawać się mogło, że wszystko szło ku dobremu.

W drugiej połowie lipca, gdy żniwa były już na ukończeniu i zaplanowano następne prace polowe, nagle, ni z tego, ni z owego, sprawa zamachu w Sarajewie wróciła niczym bumerang. Tak jakby ofiary upomniały się o swoje prawa. Monarchia naddunajska dała do zrozumienia, że nie zamierza pozwolić Serbom na dalsze upokorzenia. Wiadomość o ultimatum wysłanym przez Austrię pod adresem Serbii podgrzała atmosferę w Europie – zdecydowanie bardziej niż kilka tygodni temu sam zamach. Pozytywna w zasadzie odpowiedź Serbii nie uspokoiła nastrojów, a kolejne dni doprowadziły niemal wszystkich na skraj białej gorączki. Środek pięknego lata stał się areną buńczucznych wypowiedzi i wystąpień, uruchamiających łańcuch wydarzeń, których w pewnym momencie nie dało się już zatrzymać.

– Nagle okazało się, że mamy wojnę – rzekła cicho Adrianna. – Niby nikt jej nie chciał, mało kto wierzył, aby mogło do niej dojść, a tymczasem stała się faktem. W ciągu kilku dni główne europejskie państwa zerwały stosunki pokojowe. I wtedy amok opanował także zwykłych śmiertelników, tych, którzy do tej pory trzymali się daleko od polityki. Stała się ona domeną nie tylko ludzi sprawujących rządy, ewentualnie żurnalistów czy szefów sztabów. Nagle niemal każdy czuł się politykiem i strategiem. Młodych ogarniał owczy pęd, by wstępować do armii. Ci, którzy nie zamierzali tego robić, de facto byli do tego zmuszani. Spalenie Kalisza przez Niemców wzmogło u nas antygermańskie nastroje. Dezydery poszedł do wojska we wrześniu. A miesiąc później...

Miesiąc później jego żona nie miała już wątpliwości, że spodziewa się dziecka. Tymczasem na oczach wszystkich Europejczyków rozgrywała się prawdziwa apokalipsa, jakiej Europa w podobnej skali nie widziała od blisko stu lat. Całe pokolenia wychowane w pokoju, w przeświadczeniu o bezpiecznej przewidywalności kolejnego dnia, w postępującym od lat dobrobycie, nagle stanęły wobec rzeczywistości, której albo nie potrafiły sobie do tej pory nawet wyobrazić, albo co najwyżej o niej czytały. Na oczach przerażonych i coraz bardziej zdezorientowanych ludzi walił się w gruzy świat, do którego przywykli, może niekiedy irytujący i nudny, ale przynajmniej bezpieczny. Olbrzymie masy wojsk przerzucanych po całym kontynencie, spalone tysiące hektarów lasów, zrujnowane wsie i miasteczka i uciekający ze swoich domów oszaleli z rozpaczony ludzie, którzy coraz mniej pojmowali, lecz nie mieli pewności co do jednego – nic już nie będzie takie jak przedtem.

– Wiem – szepnęła Ula. – Czytałam o tym.

– Przez ten kraj przebiegał front wschodni – mówiła dalej babka, jakby nie słyszała uwagi dziewczyny. – Operowały tu ze zmiennym szczęściem trzy armie zaborcze. Po raz pierwszy od końca osiemnastego wieku, czyli od podpisania trzeciego rozbioru, Rosjanie, Austriacy i Niemcy byli w stanie wojny ze sobą. Początkowo Rosjanie zmagali się głównie z Austriakami, ale dość szybko, wypełniając swoje obowiązki sojusznicze wobec Francji, musieli rozpocząć działania przeciwko znacznie groźniejszym od armii cesarsko-królewskiej Niemcom.

– Militarne działania Rosjan ułatwiły Francuzom odepchnięcie Niemców od Paryża – wtrąciła Ula, dając tym do zrozumienia Adriannie, że naprawdę wie, o czym mowa.

– Zgadza się. – Babka uśmiechnęła się wreszcie. – Wobec tego na pewno też wiesz, że dla Rosjan ich lojalność wobec Francji nie skończyła się dobrze. Przegrali pod Tannenbergiem i nad jeziorami mazurskimi. Potem bywało różnie. Rosjanie początkowo kontynuowali walkę na obszarze Królestwa Kongresowego, a nawet w Galicji. Jednak w maju piętnastego roku Niemcy i Austriacy zdobyli Gorlice. Potem, w sierpniu, Warszawę. Każdego dnia umierałam niemal ze strachu, czy nie zostaniemy pozbawieni dachu nad głową, jak to się przytrafiało ludziom żyjącym na obszarach przyfrontowych. Szczęśliwie jednak front nas omijał. Radziejowo ocalało, podobnie Jurczewice, choć tam przez pewien czas kwaterowało wojsko. Początkowo większość z nas popierała Rosjan. Wiadomo, tych przynajmniej znaliśmy, wiedzieliśmy – albo tak się nam zdawało – czego możemy się po nich spodziewać. Niemcy



nie odpuszczali naszym rodakom z Wielkopolski aż do samego wybuchu wojny. No i oczywiście nikt nie potrafił im wybaczyć tego barbarzyństwa, jakiego dokonali w Kaliszu. Jednak to, co wyczyniali wycofujący się z Królestwa Rosjanie, musiało zmienić nasze nastawienie do nich. Cofając się z tych ziem przed nacierającymi Niemcami, prowadzili taktykę spalonej ziemi. Wyrzynali stada bydła, wysadzali tory kolejowe, palili zabudowania i lasy. A to w konsekwencji uderzało bardziej w bezbronną, polską ludność cywilną niż w nacierających Niemców.

– Kiedy urodziła się ciotka Irena? Bo chyba właśnie w tysiąc dziewięćset piętnastym?

– Tak – szepnęła Adrianna i na moment przyknęła oczy. – W kwietniu. Kilka dni później rozpętało się piekło pod Gorlicami. A parę miesięcy później Niemcy podeszli pod Warszawę i ją zdobyli. Nie potrafisz sobie nawet wyobrazić, jaki horror przeżywałam.

– Nie było przy tobie twojego męża. Zostałaś sama.

– Nie, nie byłam sama. – Nagle Adrianna potrząsnęła głową i otworzyła oczy jak człowiek, który budzi się ze snu. – Przecież opiekował się mną mój teść. I mieszkała z nami służba – wyjaśniła.

– Dziadek był wtedy w wojsku rosyjskim?

Adrianna najwyraźniej z ulgą przyjęła fakt, że wnuczka nie drażyła poprzedniego tematu.

– Udało mu się tego uniknąć, bo wstąpił do Legionu Lubelskiego. To był – wraz z Legionem Puławskim – polski oddział ochotniczy, który walczył u boku Rosjan. W marcu tysiąc dziewięćset piętnastego roku obydwaj zostały na osobisty rozkaz cara przemianowane na rosyjskie drużyny pospolitego ruszenia. Porządnie się wykrwawiły, a w dodatku Rosjanie traktowali je po macoszemu. Docenili je dopiero potem, gdy na froncie niemieckim pokazały, co potrafią. W tysiąc dziewięćset szesnastym walczyły pod nazwą Brygady Strzelców Polskich na Nowogródczyźnie, a rok później jednostka ta została rozwinięta do wielkości dywizji i dostała prawo noszenia polskich symboli narodowych.

– I przez cały ten czas ani razu nie widziałaś się z mężem? Nie przyjechał nawet na krótko? Przecież w armii zdarzały się urlopy.

– Nie – odparła zdecydowanym tonem Adrianna.

Ula odniosła wrażenie, że babka ponownie zrobiła się czujna i ostrożna. Nawet bardziej niż wtedy, gdy zaprzeczyła, jakoby była sama, rodząc dziecko, a potem nieporadnie wytłumaczyła to obecnością służby i teścia – tak jakby wnuczka mogła przypuszczać, że jej babka w momencie porodu była zostawiona sama sobie. Tak czy owak, podczas wojny zdarzyło się w jej życiu coś, o czym nie chciała opowiedzieć. Jakież sprawy, które zamierzała zachować tylko dla siebie.

– Z tymi urlopami bywało różnie – dodała po chwili Adrianna, nie zdając sobie sprawy z tego, że wnuczka nie zamierzała drażyć sprawy ewentualnych wojennych spotkań z Dezyderym. – Na froncie zachodnim było z tym łatwiej, ale to pewnie dlatego, że tamten front był pozycyjny niemal przez cztery lata wojny. Tu wyglądało to trochę inaczej, mniej przewidywalnie. No i twój dziadek był daleko stąd, daleko na Wschodzie...

– Czyli że dziadek zobaczył swoje dziecko dopiero po zakończeniu wojny?

– Wrócił do domu nawet trochę wcześniej, bo w październiku osiemnastego roku. Cztery tygodnie później w lasach Compiègne pod Paryżem Niemcy podpisali zawieszenie broni. Ale u nas, w Królestwie, już wcześniej ich rozbrajano. Podobnie jak Austriaków. Rewolucje zmiotły cesarskie trony w Rosji, w Niemczech, a Austro-Węgry rozpadły się na kilka części.

– A zatem dziadek zobaczył ciotkę Irenę dopiero, gdy ta skończyła trzy lata? – upewniła się Ula, której w tym momencie nie interesowały już fakty historyczne.

– No tak... Ale zapewniam cię, że w tamtych czasach nie była to sytuacja wyjątkowa. Wręcz przeciwnie – stało się to udziałem wielu rodzin na całym świecie. – Adrianna starała się mówić spokojnie i pogodnie, ale Ula nie mogła oprzeć się wrażeniu, że taki ton kosztował babkę sporo wysiłku.

– A potem rodziły się kolejne dzieci. – Ula wesoło mrugnęła do starszej pani. – Wiadomo, jak to po wojnie, gdy mężczyźni wracali do domów.

– Kiedy byłam w twoim wieku, dziewczęta nie pozwalały sobie na takie uwagi – odparła nieco zażenowana Adrianna, a jej policzki wyraźnie się zaróżowiły.

Ułę to tym bardziej ubawiło. Postanowiła – oczywiście żartobliwie – trochę „podręczyć” w ten sposób babkę.

– Ale przecież z moją matką tak właśnie było. Urodziła się w maju dziewiętnastego roku.

Spostrzegła jednak, że tym razem przeholowała, bo Adrianna zamiast zarumienić się jeszcze bardziej, wyraźnie zeszywniała.

– Przepraszam, *grandma*. Sama nie wiem, co mnie opętało. Ale będę już grzeczna, obiecuję – łagodziła wesoło.

– Od samego początku baliśmy się o jej życie – odezwała się po chwili babka tak spokojnym i wyważonym tonem, że paradoksalnie brzmiał nie do końca naturalnie. W każdym razie wszystko wskazywało na to, że Rawicka starała się, jak mogła, by zapanować nad emocjami. – Urodziła się trochę wcześniej, niż przewidywaliśmy. Wiele kobiet w ogóle nie było w stanie donosić wtedy ciąży. Wiadomo, powojenne wycieńczenie i reakcja na lata stresu. W dodatku szalała grypa hiszpanka. To prawdziwy cud, że Eliza urodziła się żywa i przetrwała te pierwsze, najbardziej krytyczne tygodnie. Niejeden dorosły nie walczył tak zawzięcie o siebie jak to chucherko. – Adrianna wreszcie zmusiła się do bladego uśmiechu. Nie uśmiechała się jednak do Uli, lecz do wspomnienia sprzed blisko czterdziestu lat i towarzyszącej mu refleksji. – Pewnie dlatego zawsze potem była taka uparta i wojownicza.

– To możliwe – potwierdziła cichutko dziewczyna.

Była jednak pewna, że babka jej nie usłyszała. W każdym razie w żaden sposób nie zareagowała na jej słowa.

Zszedłszy o piątej rano do kuchni, Eliza stanęła jak wryta na widok matki. Adrianna drzemała w pozycji siedzącej w fotelu, ale córka zbyt późno ją zauważyła, by spróbować wycofać się niezauważalnie. Adrianna zdążyła otworzyć oczy. Przez chwilę obydwie taksowały się uważnymi spojrzeniami.

– Nie wiedziałam, że czasami sypiasz w fotelu w kuchni – mruknęła Borzęcka. – Nie chciałam ci przeszkadzać.

– Nie przeszkadzasz mi. – Matka próbowała się uśmiechnąć. – Czy coś się stało?

– Dlaczego miałyby się coś stać? – Córka lekko się skrzywiła.

– Trochę nietypowa pora na przychodzenie do kuchni. Złe się czujesz?

– Prędzej ja mogłabym się zaniepokoić, dlaczego śpisz tu w fotelu. To z pewnością bardziej nietypowe niż wstawanie o świcie.

– Trudno odmówić ci racji. – Adrianna z pewnym trudem dźwignęła się i wstała. – Nawet nie wiem, jak ci to wytłumaczyć. – Uśmiechnęła się z widocznym zażenowaniem. – To nie jest tak, że twoja stara matka cierpi na postępującą sklerozę i zapomina, że do spania służy łóżko. Z drugiej jednak strony, jako osoba mieszkająca samotnie, pozwalam sobie niekiedy na pewne... ekstrawagancje. Choć na ogół pilnuję się z tym przy gościach. Dzisiaj po prostu mnie przechytryłaś i przyłapałaś na gorącym uczynku. Byłam nieostrożna, to wszystko.

– W ogóle sobie nie przypominam, byś kiedykolwiek zachowywała się ekstrawagancko. Zawsze byłaś ostrożna. – Eliza także się lekko uśmiechnęła, choć z widoczną ironią.

– Napijesz się ze mną kawy? – spytała Adrianna, pozostawiając bez komentarza uwagi córki.

– Będziesz piła kawę o tej porze, zamiast położyć się do łóżka? Rzeczywiście, mam, zrobiłaś się ostatnimi laty ekstrawagancka.

– Skąd wiesz, że ostatnimi? Nie widziałaś mnie prawie dwadzieścia lat – odparła cicho Adrianna, wyjmując z szafki młynek do kawy.

Eliza westchnęła i pokręciła głową.

– Usiądź, mam. Ja przygotuję tę kawę. Bez obaw, naprawdę wiem, jak się do tego zabrać.

– Bardzo wczesnie wstałaś. Nie mogłaś spać? – spytała po chwili dłuższego milczenia Adrianna, obserwując córkę, gdy ta, odwrócona do niej tyłem, wlewała parujący płyn do dwóch starych filiżanek.

– Czasem lubię popatrzeć na pierwsze chwile budzącego się dnia – odparła Eliza, stawiając naczynia na kuchennym stole. – Przynajmniej jest wtedy cicho, nikt się nie kręci, nie zagaduje, o nic nie pyta.

No to zepsułam ci dzisiaj ten miły rytuał, pomyślała z sarkazmem Adrianna, ale zaraz przywołała się do porządku. Złośliwość była tu nie na miejscu.

– W dodatku tutaj, na wsi, mogłam wyjść na ganek, na powietrze – dodała Eliza, wyglądając przez okno.

– Jeśli chcesz, możemy tak zrobić. Tyle że sierpniowe poranki nie należą niestety do najcieplejszych. No cóż, taki jest urok późnego lata.

– Urok późnego lata?

Adrianna zmieszła się lekko.

– To takie moje ulubione powiedzenie – mruknęła.

– Wiem. Pamiętam. – Tym razem uśmiech Elizy był zdecydowanie bardziej sympatyczny. Za chwilę jednak zniknął z jej twarzy. – To nawet dobrze się składa, że wreszcie możemy zamienić ze sobą parę słów bez świadków, sam na sam. Jestem tu od pięciu dni, pojutrze wracamy z Ireną do Warszawy, potem odlatujemy do Londynu, a nie miałyśmy do tej pory sposobności, by pomówić tylko we dwie.

– Sposobność może by się znalazła – odparła powoli Adrianna – nie byłam jednak pewna, czy ty tego chciałaś. Zdecydowałaś się przylecieć do Polski dopiero na zaproszenie twojej siostry. Miałam prawo przypuszczać, że chciałaś się widzieć przede wszystkim z nią. Nie mogłaś jednak uniknąć

przyjazdu do Broniszcz. Choćby dlatego, że Irena nie dałaby ci wtedy spokoju, a potrafi być bardzo skuteczna w realizowaniu swoich pomysłów.

– Zauważyłam, że masz dobry kontakt z Ulą. – Tym razem to Eliza nie skomentowała uwagi matki.

Upiła łyk kawy, ale skrzywiła się przy tym. Adrianna nie była pewna, czy z powodu zbyt mocnego i gorącego napoju, czy też wypowiedzianego dopiero co spostrzeżenia. Miała właśnie zamiar jakoś skomentować słowa córki, gdy ta ją uprzedziła:

– Zresztą od razu wiedziałam, że tak będzie. Jeszcze zanim tu przyjechałyśmy.

– Naprawdę? To miłe, że tak mówisz – odpowiedziała ostrożnie Rawicka. Ton głosu Elizy ponownie ją zaniepokoił.

– Ona zamierza studiować historię. Mówiła ci o tym?

– Tak, coś tam wspominała. Ale to jeszcze dość mgliste plany.

– Tak czy owak, zawsze lubiła czytać stare listy, pamiętniki, oglądać albumy. No i słuchać tych, którzy mieliby coś do powiedzenia na temat interesujących ją zdarzeń.

– Ma takie możliwości? To znaczy skąd bierze te wszystkie pamiętniki, listy i... ludzi?

– Och, z tym nie ma żadnego problemu. – Eliza ponownie wzruszyła ramionami, jakby dawała do zrozumienia, że traktuje zainteresowania jedyne dziecko jako nieszkodliwą wprawdzie, ale zupełnie bezużyteczną fanaberię. Nie patrzyła przy tym na matkę, lecz wciąż uparcie wyglądała przez okno. – Bywa, że całymi godzinami siedzi w bibliotekach i czytelniach. Dziadkowie jej londyńskich koleżanek mają z niej prawdziwą pociechę, bo poświęca im więcej czasu niż rodzone wnuki i nigdy nie daje do zrozumienia, że ich wspomnienia są nudne. Wręcz przeciwnie – dosłownie spija każde słowo z ust.

Adrianna poczuła, że oczy jej zwilgotniały.

– Czyli, że cała trójka moich wnuków to mądrzy i wartościowi młodzi ludzie. A nie jest to niestety w dzisiejszych czasach zjawisko powszechne.

– Nie przesadzaj, mamó. Zawsze miałaś do tego skłonność. – Chłodne słowa córki natychmiast zmieniły nastrój Rawickiej.

– Ja przesadzam? To ty do tej pory nie znalazłaś czasu, aby pójść na cmentarz... do ojca.

Nie zamierzała wcześniej robić córce żadnych wyrzutów, także w sprawie Dezyderego. Eliza przyjechała do niej z na tyle krótką wizytą, że nie należało jej psuć żadnymi pretensjami. Przecież obiecała sobie, że będzie dla córki miła i cierpliwa. I nie da się sprowokować, nawet gdyby ta wyraźnie dążyła do jakiegoś zadrażnienia. A mimo to... nie wytrzymała. To Eliza zachowała zimną krew. Na moment odwróciła wprawdzie wzrok od okna i popatrzyła na matkę, ale w jej spojrzeniu były chłód i bezkresna wręcz obojętność, od której Rawickiej aż ścisnęło się serce.

– Skąd pewność, że tam nie poszłam? – odparła i ponownie zapatrzyła się w ogród.

– Nie mówiłaś mi... – zaczęła niepewnie Adrianna, zaraz jednak uznała, że to bezcelowe. Przecież na dobrą sprawę córka już od wielu lat o niczym jej nie informowała. Dlaczego zatem miałyby to zrobić teraz?

– Poszłam tam razem z Ireną – dodała Eliza, tak jakby opowiadała o mało istotnej wyprawie do sklepu. – Sama przecież powiedziałaś, że ona nie da człowiekowi spokoju, jeśli chce osiągnąć jakiś cel.

Irena także mi o niczym nie wspominała, pomyślała ze smutkiem Adrianna. Znowu jest jak dawniej, gdy o wielu sprawach dotyczących jej dzieci dowiadywała się jako ostatnia.

– A jednak ci się dziwię, mamó, że odważyłaś się zrobić mi podobny wyrzut – dodała nagle Eliza.

– Co takiego? – Adrianna nie była w pierwszej chwili pewna, czy dobrze usłyszała. Jednak na wszelki wypadek odstawiła filiżankę. W samą porę, ręce jej bowiem zdrząły tak bardzo, że musiała zacisnąć obie dłonie. W tej samej chwili poczuła krople potu na czole.

– No tak – odparła córka powolnym, w dalszym ciągu do bólu obojętnym tonem. – Irena to Irena. Ona przynajmniej odwiedza także inne groby. W Warszawie i... nawet ten w Krakowie. Ale ty? Ciebie obchodzą już tylko Broniszcz. Pozostałych zmarłych wykreśliłaś z listy wspomnień, podobnie rzecz się ma z miejscami ich wiecznego spoczynku. Czemu więc zwracasz się z pretensjami do mnie, skoro sama niejedno masz w tej kwestii na sumieniu?

A więc o to jej chodziło? Tylko o to, o nic więcej... Dzięki Bogu! Bo z tymi wyrzutami Adrianna mogła sobie poradzić.

– Tu chodzi o ojca, a nie o jakichś dalszych krewnych. Nie dostrzegasz różnicy? – Nawet głos jej nie drgnął, gdy to z siebie wyrzuciła.

– A tam chodzi o twoją ciotkę. Tak, mam na myśli ciotkę Barcińską. Mogę zrozumieć, że nie jest ci łatwo jeździć do Krakowa na cmentarz Rakowicki do swojej macochy i przyrodniego brata. To rzeczywiście może być dla ciebie zbyt uciążliwa wyprawa, tym bardziej że nic cię więcej nie łączy z tym miastem, a poza tym tak się szczęśliwie składa, że tamte mogły się zadbane przez rodzinę twojej macochy. Dlaczego jednak wciąż ignorujesz swoją ciotkę? Bliską kuzynkę twojej matki, u której spędziłaś prawie dziesięć lat życia i która zabrała cię w kilkumiesięczną podróż za granicę. Czy to, czego dowiedziałaś się na jej temat, tak bardzo cię zabolowało, że nie tylko zerwałaś z nią wszelkie kontakty, nie pojechałaś na jej pogrzeb, ale nawet po tylu latach nie możesz przemóc się na tyle, by zapalić świeczkę na jej grobie? I ty ośmielasz się mieć pretensje do mnie, że nie chciałam przyjechać do ojca?

Adrianna siedziała jak skamieniała. Mijały kolejne minuty, kawa stygła, a one trwały w kompletnym milczeniu. Nie mogło tak jednak być bez końca.

– Od początku czułam, że jak tylko znajdziemy choćby marne pięć minut wyłącznie dla siebie, dojdzie między nami do awantury – wyszeptała wreszcie Rawicka.

– Znowu, jak zwykle, przesadzasz – odparła spokojnie Eliza. – To nazywasz awanturą? Tak jakbyś nie zaznała w swoim życiu naprawdę poważnych konfliktów.

– Uważasz, że to, co się dzieje między nami, nie jest poważnym konfliktem? – Adrianna zerknęła na córkę z niedowierzaniem.

– Niepotrzebnie babrzemy się we wspomnieniach, to wszystko. Nie, nie mam ochoty tego kontynuować – odparła zdecydowanie Eliza. – Tego, co było, już nie zmienimy, a wszelkie przepychanki słowne między nami dotyczą tylko przeszłości. Nie teraźniejszości. Teraz chodzi mi już tylko o jedno: ja wyjeżdżam, a Ula zostanie jeszcze w Polsce. Nie opowiadaj jej o mnie i o... Olgierdzie.

– Naprawdę posądzałaś mnie, że mogłabym to zrobić? – zawołała z oburzeniem Adrianna, zaraz jednak zamilkła. Tego tylko brakowało, by obudziła Irenę i wnuki.

– Wolałam się upewnić. Tak na wszelki wypadek.

– Bądź spokojna – odparła chłodno matka.

Szkoda tylko, że ty nie okazałaś się równie dyskretna w moich sprawach, zżymała się jednak w duchu. Szkoda, że wspomniałaś jej o moim konflikcie z Cecylią.

Nie chciała jednak podnosić tej sprawy, bo oznaczałoby to jedynie podgrzewanie złych emocji, nic poza tym. Zamiast o tamtej kwestii sprzed lat zdecydowanie bardziej wolała pomówić z córką o sprawach bardziej aktualnych, jak choćby o jej rozstaniu z mężem. Dlaczego do niego doszło? I jak sobie z tym radziła? Sama, bez niczyjej pomocy, z daleka od krewnych. Oczywiście Adrianna słyszała o jakiejś kobiecie, z którą związał się jej zięć. Jednak nie miała cienia wątpliwości, że był to skutek jakiegoś wcześniejszego poważnego kryzysu. Ryszard Borzęcki nie porzuciłby Elizy ot tak sobie. Nawet najbardziej atrakcyjna kobieta nie skłoniłaby go do zdrady żony, którą przecież obdarzał tak bezwarunkową miłością. Adrianna wciąż pamiętała, jak przed wielu laty przyszedł wówczas zięć był oddany jej córce. Jeśli mimo to zdecydował się później związać z kimś innym, to znaczy, że Eliza musiała urządzić mu w domu prawdziwe piekło. Innego wytłumaczenia Rawicka nie znajdowała. Wiedziała jednak, że nie zdobędzie się na taką rozmowę. Że córka absolutnie sobie tego nie życzy.

– Wyjdę do ogrodu, lubię takie poranne rześkie powietrze – odezwała się wreszcie Eliza, tym samym przerywając kolejną niezręczną ciszę, jaka między nimi zapadła.

Nie istniało najmniejsze bodaj prawdopodobieństwo, by zaproponowała matce, aby ta dotrzymała jej towarzystwa. Adrianna miała tego świadomość i dlatego pozwoliła sobie na pełną smutku uwagę:

– Wiesz, że to zapewne nasza ostatnia okazja, by choć przez chwilę pobyć razem, tylko we dwie? Wkrótce wyjedziesz i kto wie, kiedy znowu się zobaczymy. Czy kiedykolwiek to jeszcze nastąpi.

– Któż to może wiedzieć? – odparła Eliza, sięgając po wiszący na wieszaku sweter.

A potem, nie odwracając się, wyszła.

Adrianna patrzyła przez okno, jak córka ogrodową alejką zmierzała w kierunku furtki.

Muszę się pogodzić z tym, pomyślała, że nigdy już nie usiądziemy i nie porozmawiamy ze sobą od serca. Właściwie powinnam była to wiedzieć dawno temu, od samego początku, już wtedy, gdy po raz pierwszy trzymałam ją w ramionach. Właściwie... przecież... wiedziałam.

A przecież to nie narodziny Elizy sprawiły, że życie jej matki stanęło na głowie. Stało się to kilka lat wcześniej, gdy na świat przyszła Irena.

\*

Tamtej okropnej kwietniowej nocy tysiąc dziewięćset piętnastego roku Adrianna była pewna, że umiera. A obawę tę dzielali także inni. Mijały kolejne godziny, jednak ona nie mogła wydać na świat dziecka. Choć przecież wcale nie panikowała, starała się, jak mogła, wykonywać polecenia sprowadzonej z Broniszcz akuszerki – prostej, ale znającej się na swoim fachu kobiety, która była wzywana zarówno do okolicznych dworów, jak i wiejskich chałup, zdobywając tym samym niemałą renomę w okolicy i niemałe – jak powiadano – pieniądze. Lecz tym razem ona także wydawała się bezradna.

– Nie damy rady, proszę państwa. – Kobieta starała się mówić najciszej, jak umiała, do stojących w drugim końcu pokoju Witolda i Cecylii, która akurat wtedy przebywała w Radziejowie, aczkolwiek po latach Adrianna nie chciała nikomu o tym wspominać. – Młoda pani potrzebuje prawdziwego doktora. Ja już tu nic nie zdołam... Dziecko chyba nie jest dobrze ułożone.

Nigdy potem Adrianna nie potrafiła sobie wytłumaczyć, jakim cudem usłyszała te słowa. Była już wtedy bardzo słaba, prawie traciła przytomność. Mimo to wszystko do niej docierało, najmniejszy szelest w pokoju. Pomyślała wtedy, że zapewne tak się dzieje z każdym, kto żegna się z tym światem. Bo niby jakie mogło być inne wytłumaczenie?

– W Broniszczach ani w Zawiechówku nie ma doktora. Obaj jak na złość są dzisiaj w rozjazdach. A doktor Ćwilowski na pewno nieprędko wróci. Ponoć dostał depezę, że jego syn został ranny – szepnął przerażony kamerdyner Franciszek.

A zatem nawet on tu był. Jeśli w pokoju rodzącej znajdowali się mężczyźni, z których żaden nie był medykiem, a w dodatku jednym z nich był służący, to znaczyło, że sytuacja stała się naprawdę krytyczna. W tym momencie Adrianna straciła wszelką nadzieję i wolę walki. Zapragnęła już tylko jednego – jeśli ma umrzeć, niech to się stanie jak najszybciej. O niczym innym nie marzyła.

– Musimy sobie poradzić sami. – Ten kategoryczny ton należał do Cecylii Barcińskiej. Ada od razu go rozpoznała. – No, dobra kobieto, nie czas teraz na załamywanie rąk. Rodzące kobiety nie mogą w czasie wojny liczyć na lekarzy. Lekarze potrzebni są rannym, ewentualnie najciężej chorym. Od przyjmowania dzieci są takie osoby jak pani. Nie pojmuję, dlaczego tak się pani chwaliła swoimi umiejętnościami, skoro teraz jedyne, co pani potrafi zrobić, to lamentować.

– Niewykłuczone, że w Jurczewicach można zastać jakiegoś doktora – odezwał się nieoczekiwanie Witold Rawicki.

Momentalnie zapadła cisza. Nawet Ada otworzyła ociężałe powieki.

– Skąd ci to przyszło do głowy? – spytała niepewnie Barcińska.

Zanim jednak Witold odpowiedział, uprzedził go Franciszek.

– Tak, to możliwe – podchwycił pełnym nadziei głosem. – Przecież tam jest rosyjskie wojsko. Więc pewnie mają ze sobą lekarza.

– Nie wiadomo. A ryzyko jest zbyt duże – zaoponowała Cecylia. – Kto tam teraz po nocy będzie jechał? Mogą jeszcze grasować maruderzy, a to droga przez las. W dodatku bardzo wątpliwe, by jakkolwiek oficer zgodził się na wysłanie tutaj wojskowego lekarza. Nawet jeśli... to bardzo możliwe, że taki wojskowy lekarz przywłókłby tu jakąś zarazę. Wiadomo – żołnierze!

– Nie mamy nic do stracenia – zawyrokował kategorycznie Witold i pochylił się nad synową. Dotknął jej czoła, gdy ponownie jęknęła.

– Nie bój się, skarbie, sprowadzimy pomoc – przemówił do niej czule.

Ada próbowała mu odpowiedzieć, ale ponownie poczuła bolesny skurcz. Z trudem powstrzymała

się od krzyku.

– Ja pojadę do Jurczewic, proszę pana – zaoferował się Franciszek. – Pojedziemy razem z Maciejem.

– To szaleństwo – próbowała jeszcze protestować Cecylia, ale brat nakazał jej milczenie.

– Tak czy owak, Michał Jurczyński powinien wiedzieć, co się dzieje z jego córką. I musimy się chwycić każdej możliwości ratunku.

– To na nic. Ja i tak umieram – jęknęła Ada i dopiero to sprawiło, że cała reszta opanowała własne emocje.

– Nie umierasz, drogie dziecko, ale potrzebny jest ci lekarz – odezwała się łagodnie akuszerka. – Doktorzy znają lepsze sposoby ode mnie, aby ułatwić maleństwu przyjście na świat.

Jaki to ma sens! Do Jurczewic jest całe dziesięć wiorst. Do tego czasu nie wytrzymam! – Gdyby miała siły, tak właśnie wykrzyczałaby cały swój ból, całą gorycz. Może nawet, w tej ostatniej – jak przypuszczała – godzinie życia dodałaby jeszcze, że wcale nie chciała tego dziecka. Nigdy nie było jej potrzebne do szczęścia. Nie była na nie przygotowana. Ani Dezydery. Dziecko jedynie skomplikowało im obojgu życie. A ją w dodatku zabije.

Czy Dezydery, mówiąc kiedyś o małżeństwie, w którym dwoje ludzi ma prawo otworzyć drzwi i wyjść na zewnątrz, kiedy zechce, brał pod uwagę potomstwo? A na wypadek jej śmierci – samotne ojcostwo? Zresztą nawet jeśli jakimś cudem ona i dziecko przeżyją poród, to przecież, tak czy inaczej, wszystko się zmieni. Przyjacielski układ dwojga ludzi, którzy wzięli ślub ku obopólnej korzyści i dopóki nie rozdzieliła ich wojna, miło spędzali razem czas, z pełną świadomością, że jeśli zaczną w przyszłości odczuwać znużenie sobą nawzajem, to skorzystają z możliwości... odpoczynku od małżeństwa – ten układ będzie się musiał zmienić, gdy tylko pojawi się potomstwo. Przestaną być jedynie parą rozumiejących się przyjaciół, a staną się rodziną. W każdym razie dla niej, Adrianny, z pewnością będzie to oznaczało koniec swobody, którą obiecywała sobie po małżeństwie z kuzynem.

Naprawdę byłam tak głupia, by nie brać pod uwagę, że te dzieci mogą się pojawić? – dumiała podczas długich miesięcy, gdy z trudem oswajała się z obecnością w swoim ciele tej maleńkiej istoty, zupełnie jej niepotrzebnej do szczęścia i wywołującej w życiu swojej mamy prawdziwą rewolucję, w negatywnym tego słowa rozumieniu. Gdy patrząc na siebie w lustrze, obserwowała, jak jej wygląd zmieniał się na niekorzyść, coraz bardziej wypukły brzuch napełniał ją grozą i niechęcią. Nic już nie będzie takie jak przedtem, i to wcale nie z powodu wojny. A pierwsze miesiące małżeńskiego pożycia naprawdę były udane i obiecujące. Tak dobrze się z Dezyderym bawili podczas podróży poślubnej. Bardzo szybko przestała myśleć o nim jak o kuzynie, a przecież kiedyś tak właśnie było. Był znakomitym organizatorem wycieczek, niewyczerpanym źródłem pomysłów, a nawet wtedy, gdy w rzadkich chwilach rozsądku upominała go, że może wydają zbyt dużo pieniędzy – jak na przykład w Monte Carlo – potrafił w uroczy sposób rozproszyć, a nawet wykpić jej wyrzuty sumienia.

– Przypominam ci, skarbie, że w oczach naszych prowincjonalnych sąsiadów tak czy owak jesteśmy parą nierobów, która nie potrafi się zająć niczym sensownym, a jedynie korzysta z pieniędzy zarobionych przez swoich ojców. Choćbyśmy nawet przywdziali wory pokutne i obsypawszy głowy popiołem, harowali w polu od świtu do zmroku, i tak nie uwierzą w nasze dobre intencje. W takim razie wyjdźmy im naprzeciw. Niech mają satysfakcję, że się nie mylili. Choć tyle jestem im winien.

– A nie jest tak, jak mówią, że trwonimy pieniądze twojego ojca i mój posag? – spytała trochę przekornie.

Na wszystko miał gotową odpowiedź.

– Oczywiście. A niby do czego innego nas wychowano? – roześmiał się. – Ani ty, ani ja nie umielibyśmy żyć inaczej. Zresztą od tego są podróże poślubne i tak zwane miodowe miesiące, aby się dobrze bawić. Potem weźmiemy się do pracy i stawimy czoło życiowym troskom.

– W razie czego można zawsze otworzyć drzwi i trochę się przewietrzyć. – To miał być jedynie żart, nic więcej. Nie wypadł jednak dobrze. Mówiąc szczerze i bez ogródek, zabrzmiał dość paskudnie i Ada od razu zarumieniła się ze wstydu.

Szczęśliwie Dezydery zachował się po mistrzowsku, bo roześmiał się tylko i skomentował, że

jak dotąd ani razu nie miał ochoty na podobne rozwiązania. A to chyba rokuje jak najlepiej.

Potem rzeczywiście wrócili do Radziejowa i wzięli się do pracy w majątku. I nadal było im ze sobą dobrze. Wprawdzie przez pewien czas mieli świadomość, że są pilnie obserwowani przez wciąż urażonych i nieufnych sąsiadów, ale zajęci sobą i majątkiem wcale się tym nie przejmowali. Witold, początkowo tak pełen obaw, stopniowo nabierał optymizmu co do małżeństwa jedynaka i ciotecznej siostrzenicy. Ada wreszcie czuła się jak u siebie w domu, a Jurczewice odwiedzała tylko wtedy, gdy zwykła kurtuazja nie pozwalała dłużej ignorować rodzinnego domu i mieszkających tam ludzi.

Tak naprawdę zresztą ten etap jej małżeństwa polegający na przyzwyczajaniu się do codzienności trwał zaledwie cztery miesiące. I dopiero wybuch wojny odwrócił od nich uwagę miejscowej społeczności.

Pod koniec września Ada musiała przyjąć do wiadomości, że przyszło jej stanąć wobec kolejnego życiowego wyzwania.

Nie chcę cię, buntowała się, gdy podczas codziennej toalety była zmuszona dotykać swojego brzucha. Dlaczego wszystko znowu musiało się tak skomplikować? Wiedziała, jak niektóre kobiety pragnęły dziecka, a nie mogły się go doczekać. Ona nie chciała – a niestety „los ją obdarzył”.

I w jakim celu? Dlaczego... teraz?

Szczęście w nieszczęściu, że przebywający wówczas na froncie Dezydery nie patrzył na jej obrzmiałą twarz i ociążałe ciało. Nie widział, jak się poruszała, jak zbrzydła. Zawsze lubił ładne, wesołe i pełne życia kobiety. A jeśli do tego okazały się interesującymi rozmówczyniami – mogły liczyć na jego podziw i wszelkie możliwe atencje. Ada spełniała te wymagania... dopóki nie zaszła w ciążę.

Kto wie, czy widząc mnie teraz, nie zechciałby skorzystać z możliwości swobody, o której kiedyś przed ślubem wspomniał, a potem zapewnił, że nie jest mu do niczego potrzebna, bo żona dawała mu wszystko, czego oczekiwał od kobiety. Teraz z pewnością niczego takiego by nie powiedział, rozważała z goryczą.

Napisała mu o wszystkim, gdy ciąża była już bardzo zaawansowana, a ponieważ ona sama znajdowała się w bardzo marnym nastroju, list nie tchnął optymizmem. Potem nawet żałowała, że zabrakło w nim bodaj jednej iskielki pogody i otuchy. Przecież Dezyderemu i bez tego nie brakowało teraz problemów.

Problemy?! Była aż tak głupia, by nazywać to, z czym musiał się zmierzać na co dzień – problemami? Był na wojnie, mógł w każdej chwili zginąć! Czemu wcześniej to do niej nie dotarło? Mógł zostać zabity, a ona zostałaby wtedy sama. No, może nie do końca sama. Miała przecież rodzinę. I oczekiwała dziecka.

Wtedy po raz pierwszy pomyślała trochę cieplej o tej małej istotce, która uparcie, na przekór swojej matce, rozwijała się w jej łonie. I naprawdę pożałowała, że jej list do męża tchnął taką małostkową niechęcią wobec ich wspólnego dziecka. Że tak się roztkliwiała nad swoim niedobrym samopoczuciem i nieatrakcyjnym wyglądem. Że w tak ponurych barwach przedstawiła perspektywy ich wspólnej przyszłości. Wyszła za niego, aby uciec z Jurczewic, i odnalazła w tym rozwiązaniu zadowolenie pod każdym względem. Nie chciała mieć jednak rodziny w tradycyjnym tego słowa rozumieniu. Tak jak Damian Reński. Nagle sobie o nim przypomniała i w tym samym momencie poczuła się bardzo nie w porządku wobec męża. Nie powinna była w ogóle, nawet przez jedną sekundę, myśleć o kimkolwiek innym niż Dezydery. Przecież mogło się zdarzyć, że nie czekała ich już żadna wspólna przyszłość. Przecież wokół szalała wojna.

Czym prędzej postanowiła ponownie do niego napisać, już w zupełnie innym tonie. Zaledwie to jednak zrobiła, przysłała jego odpowiedź na jej wcześniejszy list.

*Nie martw się tak – czytała, a słowa dosłownie zamazywały jej się przed oczami. – Poradzimy sobie. Pewnie, że nasze wspólne życie zupełnie się zmieni, ale wierz mi – po tej wojnie nic już nie będzie takie jak dawniej. Nie tylko u nas, ale w życiu każdego człowieka na tej planecie. To, co do tej pory było ważne, przestanie mieć jakiegokolwiek znaczenie. I na odwrót. Inaczej się będziemy bawić i inaczej smakować życie. Ale inaczej nie znaczy wcale, że gorzej. Ja w każdym razie mam teraz jeden cel – przeżyć to piekło. Już samo to będzie wielkim darem od losu. Dlatego przewartościowałem wszystkie inne plany*



*i marzenia. Zaakceptowałem zmiany, jakie nam wszystkim przyniesie los. Przemyślałem swoje poglądy na wiele spraw, w tym na małżeństwo i rodzinę. Stwierdziłem, że to dziecko zjawia się w samą porę. Może jest znakiem od Boga, że przeżyję. A może wręcz przeciwnie. Ja odejdę, ale zostawię następcę. Tak o tym pomyśl. Radziejowo potrzebuje dziedzica. Ojciec byłby podwójnie zrozpaczony, wiedząc, że na nim skończy się główna linia rodu. Co by się wtedy stało z rodową posiadłością? Rozdrapałiby ją na kawałki jacyś dalecy krewni. Tak, mój skarbie, nie mogliśmy sobie pozwolić na luksus bezdzietności. Tak jak kiedyś nie mogłem sobie pozwolić na pozostanie w Paryżu. Radziejowo wyznaczyło mi linię życia, zanim się jeszcze narodziłem. Tak jak Jurczewice są przeznaczeniem twojego przyrodniego brata, czy on tego chce, czy nie. W pewnym sensie my, królowie świata, jesteśmy także niewolnikami naszych rodowych zobowiązań.*

*Naprawdę zakładałaś, że nie będziemy mieć dzieci? Ja co najwyżej dziwiłem się, że wciąż się nie pojawiały. Przecież nie robiliśmy nic, by temu zapobiec, wręcz przeciwnie, przypomnij tylko sobie.*

*Raczej przygotuj się na to, że jeśli wrócę, tych dzieci będzie nam sukcesywnie przybywać. Jeśli nie wrócę, zostanie Ci pamiątka naszych wspólnych szaleństw i zabawy. Wiem, że nie jesteś teraz w nastroju do żartów, że czujesz się paskudnie, ale to minie. Wszystko kiedyś minie, nic nie stoi w miejscu. Dlatego nie martw się, spróbuj na to spojrzeć z tej drugiej, lepszej strony. Dbaj o siebie. Zrobię wszystko, by do Ciebie, do Was, wrócić.*

– Boże, spraw, aby on przeżył – pomodliła się wtedy. – Obiecuję, że nie będę złorzeczyć na los i na to dziecko, ale w zamian proszę Cię, aby on wrócił... Albo przynajmniej, aby zdążył przeczytać ten mój drugi, lepszy list.

Dotrzymała obietnicy do samego dnia porodu. Dopiero gdy przyszły naprawdę silne skurcze, a dziecko nie pojawiało się na świecie, przyszło jej do głowy, że przecież Bóg albo los – zależy, jak na to patrzeć – mógł obmyślić całkiem inne rozwiązanie. Bo to być może ona miała umrzeć, nie Dezydery. I to jej mąż zostanie z potomkiem, którego żartobliwie nazwał następcą. Ale może być jeszcze inaczej – że odejdzie także to maleństwo, którego ona nigdy tak naprawdę nie chciała.

Gdy związała się z bólu pewna, że nie doczeka lekarza, nawet gdyby Rosjanie takowego przy sobie mieli i pozwolili mu pojechać do rodzącej w odległym majątku kobiety, zapragnęła z całego serca, aby przynajmniej to dziecko jakimś cudem przeżyło. Po raz pierwszy życzyła mu dobrze.

A słowa Dezyderego, że dla jej teścia wnuk byłby ogromną pociechą, stały się nagle istotne jak nigdy przedtem. I wreszcie do niej dotarło, że mąż, niezależnie od jego dwuznacznych żartów, z pewnością będzie dobrym, odpowiedzialnym ojcem.

Gdy bóle ustawały, modliła się, aby wróciły.

Nie potrafiła określić, ile minęło czasu, odkąd dwaj służący wyruszyli po ratunek dla niej, gdy drzwi otworzyły się z impetem i ktoś wszedł do środka.

– Na miłość boską, ciszej – mitygowała akuszerka. – Biedactwo dopiero co się uspokoiła. Może zasnęła.

– Zasnęła? Chyba jej pani na to nie pozwoliła!

Na brzmienie tego głosu Ada otworzyła oczy.

Boże drogi, pomyślała, chyba się przesłyszałam, to nie może być prawda. To przecież...

Gdy usłyszała zbliżające się kroki, ponownie przymknęła oczy. Ale potem znów je otworzyła, czując dotyk chłodnej dłoni na swoim rozpalonym policzku.

Nie miała już wątpliwości, kim był człowiek, który znalazł się w jej sypialni w takim momencie. Mogła się jedynie łudzić, że to sen. Ponieważ jednak było to mało prawdopodobne, obronnym gestem zastąpiła nogi i ramiona. Co zresztą i tak nie miało najmniejszego sensu.

– Rosyjski oddział odjechał z Jurczewic z samego rana – wyjaśnił stojący w drzwiach Maciej. – Ale tak się złożyło, że w sam raz zastaliśmy tam brata pani Jurczyńskiej, pana doktora Reńskiego, no i...

– Dobry wieczór, Ado – przerwał Damian. – Chyba mnie poznajesz?

Jego niewymuszony, koleżeński uśmiech miał pomóc jej pokonać uczucie skrępowania i dodać odwagi, ale Adrianna zaczerwieniła się jak piwonia i w pierwszej chwili nie była w stanie wydukać najkrótszego słowa potwierdzenia.

Wykorzystała to natychmiast Barcińska.

– To niedobry pomysł, proszę pana. Bardzo mi przykro, że służący niepokoił pana i trudzili, ale poradzimy sobie sami.

Niechęć, wręcz wrogość w tonie jej głosu na chwilę odwróciła uwagę Ady od własnej niemocy, zaskoczenia i zawstydzienia. Nie zdążyła jednak zareagować na słowa ciotki, zresztą i tak nie miała na to siły. W jej imieniu odważyła się zaprotestować akuszerka.

– Nie, nie poradzimy sobie sami – rzekła stanowczo, stając bezceremonialnie między Cecylią a młodym doktorem. – Dobrze, że pan przyjechał, straciła dużo krwi, dziecko nie jest dobrze ułożone. Już dawno powinno się być urodzić.

– Spokojnie – niemal wszedł jej w słowo Damian. – Wszystko będzie dobrze, ale widzę, że wszyscy w Radziejowie doprowadzili się już na skraj wyczerpania fizycznego i nerwowego. Zupełnie niepotrzebnie... – A potem jednym wprawnym ruchem odchylił prześcieradło i dotknął brzucha rodzącej.

– Niech jej pan nie dotyka, młody człowieku! – Cecylia niebezpiecznie podniosła głos i nawet chwyciła doktora za rękaw marynarki.

– Proszę pozwolić mi jej pomóc. – Damian na moment odwrócił się do Barcińskiej, ale tym razem zarówno Ada, jak i wszyscy obecni wyraźnie usłyszeli zniecierpliwienie w jego tonie.

– Nie ma pan prawa jej dotykać.

Czy ona oszalała? – przestraszyła się Ada. Nagle przypomniała jej się matka, gdy wrywała ją z uścisku Rozalii. Cecylia zachowywała się niemal identycznie. Chodziło jej o to, że Damian był bratem tamtej? Tak. Z pewnością o to jej chodzi. Ale w takiej chwili? Nagle podejrzenie, a potem pewność dodały sił Adzie. Uniosła się na łóżku i patrząc prosto w oczy ciotki, kazała jej odejść.

– Nie przeszkadzaj doktorowi – powiedziała głosem, który miał zabrzmieć kategorycznie i mocno, ale bardziej przypominał kwilenie dręczonego zwierzęcia.

W sukurs Damianowi przyszła akuszerka, ale dopiero interwencja Witolda, który wszedł w tym samym momencie do pokoju, zmieniła sytuację.

– Opanuj się – powiedział cicho, ale takim tonem, że Cecylia cofnęła się o dwa kroki. – Wyjdź stąd – dodał. – Ja też wychodzę. Zostaną tylko doktor i akuszerka. Teraz nic tu po nas.

– Ale to przecież... Przecież on jest za młody, nie ma doświadczenia – próbowała jeszcze protestować Cecylia,

ale Witold nie zwracając już na to uwagi, wyciągnął ją na zewnątrz.

– No i chwała Bogu – westchnął Damian, a akuszerka skwapliwie potwierdziła skinieniem głowy. Zaraz jednak zwrócił się do ponownie zawstydzonej Ady: – A teraz zapomnij, że się znamy i spędziliśmy w swoim towarzystwie dwa naprawdę miłe tygodnie. To już bez znaczenia. – Mrugnął do niej wesoło. – Teraz mnie słuchaj i rób, co ci każę. Ten pierwszy i zapewne ostatni raz.

– Spróbuję... doktorze... – Tylko tyle była w stanie wyszeptać.

Dziecko urodziło się godzinę później, całe i zdrowe, co przyjęto w Radziejowie z ogromną ulgą. Nawet fakt, że nie był to oczekiwany wcześniej chłopiec, nie miał już żadnego znaczenia.

– Następny będzie syn – zażartował nawet Franciszek, choć wcześniej z pewnością nie pozwoliliby sobie na podobne słowa, a i później, gdy jako tako ochłonął po nocnych wzruszeniach, nie mógł ze wstydu spojrzeć w lustro.

Nikt jednak nie miał do niego pretensji. Tylko Witold Rawicki oświadczył, że choćby każde następne dziecko okazało się dziewczynką, to powita je na tym świecie jak prawdziwą księżniczkę.

– Kobiety potrafią równie dobrze prowadzić majątek jak niejeden mężczyzna – powiedział, biorąc raz po raz na ręce malutką wnuczkę.

Służba nadziwić się potem nie mogła zmianom w zachowaniu na ogół bardzo powściągliwego w obejściu dziedzica.

– To maleństwo okręci sobie naszego pana wokół małego paluszka – żartowano w kuchni, stajni i na pokojach. Przepowiednia zresztą miała się spełnić co do joty.

Witold pozwolił naruszyć zasoby radziejowskich piwnic. Przynajmniej na ten jeden dzień

w całym majątku zapomniano o wojnie.

– Jakem zobaczyła tego młodego doktora, tom ino zmiłowania boskiego wyglądała – zapewniała kucharka. – A on tak się akuratnie sprawił! Chociaż różańca z ręki nie wypuszczałam. Antoniowa mówiła, że sama nie dawała już rady, a na swoim fachu się zna i niejedno dziecko przyjęła.

– Ale tam! Antoniowa! – Podkuchenna wzruszyła ramionami z pewną dozą lekceważenia. – Mądra, jak łatwo idzie i zlegnie krzepka kobita. A ta nasza młoda pani chucherko takie. Ja od razu czułam, że będą kłopoty.

– Patrzcie ją! Też się znalazła! – obruszyła się kucharka. – Antoniowa nie taka głupia. Zresztą co tu po próżnicy gadać. Żeby to jeszcze młody pan wrócił cały i zdrowy i reszta chłopów, to dopiero wtedy będzie święto – dodała i czym prędzej wytarła oczy skrajem fartucha.

Następnego dnia po porodzie Ada nie od razu odważyła się zapytać o doktora Reńskiego. Do pokoju zajrzała służąca, która przyniosła jej śniadanie. Nieopodal kręciła się akuszerka, przyszedł też Witold. Ale to przede wszystkim obecność ciotki Cecylii, która krążyła przy niej niczym sęp, zniechęcała do tego, by zagadnąć o Damiana. Nie mogła jednak przestać o nim myśleć. A że nie chciała przestać o nim myśleć – to jeszcze inna sprawa.

Podano jej dziecko do nakarmienia, choć niewiele z tego wyszło.

– Pani jest jeszcze bardzo słaba – zafrasowała się akuszerka. – Tak myślałam, że nie da pani rady nakarmić dzieciątka. I doktor też tak powiedział. Ale niech się kochaniutka pani nie martwi. Już na wszelki wypadek wyszukaliśmy dziewczynę, co niedawno rodziła, to wykarmi i to maleństwo.

Ada, za każdym razem, gdy przypominała sobie tę rozmowę, czuła tamto przyspieszone bicie serca. Powinna była skoncentrować uwagę na kruszynie, która leżała w jej ramionach, a ona nie była w stanie jej nakarmić. Powinna była przejąć się losem swojego dziecka, a tymczasem myślała o kimś zupełnie innym. Nie potrafiłaby powtórzyć żadnego słowa, które wtedy wokół niej wypowiedziano, ale dopiero wzmianka akuszerki na temat „doktora Reńskiego” wywołała w niej silniejsze emocje.

– Gdzie on jest? – spytała, przeczuwając, że pewnie nieprędko ktoś z obecnych znowu wspomni cokolwiek na jego temat, a wobec tego ona również nie będzie miała możliwości, aby się dowiedzieć, co się z nim stało.

Pamiętała, że po kolejnym silnym, lecz innym niż te poprzednie, skurczu, powiedział do niej albo do akuszerki „teraz” – czy coś w tym rodzaju – a potem poczuła, że coś wyślizguje się z wnętrza jej ciała. Stopniowo przestawała odczuwać ból, który zastępowały spokój i ulga.

Damian usiadł przy niej i mówił coś łagodnym tonem, a ona choć patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, nawet nie próbowała zrozumieć tych słów.

Wtedy podeszła akuszerka z zawiniętym w pieluszki i wykąpanym już noworodkiem.

– Masz córkę – odezwał się ponownie Damian. Teraz wreszcie go zrozumiała. Uśmiechał się, jakby także zdawał sobie z tego sprawę. – Już wszystko w porządku.

– Piękna dziewczyna – dodała z zadowoleniem akuszerka. – Niech no pani spojrzy.

– Dziękuję – wyszeptała Ada.

Nadal jednak patrzyła tylko na niego.

A potem zasnęła i tym samym straciła go z oczu.

– Gdzie on jest? – powtórzyła, gdy po przebudzeniu, na pierwsze pytanie o Damiana, nie otrzymała żadnej odpowiedzi.

– Pojechał. – Usłyszała ostry jak brzytwa głos Cecylii.

– Pojechał?

– Tak, godzinę temu – odpowiedział spokojnie Witold, rzuciwszy przy tym ostrzegawcze spojrzenie na siostrę. – Chciał jak najszybciej znaleźć się w Jurczewicach i oznajmić im wszystkim dobrą nowinę.

– Nie poczekał, aż się obudzę? – spytała z nagłym żalem i pretensją.

Na moment w pokoju zapadła cisza.

– Jeszcze dzisiaj musi wrócić do Warszawy – odparł cicho Witold. – Pracuje w szpitalu. Lekarze są teraz na wagę złota i nie mogą sobie pozwolić na dłuższą przerwę w pracy. Wyrwał się do Jurczewic

zaledwie na kilka godzin, bo wezwała go siostra. Twój brat zachorował, a jak wiadomo, okoliczni lekarze byli niedostępni.

– To coś poważnego? – spytała po chwili Ada, uznając, że wypada okazać zainteresowanie stanem zdrowia Krzysztofa.

A poza tym...

Co za zbieg okoliczności, że ja i mój... brat potrzebowaliśmy pomocy lekarskiej tego samego dnia. I że tej pomocy udzielił nam brat Rozalii, pomyślała.

– Z tego, co mówił doktor Reński, udało się opanować sytuację.

Dokładnie jak w moim przypadku, stwierdziła w duchu, a głośno powiedziała:

– Żałuję, że nie obudzono mnie, zanim odjechał. Podziękowałabym mu. – Mówiąc to, spojrzała niemal wyzywająco na ciotkę Cecylię, która zachnęła się nieprzyjemnie na te słowa.

– Przecież mu pani podziękowała – przypomniała jej dobrotliwie Antoniowa – zanim pani zasnęła...

– A czy przypadkiem nie powinnaś napisać do swojego męża, że ma córkę? – W tonie Barcińskiej pobrzmiwała głęboka uraza.

A czy ty przypadkiem nie powinnaś wreszcie wrócić do Warszawy? – chciała się odciąć Ada, ale zrezygnowała. To nie był dobry moment na kłótnie i dyskusje, nie miała na nie siły. Od pewnego czasu obecność uwielbianej niegdyś ciotki działała jej na nerwy, choć nie umiała znaleźć na to żadnego sensownego wytłumaczenia i nawet miała wyrzuty sumienia, że nie potrafi odpowiedzieć z wdzięcznością na okazywaną jej troskę. Ale zachowanie Cecylii ubiegłej nocy i dzisiejszego ranka sprawiło, że Ada pozbyła się wszelkich skrupułów.

– Napiszę do Dezyderego, gdy tylko będę miała więcej sił – odparła lodowatym tonem.

– Z pewnością można z tym jeszcze poczekać parę dni – potwierdził Witold, także rzucając niechętne spojrzenie na siostrę. Zaraz jednak na nowo skoncentrował uwagę na wnuczce. – Może do tego czasu zdecydujesz, jakie chcesz jej nadać imię – zwrócił się z uśmiechem do synowej.

– Mała powinna otrzymać imię swojej babki – odezwała się natychmiast Cecylia, zanim Adrianna zdążyła otworzyć usta. – To byłoby godne uczczenie jej pamięci. Oczywiście wyrażam tylko swoje zdanie – dodała już mniej pewnym tonem, spostrzegłszy wymianę spojrzeń między bratem i siostrzenicą, a nawet akuszerką.

– Zgadzam się. Moja córka powinna otrzymać imię po swojej babce – potwierdziła spokojnie Ada, ale nie patrzyła na ciotkę. Dotknęła dłoni teścia. – Po swojej babce Irenie. Matce Dezyderego.

– Irenie? – powtórzył zaskoczony Witold i momentalnie zaszkliły mu się oczy.

– Irenie? – powtórzyła nie mniej zaskoczona Cecylia, chociaż już zupełnie innym tonem. – Ale przecież...

– Tak postanowiłam – odparła stanowczo Ada. Ucisnęła dłoń teścia i spojrzała wyzywająco w oczy ciotki. – Czyżbyś miała jakieś zastrzeżenia? Bo ja jestem pewna, że Dezydery całkowicie zgodzi się z moim zdaniem.

– I tym sposobem zostałam obdarzona imieniem matki mojego ojca – zakończyła pogodnie Irena.

– Kto ci o tym opowiedział? Twoja matka? – spytała Ula.

– Nie. – Irena, wałkując ciasto na kuchennym blacie, zaprzeczyła ruchem głowy. – Ona niezbyt chętnie opowiada o tamtych wydarzeniach. Ale mój dziadek nie szczędził mi szczegółów.

– Myślisz, że opowiedział ci wszystko? – zainteresowała się dziewczyna, wsypując, zgodnie z poleceniem ciotki, pół szklanki mąki do wałkowanej przez nią masy. – Że nic przed tobą nie ukrywał?

– Tego nie wiem – roześmiała się Irena. – To, co mi przekazał, zupełnie zaspokajało moją ciekawość. I brzmiało bardzo logicznie, wyjaśniało różne rodzinne sekrety i sprawy. – Uniosła do góry oblepione ciastem dłonie. – Dolej trochę mleka, niecałą szklankę. Masa zrobiła się za gęsta.

– Lubiłaś swojego dziadka – stwierdziła z nutką zazdrości Ula. – Ja nie miałam okazji poznać żadnego z nich.

– No cóż, tak bywa. Ja z kolei nie miałam okazji osobiście poznać żadnej z moich babek. Musiałam zadowolić się wspomnieniami z drugiej ręki na ich temat, a ponieważ nie mogłam liczyć na bezstronność i obiektywizm tych relacji, nadal nie wiem, ile w nich było prawdy, a ile pobożnych życzeń, aby tak właśnie ta prawda wyglądała. Zdaje się, że obie babcie miały, każda na swój sposób, jakieś problemy ze sobą. Aż mi się wierzyć nie chce, że moja matka nie opowiedziała ci więcej na ten temat. Miała całkiem poważne plany, by zaprowadzić cię na tatak zwaną starą część cmentarza w Broniszczach i w tej scenerii zapoznać cię z niebanalnymi historiami rodzinnymi.

– Nie zrobiła tego. Nawet nie wspomniała o takiej możliwości. A na cmentarz, w dodatku tylko na grób dziadka, poszłam z chłopakami.

– No cóż – mruknęła Irena. – Wygląda na to, że ten jeden jedyny raz matka posłuchała moich wskazówek. Bo to ja zgłaszałam sprzeciw wobec jej pierwotnych zamiarów.

– Dlaczego?

Irena, zajęta wkładaniem formy do piecyka, nie od razu odpowiedziała. Dopiero gdy sprzątnęła ze stołu resztki mąki i wytarła kilka mokrych śladów po mleku, usiadła ciężko na taborecie. Ula poszła za jej śladem, choć duszna i mała kuchnia nie należała do miejsc sprzyjających udanej konwersacji. W porównaniu z ponurą, niemniej przestronną kuchnią w Londynie, pomieszczenie, w którym ciotka Irena po powrocie z pracy i odstaniu swego w kolejkach sklepowych spędzała najwięcej czasu, wydawało się Uli koszmarną klitką. Reszta mieszkania prezentowała się tylko trochę lepiej. Ze słów Andrzeja, potwierdzonych przez wuja Romana, jednoznacznie jednak wynikało, że wujostwo Chojewiczowie należeli do prawdziwych wybrańców losu w tym kraju, którzy w ogóle mogli się poszczycić posiadaniem mieszkania – niebędącego wprawdzie ich całkowitą własnością, bo kwaterunkowego, niemniej z nikim innym go już nie dzielili.

Powrót do Warszawy po pobycie u babki w Broniszczach nie był dla Uli łatwy. W ciasnym lokum wujostwa sierpniowe upały okazały się trudne do zniesienia, ale nie miała innego wyjścia, jak wracać do miasta z ciotką, matką i kuzynami, skoro Eliza musiała odlecieć do Londynu.

Potem Ula marzyła skrycie o powrocie do babki, ale ponieważ się na to na razie nie zносиło, a nie chciała robić wujostwu przykrości, postanowiła wykorzystać przynajmniej jedną zaletę z takiego obrotu sprawy – ciotka Irena dość chętnie dzieliła się wspomnieniami, a przy okazji różnymi ciekawymi uwagami i refleksjami na temat rodziny. Sama zresztą, jak wyznała, była zdumiona tą swoją gotowością do wspomnień.

– Ale to pewnie dlatego, że tyle czasu przebywam w kuchni, a ty mi w niej towarzyszysz. Kobiety na ogół lubią sobie wtedy pogawędzić. Przy rozmowie czas inaczej płynie. Szybciej i milej. Ale skąd mogłam o tym wiedzieć, skoro mam dwóch synów, a obaj nie garną się do pomocy przy garnkach? Wreszcie odkrywam, co to znaczy mieć córkę, z którą można bez końca gawędzić. Zazdroszczę Elizie i napiszę jej to w najbliższym liście.

Ula miała na końcu języka uwagę, że jej matka zupełnie inaczej zapatrywała się na te sprawy,

a jakakolwiek rozmowa z nią w kuchni czy gdziekolwiek była niemożliwa. No i żadnej pomocy przy garnkach sobie nie życzyła. Może dlatego, że nie miała ochoty na jakiegokolwiek pogawędki, refleksje i zwierzenia, którymi – wedle słów ciotki – wiele kobiet lubiło sobie umilać czas spędzany w kuchni?

– Dlaczego, ciociu, nie chciałaś, aby babka – nauczyła się wreszcie unikać słowa *grandma* – zaprowadziła mnie na starą część cmentarza i opowiadała o zmarłych z naszej rodziny? – spytała ponownie.

– Wydawało mi się to takie... nie na czasie. – Ciotka uśmiechnęła się przepraszająco. – Prawie ją wyśmiałam. Twoja babcia żyje wspomnieniami, a terażniejszość niewiele ją obchodzi. Byłam pewna, że te na ogół dość ponure opowieści tylko cię wystraszą albo dla odmiany wydadzą ci się monotonne. Tak czy owak, zniechęca cię do odwiedzania nas w przyszłości. Młodzi wolą przecież weselej spędzać czas. Przeszłość dla nich to na ogół zakurzone i niepotrzebne starocie.

– Nie dla mnie – zaprotestowała Ula.

– I nie dla moich chłopaków. Razem z babką dobraliście się jak w korcu maku. Tylko jeszcze waszego dziadka brakuje do kompletu. Niepoprawni marzyciele, czciciele przeszłości, pełni wzdargy dla otaczającej nas codzienności. – Ciotka mówiła to pozornie zrędlwym tonem, ale oczy jej się śmiały. – W dodatku i mnie się to w końcu udzieliło. Własnej matce przyganiałam, a sama, jak się okazuje, więcej gadam od niej. Ale to pewnie dlatego, że brakuje mi babskich pogaduszek w domu.

– Mnie też – wyrwała się Ula, a potem dodała speszona swoją szczerością: – To dlatego, że rozumiemy się z mamą. Ona często pracuje po południu i wieczorami.

Takie wytłumaczenie nie zawierało całej prawdy i niewykluczone, że ciotka się tego domyślała, niemniej nie skomentowała ani jednym słowem. Powróciła za to do wspomnień i wyglądało na to, że z autentyczną przyjemnością.

– Dziadek Witold poświęcał mi dużo czasu. Wszyscy wokoło żartowali, że jeśli taki był cel pomysłu mojej matki z nadaniem mi imienia po jego żonie, to trafiła w dziesiątkę. Ale nie chodziło tylko o to, bo przecież Elizę także bardzo kochał. Ojca zobaczyłam po raz pierwszy, gdy miałam ukończone trzy lata i, jak mi mówiono, nie od razu zaakceptowałam jego obecność w Radziejowie. Z początku w ogóle nie pojmowałam jego roli w naszym domu, skoro w moim przekonaniu najważniejszym mężczyzną w rodzinie był właśnie dziadek Witold. Dopiero gdy urodziła się Eliza, a ja nie mogłam się pogodzić, że dziadek przestał poświęcać mi cały swój wolny czas, bo ciągnęło go także do młodszej wnuczki, postanowiłam się zemścić i demonstracyjnie zwróciłam się ku ojcu. Początkowo zależało mi na tym, by ukarać dziadka. Boże, jakie to były piękne czasy...

– To był szczęśliwy dom, prawda? – spytała ostrożnie Ula.

– Ja w każdym razie tak go wspominam – odparła ciotka, ale wyraz rozmarzenia zniknął z jej oczu. A tak była wtedy podobna do Adrianny. Choć nie, w dalszym ciągu bardzo ją przypominała. Zwłaszcza teraz, gdy patrzyła tak uważnie. – Domyślałam się, że Eliza ma inne zdanie na ten temat.

– Nie wiem. Mówiłam ci już, że ona w ogóle mało wspomina. Chyba że... takie niezbyt miłe sprawy. Ale też bez żadnych szczegółów.

– Na przykład? – Teraz spojrzenie ciotki nie było już wyłącznie uważne. Stało się wręcz czujne.

Znakomicie. Poszło mi lepiej, niż planowałam. Tak szybko naprowadziłam ją na to, czego chciałabym się od niej dowiedzieć, ucieszyła się w duchu dziewczyna. Nie pokazała jednak po sobie żadnych emocji, tak na wszelki wypadek.

– Podobno babka Adrianna bardzo długo nienawidziła swojej macochy. A potem skonfliktowała się ze swoją ciotką, do której wcześniej była bardzo przywiązana i nawet mieszkała w jej domu prawie dziesięć lat.

– Ach tak...

Ula była niemal pewna, że jej słowa zostały przez Irenę przyjęte z ulgą. Czyżby ciotka spodziewała się i obawiała, że usłyszy zupełnie co innego?

– To stare dzieje. Aż się dziwię, że Eliza wygrzebała tę historię.

– Tylko wspomniała o tych dwóch sprawach. Nie opowiadała dokładniej – zastrzegła się Ula.

– To była jedna sprawa – sprostowała po namyśle Irena. – To tak naprawdę była jedna historia.

– Możesz mi opowiedzieć? Czy to jakaś wielka tajemnica?

Irena przez chwilę milczała, a potem lekko się uśmiechnęła.

– Właściwie czemu nie? Nikomu już tym nie wyrządę krzywdy. To było tak dawno, zresztą zostało już wyjaśnione i niemal prześwietlone na wylot. A oprócz mojej matki wszyscy uczestnicy zdarzeń, jeśli mogą użyć takiego sformułowania, już nie żyją.

– Nie wydam cię przed babcią – zapewniła w zabawny sposób Ula. Mówiła jednak szczerze.

– Może lepiej nie – zgodziła się żartobliwie ciotka. Zaraz jednak spoważniała. – Ona chyba w dalszym ciągu nie lubi do tego wracać. Nawet ją trochę rozumiem. Przecież nikt nie lubi przyznać się przed sobą i przed innymi, że całymi latami dawał się wodzić za nos. Że pozwalał się oszukiwać. To zresztą jeszcze nie jest najgorsze. Ostatecznie mylić się jest rzeczą ludzką, jednak sprawa wygląda już całkiem inaczej, jeśli oczy zaczynają nam się otwierać, a my nadal z uporem zaprzeczamy temu, co widzimy, albo nie potrafimy właściwie zinterpretować faktów. A tak właśnie było z moją matką. – Znowu się uśmiechnęła. – Trochę przydługi wstęp, co?

– Niczym do akademickiego wykładu. Ale to nic nie szkodzi. Jak dobrze pójdzie, zostanę zawodowym historykiem i przyda mi się nauka o umiejętnym interpretowaniu faktów.

– Tak, coś na ten temat obilo mi się o uszy. – Irena podniosła się z taboretu i na moment zajrzała do ciasta. – Wiesz co? Mam propozycję. Ta ciasna, tandetna kuchnia to marna sceneria do takiej opowieści. Zdecydowanie bardziej pasowałby tu salon w Radziejowie. Ale z braku takiej możliwości od biedy zadowolimy się dużym pokojem w tym mieszkaniu. Lepsze to od kuchni. A przynajmniej dopóki nie ma jeszcze mężczyzn, możemy tam swobodnie pogadać.

Ponieważ były to jeszcze godziny przedpołudniowe, słońce nie zdążyło nagrzać żadnego z pomieszczeń w mieszkaniu. Przez otwarte drzwi balkonowe wpadało letnie, ale przyjemne powietrze. Irena poprawiła falującą na wietrze firankę i zasiadła w fotelu naprzeciw siostrzenicy. Przez chwilę zastanawiała się, od czego zacząć.

– Złożę się, że babcia, aczkolwiek darowała ci wędrówkę na broniszczewski cmentarz, to jednak nie omieszkła pokazać swojego słynnego starego albumu. Ile razy zaskoczę ją niezapowiedzianym przyjazdem, to albo zastaję ją nad tym albumem, albo widzę, że leży on na stole, a zatem dopiero co go oglądała.

– Tak. Pokazała mi ten album. Uważam, że jest piękny – odparła troszkę zaczepnym tonem dziewczyna. Nie była bowiem pewna, czy ciotka nie pozwala sobie na niezbyt starannie skrywane kpiny z upodobań babki.

– Zgadzam się, robi wrażenie. – Skinęła głową niezrażona Irena. – Zwłaszcza jeśli widzi się go pierwszy raz. Potem... to już zależy od gustu. Ale mniejsza o gusta. Widziałaś fotografie rodziców babki i obu jej braci?

– Tak. Babcia z wyglądu była podobna do swojego ojca.

– I tu się zgadzam. Dodam tylko: całe szczęście. Pomimo że twój pradziadek nie był aniołem, to bez wątpienia łatwiejszym w codziennym życiu człowiekiem niż ta neurotyczka, twoja prababka. Ale nie ma sensu ciągle powtarzać, jaka była. Niemniej jej nagła śmierć wzbudzała swego czasu wielkie zainteresowanie. Dziadek Witold opowiedział mi o tym dość dokładnie. Nie było z nią dobrze, nic jednak nie wskazywało na dolegliwości fizyczne. A choroba nerwowa raczej nie zabija. Ludzie z podobnymi problemami mogą żyć bardzo długo. Helena Jurczyńska zmagala się z depresją i innymi psychicznymi dolegliwościami od wczesnego dzieciństwa, ale nikt porządnie się tym nie zajął. Wprawdzie była sierotą, lecz wujostwo wychowywali ją jak własną córkę, opiekowali się jej majątkiem. Mimo to... chyba sądzili, że dziewczyna ma swoje humory i jest niekiedy nieznośna, ale to wszystko. Najbliższa rodzina nie chciała spojrzeć prawdzie w oczy, nawet gdy wszyscy wokół komentowali dziwne jej zachowania. Może to była też kwestia wstydu... Tak czy owak, trwało to latami, czasami bywało lepiej, czasami gorzej, ale nikt nie wróżył jej przedwczesnej śmierci. Ciało, w przeciwieństwie do umysłu, miała zdrowe. Nawet śmierć własnego dziecka przeżyła łatwiej niż jej mąż. Oczywiście pozornie była pogrążona w wielkiej żałobie i melancholii, ale mało kto wierzył, że to było autentyczne. Uważano, że tak naprawdę umiała kochać tylko siebie. Własnych dzieci prawie nie dostrzegała. Taka była powszechna opinia. Nawet mój

dziadek Witold, którzy szczerze ją kochał, obiektywnie to przyznawał.

– Męża też nie dostrzegala?

– Tutaj sprawa była bardziej skomplikowana. Jako młoda panna przyzwyczaiła się do uwielbienia ze strony mężczyzn. Była bardzo piękna i miała duży majątek po rodzicach, toteż wielu panom wydawało się, że jej niepokojąca, ogłędnie rzecz ujmując, osobowość nie będzie wielkim problemem wobec niebagatelnych przecież atutów, jakimi są uroda i bogactwo. Tak czy owak, była trochę rozpuszczona przez męską populację. Ale los z niej zadzwiał. Została wydana za człowieka, który ożenił się z nią ze względu na majątek, ale okazał się zupełnie obojętny wobec niej samej. Nie była do tego przyzwyczajona, potrzebowała jego zainteresowania, hołdów i uwielbienia. Prawdopodobnie, gdyby osiągnęła swój cel, przestałaby także na niego zwracać uwagę. Tak się jednak nie stało. Osiągnięcie tego celu było poza jej zasięgiem. Wpadała w coraz większe rozdrażnienie albo dla odmiany w apatię, ciągnąc się całymi tygodniami. Dziś być może nazwano by to manią prześladowczą. Efekt był taki, że początkowa obojętność jej męża przekształciła się w niechęć. Bo też i niektóre, nazwijmy to, publiczne wystąpienia małżonki kompromitowały go w oczach sąsiadów i ludzi, z którymi prowadził interesy. Całe lata zabrało jej zrozumienie, dlaczego ten akurat człowiek nigdy nie dał jej nawet najmniejszej szansy, a potem odczuwał wobec niej jedynie wstręt. Wobec niej, tak niegdyś uwielbianej przez tłumy wielbicieli! Gdy to wreszcie pojęła, postanowiła, że nie chce żyć dłużej.

– Wiem. Matka kiedyś wspomniała o romansie pradiadka z guwernantką jego córki. To podobno wpędziło prababkę w tę ostatnią ciężką chorobę, z której już nie wyszła. Babcia długo nie chciała tego wybaczyć macosze i ojcu.

– Twoja babcia całymi latami wierzyła w winę Rozalii i nie chciała wybaczyć ani jej, ani swojemu ojcu.

– Była dzieckiem, gdy to się stało. Uwierzyła swojej matce. Zresztą przecież tak było. Wszystkie fakty to potwierdzają.

– Uwierzyła przede wszystkim swojej ciotce, z którą potem mieszkała przez dziesięć lat. Przez dziesięć lat słyszała taką, a nie inną, wersję wydarzeń. Myślę, że to był ogromny błąd jej ojca, że pozwolił, aby na czas edukacji zamieszkała w domu Cecylii Barcińskiej. Rozumiem, że chciał się jej pozbyć z Jurczewic, ostatecznie mógł uznać, że córce, która nie akceptowała jego drugiej żony, przyda się zmiana otoczenia, aby trochę ochłonęła i przyjrzała się wszystkiemu z dystansem, ale powinien był ją wysłać na jakąkolwiek pensję, byle nie w Warszawie. Tak długi pobyt w domu Cecylii nie pozwolił jej na żaden obiektywizm wobec własnego ojca, matki, macochy, a nawet Bogu ducha winnego przyrodniego brata. W tych warunkach sprowadzenie jej z powrotem do Jurczewic po tak długim okresie separacji od rodzinnego domu nie mogło już niczego naprawić. Właściwie tylko wszystko pogorszyło. Wróciła zbuntowana, pełna niechęci dziewczyna, która postanowiła do końca życia nienawidzić macochy, nie wybaczyć ojcu i ignorować brata. A przy najbliższej okazji ponownie się stamtąd wyrwać.

– Na przykład wyjść za mąż za kuzyna – wyrwało się Uli i zaraz tego pożałowała.

Ciotka Irena w jednej chwili zeszywniała.

– Jak by na to nie patrzeć, trafiła na dobrego człowieka. Byli razem bardzo szczęśliwi.

– Oczywiście – zgodziła się potulnie Ula, bardzo się przy tym starając, by na jej twarzy nie było widać wątpliwości wobec tego zapewnienia. Postanowiła czym prędzej wrócić do zasadniczego nurtu opowieści. – Więc to nie było tak, że moją prababkę dobił romans jej męża z Reńską? Przecież ożenił się z tą dziewczyną zaraz po śmierci Heleny, a ona niedługo potem urodziła dziecko.

Irena ponownie podeszła do okna. Tym razem, aby wyrzucić na zewnątrz uporczywą muchę. Choć tak naprawdę Ula nie miała cienia wątpliwości, że ciotka potrzebuje czasu, by zebrać myśli.

– Babka pokazała ci fotografię Rozalii? – spytała, ponownie siadając.

– Tak, ale to chyba niezbyt udane zdjęcie...

– Nie, dlaczego? Rozalia naprawdę nie była żadną pięknoscią, przecież ją pamiętam. Bardzo, bardzo przeciętna.

– Takie kobiety też miewają romanse, i to z bardzo atrakcyjnymi mężczyznami.

– Masz aż taką wiedzę o życiu, aby wygłaszać podobne opinie? – Chojewiczowa skrzywiła się.



A może była to nieudana próba uśmiechu? – No dobrze, nie zaprzeczę, mój dziadek pozwolił sobie na amory z nauczycielką córki, ale wszystko wskazuje na to, że nie traktował tego poważnie. W przeciwieństwie do niej, ale tak to często bywało i bywa w podobnych relacjach. I gdyby nie fakt, że przelotny w jego intencjach romans zaowocował bardzo konkretnym skutkiem, prawdopodobnie nie poślubiłby tej dziewczyny. Odprawił ją przecież zaraz potem, gdy Helena razem z córką opuściły Jurczewice. Rozalia nie robiła zresztą żadnych awantur. Była w nim zakochana, zawsze tak potem utrzymywała, ale nie oczekiwała w związku z tym Bóg wie czego. Zresztą czuła się skompromitowana całą sytuacją, sprawa stała się bowiem tajemnicą poliszynela. Chyba także pragnęła zejść wszystkim z oczu. Powtórzę po raz kolejny – ona w gruncie rzeczy nigdy się nie liczyła. Helena zrozumiała to dopiero dwa lub trzy dni przed śmiercią. Wyznała to mojemu dziadkowi.

– Dobrze, że zdążyła to jeszcze zrozumieć. Szkoda, że tak późno, gdy już była taka chora, że nie można jej było uratować – rzekła ze smutkiem Ula.

– Zanim poznała prawdę, nie była chora – odparła ostro Irena. – Nawet w sensie psychicznym czuła się lepiej niż wcześniej. Dopiero gdy się dowiedziała... jak to było, postanowiła ze sobą skończyć.

– Co takiego? – Ula nie wierzyła własnym uszom. – Popelniła samobójstwo?

– Przecież mówię jasno. Wieczorem zjadła jeszcze kolację z córką. W każdym razie towarzyszyła jej przy stole. A w nocy wypila jodynę. Kiedy służba ją znalazła, jeszcze żyła. Odwieziono ją do szpitala, ale nic już nie można było zrobić, choć lekarze stawali na głowie, by ją uratować. Zmarła wkrótce potem.

– Skąd pewność, że Helena nie zrobiła tego z powodu romansu jej męża?

– Ależ zrobiła to z powodu jego romansu. Tyle że nie chodziło o Rozalię. Helena wiedziała, że dziewczyny już od kilku tygodni nie było w Jurczewicach.

– A więc pojawił się ktoś następny? – Ula czuła, jak pałały jej policzki. Historia zafascynowała ją do tego stopnia, że przestała myśleć o jej bohaterach jak o członkach swojej rodziny. Słowa „prababka” i „pradziadek” nie miały dla niej znaczenia. Dotyczyły przecież ludzi, których nigdy nie poznała, których już dawno nie było. – Wiesz, kto to był?

– Wiem. Ale ten ktoś wcale nie pojawił się po odejściu Rozalii. Dziadek Jurczyński nie był takim casanovą, żeby na prawo i lewo uwodzić kolejne kobiety. Ta, o której teraz mówimy, była od lat częścią jego życia. Jeszcze zanim ożenił się z Heleną. Tyle że gdy poznał tamtą, ona już była mężatką. A kiedy rozstała się z mężem, on z kolei był żonaty. Kiedy zaś umarła jego żona, okazało się, że guwernantka, z którą wdał się w przelotny romans, spodziewała się dziecka. Był w gruncie rzeczy na tyle przyzwoitym człowiekiem, że postanowił się z nią ożenić, nie zostawiać Rozalii i jej rodziców w tak kompromitującej sytuacji. Nigdy jednak nie zrezygnował z tamtej. Do końca jego życia liczyła się tylko ona. Tak jak dla niej liczył się tylko on.

– Chyba już rozumiem – wyszeptała wstrząśnięta Ula. – To była Cecylia Barcińska, tak?

– Tak. A teraz pozwól, że na chwilę cię zostawię. Zajrzę do ciasta. I wstawię obiad.

Zajrzę do ciasta? Wstawię obiad? – O czym ona mówi?

– I twój dziadek Witold wiedział o tym od początku?

Irena zatrzymała się jeszcze na chwilę.

– Podejrzewał. Gdy Helena przed samą śmiercią potwierdziła jego niejasne podejrzenia, nadal nie był pewien, na ile mówiła świadomie, a na ile majaczyła. Nie dawało mu to jednak spokoju i nigdy już nie mógł się zmusić do życzliwego traktowania siostry, choć musiał tolerować jej wizyty. Zwłaszcza gdy jego syn ożenił się z Adrianną. Cecylia była wielką entuzjastką tego małżeństwa. Gdy miałam się urodzić, właściwie wprowadziła się do Radziejowa i dopiero kilka miesięcy później odjechała, gdy Niemcy zdobyli już w Warszawie, to jest w sierpniu piętnastego roku. Tłumaczyła, że skoro front się ustabilizował, ona może wreszcie wrócić do swojego domu. Nie ulegało jednak wątpliwości, że nikt jej nie zatrzymywał w Radziejowie. Wszyscy, od dziadka Witolda i mojej matki poczynając, a na służbie kończąc, marzyli, aby wreszcie odjechała.

– Witold nie powiedział synowej o swoich podejrzeniach wobec Cecylii ani tego, co wyznała mu przed śmiercią Helena?

– Nie. Jak mi wyjaśnił, miał tylko podejrzenia, żadnych konkretnych dowodów. Podejrzeniami

wolał nie dzielić się z nikim. Zrobił to dopiero dużo później.

– W takim razie dlaczego Ada, to znaczy moja babka, nie chciała, aby Barcińska dłużej została w Radziejowie?

– Tego nie wiem. Dziadek o tym nie mówił. Wspominał tylko, że jego siostra rządziła w Radziejowie, jakby była panią jego domu. Drażniło go to, irytowało również służbę. I mogło denerwować Adriannę.

To było dobre, zrozumiałe wytłumaczenie. Ulę jednak w tym samym momencie zaintrygowało coś innego.

– W jaki sposób Helena odkryła prawdę? I w jaki sposób dowiedziała się wreszcie o wszystkim babka Adrianna?

Irena zawahała się, ale nawet jeśli miała jakieś obawy, że może pozwala sobie na zbyt daleko idącą niedyskrecję – co zresztą zakładała Ula, obserwując jej zakłopotany wyraz twarzy – w końcu jednak machnęła na te skrupuły ręką.

– Dobrze, powiem ci, ale później. To dłuższa opowieść, a ja, snując wspomnienia o zmarłych, nie mogę zapominać o potrzebach żywych. Obiad sam się nie ugotuje.

– W taki razie ci pomogę – odparła Ula, podążając śladem ciotki.

– Była bardzo ładną brunetką o zupełnie innym typie urody niż Helena – rzekła zadumana Irena, gdy wieczorem tylko we dwie udały się na pobliskie Powązki. Stały przy starym nagrobku z wypisanymi na nim imieniem i nazwiskiem Cecylii Barcińskiej.

– Powiedziałam nawet babci, że równie dobrze mogłaby uchodzić za jej córkę.

– Niezupełnie. Właściwie gdyby nie fakt, że obie były ciemnookimi brunetkami, nie istniało między nimi szczególne podobieństwo. Ciotka przypominała klasyczną piękność, ale w jej urodzie kryły się chłód, nieprzystępność. Nigdy za nią nie przepadałam i nie zadawałam pytań, dlaczego nie miała własnych dzieci. Nawet dobrze, że ich nie miała. Matka powinna mieć w sobie coś ciepłego, swojskiego, a Cecylia taka nie była. Nie wiem, czy potrafię to wyjaśnić...

– Chyba rozumiem. Była kimś takim jak dzisiejsze gwiazdy ekranu.

– O nie! – Irena z niesmakiem skrzywiła wargi. – Całe życie, poza krótkim epizodem, gdy była żoną Stanisława Barcińskiego, należała do jednego mężczyzny. Wszystkich innych trzymała na dystans. Nawet ci, którzy próbowali przyłapać ją na czymś niecnym i doszywali jej różne łatki, niczego nie mogli udowodnić. Związek z Michałem Jurczyńskim przez długie lata utrzymywała w głębokiej tajemnicy.

– Ale jak w ogóle babka to odkryła? – Ula powtórzyła swoje pytanie sprzed kilku godzin.

– Powiedziała mi kiedyś, że gdy czasem wspomina swoje dzieciństwo w Jurczewicach, gdy żyła jeszcze Helena, a nawet mały Piotruś, wszystko wydaje jej się bardzo logiczne. Dziwi się, że wcześniej taka możliwość nie przyszła jej do głowy. Te częste wizyty Cecylii, na które wszyscy czekali, bo potrafiła być tak urocza, że samą swoją obecnością rozgrzewała surowy jurczewicki dwór, a był to naprawdę bardzo ponury dom, możesz mi wierzyć. Nawet czasem odczuwam ulgę, że po ostatniej wojnie popadł w całkowitą ruinę. To było miejsce, w którym nie chciałabym żyć. Nawet rozumiałam moją matkę, że chciała stamtąd uciec. Ostatecznie jej matka i macocha też to zrobiły, choć każda na swój sposób. No dobrze, ale odchodzę od tematu. Coraz częściej mi się to zdarza, gdy o czymś opowiadam, więc musisz być cierpliwa.

– Wspomniałaś, że Adrianna po latach przyznała, że w wizytach jej ciotki w Jurczewicach było coś podejrzanego, choć ona sama jako dziecko tak tego nie widziała.

– Może nie tyle podejrzanego, ile raczej... osobliwego. Poza tym nie jestem pewna, czy należy akurat do tych wspomnień przykładać taką wagę. Matka powiedziała to, gdy już poznała prawdę i była bardzo rozgoryczona, poruszona. Wtedy człowiek, przywołując w pamięci pewne zdarzenia, jest gotów ferować wyroki. Tak jej nawet odpowiedziałam, zwracając uwagę, że jako małe dziecko miała prawo widzieć wiele rzeczy inaczej. W dodatku nie ona jedna się nabrała. Nabrali się wszyscy, z Heleną Jurczyńską włącznie. Helena dosłownie do ostatnich dni przed śmiercią uważała swoją kuzynkę za najbliższą przyjaciółkę, zwierzała jej się ze wszystkiego, nie miała przed nią żadnych tajemnic. Dlatego takim szokiem było dla niej odkrycie prawdy. To było coś, z czym być może nie poradziłby sobie nawet niejeden psychicznie silny człowiek, a co dopiero ktoś tak emocjonalnie rozchwiany jak ona... Właściwie tylko jedna osoba nie zachwycała się wtedy Cecylią Barcińską. Była to stara piastunka z Jurczewic. Adriannę zawsze intrygowało, a wcześniej denerwowało, że jej niania nie tylko nie lubiła Barcińskiej, ale wręcz nią gardziła, choć nigdy nie powiedziała tego wprost. Jednak musiała albo coś wiedzieć, albo przeczuwać. Spytałam nawet, dlaczego nigdy jej o tym doniosła. A matka na to, że chyba kilka razy piastunka próbowała dać jej do myślenia, może nawet powiedzieć prosto w oczy, ale w końcu zrezygnowała. Pewnie, podobnie jak teść twojej babki, nie miała jednoznacznych dowodów. Chyba była przekonana, że Adrianna i tak by jej wtedy nie uwierzyła. I miała rację. Moja matka sama mi to powiedziała. A potem dodała, że już nigdy nie miała możliwości dowiedzieć się, jaką wiedzę dysponowała Kazimiera, bo staruszka zmarła niedługo po pierwszej wojnie.

Na pobliskim drzewie odezwał się jakiś samotny ptak. Pomału zapadał zmierzch, ale nadal było ciepło. Druga połowa sierpnia okazała się tak upalna, że nawet wieczory bardziej przypominały te z pełni lata niż jego zbliżającego się końca.

Zasłuchana Ula nie spuszczała oczu z Ireny.

– Stosunki między moją matką a Cecylią Barcińską wyraźnie ochłodziły się niedługo po moich narodzinach, a może i wcześniej. Ale o tym już wiesz. Jednak potem... Wiesz co? – Ciotka nagle nabrała werwy. Tak jakby pokonała ostatnie wewnętrzne opory. – Najlepiej opowiem ci od początku. Po kolei. Inaczej nie tylko nic nie zrozumiesz, ale i ja sama się pogubię.

– Dobrze.

– I tak nie będzie mi łatwo. W przeciwieństwie do moich rodziców i dzieci nie lubiłam wracać do przeszłości. Ale może czasem tak trzeba. Bo to nam przypomina, kim właściwie jesteśmy. I dlaczego jesteśmy właśnie tacy, a nie inni. No to posłuchaj... Skończyłam rok, gdy moja matka od czasu do czasu, tak mniej więcej co dwa, trzy miesiące, wyruszała do Warszawy. Byliśmy wtedy pod okupacją niemiecką, ale musisz to właściwie zrozumieć. To nie była taka sama okupacja jak ta, którą Niemcy zaserwowali Polakom w czasie drugiej wojny. Okupacyjne rządy niemieckie na terenie Królestwa Polskiego po wygnaniu stąd Rosjan może nie należały do przyjemności, ale oznaczały całkiem cywilizowane traktowanie. Zresztą część Królestwa podlegała okupacji ze strony monarchii austro-węgierskiej, a obydwie państwa zaborcze potrzebowały polskiego wsparcia w wojnie. Zwłaszcza w postaci ludzi do wojska. Na pewno zaś nie potrzebowały tak gwałtownego oporu, jaki przez cały czas tamtej wojny stawiali maltretowani przez Niemców Belgowie. W porównaniu z Belgami Polaków traktowano nawet z pewną kurtuazją. To oznaczało, że sytuacja po tysiąc dziewięćset piętnastym roku na naszych terenach stopniowo się stabilizowała. Ostre walki trwały jeszcze daleko na Wschodzie, na kresach i dalej, ale nas to nie dotyczyło. Pewnie dlatego matka czasem jeździła do Warszawy, ale ja tego nie zakodowałam w pamięci. Byłam wtedy bardzo małym dzieckiem. Zresztą miałam zapewnioną opiekę, a dziadek świata poza mną nie widział. O tych jej wycieczkach do stolicy pewnie nigdy bym się nie dowiedziała, gdyby już po latach ten i ów czasem o nich mimochodem nie wspomniał. W sumie jednak nie miało to dla mnie znaczenia i nadal nie ma. Nie czułam się zaniedbywana. A ona pewnie czasem potrzebowała wyrwać się do miasta. Może chciała odwiedzić ciotkę? Wprawdzie stosunki między nimi nie były tak ciepłe jak kiedyś, ale nadal utrzymywały ze sobą kontakty. Wtedy jeszcze tak. Potem, jakoś tak wczesną jesienią osiemnastego roku, matka przestała jeździć do Warszawy. Być może wiązało się to z faktem, że wojna zmierzała ku końcowi. Niemcy zaczęli przegrywać wielkie ofensywy na Zachodzie, które jeszcze latem były pasmem sukcesów. Jednak jesienią zaczęli tracić grunt pod nogami. W ich armii wzrosły nastroje rewolucyjne i antywojenne, w Rosji do władzy doszli bolszewicy i trwała wojna domowa. To nie mogło nie mieć wpływu na Królestwo Polskie – zaczęło się rozbijanie Niemców i Austriaków. Podobnie było w Galicji. Ludzi ogarnęła jakaś gorączka. Ale poza wszystkim pozytywnymi, jakie niosła za sobą ta sytuacja, dawały się we znaki tak zwane skutki uboczne. Na pewno nie było zbyt bezpiecznie, zwłaszcza dla podróżującej samotnie kobiety. Pewnie dlatego matka dała sobie spokój z tymi wyjazdami. Wreszcie najważniejszą przyczyną, dla której nie ruszała się już z domu, był fakt, że w październiku, jak już wiesz, wrócił mój ojciec. Po prostu wszedł do jadalni, gdy siedzieliśmy przy kolacji. Miałam wtedy trzy lata z okładem, ale pamiętam ten moment. Najpierw wszyscy włącznie ze służbą patrzyli na niego tak, jakby zobaczyli zjawę. A potem podniósł się niesłyszany krzyk. Ja też wrzeszczałam, ile sił w płucach, choć nie miałam pojęcia, kim był ów nowo przybyły człowiek.

\*

– To Irenka? – spytał Dezydery, przyklękając przy małej.

Dziewczynka natychmiast schowała się za dziadkiem.

– A któżby inny! – roześmiał się Witold. Był poruszony jak cała reszta, ale w przeciwieństwie do pozostałych robił, co w ludzkiej mocy, by opanować emocje. Wesoły, głośny śmiech miał mu w tym pomóc i chyba tak się stało. – No, pokaże się swojemu ojcu – zawołał do małej. – Czy to nie wstyd tak się chować?

Ale Irena jeszcze rozpaczliwiej przywarła do dziadka, ukrywając twarz w połach jego surduta.

– Dajmy jej na razie spokój – odparł swobodnie Dezydery. – Nie dziwię się jej. Sam był się przeraził widoku takiego stracha na wróble jak ja. Na wszelki wypadek nie patrzę w lustro.

– Co ty opowiadasz! – rozplakała się wtedy Ada.

Kilka lat potem powiedziała córkom, że dopiero wtedy, gdy odezwał się tym charakterystycznym dla siebie, swobodnym tonem, bagatelizującym każdą trudność, obracającym w żart niejedną niedogodność – dotarło do niej w pełni, że to nie złudzenie. Że on naprawdę wrócił.

Tamtego październikowego wieczoru siedzieli przy stole do późnej nocy, a Irena zapamiętała, że w przeciwieństwie do całej reszty nie odczuwała żadnego zadowolenia z faktu, że ten wysoki, postawny mężczyzna został z nimi w Radziejowie.

– Głuptas jesteś – ofuknęła ją potem niania. – Twój ojciec jest u siebie i jeśli Bóg pozwoli, to już tu zostanie na stałe.

Irena nie była zadowolona z tej perspektywy. Przede wszystkim dlatego, że dziadek poświęcał jej teraz mniej czasu, bo kiedy tylko mógł, dotrzymywał towarzystwa swojemu synowi. Co najwyżej pozwalał, aby wnuczka przebywała razem z nimi, ale to oznaczało, że nie mogła liczyć na to, aby całą uwagę poświęcał wyłącznie jej. Nie wpływało to na ocieplenie uczuć do człowieka, którego kazano jej nazywać ojcem. Długo się opierała. Nie chciała się do niego odzywać, nawet matka nie była w stanie jej do tego zmusić. Służba wydziwiała jej nad głową, jaka jest niegrzeczna i niedobra i dopiero na wyraźne polecenie dziadka zmusiła się do tego, by przynajmniej odpowiadać ojcu na pytania. Do tej pory jeszcze się nie zdarzyło, by starszy pan się na nią gniewał, nawet gdy czasami kaprysiła, toteż wyraźne niezadowolenie, jakie jej wreszcie okazał, wystraszyło dziewczynkę nie na żarty. Jeśli dziadek gniewał się na nią z powodu jej zachowania wobec człowieka, którego wszyscy nazywali jej ojcem, była gotowa pójść na jakiś kompromis.

Tylko on jeden nie okazywał żadnego zniecierpliwienia. Jej ojciec. W ogóle wydawał się niezrażony naburmuszoną miną i rzucanymi w jego kierunku niechętnymi spojrzeniami córeczki. Śmiał się i upominał wszystkich wokół, aby dali jej spokój. Irenej nie upominał ani razu. Życzliwie się do niej uśmiechał, zagadywał, wcale nie nalegając na odpowiedź. Pewnie dlatego, że w przeciwieństwie do całej reszty dostrzegał, że i tak reagowała na jego słowa i gesty. Wcale go nie ignorowała.

Poza tym sporo czasu poświęcał żonie. Irena często z ukrycia obserwowała ich oboje, gdy myśleli, że zostali sami. Trzymali się za ręce, obejmowali, całowali. Była tym zszokowana, ale nie wzbudzało to w niej żadnych przykrych reakcji. Pewnie dlatego, że o matkę nie była tak zazdrosna jak o dziadka. Dziadek zresztą także wyglądał na zadowolonego, gdy widział syna i synową razem.

– Dzięki Bogu wszystko wraca do normalności – powiedział kiedyś, czemu obecny wówczas w jego gabinecie Franciszek natychmiast skwapliwie przytaknął.

– Oczywiście, proszę pana. I to nowe dziecko to znak z Nieba na nowe czasy.

– Jakie nowe dziecko? – zainteresowała się Irena, która wtedy akurat również przebywała w gabinecie Witolda, korzystając ze sposobności, że miała dziadka tylko dla siebie. Bo ojciec i matka wybrali się na przechadzkę we dwoje. Właśnie te przechadzki rodziców były w oczach dziewczynki jedynym plusem wynikającym z powrotu ojca. Przynajmniej wtedy, prawie tak jak dawniej, nie musiała dzielić się towarzystwem dziadka z jego synem.

Franciszek, słysząc jej pytanie, najwyraźniej skonsternowany, nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć. Wyręczył go Rawicki.

– No proszę, wreszcie i ty się dowiedziałeś – roześmiał się, sadzając wnuczkę na kolanach. – Za kilka miesięcy mama urodzi twojego brata albo twoją siostrę. Będziesz się miała z kim bawić. Od razu zrobi ci się weselej.

Irena nie dostrzegła w tym jednak powodu do radości.

– Wolę bawić się z tobą – oświadczyła nadąsana.

– No, no, nie będziemy teraz dyskutować – odparł Witold, wymieniając rozbawione spojrzenie z lokajem – ale zapewniam cię, że zmienisz zdanie.

Nie zmieniła jednak zdania, przynajmniej przez pierwszy rok od pojawienia się na świecie Elizy. Siostra, wbrew obietnicy dziadka i zapewnieniom służby, nie nadawała się w tym czasie do żadnej zabawy. Krzyczące wniebogłosy niemowlę nie wzbudziło jej entuzjazmu, a kiedy wreszcie zachowywało się cicho lub spało, przypominało bardziej lalkę niż dziecko. Tyle że taką lalką nikt nie

pozwalają się Irenie bawić. Matka, niania i służące nie pozwalały jej nawet dotykać siostry. Matka wręcz struchlała ze strachu, gdy zaintrygowana maleństwem Irena zakradła się kiedyś niezauważona do pokoju niemowlęcia i próbowała podnieść je do góry, co oczywiście nie mogło się udać, ale i tak wystarczyło, by wybuchła panika w całym dworze. Prawie w całym, jedynym bowiem człowiekiem, który odniósł się do sprawy nie tylko bez nerwów, ale i z poczuciem humoru, był Dezydery Rawicki.

– Dajcie jej spokój – oświadczył wobec całego rozgorączkowanego grona.

Kucharka podobno opowiadała potem w kuchni, że omal nie padła trupem, gdy dowiedziała się o całym zdarzeniu i karygodnym jej zdaniem niedbalstwie nianki, która w ogóle dopuściła do tego, by starsze dziecko znalazło się sam na sam z młodszym.

– Przecież nic się nie stało – tłumaczył tymczasem spokojnie Dezydery. – Powiem więcej: gdyby tej małej od razu pozwolono dotykać noworodka, zamiast czynić z niego w jej oczach prawdziwe tabu, z pewnością nie szukałaby okazji, by zmylić czujność dorosłych i zrobić to na własną rękę. Dzieci są ciekawe świata, a nic nie jest tak interesujące jak zakazany owoc. Zapomnieliście wszyscy, jak to jest być dzieckiem?

Narodziny Elizy z pewnością przyczyniły się do tego, że Irena zmieniła swoje nastawienie do ojca. I to nie tylko dlatego, że jako jedyny tak spokojnie zareagował na jej nieudaną próbę dokładnego obejrzenia niemowlęcia. Tak naprawdę znaczenie tamtego wydarzenia zrozumiała dopiero, gdy trochę podrosła. Za to od dnia narodzin Elizy bardzo przeżyła fakt, że ukochanym dziadkiem musiała się dzielić nie tylko z ojcem, ale również – a nawet przede wszystkim – z tą maleńką siostrą. Odczuła to nawet bardziej boleśnie niż w przypadku kontaktów dziadka z ojcem – tamto w pewnym momencie zrozumiała, a poza tym potrafiła rozróżnić wzajemne przywiązanie obydwu mężczyzn od uczucia, jakim dziadek darzył ją. Ale przecież Eliza także była jego wnuczką. Okazywał jej taką samą miłość jak starszej dziewczynce, tyle że ta starsza nie zamierzała się ową miłością dzielić. Jakby mało było, że wszyscy roztkliwiali się nad tym małym płaczącym stworem.

I wtedy nie kto inny, tylko znowu ojciec okazał jej zrozumienie. A ponieważ rozpaczliwie tego zrozumienia potrzebowała, przylgnęła do niego całym sercem. Choć, rzecz jasna, nie stało się to z dnia na dzień. Jednak z tygodnia na tydzień coraz bardziej cieszyły ją spacerzy z Dezyderym. Coraz częściej też zabierał ją ze sobą, gdy szedł do któregoś z dzierżawców albo chciał się przyjrzeć przebiegowi prac polowych. Z każdym dniem coraz swobodniej z nim rozmawiała, a ponieważ poświęcał jej zdecydowanie więcej czasu niż młodszej córce, czuła się na tyle ważna i doceniona, że łaskawie tolerowała, gdy od czasu do czasu pochylał się także nad Elizą.

Z tamtego okresu zapamiętała jeden tragiczny epizod. Tragiczny nie dlatego, że ona osobiście tak go odczuła, ale ze względu na reakcję innych. A zapamiętała go dokładnie, pomimo że była wówczas zaledwie kilkuletnim dzieckiem.

W listopadzie dziewiętnastego roku z Jurczewic przyszła wiadomość o chorobie brata Adrianny – szesnastoletniego wówczas Krzysia.

– Pan Jurczyński kazał państwa powiadomić – płakał stary Walenty, który przybył do Radziejowa. – Powiedział, że sam nie może tracić czasu, by osobiście to zrobić, bo czym prędzej wyruszył do Krakowa. Telegram przyszedł z samego rana.

– Ale co się stało? Skąd tak nagła choroba? – spytała Adrianna.

Była błada jak chusta, Irena doskonale to zapamiętała.

– Ano jak nic musi to być ta hiszpanka, czy jak tam zwą to przekłętę choróbsko. U nas we wsi, w Jurczewicach, kilkoro ludzi położyło, a już najzjadlejsze atakuje młodych i dzieci. Starzy mają większe szanse wyżyć niż młodzi. Jakby tej wojny, co się dopiero skończyła, było mało. Kara boska za grzechy, nic innego, proszę pani Adrianno.

– Boże drogi... – Ada czuła ciepło koło serca, kiedy słyszała, jak Walenty wciąż, mimo tylu lat, jakie minęły od jej ślubu, nazywa ją panienką, tym razem jednak wstrząsnęły nią zimne dreszcze.

– Ale z bratem panienki to już od dawna nie było dobrze. – Walenty zniżył głos, a ona zamarła.

– Wszyscyśmy w Jurczewicach to widzieli, państwo także, nie może być inaczej, ale nie chcieli prawdziwie spojrzeć w oczy. Już po tamtej chorobie, ponad cztery lata temu, Krzys nie był taki jak przedtem. Do

końca wtedy nie wydobrzeł, męczył się szybko, słabszy był od innych chłopaków. A teraz, od jesieni, było z nim coraz gorzej. Jeszcze latem, w wakacje, jak tu był z matką, to jako tako... Pani wpięrow myślała, żeby go do szkoły w tym roku od września nie zawozić, żeby nabrał sił na wsi. Pan Jurczyński też tak mówił i namawiał panią, aby razem z synem nie jechała jesienią do Krakowa, ale cosik się tam między nimi stało pod koniec sierpnia. – Walenty teraz niemal szeptał wprost do ucha Ady, Irena jednak złowiła każde jego słowo. – Pokojowa mówiła, że mieli jakieś wielkie nieporozumienie. No, w każdym razie pani na koniec krzyczeć zaczęła, że ma już tego dość i wyjeżdża do Krakowa, choćby świat się od tego zawalił. Od dawna tam dobrze między nimi nie było, ale to pewnie panienka już wie. Wszyscy wkoło mówili. Pan Jurczyński jakoś nie umiał jej się sprzeciwić, no to zabrała chłopaka i pojechała. A zaraz w połowie września przyszły chłody i deszcze i Krzys znowu zaniemógł, tak że o szkole mowy być nie mogło. W Krakowie byli jednak na miejscu i ojciec pani Jurczyńskiej, i jej brat, ten sam, co to wyciągnął paniczka z niemocy cztery lata temu, a i Irence pomógł przyjść na świat. – Zerknął na dziewczynkę, ale zaraz wyczuł, że Ada nie chciała wracać do tego wspomnienia, dlatego kontynuował przerwany wątek: – Pan Jurczyński pojechał tam zaraz, ale teść i szwagier poradzili mu, żeby nie namawiał żony i syna do powrotu, bo dla chłopca podróż może być niebezpieczna, a w Krakowie ma przynajmniej pomoc lekarską na wyciągnięcie ręki. Sama panienka wie, jak to u nas w okolicy z doktorami bywa. Jak na lekarstwo, w dodatku tylko dwóch, a ile razy tak było, że jak potrzeba było medyka, to obaj byli gdzieś w rozjazdach. A teraz przy tej grypie to już prawdziwa rozpacz. Trzeba mieć szczęście nie lada, by którego na miejscu zastać. Duże miasto to jednak co innego. No i ojciec panienki nie nalegał, tylko sam do domu wrócił. A zaraz po Zaduszkach kompletnie chłopaka z nóg zważyło.

Zrobiło się zupełnie cicho. Adrianna siedziała nieruchomo ze wzrokiem wbitym w jeden punkt i dopiero płacz Elizy dobiegający z głębi domu wybudził ją z odrętwienia. Zaraz też został uciszony przez niankę.

– Dopiero sobie uświadomiłam, że od miesiący nie byłam w Jurczewicach, a od chrztu małej w ogóle ich wszystkich nie widziałam. I nie miałam od nich żadnych wieści. Sama też nie pytałam.

Walenty, słysząc to, zmieszał się i zmarkotniał. Zajęło mu sporo czasu, zanim znalazł odpowiedź:

– Cóż poradzić, panienko, takie życie. Tak się to wszystko ułożyło... Zresztą wszyscy rozumieli, że panienka teraz zajęta, dwoje małych dzieci to nie przelewki. A i Radziejowo nie jest za miedzą. Niemała to odległość od Jurczewic. A teraz raczej modlić się trzeba, panienko, o wyzdrowienie brata niż sobie niepotrzebne wyrzuty robić.

Kilka dni później przyszedł telegram z Krakowa o śmierci Krzysia. Ku konsternacji wszystkich, zarówno w Radziejowie, jak i w całej okolicy, pogrzeb miał się odbyć w Krakowie. Taka była wola jego matki, czemu najwyraźniej, wydawałoby się do niedawna wszechmocny, Jurczyński nie potrafił się przeciwstawić.

– I pomyśleć, że przed laty nikt nawet nie próbował przekonywać go, by nie chował ciała mojej matki w tej koszarnej rodzinnej kaplicy w Broniszczach – rozważała z goryczą Adrianna. – Nikt nawet nie śmiał pisać na ten temat, choć jej wola, a przynajmniej niechęć do tego miejsca, była wszystkim znana. A teraz okazuje się, że jego druga żona, która początkowo była nic nieznaczącą guwernantką, z którą niewiele go w gruncie rzeczy łączyło, a wiązało tylko dziecko, bo jedynie ze względu na nie się z nią ożenił, bez trudu, krok po kroku, nakłania go do zgody na to, co zawsze było dla niego nie do pomyślenia.

– Nie wiemy, czy bez trudu – upomniał ją łagodnie Witold.

– Wszystko jedno. Fakt pozostaje faktem – ojciec od lat kapitulował przed jej wolą. Wymogła na nim zgodę na to, by Krzysztof uczył się w Krakowie, choć pod bokiem były dobre szkoły w Warszawie. Potem, pod pretekstem, że tęskniła za dzieckiem, a ono za nią, mieszkała wraz z nim niemal przez cały rok szkolny u rodziców. Czy to nie oznaczało de facto separacji?

– Zapewne oznaczało tyle, że z jakiegoś powodu nie czuła się dobrze w Jurczewicach.

Adrianna zamilkła i popatrzyła niepewnie na teścia. Odpowiedział jej smutnym, pełnym rezygnacji spojrzeniem.

– Wiem, wyrzucasz mi, że sam nie potrafiłem skłonić twojego ojca do najmniejszego

kompromisu w sprawie Heleny...

– Nieprawda. Jakie to ma teraz znaczenie? – Adrianna podniosła się raptownie z krzesła, po czym podeszła do okna. I zanim teść zdołał znaleźć jakąkolwiek odpowiedź, dodała szybko: – Nie pozostaje mi nic innego, jak jechać na pogrzeb do Krakowa.

– Byłoby to wskazane – westchnął Rawicki.

Zaprotestował natomiast usługujący do tej pory przy stole w milczeniu lokaj Franciszek.

– Uchowaj Boże! To daleka i niebezpieczna podróż.

– Co też Franciszek lamentuje, wojna się skończyła – odparła obojętnie Ada, siadając z powrotem do stołu.

– Nie trzeba wojny, aby zostać napadniętym, ograbionym i zamordowanym. Na litość boską! Pani ma dwoje małych dzieci. Chwalić Boga, tu, w Radziejowie, nie mieliśmy jak do tej pory żadnego przypadku zachorowania na hiszpankę i nie ma potrzeby kusić losu. Nietrudno przecież chorobę sprowadzić do domu.

– Zamknąć się przed nią też podobno nie można – odezwał się siedzący dotąd w milczeniu Dezydery, po czym zwrócił się do żony: – Jeśli jesteś zdecydowana, aby jechać, pojedę razem z tobą.

Ada przez chwilę nie odpowiadała, wreszcie odsunęła od siebie talerz z zupą, której nawet nie tknęła.

– Powinam jechać – rzekła. – Tak czuję.

Niczego już nie tłumaczyła i nie odezwała się do końca obiadu.

\*

– Matka i ojciec wyruszyli następnego dnia do Krakowa – rzekła Irena i ująwszy Ulę pod łokieć, dała jej tym samym do zrozumienia, że czas już odejść od miejsca wiecznego spoczynku Cecylii Barcińskiej. – Nie zabrali ani mnie, ani Elizy. Obie byłyśmy na to za małe, do tego pogoda nie sprzyjała podróżowaniu z dziećmi. Było bardzo zimno, a niebezpieczeństwo zarażenia się grypą – realne. Wobec tego dziadek też nie pojechał. Jak sam twierdził, aby dopilnować domu i wnuczek, choć przecież nie brakowało służby, w tym opiekunki dla nas. Rodzice nie przedłużali swojego pobytu w Krakowie, wrócili następnego dnia po pogrzebie i życie potoczyło się dalej. Choć nie wszystko było tak jak dawniej, a Jurczewice znowu stały się obiektem powszechnego zainteresowania. Nie tylko z powodu śmierci spadkobiercy i faktu, że wbrew rodowej tradycji został pochowany w Krakowie. Także, a po pewnym czasie głównie dlatego, że Rozalia już tam nie wróciła. Dziadek Jurczyński przyjechał do domu sam. I sam w nim na zawsze pozostał. Po latach zapytałam matkę, dlaczego tak się stało. I dlaczego całymi tygodniami po pogrzebie brata ona także nie odwiedzała swojego ojca. Odpowiedziała mi, że nie chciał nikogo widzieć. Zaszły się w tych Jurczewicach jak niedźwiedź w jamie i jednoznacznie dał do zrozumienia, że niczego bardziej nie pragnie jak tego, by wszyscy dali mu święty spokój. Rodzona córka także. Przecież nigdy nie byli sobie bliscy. Ja i Eliza także nie doświadczyłyśmy z jego strony żadnego zainteresowania. Matka zatem nie wrywała się przed szereg. W Boże Narodzenie jednak skapitulowała wobec sugestii teścia i postanowiła do niego pojechać. Sama. Bez męża i dzieci. Nie zapowiedziała swojej wizyty. Uważała, że jeśli go o tym uprzedzi, on znajdzie sposób, aby ją do tego zniechęcić. Twierdziła, że to i tak nie ma sensu, ale pojedzie. Wolała mieć czyste sumienie, choć sądziła, że on jej wcale nie potrzebuje.

– I co? – spytała z zapartym tchem Ula. – Tak właśnie było?

Irena zawahała się, tak jakby straciła na moment poczucie orientacji w terenie. Najpierw skrzyła w alejkę prowadzącą w głąb cmentarza, a potem raptownie się zatrzymała i rozejrzała wokół.

– Brama wyjściowa jest tam, ciociu – odpowiedziała usłużnie Ula, wskazując właściwy kierunek.

– No tak, oczywiście, to przez te wspomnienia. – Chojewiczowa uśmiechnęła się wyraźnie zmieszana. – Jak już mówiłam, raczej unikam cofania się w przeszłość i widzę, że powinnam była pozostać w tym konsekwentna. Rozstrząsanie tego, co minęło, sprawia, że człowiek traci kontakt z teraźniejszymi realiami. Zawsze to powtarzałam swojej matce, a sama postępuję zupełnie na odwrót.



– Więc nie powiesz mi, co było dalej? – spytała rozczarowana Ula.

– Skoro obiecałam, to powiem. Ale potem dość o tamtych sprawach. Nie możesz strawić całego pobytu w Polsce na poznawaniu starych rodzinnych historii. – Irena skrzywiła się z lekkim niezadowoleniem. – Tak więc matka pojechała do Jurczewic w drugi dzień świąt. Pamiętam, że ojciec niepokoił się tym, bo poprzedniej nocy spadł duży śnieg i nie było wiadomo, na ile przejezdne będą drogi. Przy takim śniegu nawet sanie mogły mieć trudności z przejazdem. Ojciec miał nawet pretensje do dziadka, że suszył matce głowę o odwiedzenie dziadka Jurczyńskiego w taką pogodę, choć ona wcale tego nie chciała, ale dziadek Witold tylko odparł, że tak trzeba i już. Obowiązek wobec rodziców to święta rzecz, zwłaszcza gdy się starzeją. Nawet jeśli wcześniej nie byli nam szczególnie bliscy. A poza tym nie pojechała przecież sama, lecz z doświadczonym woźnicą, który z pewnością zawróci, jeśli uzna, że drogi są zbyt niebezpieczne lub nieprzejezdne. Matka wróciła jeszcze przed zapadnięciem zmroku, a więc wcześniej, niż ktokolwiek przypuszczał, ale nie dlatego, że woźnica postanowił zawrócić. Tak jak pierwotnie przypuszczała, jej wyprawa do ojca nie miała sensu, podobnie jak nie miały sensu wszelkie utyskiwania nad jego samotnością. Nie był bowiem sam, choć z powodu śmierci syna jego samopoczucie było dalekie od ideału.

– Nie był sam? Ale przecież mówiłaś wcześniej, że jego żona nie wróciła do Jurczewic. A może przyjechała jedynie na święta?

– Ależ nie chodziło o nią. Twój pradziadek miał zapewnione jedyne towarzystwo, na jakim mu jeszcze zależało. W Jurczewicach moja matka zastała Cecylię Barcińską.

Adriannę już w korytarzu zdumiały dźwięki fortepianu dobiegające z salonu. Pomimo największych starań nie mogła sobie przypomnieć, czy widziała i słyszała kogokolwiek grającego na tym spręcie. Szczerze mówiąc, zapomniała, że w salonie w ogóle stał fortepian. Spojrzała na służącego, który odbierał od niej futro, ale nie patrzył jej w oczy.

– Ojciec ma gości? – spytała i nawet odetchnęła z ulgą. Okazało się, że Jurczyński jakoś sobie radził z samotnością i żalobą. W takim razie córka nie była mu potrzebna. Właściwie nigdy jej nie potrzebował, przecież zawsze to wiedziała, więc na dobrą sprawę najchętniej zawróciłaby na pięcie i odjechała do Radziejowa, ale nie mogła już tego zrobić. Choćby ze względu na służącego, który wciąż uciekając wzrokiem przed jej spojrzeniem, wskazywał jednak, by poszła do salonu.

– Proszę, niech pani wejdzie – powiedział i uklonił się, unikając odpowiedzi na pytanie.

Nie było zatem innego wyjścia, jak postąpić wedle tej sugestii. Nie chciała przecież wywoływać nowych plotek i skandalu, a tak by się niewątpliwie stało, gdyby zażądała z powrotem swojego futra. Nie mówiąc już o tym, że radziejowski woźnica właśnie był podejmowany w jurczewickiej kuchni gorącą herbatą i ciepłym posiłkiem.

Przy starym fortepianie w salonie siedziała Cecylia. Grała *Serenadę* Schuberta, swój popisowy numer, za który zawsze była nagradzana zasłużonymi brawami i komplementami. Ada pamiętała to doskonale. Teraz przysłuchiwał się jej wykonaniu jedynie siedzący nieopodal na kanapie Michał Jurczyński. Nie od razu zauważyli stojącą w progu Adę. Ona zaś patrzyła na nich kompletnie zdezorientowana. Ojciec wyglądał źle, ale to już miała okazję zauważyć kilka tygodni temu w Krakowie. Bardzo zeszczupeł, twarz mu się wydłużyła, a broda, której do tej pory nigdy nie nosił, wyraźnie go postarzała. Z trudem można w nim było rozpoznać postawnego, przystojnego, tryskającego witalnością i energią mężczyznę, jakim był jeszcze do niedawna. Śmierć syna pogрузzyła go w żalobie, z jakiej miał się już nigdy nie podźwignąć. Rozstanie z żoną także zrobiło swoje – Ada nie wyobrażała sobie wówczas, by mogło być inaczej. Jednak w jego oczach, wpatrzonych w grającą Cecylię, nie było tego martwego wyrazu, który tak przeraził Adriannę, gdy go zobaczyła przed pogrzebem Krzysia. Było to spojrzenie pełne smutku, nostalgii, ale także ciepła i wzruszenia. Spojrzenie, którego Ada do tej pory ani razu u niego nie widziała. A poza wszystkim było w nim... życie. Uczucie.

Najpierw spostrzegła ją Cecylia i raptownie przerwała grę. Zaskoczony tym faktem Jurczyński podążył za jej spojrzeniem i dopiero wtedy zobaczył córkę. Ada jednak patrzyła w tym momencie tylko na ciotkę.

– Co za niespodzianka! Co ty tu robisz?! – wykrzyknęła radośnie Barcińska, ale Ada natychmiast zorientowała się, że ta radość bynajmniej nie była szczerą. Ona w każdym razie nie zamierzała bawić się w żadne pozory.

– Raczej: co ty tu robisz? – spytała chłodno.

– Przyznaję, masz prawo być zaskoczona. – Ciotka szczebiotała teraz jak młoda dziewczyna, a ponieważ od wielu lat już tego nie robiła, mogło to oznaczać jedno – była zaskoczona. I to raczej niemile. Jak przyłapaną na jakimś głupim figlu pensjonarka. – Od czasu do czasu odwiedzam twój ojca, a on mnie.

– Nie wiedziałam o tym.

– Skoro nie interesujesz się rodziną, to nic dziwnego, że nie wiedziałas. Kiedy ostatni raz byłaś w tym domu? – Ciotka najwyraźniej postanowiła spróbować odbić piłeczkę. A może uznała, że najlepszą obroną jest atak? Czemu jednak przyjęła taką strategię?

Ada postanowiła nie odpowiadać na jej ostatnie, wyraźnie prowokacyjne pytanie i zwróciła się bezpośrednio do ojca:

– Zakładałam, mój ojczu, że wolałeś być ostatnio sam. Nie chciałam ci przeszkadzać. Dzisiaj postanowiłam cię odwiedzić, bo to przecież Boże Narodzenie. Przyszło mi do głowy, że możesz czuć się... bardziej osamotniony niż zwykle.

Co za głupie słowa! W dodatku niewiele w nich było szczerości. I ani odrobiny ciepła. Sama to słyszała i oczywiście nie miała wątpliwości, że oni oboje też tak to odebrali. Czuli się jak idiotka, ale nie miała pojęcia, co jeszcze mogłaby dodać. Każde słowo wypowiedziane w tych okolicznościach stanowiłoby porażkę. Może byłoby inaczej, gdyby ojciec naprawdę był tu sam. Ale obecność Cecylii udaremniała jakikolwiek cieplejszy gest ze strony Ady. Jakiegokolwiek rozumniejsze słowa.

Cecylia oczywiście odgadła, że jej pobyt w tym domu nie spodobał się siostrzenicy, lecz mimo to uśmiechała się, choć w jej oczach był chłód.

Jurczyński dla odmiany nie okazał po sobie żadnych uczuć, czyli zachował się tak jak zazwyczaj, niemniej gestem wskazał córce, by usiadła.

– Nie jest ze mną tak źle, jak przypuszczałaś – odparł spokojnie. – Od wielu lat większość czasu spędzam sam. Ale to nie musi oznaczać przygnębiającego uczucia osamotnienia.

Właśnie widzę, pomyślała Ada. Widzę, choć nadal nic nie zrozumieję. Nic a nic.

W tej samej chwili niemal podskoczyła, usłyszawszy dzwonek. Dopiero potem zorientowała się, że to ciotka wezwwała służbę.

– Kiedy obiad będzie gotowy? – spytała, gdy pokojówka weszła do salonu.

– Za jakiś kwadrans, proszę pani. Stół już prawie przygotowany.

– Trzeba przygotować jeszcze jedno nakrycie. Jak widzisz, mamy... – przerwała i poprawiła się: – Pan Jurczyński ma gości.

– Oczywiście, proszę pani. Już przygotowałyśmy nakrycie.

– Dziękuję.

Zachowuje się jak pani domu... Jak długo to trwa? – zastanawiała się Ada.

Słuchając wymiany zdań między służącą a Cecylią, rzuciła krótkie spojrzenie na ojca. I wtedy doznała olśnienia. Jakaż była głupia! Albo przynajmniej naiwna. Najwcześniejsze wspomnienia z dzieciństwa spędzonego w tym domu dotyczyły przecież także Cecylii. Była częścią Jurczewic, zwłaszcza odkąd przeprowadziła separację z mężem. I zachowywała się tutaj jak pani domu, zwłaszcza wtedy, gdy jej kuzynka wskutek kolejnych niedyspozycji nie mogła podołać swoim obowiązkom we dworze, w tym także podejmować gości. Czy kogokolwiek z tych gości to dziwiło? Raczej nie, przynajmniej nikt tego nie okazał. Cecylia była przecież stryjeczną siostrą Heleny Jurczyńskiej i każdy wiedział, jak były sobie bliskie. Wychowały się razem. A zachowanie Cecylii wobec szwagra nigdy nie nasuwało jakichkolwiek podejrzeń. Lubił ją, bodaj jedyną z krewnych jego żony. Ada zawsze o tym wiedziała, a mimo to dopiero teraz ta sympatia wydała jej się zastanawiająca – często radził jej się w różnych sprawach dotyczących domu, ale wyglądało to na przyjacielską życzliwość okazywaną bliskiej kuzynce żony. Z całą pewnością nikt nie dopatrywał się w tym żadnej dwuznaczności. Przeciwnie – wszyscy się cieszyli, gdy Cecylia przyjeżdżała do Jurczewic. Pewnie dlatego, że jej wizyty przynosiły ze sobą wrażenie, że wszystko dzieje się tak, jak powinno. Bo dom nareszcie ma swoją panią. Jurczewicka służba tak właśnie to odbierała. I nikt niczego nie podejrzewał.

Nikt?

W tej jednej chwili Ada pomyślała o Kazi, swojej nieżyjącej piastunce. Teraz nie miała już wątpliwości – Kazia wiedziała. Skąd? To na zawsze pozostanie tajemnicą. Jej niechęć wobec Barcińskiej, tak widoczna nawet dla małej Ady, choć niania nigdy się do tego na głos nie przyznała, wreszcie się wyjaśniła.

Za późno. Czemu mi tego wcześniej nie powiedziała? – myślała z goryczą Ada, by potem przyznać się sama przed sobą, że nigdy nie dała staruszce ku temu żadnej szansy. A nawet gdyby Kazia wykrzyczała jej wtedy prawdę – w końcu nie wahała się podnosić na nią głosu, gdy uważała to za zasadne – to Ada i tak by jej wtedy nie uwierzyła. Ani wtedy, gdy ojciec niespodziewanie ożenił się z Reńską, ani wówczas, gdy po dziesięcioletnim pobycie u ciotki Ada wróciła do Jurczewic.

Te dziesięć lat, które sprawiły, że Ada bezkrytycznie pokochała Cecylię i wierzyła w każde jej słowo...

Teraz przynajmniej rozumiem, dlaczego byłaś tak rozgoryczona, gdy pakowałam moje rzeczy do szkoły w Warszawie, dumając z rozrzewnieniem Ada, wspominając nianię. Niestety już jest za późno, by

cokolwiek zmienić. Dziś bym cię wysłuchała, zamiast reagować złością na każde twoje upomnienie. Straciłam szansę dowiedzenia się o tylu sprawach, bo uważałam, że jesteś niesprawiedliwa i uprzedzona do ciotki. Bo doceniłaś, jak ważna mogła być dla mnie Rozalia, a ja jej przecież nienawidziłam. Nienawidziłam jej, bo nienawidziła jej Cecylia. Za ten romans, za dziecko, przez które ojciec ożenił się z guwernantką.

Modliła się, by obiad, na który z uprzejmości przyjęła zaproszenie, wreszcie się skończył. By mogła trzasnąć tymi drzwiami i wrócić do Radziejowa. Zrobiłaby to nawet w największy mróz, śnieżną zawieję i w środku nocy. Nawet gdyby wszyscy wokoło, w tym doświadczony woźnica z Radziejowa, jej to odradzali, sugerując pozostanie w tym domu do rana. Byle tylko stąd wreszcie wyjść i już nigdy nie wracać. Tym razem – naprawdę – już nigdy.

Przy stole toczyła się banalna wymiana zdań, nie wypadało przecież siedzieć w milczeniu. Tyle że Ada nie potrafiła nigdy potem przypomnieć sobie czegokolwiek z tej rozmowy, podtrzymywanej głównie przez Cecylię. Michał Jurczyński jedynie od czasu do czasu rzucał jakąś uwagę, ale patrząc na niego, Rawicka nie miała cienia wątpliwości, że przynajmniej ten jeden raz pragnienia jej i ojca całkowicie się pokrywały. Z pewnością, tak jak ona, marzył, by wreszcie odjechała.

Ada zresztą nie miała zamiaru go o nic pytać ani nakłaniać do wyznań. Gdy tylko podano kawę, poprosiła lokaja, aby polecił jej woźnicy przygotować sanie do drogi.

– Zaraz wyruszam. Chciałabym zdążyć wrócić do domu, zanim zapadnie noc – odezwała się obojętnym tonem do ojca i ciotki.

– Może zostaniesz do rana? Nie najlepsza pogoda na podróż – mruknął Jurczyński, ale Ada wiedziała, że zrobił

to z czystej uprzejmości. Tak naprawdę nie miał zamiaru jej zatrzymać. I bardzo dobrze.

– Wolę wrócić do domu, ale dziękuję za zaproszenie – odparła i podniosła się.

– Odprowadzę cię. – Cecylia także się podniosła.

– Nie trzeba, zimno na dworze.

– Nic podobnego. Świeże powietrze dobrze mi zrobi.

Gdy wyszły, właśnie podprowadzano konie. Mróz zrobił się jeszcze większy niż przed południem, a promienie zachodzącego słońca odbijały się na iskrzącym śniegu.

– Zanim zaprzęgną konie, przejdźmy się kawaleczek – zaproponowała Cecylia, otulając się szczelniej kapturem.

– Chyba nie mam już na to czasu. Wołałabym wsiąść do sań – odparła chłodno Ada.

– Raptem kilka minut, nie więcej.

– Jest za zimno nawet na krótkie spacerki. Marzę o tym, aby się okryć kozuchem w saniach. Nie gniewaj się, ciociu, ale...

– Jak chcesz. Narzucać się nie będę. Ale nie wiadomo, kiedy będziemy miały następną okazję do rozmowy.

– Czemu nie przyjedziesz do Radziejowa?

– Nie jestem tam mile widziana. Dobrze o tym wiesz, więc po co pytasz.

– Masz rację. Twojemu bratu nigdy nie odpowiadało, że bawiłaś się w panią jego domu, także wtedy, gdy żyła jeszcze jego żona. Zupełnie odwrotnie niż w przypadku mojego ojca. Teraz przynajmniej wiem dlaczego.

– Nic nie wiesz i dlatego chciałabym, abyś usłyszała to ode mnie, zamiast gubić się w domysłach.

– Nie gubię się w domysłach! – Ada podniosła głos, czując, że jej cierpliwość się wyczerpała. Jeszcze sekundę temu nie planowała kłótni i nie chciała niczego słyszeć z ust tej kobiety. W tej chwili nadal tak było, wiedziała, że każde słowo, które od niej usłyszy, będzie kłamstwem, ale niespodziewanie nabrała ochoty, aby jej to powiedzieć – prosto w oczy. Tym bardziej że – jak Cecylia sama słusznie przed chwilą wspomniała – nie wiadomo, kiedy będzie następna ku temu okazja. Być może nie będzie jej już nigdy. – Nie gubię się w domysłach – powtórzyła. – Zapominasz, że nie jestem już dzieckiem, które spięło z twoich ust każde słowo niczym prawdę objawioną.

– Co ty mówisz, kochanie? – wyszeptała Cecylia i wykonała taki gest, jakby chciała

pieszczotliwie dotknąć policzka Ady, ta jednak zręcznie uchyliła się od tego. – Wytlumaczę ci...

– Nie trzeba. Wiem, co widziałam. Chciałam ci zaoszczędzić tej rozmowy a przy okazji, przyznaję, sobie także. Jeśli jednak nalegasz, spytam cię o parę spraw. Choć właściwie Bóg jeden wie, na co mi ta wiedza. Powiedz, jak długo to trwa.

Cecylia opuściła rękę i cofnęła się o jeden krok. Przygryzła wargi, ale skinęła leciutko głową na znak, że jest gotowa podjąć to wyzwanie.

– Lepiej się poczujesz, jeśli powiem, że od dawna?

– Od jak dawna? Gdy odwiedzałaś nas w tym domu czy jeszcze wcześniej – zanim się urodziłam?

– Zanim twój ojciec poślubił twoją matkę.

– Ach tak! Jakie to romantyczne – prychnęła z pogardą Ada, choć poczuła, jak jej serce ścisnęło się z bólu. – W takim razie czemu nie poślubił ciebie? Matka miała większy posag do zaoferowania?

– To proste, byłam już wtedy mężatką. – Cecylia dostosowała się do jej tonu.

A ja, durna, przez tyle lat uważałam ją za chodzący ideał. Podziwiałam ją za odwagę życia według własnych zasad i kochałam całym sercem. Myślałam, że ona jest dobrym człowiekiem. Boże drogi! Ona i zasady! Ona i dobro! – wykrzykiwała w myślach Ada.

– A to pech. – Uśmiechnęła się złośliwie. – I co? Twój mąż się o tym dowiedział?

– A jak myślisz, dlaczego zgodził się na separację? – odparła identycznym tonem i nawet z identycznym uśmiechem ciotka.

Nie wyprowadzisz mnie z równowagi, postanowiła Ada, choć nie miała pewności, czy postanowienia tego dotrzymana.

– Czemu zatem nie zgodził się na rozwód? Separacja nie dała ci możliwości związania się z kimś innym. – Głos jej jednak niebezpiecznie drgnął. – Nie dała ci możliwości związania się z moim ojcem.

– Właśnie dlatego się nie zgodził. – Głos Cecylii również drgnął, opanowała się jednak i ponownie spojrzała wyzywająco w oczy Ady. – Taką karę wymyślił dla mnie mój mąż. Ale chybił celu. Nie przyszło mu do głowy, że małżeństwo nie jest jedynym rodzajem związku, jaki może połączyć dwoje ludzi. I nie jest jedyną gwarancją wierności.

– Rozumiem, że ty przez cały ten czas dotrzymałaś wierności mojemu ojcu.

– Oczywiście. Choć nie obchodzi mnie, czy ty w to wierzysz.

– Ależ wierzę ci. Domyślałam się, że nie było ci łatwo, zważywszy na to, że twój kochanek nie odplacił ci tym samym.

– Małżeństwo z Heleną nie miało znaczenia – odparła spokojnie Cecylia. – Tym bardziej że ożenił się z nią, gdy ja jeszcze byłam mężatką.

– Moja matka kochała cię i ufała ci jak nikomu na świecie. To w twoim domu szukała pomocy, gdy zdecydowała się opuścić męża. – Ada ponownie podniosła głos. – Czy choć raz przyszło ci do głowy, jak ją skrzywdziłaś?

– Nigdy się nie dowiedziała. Co jeszcze mogę dodać w tej sprawie?

Patrzyły sobie teraz prosto w oczy. Przez twarz Barcińskiej nie przebiegło najmniejsze drgnienie.

– To cię nie usprawiedliwia – rzekła wreszcie lodowatym tonem Ada.

– Powiedziałam, że szukam usprawiedliwienia?

Niech ją licho porwie! Ta kobieta przypomina gumę. Każdy inny materiał można złamać. Guma się powygina, a potem i tak wyprostuje.

Czas było już kończyć tę rozmowę. Konie prychały przy saniach i zaczynały niecierpliwie uderzać kopytami o śnieg.

Woźnica także, przytupując z zimna i pocierając dłonie, raz po raz zerkał w stronę rozmawiających kobiet.

I wtedy przyszło Adzie do głowy, że jest sposób, by boleśnie dotknąć ciotkę. Nie potrafiła sobie tego odmówić.

– Rozumiem, że jego romansu z guwernantką też nie potraktowałaś w kategoriach zdrady i niewierności? Masz słuszość, kto by się tam przejmował takim epizodzikiem. Chyba że jednak zaniepokoił cię fakt, dlaczego zainteresowała go taka nieładna, niezgrabna dziewczyna, skoro, jak

twierdzisz, był tak silnie związany z tobą. Gdzie jej tam było do ciebie! Ani się umywała! A jednak coś go w niej ujęło, choć przecież nie był Don Juanem ani casanovą. Mało tego! Ożenił się z nią, mieli dziecko. Ale jakie to mogło mieć znaczenie dla ciebie? Takiej wyzwolonej kobiety! Choć chyba miało! Inaczej nie czułabyś do niej takiej nienawiści. Przecież pamiętam, co mi na jej temat latami kładłaś do głowy. O moim ojcu nigdy nie powiedziałaś złego słowa. Popęnił błąd, mówiłaś. Potem biedaczek zapłacił za ten błąd, bo był bardzo nieszczęśliwy z tą żalostną raszplą. Twoje własne słowa, cioteczko! Ja ich nie wymyśliłam. Ja je tylko zapamiętałam. – Ponownie zbliżyła się do bardzo teraz bladej Cecylii. Chyba naprawdę udało jej się zranić ciotkę, ale i ją samą coś przy okazji ścisnęło za gardło. – Rozalia jednak dowiedziała się o tobie i o moim ojcu, prawda? Odkryła to jakiś czas temu i dlatego, kiedy tylko mogła, zabierała syna i wyjeżdżała do swojej rodziny. A kiedy chłopiec umarł, uznała, że nie istnieje już żaden powód, dla

którego miałyby tu wrócić. Jak dawno temu dowiedziała się o was? Założę się, że bardzo dawno.

Odwróciła się i usiadła w saniach, po czym otuliła się leżącym tam futrem.

– Wracaj teraz do niego i pograj mu na fortepianie! – zawołała jeszcze na pożegnanie do oddalającej się postaci. Obecność woźnicy nie miała dla niej znaczenia. – Chyba niewiele więcej możecie już razem zrobić!

Pozwoliła sobie na łzy dopiero, gdy wyjechali poza granice Jurczewic.

Wieczorem zapukała do gabinetu teścia. Wiedziała, że to było jego ulubione miejsce w Radziejowie, jego azyl – jak sam lubił mawiać. Miał tu swoją bibliotekę, pamiątki rodzinne, w tym stare listy i fotografie, a także wszystkie rachunkowe księgi i dokumenty dotyczące majątku. Wystrój gabinetu był chyba od stu lat taki sam, meble równie dobrze mogły znaleźć się w muzeum, tak były stare i niefunkcjonalne. Mimo to Rawicki nie chciał słyszeć o żadnych zmianach.

– Ostatecznie sam jestem stary i coraz mniej funkcjonalny – mówił żartobliwie.

Uśmiechnął się z rezygnacją na widok synowej i gestem zaprosił ją, by usiadła. Przez chwilę mierzyli się uważnymi spojrzeniami.

– Ty o wszystkim wiedziałeś, prawda? – zagadnęła wreszcie Ada.

– O wszystkim na pewno nie – westchnął. – Czy sądzisz, że gdybym wiedział, że ją tam zastaniesz, namawiałbym cię do odwiedzenia ojca?

– Przyznam, że przyszło mi to do głowy. W drodze powrotnej tysiące myśli, przypuszczeń i podejrzeń dosłownie bombardowały mój umysł. Dlatego zaczęłam podejrzewać, że chciałeś, abym dowiedziała się o wszystkim, tyle że nie od ciebie. Tobie mogłabym nie uwierzyć. Jak niewierny Tomasz musiałam na własne oczy zobaczyć, usłyszeć... dotknąć. Miałeś prawo tak o mnie myśleć. Podobnie jak kiedyś Kazia i Rozalia.

– Nie wiedziałem, że Cecylia przyjechała do Jurczewic – zdenerwował się Witold. – Co mam zrobić, abyś mi uwierzyła?

– Ależ wierzę ci, wuju. – Podniosła dłoń w uspokajającym geście. Od dnia ślubu nie zwracała się do niego w ten sposób. Teraz jednak zapragnęła nazwać go wujem. Jak wtedy, gdy była jeszcze dzieckiem, które nie zdawało sobie sprawy ze wszystkich aspektów dramatu rodzinnego. – Przypomniam sobie tylko naszą rozmowę sprzed lat – kontynuowała – gdy spotkaliśmy się w Warszawie, gdy użalałam się przed tobą, że na rozkaz ojca muszę wracać do Jurczewic. Byłam wtedy oburzona na ciebie, bo odniosłam wrażenie, że próbowałeś bronić Rozalii. Wyraźnie zabroniłeś mi oskarżać ją o śmierć matki. Powiedziałeś mi nawet, że nic nie wiem na ten temat. Wiedziałeś, musiałeś wtedy wiedzieć, że powtarzałam opinię ciotki, jej słowa. A dzisiaj, gdy to sobie przypomniam, przyszło mi do głowy, że próbowałeś wtedy dać mi do zrozumienia, że ona mnie oszukiwała. Chciałeś zwrócić moją uwagę na sprawy, które już dawno powinny mnie zaniepokoić. Nie powiedziałeś mi tego wszystkiego wprost, wiedząc, że w takiej formie bym tego nie przyjęła. Nie uwierzyłabym. Podobnie próbowała to zrobić moja niania. Nawet Rozalia...

– Bardzo mi przykro – odpowiedział po krótkim namyśle Witold.

Adrianna uśmiechnęła się gorzko.

– Dlaczego? – spytała.

W pierwszej chwili nie zrozumiał.

– Co dlaczego? – zapytał, unosząc brwi.

– Nie musi być ci przykro. To nie była i nie jest twoja wina.

– Jest mi przykro, że namówiłem cię na odwiedzenie ojca. Że naraziłem cię... na tyle bólu.

– Ależ nie, wuju. Dobrze, że się dowiedziałam. I wcale tak bardzo mnie to nie zabolalo, jak się obawiasz. Ojciec nigdy nie był dla mnie kimś bliskim, a ona... od kilku lat także jest mi obojętna. Nie odczuwam bólu, raczej złość, że tak długo dawałam się wodzić za nos i nie chciałam słuchać mądrzejszych od siebie.

– No cóż. – Rawicki uśmiechnął się łagodnie. – Taki jest przywilej młodości, która rzadko kiedy lubi słuchać czego innego niż tego, w co pragnie wierzyć. Zresztą odkąd poślubiłaś Dezyderego, przestało mi już zależeć, abyś dociekała prawdy. Ja sam w pewnym momencie dałem temu spokój. Uznałem, że po śmierci Heleny to już nie moja sprawa. Tym bardziej że zawsze byłem bezradny, jeśli chodziło o stosunki między twoimi rodzicami.

– A właściwie to w jaki sposób i kiedy dowiedziałeś się, że oni oboje, to znaczy ciotka i mój

ojciec... no wiesz... – Nie zmieszała się ani nie zarumieniała. Miała wrażenie, że zamiast serca ma w piersiach bryłę lodu. Mimo to wzdragała się przed nazwaniem po imieniu tego, co łączyło Michała Jurczyńskiego z Cecylią Barcińską.

Witold wyraźnie się zawahał. Odniosła wrażenie, jakby teraz zaczął się zastanawiać nad każdym kolejnym słowem.

– To były tylko domysły oparte na niedających mi spokoju przeczuciach. Gdy opowiedziałem o nich mojemu ojcu z sugestią, by nie wydawał Heleny za Jurczyńskiego, wyśmiał mnie w niewybrednych słowach i zagroził, że mnie wydziedziczy. Nie przekaze przecież Radziejowa wariatowi, który kieruje się w życiu przeczuciami i domysłami. Właściwie niczego bardziej konkretnego nie miałem, Michał i Cecylia na pozór zachowywali się wobec siebie nienagannie, dlatego postanowiłem dać temu spokój. Ożeniłem się, po śmierci ojca przejąłem Radziejowo, potem straciłem żonę, słowem życie toczyło się dalej. Ale te parszywe domysły nie chciały mnie opuścić. Choć po śmierci Heleny straciły jakikolwiek sens.

– Cecylia zapewniła mnie dzisiaj, że matka nigdy się o niczym nie dowiedziała. – Ledwo to powiedziała, a chwycił ją nagły lęk.

Na twarzy Witolda pojawiły się irytacja i gniew.

– A ty nadal jej wierzysz? Tak samo bezkrytycznie jak wtedy? – sarknął i odwrócił głowę do okna.

– Twierdzisz, że matka... wiedziała? – Ada patrzyła na niego wstrząśnięta. – Przecież to niemożliwe. Nie zamieszkałaby u niej po opuszczeniu Jurczewic, gdyby cokolwiek podejrzewała. Przyjechałaby raczej tu, do ciebie, do Radziejowa, ale nie do niej. Miała... problemy ze sobą, ale przecież nie straciła do reszty instynktu samozachowawczego. A u Cecylii mieszkała niemal do samej śmierci.

Witold w zamyśleniu pokiwał lekko głową, jakby przyjmował do wiadomości jej argumenty, ale nieokreślony do tej pory niepokój Ady zaczął nabierać coraz wyraźniejszych kształtów. Coś tu było nie tak, teś najwyraźniej miał pewne wątpliwości, które wolał zachować dla siebie.

No cóż, miał do nich prawo. Nie będzie go naciskała. Nie będzie już do tej sprawy wracała. I nie będzie bez końca rozpamiętywała swojego dzieciństwa. Koniec z tamtymi wspomnieniami.

Życząc dobrej nocy, pocałowała go w policzek, ale przy samych drzwiach zatrzymała się i zsunęła dłoń z klamki.

– Matka się o tym dowiedziała? – spytała cicho, nie odwracając się w jego stronę.

– Byłem u niej na kilka godzin przed śmiercią. – Usłyszała jego głos, tak samo cichy jak jej własny przed chwilą. – Wydawało mi się, że mnie rozpoznała, choć Cecylia jeszcze w domu zapewniała, że Helena jest nieprzytomna i albo leży nieruchomo, albo majaczy. Na mnie jednak patrzyła tak... świadomie. Poruszyła ustami, ale zaraz spostrzegłem, że to dla niej duży wysiłek. Poprosiłem, żeby nic nie mówiła, bo to ją osłabia. Nagle zrobiła się bardzo niespokojna. Potrzęsnęła głową, zaczęła szarpać kołdrę. Wystraszyłem się, że zaczęła się agonizować, i chciałem zawołać lekarza albo pielęgniarkę, a wtedy ona chwyciła mnie za rękę. Uchwyt niemowlęcia byłby silniejszy. Szepnęła tylko: „Cecylia”. Ja na to, że jej tu nie ma. Byłem pewien, że chciała ją widzieć, ale ona znowu potrząsnęła głową. Powtórzyła: „Cecylia”, ale zaraz dodała: „I Michał... Oni oboje... Wiem... i ty wiesz...”. Gładziłem ją po dłoni, chciałem uspokoić. Zaraz nadeszła pielęgniarka i zasugerowała, abym wyszedł, bo siostra musi odpocząć. Miałem przyjść wieczorem. Oczywiście mogłem bez trudu uwolnić swoją dłoń z jej słabego uścisku, ale... Nie, właściwie było to ponad moje siły. Szepnęła jeszcze: „Wieczorem... Za późno... Widziałam...”. A potem: „listy”. Ale nie wiem, czy miała na myśli to, że widziała Cecylię i Michała razem, czy że widziała jakieś listy. A może ani jedno, ani drugie. Już nie patrzyła na mnie tak świadomie jak przed chwilą. Gałki oczne odsunęły jej się... jakoś tak, do tyłu. Znowu straciła przytomność i już jej nie odzyskała. Przybiegł lekarz i tym razem kategorycznie kazano mi wyjść. Pewnie gdybym się temu sprzeciwił, pozwoliliby mi zostać, ale... wyszedłem. Nigdy nie byłem zdolny do walki, kłótni i stawiania na swoim, a wtedy mniej niż kiedykolwiek. Gdy wróciłem po paru godzinach, było już, jak to niektórzy mawiają, po wszystkim. Doktor powiedział, że ze mną przynajmniej zamieniła kilka słów, co chyba miało mnie pocieszyć. A potem dodał, że w obecności swojej kuzynki nawet nie otwierała oczu. I że



czasami była przytomna, jednak jakby nie miała ochoty na nią spojrzeć, przynajmniej takie odniósł wrażenie. – Witold podszedł do Ady i choć ona nadal stała odwrócona do drzwi, dotknął jej ramienia. – Ale to, co przed chwilą usłyszałaś, nie jest dowodem, że Helena o czymkolwiek wiedziała. Równie dobrze mogła majaczyć. I raczej tak było. Bo przecież, jak sama zauważyłaś, twoja mama praktycznie do samego końca mieszkała z tobą w domu Cecylii. Nie zrobiłaby tego, gdyby poznała prawdę.

– Chyba że poznała tę prawdę tuż przed tym atakiem choroby, który skończył się jej śmiercią – szepnęła Ada.

Nie miała siły opowiedzieć Witoldowi o tej ostatniej kolacji, podczas której towarzyszyła jej matka. O tym wyraźnym przygnębieniu i duchowej nieobecności Heleny podczas tamtego wieczoru.

Dowiedziała się prawdy i to ją zabiło, myślała.

– Sądziś, że to możliwe, by człowiekowi pękło serce? – spytała tak cicho, że sama ledwo się słyszała. – Że to nie jest tylko wymysł literatów, ale fakt naukowo potwierdzony?

– Nie wiem, moje dziecko. Bardzo wątpię. W gruncie rzeczy serce człowieka potrafi bardzo wiele znieść. Sam to dobrze wiem.

– Serce zdrowego człowieka – poprawiła go i wtedy dwie wielkie łzy popłynęły po jej policzkach.

Nagle Witold podjął decyzję i przytulił ją do siebie.

– Powiem ci, powinnaś to wiedzieć. Była przecież twoją matką. – Dłonie mu drżały, gdy głaskał ją po włosach. – W jej przypadku to nie był żaden atak. Umarła, bo taka była jej wola. Połknęła taką dawkę trucizny, by ze sobą skończyć. Choć za małą, by stało się to natychmiast.

\*

– Aż do śmierci swojego ojca moja matka nie przestąpiła progu Jurczewic – kontynuowała Irena. Choć zapadał już mrok, przemierzały ulice warszawskiego Żoliborza na piechotę.

Każde miasto, a przynajmniej każde duże miasto Europy Zachodniej, jest rozświetlone, nawet w nocy. – Ta myśl pojawiała się w głowie Uli za każdym razem, gdy patrzyła po zmroku na spowitą ciemnością Warszawę. Oczywiście tu i ówdzie świeciły się jakieś pojedyncze latarnie, lecz wyglądało to bardzo żałośnie w porównaniu do tętniących życiem, rozjaśnianych neonami teatrów, kin, restauracji i kawiarni stolic państw po drugiej stronie żelaznej kurtyny. W Warszawie w nocy jakby zamierało życie. Mało kto się kwapił wychodzić na pogrążone w mroku ulice. Posiadacze odbiorników telewizyjnych raczyli się rozrywką ze szklanego ekranu. A potem wszyscy kładli się do łóżek, by następnego dnia biec do marnie opłacanej pracy, po niej odstać swoje w sklepowych kolejkach. Zresztą na podstawie tego, co mówili kuzyni, wywnioskowała, że mało kogo w Polsce stać było na rozrywki i kawiarnie.

Niemniej spacer w towarzystwie ciotki okazał się przyjemny, należało tylko unikać co bardziej odludnych i całkowicie już ciemnych uliczek. Był ciepły wieczór, na niebie zaczęły się pojawiać pierwsze gwiazdy, zapowiedź kolejnego pogodnego dnia.

– Czy babka Adrianna rozmawiała jeszcze kiedykolwiek z ciotką Cecylią? – spytała ciekawie. Rodzinna historia ani na moment nie przestała jej ciekawić.

– Tylko raz. Po pogrzebie Jurczyńskiego.

– Kiedy zmarł?

– Latem tysiąc dziewięćset dwudziestego czwartego. Późnym latem, ostatniego dnia sierpnia.

– A więc lada dzień będzie rocznica?

– Nikt w rodzinie jej nie obchodzi. Bardzo słabo znałam i mało pamiętam dziadka Jurczyńskiego. Nie mam ani jednego cieplejszego, bardziej osobistego wspomnienia z nim związanego. Zupełnie inaczej niż w przypadku dziadka Rawickiego.

– Babka Adrianna jednak z pewnością chodzi na cmentarz w rocznicę jego śmierci.

– I bez tego stale tam chodzi. – W głosie ciotki Ula usłyszała wyraźną ironię. Nie skomentowała tego jednak ani słowem.

– A więc pojechała do Jurczewic dopiero po pięciu latach od tamtego feralnego Bożego Narodzenia? I dopiero z powodu śmierci ojca? – chciała się upewnić raz jeszcze.

– Ścisłej mówiąc, dopiero na wiadomość o jego śmierci. Ale dopóki żył, także i on nie przejawiał

żadnej inicjatywy, aby się z nią dogadać. Milczeli więc oboje. Oboje byli twardzi. W tym czasie zresztą w całym kraju działo się tyle ważnych rzeczy, że czasami nawet najbardziej poharatane sprawy rodzinne musiały zejść na dalszy plan. W dwudziestym roku była wojna Rosją i bolszewicy dotarli aż na przedpola Warszawy.

– Ty to pamiętasz?

– Pamiętam atmosferę grozy, której paradoksalnie nie towarzyszyła panika. Społeczeństwo zachowało zadziwiający spokój. Podobnie wojsko, które tygodniami trwało w defensywie, zachowując jednak dyscyplinę i porządek. Pamiętam, gdy ludzie opowiadali, że w Warszawie dzień w dzień odbywały się modlitwy i procesje w intencji ocalenia i zwycięstwa. Dlatego kiedy zwycięstwo pod Warszawą w połowie sierpnia stało się faktem, rozpoczęły się z kolei zażarte dyskusje zakończone niejednokrotnie awanturami – czy był to cud za przyczyną Matki Boskiej, czy geniusz jednego człowieka, czyli ówczesnego Naczelnika Państwa, a może geniusz generała Rozwadowskiego lub nawet obecność i rady generała Focha. Dyskusje i kłótnie, jak to u nas w kraju.

– I nie tylko tutaj.

– Z kolei następny poważny kryzys mógł się zdaniem niektórych zakończyć nawet wojną domową. W grudniu dwudziestego drugiego roku, po zaledwie tygodniowym urzędowaniu, został zamordowany pierwszy prezydent Rzeczypospolitej, mówię o Narutowiczu. Wszystko w wyniku nagonki politycznej jego przeciwników, rozczarowanych wynikiem wyborów. Tylko dojrzałość społeczeństwa, fakt, że ludzie mieli już dość wojny, a zdaniem niektórych modlitwa, jakoś to wszystko uciszyły. Ale kolejne lata też nie były łatwe. Skłócony sejm, rozpadające się koalicje, hiperinflacja w dwudziestym trzecim roku, a potem reforma finansowo-walutowa Grabskiego – to wszystko powodowało, że wzajemne ignorowanie się na linii Jurczewice–Radziejowo zeszło na dalszy plan. Tym bardziej że zarówno dziadek Witold, jak i mój ojciec byli bardzo aktywnymi komentatorami wydarzeń politycznych... a do tego rzadko kiedy jednomyślnymi.

– Michał Jurczyński nie był jeszcze stary, gdy umarł – zauważyła Ula.

– W żadnym razie. Miał sześćdziesiąt cztery lata. Ale po śmierci drugiego syna już nigdy się nie pozbierał. Nie tylko nie interesowały go wydarzenia w kraju, lecz stracił też serce dla własnego majątku. Gdy zachorował, nie chciał widzieć żadnego doktora, nie podejmował leczenia. Podobno powiedział, że te wszystkie kuracje tylko dodatkowo człowieka otępiają i odbierają mu resztki godności, których jeszcze nie zdążyła zniszczyć choroba.

– I Cecylia Barcińska na to pozwoliła? A może i ona go w końcu zostawiła?

– Matka też ją o to zapytała.

– Więc jednak się spotkały?

– Oczywiście. Ciotka zawiadomiła moją matkę o śmierci Jurczyńskiego. I dopiero wtedy matka pojechała do Jurczewic. Do niej, jako do córki zmarłego, należało zorganizowanie pogrzebu.

– I objęcie majątku, którego była jedyną spadkobierczynią – odpowiedziała Ula, zanim ugryzła się w język. Zaczerwieniła się i z miną winowajczyni wyjąkała przeprosiny.

– Przyznaj się, że Eliza tak to zinterpretowała – pogroziła jej Irena, ale błysk w jej oczach nie świadczył o oburzeniu. Raczej o pełnym pobłażliwości lekkim rozbawieniu. – Nie kręć. To jej słowa. Kiedyś, w jednej z kłótni, to właśnie wytknęła naszej matce.

– Wspomniała o tym, ale nie opowiedziała szczegółów – przyznała niechętnie Ula.

– A zatem zapomniała, że Adrianna Rawicka nie była wtedy jedyną spadkobierczynią Jurczewic. Bo tą drugą, w myśl litery prawa znacznie ważniejszą, była Rozalia – w dalszym ciągu legalna małżonka zmarłego. I moja matka nie zamierzała stosować tu żadnych kruczków.

\*

Cecylię zastała w salonie, przy trumnie zmarłego. Oprócz ciotki modliły się tam jeszcze służba i dwie, trzy osoby z sąsiedztwa.

– Dobrze, że tak szybko przyjechałaś – rzekła cicho ciotka, podchodząc do niej na powitanie. Adrianna nie pozwoliła, by tamta bodaj dotknęła jej dłoni. Patrzyła tylko na ojca. Spojrzenie Cecylii

podążyło jej śladem. – Nic nie mogłam poradzić na to, że nie chciał się leczyć – dodała wobec tego, ale takim tonem, jakby chciała się usprawiedliwić. – Byłam zupełnie bezradna i... sama. Nie, nie mam do ciebie pretensji, nie zrozum mnie źle... – zająknęła się speszona, gdy Ada na sekundę oderwała wzrok od ojca i popatrzyła na nią.

– To naprawdę dla mnie nieistotne, czy masz do mnie pretensje, czy też nie – odezwała się po raz pierwszy od przyjazdu Ada. – Myślałam, że właśnie z tym będzie mi się zawsze kojarzył ten dom.

– Z czym? – spytała ze zdumieniem, ale i przestachem Cecylia.

– Ze śmiercią. Z trumnami wystawionymi w tym salonie. Najpierw mój mały braciszek, potem matka, a teraz... on. To miejsce jest niczym grobowiec. I nikt tu nigdy nie był szczęśliwy.

Odwróciła się na pięcie i wyszła. Cecylia podążyła za nią.

– Powinnaś zająć się pogrzebem – zaczęła z wahaniem Cecylia. – Ze mną proboszcz... nie bardzo chciał o tym rozmawiać.

Co ty powiesz? – pomyślała z ironią Ada, ale to nie była pora na złośliwości i kpiny. Istniała inna ważna kwestia.

– Należałoby powiadomić Rozalię – zauważyła.

– Chyba nie oczekujesz, że ja to zrobię? – padło sarkastyczne pytanie.

Nie było sensu przedłużać rozmowy ani siedzieć beczynn timer w tym domu.

– Masz rację. Zaraz się tym zajmę.

– Poczekaj. – Cecylia najwyraźniej postanowiła wziąć się w karby. – Przecież ona go zostawiła, i to w najgorszym możliwym momencie – gdy opłakiwał śmierć syna. Nie zasługuje na żadne względy.

– Nigdy formalnie nie przestała być jego żoną. A poza tym przypominam ci, że ona nie mniej płakała po śmierci Krzysztofa.

– Nagle zrobiłaś się wobec niej bardzo łaskawa – zirytowała się ponownie ciotka.

Jej irytacja sprawiła jednak Adzie pewnego rodzaju satysfakcję.

– Z pewnością nie nagle – odparła z pozornym spokojem. – Raczej od momentu, gdy zrozumiałam, że miała podobny problem jak moja matka. Dla nich obu byłaś niczym pijawka albo wrzód na pewnej części ciała. Wybieraj, co ci bardziej odpowiada.

– Jak śmiesz tak mówić! W dodatku w takim dniu! – oburzyła się Cecylia, a widząc, że Ada ruszyła w kierunku gabinetu zmarłego, zawołała: – Co spodziewasz się tam znaleźć? Bez obaw, wiem, że uwzględnił cię w swoim testamencie. I nie obawiaj się, że zabrałam albo zniszczyłam cokolwiek z korespondencji... oprócz listów ode mnie. – Zmrużyła złośliwie oczy. – No, ale sama przyznasz, że w takiej sytuacji powinny wrócić do mnie. Nic ci po nich, skoro wiesz wszystko i pozostali także wiedzą albo się domyślają.

Niech cię diabli! – chciała wrzasnąć Ada, ale nadludzką niemal siłą woli powstrzymała wybuch.

W gabinecie ojca nie znalazła jednak niczego poza pismami urzędowymi, wyciągami z banków czy korespondencją ze współnikami w interesach. Żadnych prywatnych listów, i to nie tylko tych, których ewentualną nadawczynią była Cecylia. Albo nie przechowywał tego typu korespondencji, albo Barcińska ją zniszczyła. Jedno i drugie było jednakowo możliwe. Nie pozostawało zatem nic innego, jak napisać do Rozalii, choć oczywiście należało brać pod uwagę, że wdowa nie zjawi się na pogrzebie.

Jednak przyjechała i bez drgnienia powieki zajęła przygotowane dla niej miejsce w kościele. Niewiele się odzywała, nikt nie zamęczał jej kondolencjami, a co najwyżej pełnym uszanowaniem skinieniem głowy. Nikt też nie żywił większych wątpliwości co do tego, że jej żałobny strój wciąż w większym stopniu dotyczył zmarłego przed kilkoma laty syna niż dopiero co pochowanego męża. Ponieważ zaplanowała swój powrót do Krakowa już następnego dnia po pogrzebie, notariusz otworzył testament Jurczyńskiego na dwie godziny przed jej wyjazdem. Za nic nie chciała słyszeć o przedłużeniu swojego pobytu w Jurczewicach. Na spotkaniu z prawnikiem były tylko ona i Ada. Notariusz, mając jakieś takie pojęcie o sytuacji rodzinnej zmarłego, oszczędził sobie i obu kobietom kwiecistego i pełnego wyrazów współczucia wstępu.

– Z mocy prawa i z woli świętej pamięci pana Michała Jurczyńskiego jesteś pani właścicielką majątku Jurczewice – zwrócił się do siedzącej nieruchomo wdowy. – Natomiast dochody z dzierżaw

folwarków w Białutach i Oktrzewi należą się córce testatora, czyli pani Adriannie Rawickiej. Do tego pani Rawicka ma otrzymać z majątku Jurczewice sumę pięciu tysięcy złotych. Gdyby zaś która z pań miała uwagi lub wносиła jakieś pytania czy skargę, może to uczynić jedynie na mocy...

– Ja od razu wnoszę uwagę – przerwała mu Rozalia.

Zarówno Ada, jak i notariusz drgnęli na dźwięk jej głosu, a zakłopotany prawnik starał się uprzejmym, choć chłodnym uśmiechem zamaskować niezadowolenie.

– Pozwoli pani, że wpierw dokończę.

– Nie ma takiej potrzeby. – Rozalia sztywno podniosła się z miejsca. – Od razu zawiadamiam, że zrzekam się wszelkiego zapisu. Proszę wszystko przekazać pani Adriannie Rawickiej.

Zapadła cisza. Zaskoczona Ada, patrząc na wyprostowaną, pełną godności Rozalię, nie mogła pozbyć się wrażenia, że z trudem ją rozpoznaje. I nie chodziło tylko o to, że macocha była znacznie szczuplejsza i mizerniejsza niż przed laty. Paradoksalnie też wydawała się młodsza. Jednak zniknęła gdzieś jej żywiołowość, a przy okazji także pewna niezręczność w gestach i zachowaniu, które całymi latami nie pozwalały jej czuć się dobrze na salonach, wśród eleganckich, dobrze urodzonych dam, ale w zamian dodawały jej uroku i ciepła. Tamta kobieta już jednak nie istniała. Jej miejsce zastąpiła chłodna, zdystansowana dama. Taka, jaką Rozalia nigdy wcześniej nawet nie starała się zostać. Zrobiła to dopiero w dniu pogrzebu męża, w dniu jej ostatecznego pożegnania z Jurczewicami. Nie chciała mieć już nic wspólnego z tym majątkiem, który także i jej nie przyniósł szczęścia. Ada zrozumiała ją, gdy tylko otrząsnęła się ze zdumienia. Lecz nie notariusz. Nie potrafił pojąć decyzji wdowy, doszedł zatem do wniosku, że biedna pani Jurczyńska, która, jak wiadomo, pochodziła z niezamożnej mieszczańskiej rodziny, po prostu albo nie zrozumiała zapisu testamentu, albo wystraszyła ją pozycja głównej spadkobierczyni.

– Proszę pozwolić sobie wyjaśnić... – zaczął pełnym wyrozumiałości tonem, ale ponownie mu przerwała, tym razem już bardziej niecierpliwie:

– Nie ma tu nic do wyjaśniania. Naprawdę rozumiem to, co się do mnie mówi. To raczej ja odnoszę wrażenie, że pan ma trudności ze zrozumieniem mnie. Wobec tego oświadczam wprost: nie chcę Jurczewic ani niczego związanego z majątkiem pana Michała Jurczyńskiego. Wszystko to prawnie należy się jego córce.

– Czy to oznacza, że zrzeka się pani zapisu na rzecz pani Adrianny Rawickiej?

– Tak, na miłość boską, to właśnie tyle znaczy. – W tym momencie znowu pozwoliła sobie na okazanie dawnej żywiołowości. – I proszę, dajmy już temu spokój. Chciałabym jak najszybciej wyruszyć w drogę powrotną do Krakowa.

– Dobrze, jak pani sobie życzy – odparł prawnik, dochodząc już jako tako do siebie. – Wobec tego pozwolą panie, że przygotuję pisemne sprostowania... Będę potrzebował podpisów szanownych pań.

– Jak dużo czasu to zajmie? – spytała z niezadowoleniem Rozalia.

– No cóż, trzeba starannie dochować procedur, aby w przyszłości nikt nie mógł nam zarzucić nierzetelności dokumentów. Chyba że wolałaby pani przyjechać tu po raz drugi z Krakowa.

– Dobrze, poczekam – westchnęła Rozalia. – Nie zamierzam tu już nigdy przyjeżdżać.

Notariusz pozostawił jej słowa bez komentarza i wyszedł z plikiem papierów do drugiego pokoju.

Ada i Rozalia zostały same, po raz pierwszy od lat. Dokładnie od tamtej gwałtownej wymiany zdań, gdy Rozalia chciała przekonać pasierbicę, by nie decydowała się na ślub z Dezyderym. Ada natychmiast to sobie przypominała i nie miała wątpliwości, że macocha także o tym myśli.

– Należą ci się przynajmniej jakieś pieniądze, fundusz, cokolwiek – rzekła pospiesznie Ada, próbując zapanować nad zakłopotaniem. – Proszę, przyjmij cokolwiek.

– Niczego nie potrzebuję – odparła twardo Rozalia. – Na co mi to... Sama powiedz.

Napotkawszy jej spojrzenie, Ada się zaczerwieniła. Nagle przypomniał jej się tamten dzień, gdy na polecenie matki Kazia sprowadziła ją do pokoju śniadaniowego, gdzie po raz pierwszy zobaczyła swoją nauczycielkę. I poczuła na sobie jej wzrok. Odniosła wrażenie, jakby teraz, po tylu latach, przez krótki moment Rozalia popatrzyła na nią w identyczny jak wówczas sposób. Tak jakby czas się cofnął.

Gdyby tak mogło być naprawdę! Po raz pierwszy Ada szczerze tego zapragnęła, ale przecież wiedziała, że równie dobrze mogłaby zapragnąć gwiazdki z nieba. Powinna przynajmniej wykonać jakiś gest, który choć w bardzo niewielkiej mierze zadośćuczyniłby Rozalii za to wszystko, co wydarzyło się w ciągu minionych lat. Te pełne nienawiści i pogardy słowa, oskarżenia, przed którymi tamta nie miała możliwości się obronić ani niczego wyjaśnić. Bo pasierbica ani razu nie chciała jej wysłuchać.

– Dziękuję ci – rzekła cicho, ale wyraźnie. Nie znalazła innych słów. – Dziękuję za wszystko.

I przepraszam... za tamto.

Rozalia drgnęła i teraz z kolei ona wyglądała na zaskoczoną. Do tej pory panowała nad sytuacją, ale na takie słowa najwyraźniej nie była przygotowana.

– Nie ma za co. – Siłiła się jednak na spokój. Nie chciała się poddać wzruszeniu. – Lubiłam się

tobą zajmować, gdy byłaś dzieckiem. Potem także byłaś mi bliska. I nigdy się na ciebie nie gniewałam.

– Nie mów tak – rzekła błagalnie Ada. – Kiedy tak mówisz, jest mi jeszcze trudniej, ciężiej.

– Ale to prawda. – Rozalia uśmiechnęła się blado. – A majątek bardziej przyda się tobie niż mnie.

– Nie potrzebuję go, tak samo jak ty.

– Obiecay, że go przyjmiesz. Jeśli nie ze względu na ojca, to chociaż na moją prośbę.

– Przecież przyjąłam – odparła łagodnie Ada.

– Mam jeszcze coś, co chciałabym ci przekazać. Choć aż do tej pory nie byłam pewna, czy to zrobić.

– Czy nie dość już od ciebie dostałam? – zagadnęła w miarę pogodnie Ada, choć poczuła kolejną falę wzruszenia. Bo miała teraz na myśli nie tylko zapis testamentowy.

– To po pierwsze. – Rozalia wyjęła z torebki szarą kopertę.

– Co to jest? – spytała zaintrygowana Ada i nagle zrozumiała.

Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi, ale opanowała się, choć z trudem.

– Przed laty, gdy już przebywałaś u ciotki, a ja nabrałam pewnych podejrzeń co do tych częstych wyjazdów twojego ojca do Warszawy, postanowiłam odrzucić wszelkie skrupuły i zwracać pilniejszą uwagę na korespondencję do niego przychodzącą. Pozornie to ty byłaś celem jego wyjazdów. Odwiedzał cię i przekazywał Barcińskiej fundusze na twoje utrzymanie. Tak to tłumaczył. Zastanawiało mnie jednak, dlaczego nigdy, ani razu, nie zabrał ze sobą do Warszawy mnie i twojego brata. Oczywiście miał wygodną wymówkę, jakobyś ty sobie tego nie życzyła. Z drugiej strony miałam pełną świadomość, że przecież wcale nie liczył się z twoimi uczuciami. Pamiętałam, jakimi sposobami próbował cię zmusić, abyś uznała nasze małżeństwo. I jak potem nagle dał sobie z tym spokój. Pozwolił, abyś zamieszkała u tamtej. Byłaś po prostu wygodnym pretekstem, by mógł bez przeszkód spotykać się z Barcińską.

– Oczywiście – potwierdziła bez cienia sentymentu Ada. – Ze mną niewiele wtedy rozmawiał, choć nie martwiłam się z tego powodu. Nawet te kilka zdań było dla mnie torturą.

– Dla mnie torturą stały się jego wyjazdy. Gdy go nie było w domu, przeglądałam wszystkie papiery w gabinecie, szukałam listów od Barcińskiej. Robiłam to nocą, aby nie rzucać się w oczy służbie.

– No i znalazłaś – stwierdziła z lekką ironią Ada, wskazując na kopertę.

Powstrzymała się jednak przed wyznaniem, że przekazanie jej tego listu było już spóźnioną inicjatywą. O długoletnim związku łączącym jej ojca i Cecylię wiedziała od kilku lat. Cecylia się tego nie wypierała. Dodatkowe dowody na piśmie były niepotrzebne. Odpowiedź macochy wprawiła ją jednak w zdumienie.

– Nie. To znaczy owszem, znalazłam kilka jej listów, ale dotyczyły tylko ciebie i spraw finansowych związanych z twoim utrzymaniem. Pisała zwykłym urzędowym tonem, niczym przełożona pensji, która udziela podobnych informacji rodzicom swoich uczennic i podopiecznych. Mimo to nie pozbyłam się podejrzeń i dalej szukałam. Musiałam mieć pewność. Oni byli ostrożni, ale przecież też ryzykowali. I mogli w końcu popełnić jakiś błąd.

Adrianna nagle poczuła zmęczenie i niesmak. Nie chciała już tego słuchać.

– Zatem w końcu trafiłaś na dowód ich winy. Wiem już, jak z nimi było, niczym mnie nie zaskoczyłaś. Wierzę ci, ale nie mam już ochoty czytać intymnych wyznań ciotki kierowanych do mojego ojca.

– To nie jest list Barcińskiej – ostro weszła jej w słowo Rozalia.

– Nie? – W jednej chwili Ada zrobiła się czujna.

– Nie – kontynuowała ochryple Rozalia. – To list twojej matki do twojego ojca. Wetknął go na dno jakichś szpargałów, zamiast od razu wyrzucić albo spalić. Pewnie o nim zapomniał, ale mniejsza z tym. Był nieostrożny, popełnił błąd. Każdy je popełnia, a twój ojciec nie odbiegał od tej reguły. – Skrzywiła się, ale głos jej złagodniał. – Długo się wahałam, czy ci to pokazać. Ale być może widzimy się już po raz ostatni w życiu, więc jadąc na pogrzeb, pomyślałam, że nie będę miała okazji, by choć trochę oczyścić się w twoich oczach... Twoja matka nie umarła z mojej winy.

– To już bez znaczenia – odparła pospiesznie i przez to trochę niezręcznie Ada. Nie chciała kontynuować tej rozmowy. Pragnęła wrócić do Radziejowa, i to jak najszybciej.

– Ale dla mnie ma. Weź ten list. Choć ostrzegam, że zaboli.

– Dobrze. Dziękuję ci – odparła trochę ochryple Rawicka. Zacisnęła dłonie i z trudem opanowała odruch, by natychmiast wybiec na zewnątrz. Zamiast tego ponownie zmusiła się do uśmiechu. – A ta druga rzecz, którą dla mnie masz?

– To pozdrowienia – odparła nadspodziewanie teraz ciepłym, miękkiem głosem Rozalia. Tym głosem, który niegdyś uwodził wszystkich dookoła, w tym Michała Jurczyńskiego i jego małą córkę. – Od Damiana. Prosił, aby ci je przekazać.

\*

– Czy widziałas kiedyś ten list? – spytała Ula, zaciskając dłonie na łokciu Ireny.

– Nie, skądże znowu. Zarówno o jego istnieniu, jak i o tej ostatniej, osobistej rozmowie między moją matką a Rozalią Jurczyńską dowiedziałam się dopiero w trzydziestym ósmym roku, gdy umarła ciotka Barcińska, a matka odmówiła uczestniczenia w jej pogrzebie. Wcześniej także nie interesowała się jej losem. Gdy ojciec napomknął, że jako najbliższa rodzina zmarłej powinniśmy uczestniczyć w ceremonii, odparła kategorycznie, że ta kobieta dla niej nie istnieje. Wtedy opowiedziała nam o tym liście. Helena napisała go tuż przed śmiercią. Poinformowała męża, że wie o jego związku z Cecylią. Dowiedziała się od „życzliwej” anonimowej osoby, że podczas gdy ona i jej córka mieszkały w domu Barcińskiej, Jurczyński spotkał się z jej kuzynką kilkakrotnie w jakimś przytulnym hotelu na przedmieściach. Helena początkowo oczywiście nie dała temu wiary, ale sprawa nie pozwalała jej spać spokojnie, więc w końcu postanowiła to sprawdzić. Znalazła jego listy, bo podczas nieobecności Cecylii przetrząsnęła cały jej gabinet i wszystkie sekretarzyki. Cecylia, w przeciwieństwie do Jurczyńskiego, była mniej ostrożna, jeśli chodziło o korespondencję. A może bardziej sentymentalna.

W milczeniu dotarli do klatki schodowej, gdzie na trzecim piętrze znajdowało się mieszkanie Chojewiczów. Odruchowo zadarły głowy do góry i stwierdziły, że we wszystkich oknach tegoż lokum paliło się światło.

– Mężczyźni są zupełnie niepraktyczni, jakby nie z tego świata – mruknęła z niezadowoleniem Irena. – Jestem pewna, że wszyscy trzej siedzą w pokoju przechodnim i oglądają mecz, co nie przeszkadza im rozświetlić całego mieszkania. Pojęcia nie mają o oszczędzaniu.

Weszły do bloku, gdzie dla odmiany na parterze i pierwszym piętrze panowały egipskie ciemności. Ktoś wykręcił żarówkę albo się przepaliła, co najwyraźniej reszta lokatorów przyjęła z pełną bezradnością i bezsilnością rezygnacją.

– Pewnego dnia znikną wszystkie żarówki, ale nikt już nawet nie zwróci na to uwagi – jęknęła Irena.

– Ciociu! – Ula zatrzymała się w połowie schodów. – A kim był ten Damian?

– On? – Irena także się zatrzymała i miała taką minę, jakby potrzebowała zrozumieć sens pytania siostrzenicy. – Przecież ci o nim mówiłam. Doktor Damian Reński, brat Rozalii. Ten, który pomógł mi przyjść na świat.